

Susan King

CAŁUJĄC HRABINĘ

*Kocha mnie, czy wyśmieje i zostanę znów sam?
Szkocką dumę przywdzieję, bo to wszystko co mam.
Jak odnajdę sam siebie? Strugi szmer... łoskot fal...
Nad oceanu brzegiem wbijam wzrok w wielką dal.
Przeszłość mą zagubioną słoneczny złoci miód...
Biegnę przez nieskończoność aż do wieczności wrót.
Już nie odnajdę szlaków, którymi los nas gnał
Ni pieśni, co dzieciom do snu, bym śpiewać chciał...
Przeszłość za burtę rzucić, mowy za grosz się zbyć?
Nim kiedyś po nie wrócisz, deszcz... wiatr... i nie ma nic.*

Dougie MacLean *Eternity* (Wieczność)

Prolog

*Szkocja, północno-zachodnie pasmo Gór Szkockich
Lato, 1849 rok*

Drogą biegnącą u podnóża Góry Wrózek ciągnęła niespiesznie procesja szkockich górali. Było ich ze stu. Niektórzy szli na piechotę, z węzełkami na plecach i dziećmi na rękę. Inni jechali na skrzypiących wozach, załadowanych pod wierzch ubogim dobytkiem. Dolina była pełna słońca. Promienie lśniły na zaśnieżonych szczytach, rozjaśniały blaskiem porośnięte wrzosami zbocza, odbijały się od powierzchni jeziora. Ani jedna głowa nie chyliła się, ani jedne plecy nie ugiwały, gdy odchodzący stąd mężczyźni, kobiety i dzieci spoglądali dokoła, by zachować w sercu i pamięci piękno Glen Shee, Doliny Wrózek.

Catriona MacConn przyglądała się wędrującym ludziom ze stromego zbocza. Mocno skrzyżowała ramiona na piersi, jakby osłaniając serce, mogła złagodzić przejmujący ból. Westchnęła i spojrzała na brata. Finlay MacConn także obserwował przemarsz wygnańców. Jego dłoń sama zacisnęła się w pięść. Finlay był wysoki i krzepki jak jego młodsza siostra, ale włosy miał ciemne, jej zaś lśniły jak roztopiony brąz. Ubrany był w kurtkę i kilt. Pod pończochami rysowały się mocne mięśnie łydek, wyrobione od wspinania się po górach.

Oślaniając oczy od słońca i powstrzymując łzy, Catriona spoglądała na mężczyznę na lśniącym karym koniu, obserwującego scenę z pobocza drogi. Hrabia Kildonan widział, jak jego rządcą ze swoimi ludźmi przejeżdża wzdłuż coraz bardziej rozciągającej się procesji i wykrzykuje gromkie rozkazy, usiłując popędzić wędrowców.

Z przeciwnego końca doliny przygalopował kolejny jeździec na gniadym koniu. Zatrzymał się obok hrabiego i gniewnie wznosił rękę. Catriona nie rozpoznała ciemnowłosego mężczyzny, ale zwinność, elegancki krój brązowego ubrania, jeździecka postawa i swoboda, z jaką zwracał się do hrabiego, świadczyły, że jest dżentelmenem, być może krewniakiem Kildonana.

- Kto podjechał do hrabiego? - spytała. - Widzisz tego mężczyznę z rozwianymi czarnymi włosami? Ma groźną minę, jakby coś mu się nie podobało!

- To chyba syn hrabiego - odparł Finlay. - Odziedziczył imię po ojcu, więc pewnie nazywa się George Mackenzie. Wątpię, czy go pamiętasz. Byłaś wtedy malutka. Wychowywał się w zamku Kildonan, póki hrabina nie zabrała dzieci i nie opuściła męża na zawsze.

- Ach! Przypominam sobie czarnowłosego, nieśmiałego chłopca, który lubił samotne górskie wyprawy. Ale teraz chyba bym go nie poznała. Catriona na chwilę oderwała myśli od ponurego pochodu.

- Nie było go tu z dziesięć lat. Mieszkał z matką na Nizinie Szkockiej - wyjaśnił Finlay. - Pani Baird mówiła naszemu ojcu, że chłopak wrócił, żeby zapewnić sobie dziedzictwo, bo pan hrabia ciągle wyprzedaje grunta i usuwa mieszkańców z zagród. Pani Baird powiada, że żyją ze sobą jak pies z kotem. A ona wie najlepiej, bo pracuje teraz w zamku.

- No cóż... Jaki ojciec, taki syn. Pewnie się kłóca o to, komu więcej się dostanie z profitu za owce, które będą teraz hasać po hrabiowskich gruntach - prychnęła pogardliwie. - Złe nastały czasy, kiedy szkocki dziedzic nie dba o swoich ludzi ani własną ziemię.

- Nie tak bywało dawniej! Klan miał naczelnika, a nasza dolina była niedostępną twierdzą klanu Mackenziech, wojowników i ich rodzin. A każdy pan dbał o swoich dzierzawców jak o własnych krewnych. Tak przynajmniej mówią.

- Wszystko się zmienia. A do przeszłości nie da się wrócić - mruknęła Catriona.

Znów w milczeniu obserwowała pochód. Dotarł właśnie do podnóża stoku, na którym stali z Finlayem.

Niektóre z kobiet płakały, inne zarzucały sobie na głowy kraciasty pled na znak żałoby. Catriona znów poczuła napływające do oczu łzy i mocne pulsowanie w żyłach.

Zapłakała razem z wygnańcami. Wśród odchodzących było wielu przyjaciół i krewnych MacConnów.

- Jeśli w Dolinie Wrózek zabraknie ludzi, to strażnicy pokoju, czyli wróżki i elfy we własnej osobie, pogrążą się w żalu. Magiczna siła doliny i jej legendy pójdą w zapomnienie. Nawet piękno gór przyblaknie. Wróżki pod brzemieniem żałoby zmarnieją i znikną. Tak przynajmniej powiada Morag MacLeod.

- Wróżki zdążyły się już przyzwyczaić do „odzyskiwania zagród”, jak to się pięknie mówi, Catriono - zauważył cierpko Finlay. - Tysiące ludzi zmuszono w górach i na wyspach do opuszczenia domów, w których żyli od wielu pokoleń. A zaczęło się to już kilkadziesiąt lat temu.

- Musimy więc się modlić, żeby to wygnanie było ostatnie!

- Kto wie? Może i będzie, chociaż w naszej dolinie. Hrabiemu Kildonan potrzeba coraz więcej pastwisk dla owiec. A opiekować się nimi będzie garstka Anglików i mieszkańców nizin. Podobno to mniej kosztowne niż utrzymywanie setek górali. A resztką ziem, niezamienionych na pastwiska, przyda się w sam raz na teren zastrzeżony dla myśliwych. Tak przynajmniej słyszałem.

Na czole Finlaya pojawiła się głęboka zmarszczka.

- A co się stanie z legendami i pieśniami doliny? - westchnęła Catriona. - Tak bym chciała ocalić choć trochę tej mądrości i piękna... Przecież to nasze dziedzictwo! Dzieci i wnuki tracą je bezpowrotnie... Naszą sztukę także zagrabiają obcy i wywożą Bóg wie dokąd. Tak chciałabym ocalić tę dolinę: ziemię, mieszkańców, tradycje... - Catriona wzruszyła ramionami. - Ale wiem, że to tylko marzenia. Kimże ja jestem? Córka wiejskiego proboszcza... który traci dziś większość parafian.

Finlay otoczył siostrę ramieniem.

- Marzenia też się spełniają. Trzeba je pielęgnować, bo gdy rozkrzewią się w naszych sercach, będą mocne jak twierdza. - Spojrzał na góry po przeciwnej stronie doliny. Słońce złociło śnieżne szczyty. - I ja chcę ocalić naszą dolinę. Ale ja przede wszystkim mam na względzie ludzi. Pragnę odnaleźć każdego wygnańca i sprowadzić go znów w rodzinne strony. Gdyby nasz brat Donald dożył dzisiejszego dnia, z pewnością pro testowałby przeciw takiej niesprawiedliwości.

Catriona westchnęła na wspomnienie bystrego i dzielnego Donalda, który zginął na zboczu tej góry. Przyglądała się znowu smutnemu pochodowi.

- Gdyby nasz ojciec był pasterzem, a nie proboszczem z Glenachan, my też musielibyśmy stąd odejść. I ani ty, ani Donald, ani nawet ojciec nic by na to nie poradzili.

Nagły podmuch wiatru szarpnął spódnicę Catriony i kraciasty szal, który miała na ramionach. Splecione w warkocz włosy rozplotły się i powiewały jak barwny celtycki proporzec z czerwieni i złota. Dziewczyna odgarnęła je do tyłu i stała obok brata w milczeniu, pełna smutku. Czuła się dziwnie, jakby należała do gwardii honorowej.

Z dołu znów doleciał rozpaczliwy płacz. Catriona ujrzała, jak stara kobieta na zboczu innego wzgórza wznosi ręce ku niebu. Żałosna skarga odbiła się echem od skalnych ścian i spotężniała, gdy inne kobiety podjęły lament. Echo też ogromniało i pogłębiało się, jakby same góry płakały nad odchodzącymi.

Smutek i piękno tego pożegnania bliskie były sercu Catriony. Kochała stare pieśni i nie mogła znieść myśli, że w dolinie zapanuje żałoba i pustka zamiast dawnej dobrotliwej magii i radości.

- Nawet góry płaczą- powiedział Finlay. - Spójrz na te wezbrane strumyki: spływają po zboczach jak łzy po policzkach.

Catriona przytaknęła i wzięła brata za rękę. Na biegnącej pod nimi drodze pieśń nie cichła, więc dziewczyna podniosła głowę i przyłączyła się do chóru. Z początku cicho, potem coraz donośniej. To był *tuireadh*, lament szkockich góralek śpiewany podczas pogrzebów. Na

dźwięk tej pieśni ścisnęło się serce.

*Gdzie zabrzmi nasz błagalny chór,
Gdy głód doścignął nas wśród gór?
Jak przemóc lęk, odegnać chłód,
Gdy nasza krew się ścina w lód?
Hiri uam, hiri uam...*

Melodia zataczała coraz szersze kręgi, wznosiła się ku szczytom gór. Catriona zamknęła oczy i całą duszą chłonęła muzykę.

- Wysłuchaj mnie, ojczy! Błagam! - zaklinał George Evan Mackenzie, wicehrabia Glendevon. - Szkocki naczelnik nigdy w ten sposób nie traktuje swoich ludzi!

- Oszczędź mi tych frazesów! - warknął hrabia, potężnie zbudowany, gburowaty mężczyzna. Wyglądał ponuro: włosy miał siwe, a ubranie i buty w kolorze zmatowiałej cyny.

- Panie Grant! Popędź wreszcie tych maruderów, bo zmarnujemy przez nich cały dzień! - polecił rządcy. - Muszą dotrzeć do wybrzeża, nim noc zapadnie; prześpią się koło doków, a z rannym przyływem załadują się na bydłące statki.

- Bydłące statki?!

Evan zmusił wierzchowca do obrotu. Gniademu ogierowi udzieliło się wzburzenie jeźdźca; zaczął parskać i uskakiwać w bok.

- No właśnie! Zapewniliśmy niektórym przejazd do Kanady. Reszta wyruszy do Glasgow i tam poszuka sobie zajęcia.

- Jakiego?! Ci ludzie żyli tu od wielu pokoleń. Większość z nich nigdy nie była w mieście, a co dopiero w obcym kraju! Nie znają niczego oprócz tych gór ani innego sposobu życia poza tym, które wiedli od stuleci.

- To właśnie największy problem z tą ospałą bandą przygłupów. Chcieliby żyć w błogim lenistwie, łażąc po wzgórzach za swoimi mizernymi stadkami owiec czy kóz, zbierając nędzne plony, uprawiając przedpotopowe rzemiosła. Nie mają ani krzty ambicji, nie znają się na niczym prócz tkactwa, pasterstwa i opowiadania bajd! Gdyby zostali tutaj, nigdy by się niczego nie nauczyli. Może rozwiną się i do czegoś dojdą z dala od tej doliny. Wyświadczamy im przysługę, wysyłając ich w świat.

- Przysługę?! Może nędzarze, których pełno w każdym mieście, zawsze głodni, często z kalekami dziećmi, uwierzyliby, że gdzieś na końcu świata czeka ich lepszy los! - odciął się Evan. - Ale to są szkoccy górale, krzepcy i dumni. Byli szczęśliwi w swojej dolinie. Kawalek ziemi i rodzina są dla nich wszystkim. Jeśli wygnasz tych ludzi z rodzinnych stron i skażesz na rozłąkę z krewniakami, pozbawisz ich duszy!

- W takim razie ta szkocka dusza nie przynosi im żadnego pożytku i trzeba ją wyciąć jak rakowatą narośl. Kiedy uzgodniliśmy z twoją matką, że powinieneś na jakiś czas przyjechać na północ po ukończeniu studiów, nie przypuszczałem, że zaczniesz mnie częstować tymi samymi bredniami, co ona! Cholernie męczący są ci dobrodzieje maluczkich! - warknął.

- Jeśli ktoś jest łaskawy dla tych Szkotów, to tylko ja. Ukazuję im inną drogę i lepsze życie. Nie skazuję ich na dalszą nędzną egzystencję.

- Cóż za bezduszny wywód, jaka arogancja i chciwość! - odparł Evan.

- Miałem nadzieję, ojczy, że zmieniłeś się choć trochę przez te wszystkie lata. Łudziłem się, że gdy matka odeszła od ciebie i zabrała Jeanie i mnie, przekonałeś się wreszcie, co naprawdę jest najważniejsze. Szkoccy górale dobrze wiedzą, że najbardziej należy cenić rodzinę i ziemię. Miłość i dary ziemi to jedyne, co nam pozostanie aż do końca. Ale ty tego nie widzisz. Niszczysz wszystko. - Wskazał zgromadzonych ludzi.

- Gadaj tak dalej jak miłosierna paniusia, a odbiorę ci przyrzeczoną ziemię i majątek. Przypadną twojej siostrze. Ona przynajmniej okazuje mi szacunek - burknął hrabia.

- Dawniej i ja cię szanowałem, ojczy - odpowiedział Evan. - A jeśli już mowa o

majątku, to niewiele z niego zostanie prócz stu tysięcy owiec i ogryzionych do czysta zboczy, jeżeli pozbedziesz się najcenniejszych skarbów tej doliny: rdzennych mieszkańców i śladów celtyckiej kultury, i sprzedasz ziemię po kawałku dla doraźnego zysku.

Serce waliło mu jak młotem, gdy spoglądał na piękne w swojej potędze góry, na wysokie niebo i na ludzi, których twarze świadczyły o sile i dumie. Zawsze były drogie jego sercu dziecięce wspomnienia z Glen Shee. Kochał tę dolinę i czuł gwałtowną potrzebę roztoczenia opieki nad tym skrawkiem ziemi i nad jego mieszkańcami. W ciągu kilku dni po powrocie do miejsca, które zawsze uważał za własny dom, mimo rozdźwięku między rodzicami, uświadomił sobie głębię swojego przywiązania do Glen Shee i Kildonan.

A teraz czuł się bezsilny. Nie mógł przeszkodzić temu, co postanowił ojciec. Wysiedlenia były rozpowszechnione w szkockich górach z przyczyn ekonomicznych. Evana ani trochę nie obchodziły przewidywane zyski, jeśli oznaczały niszczenie tego miejsca i odzierają je z godności. Troszczył się zarówno o ludzi, jak i o ziemię. Przed laty został wyrwany z tego świata, kiedy matka postanowiła opuścić ojca. Dzięki temu Evan w pewnym stopniu pojmował, co przeżywają w tej chwili wypędzani, i rozumiał ból widoczny na ich twarzach.

- Zawsze spłacam długi, więc dostaniesz niezły spadek - powiedział ojciec. - Co więcej, zbiję fortunę dla ciebie i twojej siostry na owcach, które będą się pały na tych wzgórzach. W końcu sam docenisz swoje szczęście.

- Z pewnością nie życzę sobie szczęścia takim kosztem.

- Istnieje mnóstwo rozsądnych powodów takiego postępowania. Wysiedlenia wydają się okrutne, ale w gruncie rzeczy wychodzą na dobre i tym ludziom, i nam. Szkoccy górale żyją jak dzikusy. Kiedy góralska rodzina obejmuje w posiadanie zagrodę, z kilkuset akrów ziemi korzysta setka owiec. Nie licząc kawałka, który idzie pod ogród warzywny. Jaka z tego może być korzyść? Teraz dopiero nasza dolina zacznie przynosić zyski... I to na jaką skalę: tysiące owiec i dosyć wełny, by ubrać całą ludność Europy! I tym wszystkim będzie sprawnie zarządzać kilku mężczyzn wraz z rodzinami.

- Pozwól więc tym ludziom paść swoje owce!

- Zrobiłbym tak, ale oni wolą włóczyć się po wzgórzach i opowiadać bajdy. Mnie są potrzebni odpowiedzialni ludzie, którzy porządnie zliczą owce, oznakują je i napasą. A na wiosnę spędzą wszystkie i ostrzygą, potem oczyszczą wełnę i zaniosą na targ.

- Przecież oni to wszystko potrafią! - obruszył się Evan. - Nie okazujesz im ani krzty szacunku... i chcesz, żeby oni cię szanowali?!

- Piętnastu ludzi z nizin potrafi wykonać robotę dwustu leniwych górali. Dobry Boże! Cóż to za wycie?! - Hrabia odwrócił się raptownie. - Aż mnie dreszcz przechodzi!

- To pieśń pogrzebowa - burknął Evan. - Żegnają się z domami, które muszą porzucić.

Evan znał trochę celtycki. Nauczył się go w dzieciństwie od szkockiej niani. Nie musiał jednak rozumieć słów pieśni. Wystarczyło jej posłuchać.

- Sam bym stąd chętnie wyjechał - stwierdził Kildonan. - Powierzę opiekę nad majątkiem Grantowi, jak tylko przybędą pasterze z owcami. Powrócę na kilka miesięcy polowania i łowienia ryb. Nie zamierzam tkwić tutaj przez cały rok. Nigdy nie mogłem znieść tego miejsca! Góry działają mi na nerwy. Żle sypiam. - Rozejrzał się dokoła.

- A więc jednak masz sumienie! - powiedział Evan.

- Nie życzę sobie, żeby szczeniak prawił mi morały! Wracaj do Edynburga i buduj mosty czy co tam chcesz. To nie jest zajęcie godne para, ale rób, co ci się podoba. Moim zdaniem powinieneś iść na teologię. Odkąd wróciłeś, bez przerwy wygłaszasz kazania.

- Szkoda że nie studiowałem prawa. Może wtedy znalazłbym sposób, żeby położyć kres takiemu bezprawiu!

- Droga wolna! Pospiesz się lepiej, zanim sam cię wyrzucę, i to raz na zawsze! - zagrzmiał hrabia. - Miałem nadzieję, że potrafisz docenić to, czego dokonałem. Ale tobie w

głowie tylko wyświechtane ideały młodości. Nic cię nie przekona. Wynieś się stąd, jeśli nie chcesz patrzeć, co będzie dalej.

Evan zawrócił konia, zanim jeszcze ojciec skończył przemowę. Wściekłość i żal, które odczuwał, wydawały mu się równie wielkie i straszne jak góry otaczające dolinę. Przejeżdżając koło górali, usłyszał pieśń zawodzących kobiet, która odbiła się echem w jego duszy.

Nie mógł patrzeć na tych nieszczęśników. Pragnął usprawiedliwić się przed nimi, znaleźć wytłumaczenie dla ich tragedii, ale był bezsilny. Wstydził się, że jest spadkobiercą człowieka, który ściągnął nieszczęście na swoich podopiecznych.

Evan powrócił do zamku Kildonan i Glen Shee pełen nadziei, że odnajdzie szczęśliwą krainę dzieciństwa. Spodziewał się również podyskutować z ojcem jak mężczyzna z mężczyzną; teraz przecież sam był dorosły! Ale George Mackenzie, hrabia Kildonan, nie liczył się z opinią nieopierzonego młokosa. Chciał tylko dowieść, że to on ma słuszość, no i zamierzał zbić majątek... a za jaką cenę i czyim kosztem?... Tego Evan wolał nie rozważać.

Gdy oddalał się kłusem, usłyszał kobiecy głos. Tak słodki i czysty, że dreszcz przebiegł mu po plecach. Spojrzał na wzgórze przy drodze.

Młoda kobieta stała wśród wrzosów na zboczu. Była wysoka, smukła i jaśniała pięknem. Kraciasty szal okrywał jej ramiona, a złotorude włosy powiewały wokół głowy. Obok dziewczyny stał młodzieniec. Przez chwilę Evan myślał, że to złudna wizja. Oboje stanowili częśćkę odwiecznego piękna doliny. Jakby dwa celtyckie bóstwa pojawiły się, żeby być świadkami spustoszenia.

Dziewczyna wyśpiewywała lament z tak głębokim smutkiem, że Evan zatrzymał się, by jej wysłuchać z należytą czcią. Popołudniowe słońce barwiło ośnieżone szczyty gór różem i złotem. Ale postać śpiewaczki pałała własnym blaskiem, który sprawił, że wszyscy inni przestali śpiewać i zwrócili się w jej kierunku. Nawet stary hrabia zatrzymał się i spojrzał w górę.

Czysty, urzekający głos przeniknął do serca Evana, by pozostać w nim na zawsze. Gdy ostatnia nuta zadźwięczała jak dzwonek, zawtórował jej westchnieniem. W głosie dziewczyny brzmiała rozpacz, ale nie rezygnacja.

Evan odjechał ze smutkiem i wspomnieniem szczęśliwych chwil, które tu przeżył. I z poczuciem, że zaprzepaścił szansę przyszłego życia w tej pięknej dolinie. Po tym, co się wydarzyło, nie mógł już nigdy wrócić do Kildonan i Glen Shee z podniesionym czołem.

Znalazł jednak ukojenie w pieśni młodej góralki i zabrał ze sobą także to wspomnienie.

1

Północno-zachodnie pasmo Gór Szkockich

Listopad, 1859rok

Z palcami wbitymi w wąskie szczeliny, wparty nogami w półkę skalną o szerokości zaledwie kilkunastu centymetrów, Evan Mackenzie, wicehrabia Glendevon, a od niedawna hrabia Kildonan, odetchnął głęboko. Oparł czoło na wzniesionym ramieniu i rozważał dręczący go problem.

Był sam na niemal pionowej ścianie chropowatego czarnego gnejsu, wystawiony na podmuchy zimnego, potężnego wietrzyska, otoczony gęstą mgłą. Deszcz ze śniegiem bębnił o otaczające go skały; z pewnością były teraz śliskie jak diabli. W dodatku nie widział nic poza zasięgiem ręki. A jego jedyny towarzysz zniknął pół godziny temu.

Gęsta i zimna mgła przesłaniała widok. Jeden fałszywy krok i Evan mógł stracić równowagę, a może nawet runąć w dół niczym kamień. Głębokie rozpadliny i naturalne kominy tylko czekały, by go pochłonąć, jeśli odpadnie od czarnej ściany skalnej, zanim postawi stopę na solidnym gruncie. A do podnóża było co najmniej tysiąc metrów.

W pełni zasłużyłem na karę. Po jakiego diabła zламаłem przysięgę i wróciłem tu? -

myślał z goryczą Evan. Od lat trzymał się z dala od Kildonan i Glen Shee, ale szkockie góry nieustannie go wabiły. Ich nieme wołanie i żywe wspomnienia okazały się silniejsze od zdrowego rozsądku, który podpowiadał, że z odziedziczonym majątkiem wiąże się mnóstwo obowiązków. Kilka miesięcy temu hrabia zginął w wypadku podczas polowania, ale jego spadkobiercy nie spieszyło się na północ. Wreszcie jednak dotarło do Evana, że powrót do górskiej doliny jest konieczny i nieunikniony.

Spojrzał w dół, lecz zobaczył tylko gęstą białą chmurę, która spowijała zbocze tuż pod nabijaną ćwiekami podeszwą buta. Zabawne! Wydawało mu się, że unosi się na obłoku wysoko nad ziemią. Przyszły mu na myśl anioły, które miały piastować go na ręku w myśl Psalmu 91.

- Fitz! - krzyknął na cały głos. - Fitzgibbon! Gdzie jesteś? Gdzie się podziewasz, do stu diabłów?!

Donośne z początku wołanie przeszło w cichy pomruk. Słowa wróciły stłumionym echem.

Panowała cisza, jeśli nie liczyć wycia wiatru. Do tej pory nie dotarł do Evana żaden odgłos, który świadczyłby o czyjejś obecności: chrzęst kamyków pod butem, nawoływanie czy okrzyk rozpacz. Evan był przeświadczony, że Arthur Fitzgibbon dotarł już do podnóża. Profesorowi nie odpowiadała wspinaczka we mgle i deszczu, chociaż obaj z Evanem zamierzali zdobyć chociaż jeden szczyt, jeśli pogoda się utrzyma.

Młodszy i silniejszy Evan zdążył wspiąć się wysoko, nim Fitzgibbon zawołał, że chce już wracać. Mackenzie odkrzyknął, że warto by dotrzeć jeszcze wyżej, ale niebawem i on zawrócił. Mgła i deszcz przesłaniały jednak widok, więc Evan nie zauważył, czy Arthur wspina się dalej.

Z pewnością Fitz wracał już do zamku Kildonan. Spieszno mu było do ognia na kominku, przy którym rozgrzeje zmarznięte stopy, i do szklaneczki whisky, którą uraczy się, czekając na powrót Evana. Z Fitzgibbona był porządny człowiek, ale brakowało mu zdrowego rozsądku. Z pewnością będzie dumął o niebieskich migdałach, pokonując kilka kilometrów dzielących go od zamku. Niewątpliwie doszedł do wniosku, że Evan da sobie radę, i martwił się jedynie tym, że ominęła go okazja do zbadania wysokiej części zbocza.

Evan mógłby mu z powodzeniem opowiedzieć o tym terenie. Skalna ściana była zaskakującym połączeniem czarnego gnejsu i białego kryształu, miała więc paski niczym zebra. I była zdradziecka jak diabli, zwłaszcza jeśli pokrywała ją cienka powłoka lodu. Evan wyciągnął z płóciennego plecaka niewielki toporek. Z energią zaatakował lód, a przy okazji poszerzył zagłębienie, które miało być kolejnym punktem zaczepienia dla ręki, i posunął się nieco wyżej.

Marząc o takich luksusach jak ogień na kominku i szklaneczka whisky, Evan uświadomił sobie, jak bardzo jest zmarznięty i głodny. Nic dziwnego, że Arthur wyrzekł się przygody dla gorącego grogu i płonącego ognia!

Evan jednak nie przedkładał wygod nad przygodę. Od czasu do czasu lubił ryzyko. Nieoczekiwanie popołudniowa wyprawa stała się bardziej niebezpieczna, niż Evan przewidywał.

Rozejrzał się dokoła. Był absolutnie sam i mógł liczyć tylko na siebie. Przyłgnął do kamiennego występu niczym chłopiec z baśni do śpiącego olbrzyma. Z tego miejsca nie było żadnej krótszej ani bezpieczniejszej drogi w dół czy pod górę.

Evan powrócił do Kildonan i Glen Shee, żeby uporządkować sprawy związane z przejęciem posiadłości, ale chciał również zmierzyć się z górami, które tak dobrze pamiętał z dzieciństwa. Chociaż wspinał się po Alpach, czy stokach różnych regionów Szkocji, nie trafił na nic, co dałoby się porównać z wędrowką na masyw górski Torridon w północno-zachodniej Szkocji. Znacznie niższe od strzelających w niebo alpejskich szczytów i pozbawione ich baśniowego nieskalanego piękna, stare, potężne i pełne majestatu szkockie

zbocza napełniały go zdumieniem i pokorą. Zdawało się, że surowa, pierwotna siła tych gór pochodzi z samego serca ziemi.

Chuchając na zziębnięte palce, Evan wpatrywał się w otaczającą go mleczną mgłę. Obmacując ścianę, znalazł kolejną podpórkę i znów podciągnął się na rękach trochę wyżej. Nie zapomniał zabezpieczyć się linką uwiązaną w pasie. Jej dłuższy koniec wyposażony był w żelazną kotwiczkę, wczepioną teraz w skałę wysoko ponad nim. Evan wiedział, że w tej chwili łatwiej zdoła się wspiąć na górę niż spuścić do podnóża. Pnąc się, będzie coś niecoś widział przed sobą, w dole zaś widoczność całkowicie przesłaniała mgła. A kiedy znajdzie bezpieczny wyłom w skale, odpocznie trochę i zaczeka, aż obłoki pary trochę się przerzedzą. Wtedy można będzie pomyśleć o zejściu.

Z posępną determinacją sunął powoli w górę. Ten etap wspinaczki był najcięższy ze wszystkich, nawet bez mgły i oblodzonych powierzchni. Do tej pory sprawa była prosta, ot, strome podejście. Dzień co prawda zaczął się od mgły i mżawki, ale wydawało się, że nie ma powodu do niepokoju. Gdyby Evan wiedział, że deszcz ze śniegiem, gęsta mgła i lodowaty wiatr suną już znad wysp ku północno-zachodnim Góróm Szkockim, nawet by nie próbował wspinaczki po skalnej ścianie, która wiodła do rozdwojonego szczytu skalnego masywu.

Pociągnął za linkę, by sprawdzić, jak się trzyma kotwiczka. Wyczuł mocny opór ząbkowanego haka, zaczepionego kilka metrów wyżej. Podciągając się na naprężonej linie z manilskiego włókna, Evan brnął w górę w ślimaczym tempie. Starannie sprawdzał wsporniki. Nieraz zagłębiał palce w śniegu w poszukiwaniu pewnej podpory.

Zaczął go jednak ogarniać strach. Jak rdza przeżerał wolę i odwagę. Evan ignorował go jeszcze, skupiając się na najbliższym uchwycie i następnym kroku wzwyż. Deszcz ze śniegiem tak się nasiliły, że każdy uchwyt i podpórka stały się śliskie. Jedyńm szczęściem w tym nieszczęściu było to, że ostry deszcz ze śniegiem rozdzierał powłokę mgły i Evan widział szczyt góry wznoszący się wysoko nad nim. Dalej, z lewej strony błyskało surowe piękno pokrytych śniegiem zboczy, mniej więcej na jego wysokości. Wspiął się więc znacznie wyżej, niż przypuszczał.

Wiatr atakował, ale Evan posuwał się powolutku w górę. Kolejny silny podmuch z boku rzucił go na skalną ścianę. Evan zsunął się z występu, ale linka go utrzymała, nim znalazł zaczepienie dla rąk i nóg. Ruszając pod górę, znów się ześlizgnął, ale lina i kotwiczka raz jeszcze ocaliły go przed upadkiem.

Dotarł w końcu do zaklinowanej kotwiczki, wyszarpnął ją i wbił w wyższą półkę skalną. Sprawdził linkę i ruszył dalej. Nagle poczuł, że kotwiczka się oblużowała. Musiał znaleźć jakąś podporę, ale lód przypominał tu plaster miodu, tak był podziurawiony przez deszcz.

Podpora zawiodła, kotwiczka odskoczyła, a on raptownie osunął się ze zbocza. Skała w tym miejscu była nachylona, więc mógł stanąć; nie było się jednak czego uchwycić: czuł pod palcami kępki trawy czy innego zielska, albo lodową powłokę. Mimo to wytrwał na tej pochyłości, a ruchy jego ciała znaczyły na nieskalanym śniegu faliste linie, podobne do śladu sanek.

Odbijając się od ściany, szukał punktów oparcia, ale nie znalazł nic wystarczająco solidnego, co uchroniłoby go przed upadkiem. Wiedział, że wkrótce polecą w pełne mgły powietrze i spadnie w przepaść.

Kiedy nadeszła ta chwila i pożegłował w przestrzeń, paniczny strach złączył się z dziwną błogością. Lekki jak piórko, poddał się mocy, która ciągnęła go w dół.

Chwilę później uderzył z całej siły o skalną półkę.

- Czeka cię długa droga do Glen Shee, Catriono. Może nie zdążysz do domu przed nawałnicą - persadowała Morag MacLeod, zarzucając na głowę kraciasty szal, który otulał jej pulchne ramiona. Nie chciała, by gęste siwe włosy ucierpiały od lodowatej mżawki. Odwróciła się tyłem do górskiego zbocza i spojrzała na leżącą głęboko w dole, spowitą mgłą

dolinę. - Możesz przenocować w naszym domku i przeczekać złą pogodę. Mój mąż tak jak ja zawsze się cieszy z twoich odwiedzin.

- Serdeczne dzięki, Morag, ale mały deszczyk nie wyrządzi mi żadnej krzywdy. - Catriona wzruszyła ramionami i również naciągnęła kraciasty szal na głowę. - Ojciec i brat czekają na mnie z kolacją. Muszę się spieszyć!

- A niechby ta stara wiedźma, twoja ciotka, choć raz się o nich zatroszczyła! Zresztą, kucharka powinna jeszcze być na plebanii... Chyba że wyszła wcześniej ze względu na złą pogodę. Ty się zaharowujesz w tym wielkim domu. Siostra naszego proboszcza traktuje cię jak niewolnicę, Catriono Mhór. Nie powinnaś na to pozwalać tej jędzy. „Przydatna brzydula”... też coś! - Morag pokręciła głową. - To przewisko wcale do ciebie nie pasuje! Dla dobra rodziny wyrzekasz się własnego szczęścia... A poza tym wcale nie jesteś brzydka!

- Wystarczająco brzydka - odparła Catriona, przekładając z ręki do ręki ciężki koszyk. Odbyła z Morag MacLeod cotygodniowy spacer po okolicy, odbierając od góralek pończochy robione na drutach, rękawice i pledy dla żołnierzy ze szkockich regimentów. - Kto by mnie chciał za żonę? Wysokie toto jak chłop, a takie rude, że dom by się jeszcze zapalił! Staram się jak najlepiej gospodarować na plebanii, choć to samotne życie - przyznała. - Ale nie czekam z utęsknieniem, żeby mi się ktoś oświadczył, bo mu potrzebne popychle w domu. Ojcu i bratu usłużę z całego serca. A ciotka Judith nie mieszkała zawsze na plebanii. Dopiero gdy owdowiała, przybyła do nas na dłużej.

- I siedzi wam na karku. Coś mi się zdaje, że chce tu zostać na dobre. Nie obchodzi ją, czy jesteś z tego rada, czy nie. Z pewnością pierwsza wyskoczy z pretensjami, żeś się spóźniła - burczała Morag. - No to lepiej się pospiesz, żeby zdążyć przed burzą. Po mojemu w tych chmurzyskach jest coś więcej niż deszcz. Moje stare kości dają się we znaki, więc kto wie, czy w nocy nie spadnie śnieg! - Towarzysząca Catrionie starsza kobieta otuliła się wytartym szalem. - No, zaśpiewaj to, czego cię dziś nauczyłam. Dobrze pamiętasz?

Catriona podniosła głowę. Poczowała na twarzy zimną mgłę i siąpiący deszcz. Urzekająca melodia od razu zapadła jej w pamięć, ale dziewczyna z pewnym trudem przypominała sobie słowa. Była to historia zaginionego kochanka, który powraca z morskiej wyprawy.

- *Oh-ho-ri-ri-o* - zawtórowała Morag przy refrenie. - *Oh-ho-ri*. - Klaskała w ręce, wybijając rytm. Jej silny, nieco szorstki głos splatał się z wyższym głosem Catriony w harmonijną całość. - Dobrze - oceniła Morag. - I to zapiszesz tymi dziwnymi znaczkami, których cię nauczyli w Edynburgu?

- Nutami? Oczywiście! Spisałam wszystkie pieśni, które zbieram od lat. Jest ich teraz ze sto trzydzieści. Mam nadzieję, że to spodoba się Florze MacLeod. Wspomniałaś już matce Florze, że chcę się z nią spotkać i nauczyć kilku pieśni?

- A jakże, powiedziałam - mruknęła Morag. - Stara wariatka!

Zaskoczona Catriona roześmiała się mimo woli.

- Przecież to twoja babka!

- E tam! Nie z krwi, tylko z nazwiska. To babka mojego męża. Powiada, że już jej stuknęła setka, aleja nie wierzę. Ona gada, co jej ślina na język przyniesie. Myślę, że naprawdę pomieszało się jej w głowie: nic tylko bajdurzy, jak to w młodości spotykała się z wrózkami i od nich nauczyła się wielu pieśni.

- Prawda czy nie, ta staruszka to prawdziwy cud. Ma w głowie więcej pieśni niż ty czyja mogłybyśmy spamiętać. Moja matka uczyła się od niej, kiedy byłam jeszcze mała. Teraz sama chciałabym czegoś się od niej nauczyć. Zebrałam wiele gaelickich pieśni; wyciągałam je od każdego, kto zgodził się zaśpiewać dla mnie. Wiele najśliczniejszych dostałam od ciebie, oczywiście! - dodała Catriona, spoglądając na przyjaciółkę.

- Przekazałam ci wszystko, co umiem. - Morag wzruszyła ramionami.

- Matka Flora zna wiele rzadkich starych pieśni, które przepadną razem z nią. Dobrze

robisz, Catriono MacConn, ratując od zapomnienia stare pieśni!

- Moja matka zaczęła od zbierania okolicznych przyśpiewek, ale zmarła, zanim ukończyła dzieło. Podjęłam je przez pamięć dla niej i z szacunku dla piękna, któremu grozi zapomnienie.

Morag skinęła głową.

- Wkrótce się wybierzemy do Flory. Od lat usiłujemy ją namówić, by przeniosła się do nas, ale zawsze odmawia. Więc zanosimy jej, co potrzeba, i często ją odwiedzamy. A ona stale posyła nas do diabła i grozi, że rzuci na nas urok. Zwłaszcza na mnie. - Prychnęła pogardliwie.

- No to pewnie nie zechce śpiewać.

- Powiedziała, że pamięta twoją matkę, ale tobie niczego nie obiecywała. Twoim głosem zachwyciłyby się nawet dobre wróżki, więc spodoba się i matce Florze. Tej starej kozie! - wymamrotała Morag.

- Dzisiaj w ogóle byśmy tam nie doszły. - Catriona zmrużyła oczy i spojrzała na gęstą mgłę wokół szczytów. - Chmury pociemniały. Pada deszcz ze śniegiem.

Morag spojrzała w górę.

- Coś mi mówi, że powinnaś zostać u nas na noc. No, chodźże! Do mojego domu jest niedaleko. I nie będziesz musiała przechodzić przez most wrózek; to nie takie łatwe, kiedy kamienie zmokną i są śliskie.

- Nic mi nie będzie, moja kochana. Lubię chodzić po górach, a deszczu się nie boję. A co do mostu, wiesz przecież, że my dwie zawsze skaczemy po nim jak kozy! - Znów roześmiana Catriona uściskała mocno przyjaciółkę. Poprawiła jej na głowie stary szal po macierzyńsku, chociaż Morag była już po siedemdziesiątce.

- Pozwól przynajmniej, że wezmę koszyk - poprosiła Morag. - Cała ta robota na drutach, którą zebrałyśmy od sąsiadek, zamoknie, zanim dotrzesz do Glen Shee! - Wyjęła Catrionie z ręki wypchany koszyk. - Spotkamy się we środę przy moście i pójdziemy z wizytą do matki Flory. A tak przy okazji... Czy twój brat ma dla mnie dobre wieści? - Uniosła znacząco brwi.

- O twoich krewnych, którzy opuścili dolinę? - Catriona potrząsnęła głową. - Nie wiem, Morag. Próbował ich odnaleźć, nawet pojechał do Glasgow, by o nich popytać... Ale do tej pory nic. Powiedziałaś matce Florze, że mój brat zaczął poszukiwania?

- Jeszcze nie. Dziesięć lat to kawał czasu, a niektórzy wyjechali daleko. No cóż, trzeba czekać i mieć nadzieję. Może Finlay otrzymał dobre wieści i o naszej rodzinie? Wiem, że niedawno przywiózł kilku MacGillechallumów do ich dawnego domu na zboczu Beinn Alligin - dodała szeptem, jakby pobliskie wzgórza mogły je podsłuchiwać. - Angus Gillechallum był daleko, pilnował owiec, jak się umówili z twoim bratem. No i nikt nie ma pojęcia, co się stało, oprócz nas, a my nie puścimy pary z ust.

Na razie, póki nowy hrabia trzyma się z dala od Glen Shee, Finlay może spokojnie przywieźć kogo tylko zechce, do pomocy w gospodarstwie. Tak się cieszę, że został rządcą Kildonana! - odparła Catriona. - Będzie dbał i o ziemię, i o ludzi.

- A nowy hrabia o niczym się nie dowie - dodała Morag. - Co go to zresztą obchodzi? Wzbogaci się tylko i utuczy na wełnie Kildonanów. Choć wcale go nie ciekawi, ile z tym roboty!

- Tym lepiej. Mamy wolną rękę.

- Prawda! A teraz biegnij, Catriono Mhór. Niech te twoje smukłe nogi zaniósą cię szczęśliwie do domu.

Morag pomachała ręką, potem zawróciła i szybkim krokiem pomaszzerowała wąską dróżką, która prowadziła na drugą stronę wzgórza.

Catriona także ruszyła w drogę. Był to pasterski trakt, wiodący w dół wśród starych sosen, które mocno wczepiły się w ziemię i wytrzymały na stromym górskim stoku. Szeroka

droga była nierówna i zarośnięta zielskiem, bo nie przepędzono już tędy stad. Widywała jednak sporo owiec i dzikich kóz, jak pasły się nawet podczas burzy. Catriona przeskakiwała zwinnie przez zwalone drzewa i szybko schodziła w dół.

Wysoko nad jej głową gromadziły się ciężkie czarne chmury, zbiegały się tłumnie nad szczytami gór. Deszcz był coraz zimniejszy, a po nim posypał się siekający grad.

Może jednak należało skorzystać z zaproszenia Morag?, dumiała. Droga była istotnie śliska, dziewczyna postanowiła więc ominąć stary kamienny most. Obrała dłuższą, lecz bezpieczniejszą drogę. Ale przy takiej pogodzie nigdzie nie było bezpiecznie, zwłaszcza jeśli deszcz ze śniegiem zacznie zamarzać. Do Glenachan House, czyli na plebanię ojca, było dobrych kilka kilometrów, bez względu na to, jaką drogą.

Catriona naciągnęła kraciasty pled na głowę i przyspieszyła kroku.

Evan otworzył oczy, poruszył się ostrożnie i stwierdził, że wylądował na skalnym występie. Omszała półka była pokryta mokrym śniegiem. Evanowi brakowało tchu, z powodu mgły prawie nic nie widział, a głowa okropnie go bolała. Rozejrzał się dokoła.

Wysoko ponad nim wznosiła się ściana gnejsu. Zdołał dostrzec ślad swojego spadania po śnieżnej pochyłości. Ześlizgiwał się długo, lecz lądowanie nie było groźne. Uderzył się w głowę, ale nie doznał żadnych poważniejszych obrażeń. Plecak miał nadal przytroczony do ramion, linka uwiązana była w pasie. Tylko toporek przepadł.

Pozostawało mu jedno: stanąć na nogi i ruszyć na piechotę. Stąd zdoła dotrzeć do pasterskiego szlaku, który przebiegał w pobliżu i dalej do doliny. Postępując, sprawdził, czy ma sprawne nogi. Odwiązał linkę z kotwiczką i wetknął do plecaka, po czym na czworakach sunął wzdłuż krawędzi półki, aż dotarł do szerokiego traktu na górskim zboczu, który skręcał potem w bardziej skaliste, wyższe rejony.

Porośnięta wrzosem przestrzeń była zasypana kamieniami i głazami, a mgła tak gęsta, że nie widział drogi. Bolał go każdy mięsień i miał kłopoty z utrzymaniem równowagi, ale ostrożnie wstał, wyprostował się i ruszył przed siebie.

O dziwo, zza zasłony wciąż padającego mokrego śniegu i mgły, dotarł do niego śpiew. Słyszał już kiedyś ten głos, czarodziejski i słodki jak miód. I tym razem, tak jak poprzednio, przeniknął do serca Evana. Nagle przypomniała mu się dziewczyna o miedzianozłoty włosach. Stała na zboczu w pełnym blasku słońca i śpiewała urzekająco.

Kimkolwiek była: widmem czy kobietą z krwi i kości, stała się dla Evana busolą wśród mgły, celem wędrówki, symbolem bezpieczeństwa. Musiał ją odnaleźć! Potykając się na oblodzonej trawie, dążył tam, skąd rozlegał się głos.

Zawrót głowy i stromizna zbocza tak go otumanily, że Evan nie wiedział nawet, czy się porusza, czy stoi w miejscu. Nagle poczuł, że pada, i osunął się na kolana. W chwilę później uderzył głową o torfową ziemię, porośniętą wrzosem.

Drżąc z zimna, Catriona nadal ćwiczyła pieśń, której nauczyła ją Morag. Zaciśnęła mocno ręce w mitenkach, by je nieco ogrzać, bo temperatura szybko spadała. Po deszczu ze śniegiem pozostała cienka powłoka lodu na skałach i trawie, więc dziewczyna poruszała się ostrożnie. Gdyby upadła tutaj, na odludnej górskiej ścieżce, mogło minąć dobrych kilka dni, nimby ją odnaleźli.

Podniosła wzrok na skalne urwisko tuż obok ścieżki. Większość górskiego masywu tonęła we mgle. Zbocze, po którym się wspinała, i tak wysokie, stanowiło jednak zaledwie podnóże prastarej góry. Ponad nim skalne granie i ściany strzelały w górę, ku pokrytym śniegiem szczytom, niewidocznym teraz we mgle. Wokół turni i pieczar osnuło się mnóstwo legend, niczym barwnych nici z gobelinu. Tu rodziły się baśnie i pieśni, które towarzyszyły Catrionie przez całe życie.

Znów zaczęła dygotać. Mocniej naciągnęła wełniany kraciasty szal na głowę. Miedziany warkocz przerzuciła przez ramię. Przepowiednie Morag mogą się sprawdzić, myślała. Pewnie zaraz sypnie śnieg. Wiatr ostro zacina.

Stary pasterski trakt biegł po pochyłości wzgórza, zmierzając ku dolinie Glen Shee i plebanii ojca w Glenachan. Pokryta lodem droga była zdradliwa i groziła upadkiem. Catriona musiała posuwać się bardzo ostrożnie.

Pieśń o zaginionym kochanku całkiem ją pochłonęła; chciała wiernie oddać wzruszającą melodię i nauczyć się bezbłędnie wszystkich (licznych!) zwrotek. Gdy znajdzie się już w domu, ogrzeje i podeschnie, zapisze starannie każdą nutę nowej pieśni. Zanotuje też jej słowa po gaelicku i angielsku. Postępowała w ten sposób z każdą nowo poznaną pieśnią. A zdobyła ich już wiele. Na szczęście, kartki, na których spisała nuty tej i kilku innych piosenek, były schowane bezpiecznie w jej kieszeni.

Ściemniało się coraz bardziej, ale Catriona знаła drogę na pamięć. Była rada z długiego kraciastego szala, który otulał ją od głowy po kostki, i z wielu warstw ciepłego odzienia: zielonego żakietu i spódnicy, flanelowych halek i wełnianych pończoch. Dobrze się również stało, że jej brat Finlay po prostu się uparł, by nabić świeczkami podeszwy jej butów; dzięki temu mniej się potykała i stąpała o wiele pewniej.

Miała nadzieję, że Finlay zostanie dziś na noc w domu, zamiast pojechać do Inverness, jak zaplanował. Od prawie dwóch lat poświęcał wiele czasu na odnajdywanie górali wypędzonych z Glen Shee i osadzanie ich z powrotem w dawnych zagrodach. Zatrudniał do prac polowych tylu, ilu tylko mógł. Ci ludzie rwali się do każdego zajęcia, choćby do pasania owiec, których całe mnóstwo błąkało się po zboczach górskich lub pasło na polach i łąkach w dolinie. Owce były własnością nowego hrabiego Kildonana, ale on nawet się nie pokazał w Glen Shee, choć od śmierci ojca upłynęło dobrych kilka miesięcy. Finlay właściwie sam zarządzał całym majątkiem i coraz śmiej podejmował niezbędne decyzje. Catriona nieraz zastanawiała się, czy głęboki, skrywany ból po stracie starszego brata Donalda nie popchnął Finlaya do podejmowania tego ryzyka. Donald kochał tę dolinę i jej mieszkańców; gdyby nie zginął, z pewnością tak jak Finlay byłby gotów na wszystko, byle im pomóc.

Catriona obawiała się, że pewnego dnia lord Kildonan wróci do Glen Shee i zażąda wyjaśnień od swojego rządcy. Czemuż to pasą i strzygą jego owce górale, których stary hrabia stąd wypędził? Jeśli... nie, kiedy to nastąpi, jedyna nadzieja w tym, że młody dziedzic okaże się bogaczem, a wełna przyniesie tak duże zyski, iż będzie mu wszystko jedno, czy w majątku pracują Szkoci, Anglicy, a choćby i wróżki! Poprzedni hrabia przez ostatnie dwa lata życia zupełnie się nie interesował tym, co się dzieje w posiadłości, byle przynosiła odpowiednie dochody. Oby syn miał takie samo podejście. Pozwoliłoby to Finlayowi na udzielanie pomocy wypędzonym z Glen Shee.

Catriona wiedziała jednak, że bratu grozi więzienie lub wygnanie, gdyby nowy hrabia odkrył, czym się zajmuje rządcą i nie przypadłoby to mu do gustu. Zanim jednak do tego dojdzie, Finlay powinien wystrzegać się niepotrzebnego ryzyka. Niech sprowadzi do doliny tylko tylu wygnańców, ilu się naprawdę przyda w gospodarstwie. I ilu Glen Shee zdoła wyżywić.

Zatopiona w myślach, otoczona coraz gęściejszą białą mgłą, nie spostrzegła, że coś leży przed nią na drodze. Potknęła się, spojrzała pod nogi i dech jej zaparło.

Na drodze leżał mężczyzna, twarzą do ziemi, bez ruchu, z rozrzuconymi rękoma. Potknęła się o jedno z okrytych kraciastym tweedem ramion. Reszta postaci była prawie niewidoczna zza sterty dużych kamieni.

Catriona przyklękła obok nieznajomego. Wyciągnęła rękę, ale natychmiast cofnęła. Może to już trup...? Gdy leżący poruszył palcami, odetchnęła z ulgą i dotknęła jego ramienia.

-*Ach Dhia!* - mruknęła pod nosem. - Dobry Boże!... Proszę pana! Niech pan wstanie... albo się odezwie!... - Potrząsnęła nim lekko, ale się nie ocknął.

2

Był ciemnowłosa, bez kapelusza. Wysoki, długonogi. Catriona dostrzegła tylko profil twarzy - wyraźnie zarysowany, męski. Nieznajomy miał chyba koło trzydziestki. Dziewczyna

zauważyła również, że był porządnie ubrany: marynarka i spodnie z dobrego, grubego tweedu, rękawiczki z gładkiej brązowej skóry. Mocne buty na grubych podszewkach, nabijanych ćwiekami. A zatem lubił chodzić po górach, może nawet zdobywać szczyty? Na szyi miał szal robiony na drutach, na plecach płócienny plecak z jednym paskiem, który przecinał na ukos klatkę piersiową.

Pewnie był jednym z niedoświadczonych wędrowników, których niekiedy widywano w tych stronach; chcieli sprawdzić się na górskim zboczu. Niewątpliwie miał kompanów, którzy zatroszczą się o niego.

Catriona rozejrzała się dokoła, ale nikogo nie zobaczyła. Nic dziwnego: padał gęsty śnieg z deszczem. Nie usłyszała również żadnego nawoływania. Słychać było tylko bębnienie deszczu o skały i zawrodożenie lodowatego wichru.

Pochyliła się nad nieznajomym. Wyczuła jego rytmiczny oddech. Ostrożnie odgarnęła mężczyźnie włosy - prawie czarne, jedwabiste, zimne i mokre. Na czole z jednej strony widniała ciemna plama krwi.

Catriona dostrzegła niewielkie skaleczenie i potężnego guza. Westchnęła ze współczuciem. Podciągnęła mu szal nieco wyżej, by lepiej go ogrzewał, i zaczęła się zastanawiać, co dalej robić. Byli zupełnie sami na zboczu. Ani żywej duszy, a mężczyzna leżał bez sił. Był wysoki i muskularny, a ona - choć również wysoka i krzepka - nie mogłaby go wystarczająco podeprzeć, by po oblodzonym zboczu dotarł do doliny.

Najbliżej położonym domostwem była plebania w Glenachan, ale gdyby Catriona w taką pogodę wyruszyła tam po pomoc, marsz w obie strony zająłby zbyt wiele czasu. Nie mogła zresztą pozostawić tego człowieka, by cierpiał samotnie albo umarł z powodu obrażeń lub zamarzł. W dodatku nie miała pojęcia, jak długo już tu leżał bez przytomności.

Dotknęła jego policzka i wsunęła palce pod szalik i kołnierz, by wyczuć puls. Skórę miał zimną i mimo ciemnej szczecinki zarostu widać było, że jest blady. Musiała mu pomóc. A zresztą, przy tak okropnej pogodzie oboje potrzebowali schronienia.

Położyła rękę na miękkich, ciemnych włosach i zbierała myśli. Przed laty jej najstarszy brat Donald runął w przepaść podczas wyprawy na ten właśnie szczyt: Beinn Sitcheach - Góra Wrózek. Wtedy również pogoda nagle się zmieniła, temperatura spadła, pojawił się lód.

Donald samotnie wyruszył na wspinaczkę, więc nie miał żadnej pomocy. Umierał samotnie od obrażeń, które w innych warunkach nie byłyby śmiertelne. Zanim ojciec i Finlay po długich poszukiwaniach znaleźli go wreszcie, Donald już nie żył. Ojciec również mocno się poturbował podczas upadku w tym strasliwym, tragicznym dniu.

Catriona sama przeżyła podobną tragedię, nie mogła zatem teraz zostawić tego człowieka - bez względu na to, kim był, i jak trudno mu pomóc. Jeśli zostanie przy nim, może zdoła go uratować. Ale groziła mu śmierć, gdyby zostawiła go samego, by szukać pomocy. Musi więc w jakiś sposób zapewnić mu schronienie i bezpieczeństwo.

Przypomniała jej się nagle waląca się chata owczarzy, położona nieco niżej na zboczu. Catriona zrozumiała, że musi zabrać nieznajomego właśnie tam. Zdjęła i odstawiła plecak na bok. Potem wstała i ujęła mężczyznę pod pachy.

Wiedziała, że zdoła go zaciągnąć do tej chaty. Tak też zrobiła, powoli i ostrożnie.

Zwieszona głowa nieznajomego obijała się o jej biodro, a ciężar jego ciała (choć nie nadmierny w stosunku do wzrostu) omal jej nie powalił na kolana. Posuwała się jednak dalej z rozpaczliwą determinacją.

Wicher atakował, zdzierał z niej szal, smagał po policzkach. Płatki śniegu, lodowaciejąc w powietrzu, padały na jej twarz i na bezwładne ciało, które taszczyła. Raz się potknęła i upadła boleśnie na kolano, ale uchroniła kolebiącą się głowę nieznajomego od zderzenia z twardą ziemią.

Pozwoliła sobie na chwilę odpoczynku, ale zaraz się podniosła, ciężko dysząc. Zebrała

resztę sił i dociągnęła mężczyznę do celu.

Niewielka chatka z kamienia znajdowała się w odległości trzydziestu metrów od ścieżki wiodącej na torfowisko, w cieniu wznoszącego się nad nią wzgórza. Catriona ciężko stąpała po świeżym śniegu.

Wzniesiona z kamienia i pokryta strzechą chata była od dawna pusta. Niegdyś pasterze korzystali z niej w lecie, gdy prowadzili stada na wyżej położone pastwiska. Pozostała tylko smętna ruina, ale dawała schronienie przed wiatrem, deszczem i śniegiem.

Catriona wciągnęła nieprzytomnego mężczyznę do środka. Dostrzegła natychmiast, że część dachu załamała się i runęła do wewnątrz: jeden z kątów izby był zavalony strzępami zmurszałej strzechy i kawałkami połamanych krokwi. Zimny wichur i deszcz ze śniegiem wpadały do niewielkiej izby, wilgotnej i mrocznej.

Dziewczyna coraz dotkliwiej odczuwała zmęczenie i napięcie. Resztkami sił zaciągnęła nieznajomego do zimnego, pustego kominka i ułożyła go na ubitej ziemi. Zdjęła kraciasty pled i otuliła nim mężczyznę, a ze swojego cieńszego i delikatniejszego szala zrobiła mu podgłówek. Otworzył na chwilę oczy. Zatrzepotały gęste rzęsy, niemal czarne na tle bezkrwistych policzków. Wymamrotał coś niezrozumiałego. Zanim powieki znów opadły, Catriona ujrzała niezwykle, ni to zielone, ni piwne oczy.

Bez okrycia wyszła znowu na dwór, by nabrać czystego śniegu w chustkę. Cała drżała z przenikliwego zimna. Gdy wróciła do chaty, uklękła obok nieznajomego i położyła mu zimny okład w miejscu, skąd nadal sączyła się krew.

Kiedy Catriona ostrożnie ocierała nieznajomemu czoło, jego powieki znów się uniosły. Nie odzyskał jednak przytomności. Zaczęła rozcierać muskularne nagie ręce swoimi dłońmi w mitenkach, choć sama dygotała z zimna.

Rozejrzała się dokoła. Palenisko było prymitywne, ale zapas starego torfu - o ile nie zawilgotniał - stanowił znakomity opał. Podeszła do kominka i umieściła na palenisku kilka kruszących się już brykietów. Na szczęście znalazła na półce krzemień i krzesiwo. Szybko wzięta się do rozniecania ognia. Nie bez trudu wreszcie wykrzesła iskrę, a po kilku niezbyt udanych próbach torf zaczął dymić. W końcu ukazały się języki ognia. Catriona odsunęła się i przyglądała, jak ogień rozpala się coraz bardziej, a blask oświetla leżącego obok na podłodze mężczyznę.

Przez chwilę wpatrywała się w jego twarz. Przystojny, silny i - mimo rany - zdrowy. Nie znała go, choć twarz wydawała się dziwnie znajoma.

Wyciągnęła zmarznięte ręce w stronę kominka i ponownie rozejrzała się dokoła. Robiło się coraz ciemniej, a w chacie owczarzy zapadał wyjątkowo głęboki mrok. Jedyne jaśniejszą plamką był skromny ogień na kominku. Ale i on dawał niewiele ciepła. Kilka kroków dalej od paleniska można było zamarznąć. Catriona wyraźnie słyszała, jak lodowaty deszcz bębni o ściany chatki. Przez dziurę w dachu ciągle wpadał śnieg z deszczem.

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Zrozumiała, że teraz nie może odejść. Nie zostawi nieprzytomnego człowieka. Zresztą pewnie i tak by nie dotarła do Glen Shee w tak gęstych ciemnościach i w przenikliwym zimnie. Spojrzała na interesującą twarz nieznajomego i zadała sobie w duchu pytanie: czy oboje zdołają przeżyć tę noc, pełną niebezpieczeństw.

Zanim jednak będzie się o to martwić, musi opatrzeć poszkodowanego. Nie wiedziała, czy nie odniósł innych obrażeń poza raną i siniakiem na głowie.

Zdjęła mitenki i ostrożnie obmacała potężne barki i muskularne ramiona; potem dotknęła klatki piersiowej, okrytej białą płócienną koszulą, brązową wełnianą kamizelką i oczywiście, zapiętą na wszystkie guziki marynarką. Wierzchnie ubranie było z dobrego tweedu w różnych odcieniach brązu i beżu. Takie zestawienie barw podkreślało piękno gładkiej, lekko opalonej twarzy. Delikatne zmarszczki wokół oczu zdradzały, że mężczyzna lubi przebywać na świeżym powietrzu. Sprężyste, silne ciało wyglądało atletycznie.

Barki szerokie, nieco kanciaste, tors mocny, sylwetka smukła. Choć Catriona

początkowo wahała się, doszła jednak do wniosku, że powinna dokładnie obejrzeć wędrowca. Obawiała się, że nieznajomy może mieć jeszcze inne obrażenia. Dodało jej to śmiałości. Obmacała pierś i płaski brzuch, potem wąskie biodra i długie, muskularne nogi. Jej ręce wślizgnęły się pod plecy, a następnie przesunęły się po nogach i sprawdziły, jak poruszają się stopy w podkutych butach. Poczwała ulgę, gdy się przekonała, że nieszczęśnik nie ma połamanych kości ani innych widocznych ran. Odkryła też ze zdumieniem, że dotykanie szczupłego, pięknego ciała sprawia jej przyjemność. Zawstydzona spłonęła rumieńcem.

Był tak piękny, postawny i męski, że Catrionę poniosła wyobraźnia. Ujrzała siebie w jego objęciach, bezpieczną za żywym murem twardego, potężnego ciała. Zaszokowana swoimi nieprzystojnymi, natarczywymi myślami odsunęła się od nieznajomego i przyglądała się jego twarzy, czy nie ujrzy na niej bólu lub zakłopotania.

Włosy miał ciemnobrązowe, ale brwi, gęste rzęsy, a nawet niewielka szczecinka zarostu były czarne. Dotknęła mocnej kwadratowej szczęki; ledwie widoczny zarost łaskotał. Czubkiem palca obwiodła kontur kształtnych ust. Wargi były miękkie i chłodne, oddech słaby, lecz równy.

Powieki znów zatrzepotały, błysnęły spod nich tęczówki zielone niczym mech i brunatne - stonowane jak kojące barwy lasu. Catriona cofnęła rękę, a on znów zamknął oczy. Oddech stał się lżejszy, wdechy i wydechy długie i powolne... Domyśliła się, że zasnął.

Podciągnęła mu pled pod brodę i raz jeszcze obejrzała całą izbę w jasnym, migotliwym blasku ognia. W ciemnym kącie dostrzegła zniszczoną ławę, na półce kilka bardzo użytecznych przedmiotów: niewielki żelazny kociołek, miska, cęgi i pogrzebacz.

Wstała i zdjęła kociołek; przypomniała sobie, że ma pakiecik owsa w kieszeni spódnicy. Nabrała zwyczaju chowania ziarna dawno temu, gdy całymi godzinami spacerowała po wzgórzach. Ciekawe, czy nieznajomy też zabrał ze sobą coś do jedzenia? Spojrzała na jego plecak.

Jeśli mają tu spędzić długą, mroczną, zimną noc, będzie im potrzebne nie tylko ciepło, ale i pożywienie.

Blask ognia, ciepło, czyjeś czułe ręce... Znał już ich łagodny dotyk i rozkoszował się pieśczołą i ulgą, jaką mu niosły, gdy leżał bez sił. Nie wiedział, od jak dawna tu jest, gdzie jest, kto się nim opiekuje. Był jednak szczerze rad, że żyje, i gorąco wdzięczny za troskę.

Dobre ręce odfrunęły, musnąwszy znów jego czoło. Odwrócona do niego plecami kobieta zaczęła śpiewać nieco gardłowym głosem, z charakterystycznym gaelickim zaśpiewem. Niewiele z tego rozumiał, bo znał zaledwie kilka słów, ale melodia działała kojąco.

Evan otworzył oczy i obserwował dziewczynę. Mieszała drewnianą łyżką w żelaznym kociołku, ustawionym na kamieniach nad ogniem. Lśniące, kręcone włosy otaczały jej głowę miedzianą aureolą. Odgarnęła je do tyłu i splotła w warkocz. Nie patrzyła na niego, mieszała w naczyniu, nucąc cichutko. Ogień rzucał na nią czerwonozłoty blask.

Uznał, że jest młodsza od niego, ma nie więcej niż dwadzieścia lat. Była wysoka i długonoga, ubrana w zieloną jak mech suknię. Kształty ciała miała niemal idealne: talia jak u osy, pełny biust i krągłe biodra. Mimo wyczerpania ciało Evana zareagowało na te kobiece powaby. Odwrócił wzrok, by nie gapić się z jawnym pożądaniem na swoją prześliczną wybawicielkę.

Rozejrzał się dokoła. Znajdowali się w kamiennej chacie. Zbudowano ją byle jak, a teraz wyraźnie się waliła. Przez szczeliny w ścianach wpadało do środka mroźne powietrze. Część dachu załamała się i w kącie izby leżały smutne resztki stropu. Gdyby Evan nie wiedział, że to niemożliwe, pomyślałby, że przeniósł się do średniowiecza lub wylądował w książce z bajkami: piękna młoda czarownica warzy w kotle magiczny napój, a półgłosem śpiewana pieśń unosi się wraz z dymem ogniska.

Przypomniał sobie (niezbyt wyraźnie), że wybrał się na wspinaczkę i spadł. Samego

upadku nie pamiętał. Pozostały tylko strzępy wspomnień. Postanowił więc sprawdzić, co jeszcze pamięta, a o czym zapomniał. Nazywa się Evan Mackenzie. Ostatnio zamieszkiwał na Nizinie Szkockiej, choć urodził się w Szkockich Górach. Wicehrabia Glendevon, a od niedawna hrabia Kildonan. Od śmierci ojca minęło siedem miesięcy.

Doskonale!, pomyślał. Przynajmniej mózg nieuszkodzony.

Dziewczyna przestała śpiewać i podeszła do niego. Spoglądał na delikatny owal i przyjemne rysy twarzy otoczonej cudowną aureolą ognistych włosów. Połyskiwały miedzią i brązem. Oczy miała wielkie, niebieskoszare. Na jasnej, niemal przezroczystej skórze złociło się kilka piegów. Dziewczyna odznaczała się ujmującą świeżością, uroczą prostotą i wypisaną na twarzy uczuciowością.

Miała dobre maniery i łagodny głos. Evan zapragnął, by znowu coś zaśpiewała, bo jej pieśni były niezwykle kojące.

Śpiewała, ale chyba nie próbowała z nim rozmawiać? Tak mu się przynajmniej wydawało. Był jej wdzięczny za to, że nie paplała i nie usiłowała go podnosić na duchu wymuszoną wesołością.

Teraz też milczała. Po chwili zerknęła na niego bystrymi niebieskimi oczyma. Uśmiechnęła się nieśmiało i znów odwróciła do kociołka. Emanujący z niej spokój udzielił się i jemu. Odetchnął głęboko, poczuł się raźniej. Rozejrzał się po izbie.

Zmienił nieco pozycję, dotknął ręką głowy i wymacał opatrunek, a pod nim bolące miejsce. Prawdę mówiąc, był obolały od stóp do głów. Nie cierpiał jednak niewygody w tym ciepłym gniazdku, a raczej pod ciepłym pledem, którym został owinięty.

Nieznajoma znów odwróciła się i uśmiechnęła, nie wypuszczając drewnianej łyżki z ręki odzianej w mitenkę. Nagle twarz jej się rozjaśniła łobuzerskim uśmiechem. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak jedna z wielu dorodnych Szkotek. Ale jej włosy były niezwykle, a gdy się znów uśmiechnęła, wydała się Evanowi zdumiewająco piękna.

Zwróciła się do niego po gaelicku, ale gdy wpatrywał się w nią bez słowa, powtórzyła to samo po angielsku.

- Ocknął się pan? Znakomicie!

Nadal się w nią wpatrywał, wyczerpany i oszołomiony. Jak przez mgłę przypominał sobie przerażający upadek i bolesne uderzenie o skałę. Pamiętał również, jak czołgał się w poszukiwaniu schronienia. Padał deszcz ze śniegiem, wszędzie było ślisko, wiatr wiał nieubłaganie.

Jednak nie miał zielonego pojęcia, jakim cudem dotarł aż tu i znalazł się sam na sam z tą Szkotką. Nie odrywając od niej oczu, zamrugał nagle i przytaknął.

Podniosła głowę.

- *Parlez-vous francais?* - spytała. - *Capisco l'italiano, abbastanza bene... Sprechen sie Teutsch?*

Zaskoczyła go całkowicie. Jego szkocki anioł znał kilka języków! Evan znów zamrugał zbity z tropu.

- Za wiele tego dobrego na moją skołataną głowę, panienko - wymamrotał. - Angielski wystarczy. Spadłem chyba w przepaść... Aż dziw, że żyję. - Przesunął rękę po opatrunku.

- A, więc jest pan jednym z angielskich nieroztropnych zdobywców gór?

Mówiła bezbłędnie, ale z lekkim zaśpiewem, charakterystycznym dla Szkotów, którzy nauczyli się angielskiego w szkole.

- Owszem, wspinam się po górach, ale jestem Szkotem.

- Doprawdy? Mówi pan jak rodowity Anglik.

- Byłem w Eton - wyjaśnił.

Skinęła głową ze zrozumieniem, po czym zaczerpnęła łyżką z kotła, podmuchała na jej zawartość i dała Evanowi do spróbowania.

Przełknął i przymknął oczy na znak aprobaty dla gorącej owsianki. Wyczuł zdrową

domieszkę whisky w zawieszistej zupie. Trunek przeleciał mu przez gardło jak łyk ognia.

Dziewczyna znowu się odwróciła, on zaś kontynuował oględziny. Mroczna izdebka była zawilgocona i dosłownie rozpadała się. Czuł zapach zmurszałych kamieni, ziemi, słodkawą woń torfu. A także chłodu, wiatru i śniegu, jeśli istotnie pachniały.

Z paskudnej dziury w dachu zwisały sople lodu, ale dzięki niej mieli widok na czarowne nocne niebo i tańczące w powietrzu niezliczone płatki śniegu. Śnieg padał też do wnętrza chaty i osłaniał białą kołderką paskudne rumowisko pod zapadniętym dachem. Płonący na kominie ogień dawał nieco ciepła, ale mimo to w chacie pełnej dziur i otwartej na działanie żywiołów, było zimno jak w lodowni.

Dziewczynie widać dokuczało zimno, bo przeszył ją dreszcz. Mitenki i suknia nie chroniły przed wichrem, mrozem i śniegiem. Choć pod zieloną spódnicą miała kilka halek, a żakiet z wysoką stójką szczelnie opinał pełne piersi, wszystkie te warstwy odzienia nie stanowiły dostatecznej ochrony przed dojmującym zimnem.

On zaś leżał wygodnie, otulony pledem i rozkoszował się ciepłem. Gdy przyjrzał się uważniej, odkrył, że leży pod szalem dziewczyny, gdyż wielka kraciasta chusta w barwach klanu stanowi część tradycyjnego stroju szkockiej góralki. Evan poczuł wyrzuty sumienia.

- Proszę pani... - zaczął.

- Nazywam się Catriona - powiedziała. - Catriona MacConn.

- Bardzo mi miło, panno MacConn. A może nie „panno”?

- Nie jestem mężatką - odparła, mieszając znowu owsiankę.

Panna czy nie panna, dla niego prawdziwy anioł, drżała z zimna. A jeśli nie była zamężna, to ich dziwaczna sytuacja wydawała się odrobinę bardziej komfortowa. Nie zjawi się wściekły małżonek zazdrosny o żonę, która tak długo przebywa sam na sam z innym mężczyzną. Co prawda, zamiast męża może się zjawić ojciec lub brat. Trudna rada. Evan dał sobie jednak słowo, że będzie się zachowywać jak džentelmen.

Ale dziewczyna dygotała z zimna i pociągała nosem, a mieli tylko jedno przykrycie. Rozłożył pled.

- Panno MacConn, proszę nie uważać tej propozycji za brak szacunku. Czy nie zechciałaby pani usiąść obok mnie i troszkę się ogrzać?

- Jest mi wystarczająco ciepło.

Mówiąc to, rozcierała ramiona rękoma w mitenkach. Para jej oddechu zamarzała w powietrzu.

- Nie bądź głupia, dziewczyno! Proszę się ogrzać, nim pani zamarznie na śmierć!

Evan kiwnął na nią ze srogą miną. Nie miał cierpliwości do kobiet popisujących się fałszywą skromnością w najmniej odpowiedniej chwili. Nie był złym wilkiem i nie miał żadnych zakusów na to jagniątko. Nie sprawiało mu też przyjemności obserwowanie męczennic, umartwiających się dla dobra innych albo ze względu na konwenanse.

- Panno MacConn, to przecież absurd! - oświadczył. - Ja mam się wylegiwać w ciepłe, gdy pani trzęsie się z zimna?!

Popatrzyła na niego i, najwidoczniej przekonana, podeszła bliżej.

3

Spoglądała to na niego, to na pled i nadal się wahała.

- Nie należę do... takich dziewcząt, zapewniam pana. - Zęby jej szczykały z zimna.

- Ani ja do... takich mężczyzn. - Oparł się plecami o zimną, wilgotną ścianę. Ostry wiatr wlatywał przez szczeliny między kamieniami. - Ale nie pozwolę, by pani cierpiała, gdy ja cieszę się ciepłem, panno MacConn! Ocaliła mi pani życie, jestem pani dłużnikiem. A swoje zobowiązania traktuję poważnie.

- Nie ma pan wobec mnie żadnych zobowiązań ani długów. Nie mogłam przecież zostawić pana samego... ani tam, ani tutaj.

- Zawdzięczam pani bardzo wiele. Jeśli to pani bardziej odpowiada, możemy

korzystać z pledu nie razem, ale na zmianę. Będę podsyczał ogień i mieszał w kociołku, a pani porządnie się opatulili i trochę rozgrzeje.

Przytrzymał się ręką ściany i zdołał wstać, choć w głowie mu się kręciło i każdy zboleły mięsień gwałtownie protestował przeciw takim wyczynom.

- Co pan wyprawia? Jak można...?!

Podbiegła, jednym ramieniem objęła go w pasie, a drugie wetknęła pod pachę. Wsparł się z przekonaniem, że silna z niej dziewczyna i zdoła go podtrzymać w razie potrzeby. Nie zgodził się jednak usiąść z powrotem na ziemi, choć go do tego nakłaniała. Wreszcie ustąpiła i pomogła mu dojść do stojącej przy ogniu drewnianej ławy. Była wypaczona i trochę się chwiała.

Dziewczyna klękała przy ognisku, by znów zamieszać perkoczącą zawartość kociołka.

- Powinien pan wypocząć - odezwała się po chwili. - Wygląda na to, że nie połamał sobie pan kości, ale rana na głowie trochę mnie niepokoi. I leżał pan na zimnie... nie mam pojęcia, jak długo.

- Nic mi nie dolega - zapewnił, choć nadal był obolały i bardzo słaby. Miał jednak silny organizm, był wytrzymały i nie lubił przyznawać się do słabości. - Kilka głupich siniaków raz-dwa się zagoi. - Przechylił głowę na bok, wyraźnie zdumiony. - Jak tu dotarłem i skąd pani znalazła się na mojej drodze?

Przysiadła na piętach i spojrzała na niego.

- Natknęłam się na pana w pobliżu pasterskiego traktu, który biegnie nieopodal Góry Wrózek. To najwyższy szczyt w okolicy, oprócz wielkiej góry Beinn Alligin.

Skinął głową.

- Wszedłem na Beinn Shee, ale nie dotarłem do szczytu. Poprawił się na ławie i skrzywił się z bólu.

- To się jeszcze nikomu nie udało - odparła ze spokojem. - Pamięta pan, jak doszło do upadku?

- O, tak. Wyruszyliśmy z przyjacielem wcześniej rano, pomimo mgły. Myśleliśmy, że się przejaśni. Kiedy wspinaliśmy się pod górę, nadciągnęła burza od północnego zachodu i zaczął padać deszcz ze śniegiem. Mój przyjaciel zawrócił. Tak przynajmniej sędzę, bo zgubiliśmy się we mgle. Mam nadzieję, że nie spadł ze zbocza tak jak ja.

Zmarszczyła czoło.

- Widziałam jakiegoś mężczyznę; przecinał dolinę na skos, kiedy dotarłam do starego traktu. Mgła zrzędła na tyle, że widziałam, co się dzieje w Glen Shee. Nawet się zdziwiłam, że ktoś wybrał się na spacer w taką pogodę, i to sam! Miał plecak; ubrany był w kurtkę, pumpy i kapelusz, jak myśliwy. Ale strzelby nie zabrał.

- To pewnie Fitzgibbon! - Evan poczuł ulgę na myśl, że Arthur wrócił szczęśliwie do podnóża góry. - Z miejsca, do którego dotarłem, nie było bezpiecznego zejścia, więc wspiąłem się wyżej. Rozglądałem się za jakimś schronieniem. - Pokrótce opowiedział, co się stało potem, choć niewiele pamiętał. - To był koszmar! - podsumował i dotknął czoła. - Walnąłem porządnie głową o skalną półkę, potem próbowałem pełznąć, ale znowu spadłem. Dalej wszystko jest takie... zamazane.

- Natknęłam się na pana leżącego tuż obok traktu. Był pan strasznie zmarznięty, z potłuczoną i skrwawioną głową. Wiedziałam, że w pobliżu jest chata owczarzy, więc przytaszczyłam pana tutaj.

- Jestem dozwonnie wdzięczny, panno MacConn! Ale jak zdołała pani tego dokonać? - Pochylił się ku niej. - Widocznie wstałem i szedłem... ale nic z tego nie pamiętam.

- Wzięłam pana pod pachy i jakoś dociągnęłam.

- Co takiego?! Jestem nie tylko wdzięczny, ale pełen najwyższego podziwu. To wyczyn godny Herkulesa! Przecież ze mnie kawał chłopca!

- Nie mogłam zostawić pana samego i szukać pomocy Bóg wie gdzie! - Catriona

wstała. - Strasznie tu zimno. Proszę się otulić pledem, zaraz będzie panu cieplej!

Zimno ogromnie dokuczało Evanowi, ale nie zapominał, że jego towarzyszka również marznie. Krążyła po izbie, rozcierając ręce. Czubek nosa miała zaróżowiony.

- Panno MacConn, teraz pani kolej: proszę nakryć się pledem i trochę rozgrzać. No, bardzo proszę... nalegam! - Wskazał pled. - Wstał z ławki, nie dając po sobie poznać, ile go to kosztowało wysiłku, i osunął się na podłogę koło ognia. Odebrał dziewczynie drewnianą łyżkę i zaczął mieszać w kotle.

- Niech pan uważa, bardzo gorące! - ostrzegła.

W odpowiedzi wskazał znacząco na pled. Wcisnęła się do wełnianego kokonu i podciągnęła pled pod szyję. Wystawały jej tylko buty.

- Nogi pod siebie! - zakomenderował.

Uśmiechnęła się na ten wojskowy ton, a on odpowiedział uśmiechem. Był zaskoczony własnym zachowaniem: zwykle odnosił się z rezerwą do nieznanym, ale w towarzystwie tej dziewczyny czuł się swobodnie. Znów się poczęstował odrobiną zupy z kociołka.

- Smaczne! Całkiem jak owsianka, ale nie osłodzona, dzięki Bogu!

- Owies, roztopiony śnieg i trochę whisky, ot cała receptura - powiedziała. - Mam nadzieję, że pan się nie pogniewa: znalazłam whisky w pańskim plecaku i wymieszałam ją ze śniegiem oraz owsem, który zawsze biorę ze sobą, gdy wybieram się na dłuższy spacer po górach.

- Co za szczęście, że ma pani takie pożyteczne nawyki! A zawartość mojego plecaka jest do pani dyspozycji. Jak wszystko, co do mnie należy.

Ocaliła mu życie. Zaczynał to sobie w pełni uświadamiać. Oddałby jej nie tylko plecak, ale całą fortunę, posiadłość, nawet własne życie, gdyby tego zażądała. Z pewnością umarłby, jeśliby się nie zjawiała albo nie okazała współczucia, odwagi i determinacji.

Poczuł nagle tyle sympatii i czułości dla niej, jakby się znali od dawna. Zadziwiająca! Do nieznanym odnosił się zawsze z dużą rezerwą... No, tak... ale dziś po raz pierwszy ktoś ocalił mu życie. Wyraźnie czuł mocną więź z wybawicielką.

- Zostało mi jeszcze trochę owsa, ale niedużo - powiedziała. - A poza tym nie mamy chyba nic do jedzenia.

Evan odłożył łyżkę. Choć głód coraz bardziej dawał mu się we znaki, nie mógł przecież sam zjeść wszystkiego! Kiedy jednak podał dziewczynie łyżkę, potrząsnęła głową.

- Nie chce mi się jeść. Obawiam się, że musimy tu pozostać do białego dnia.

Spojrzała z niepokojem na drzwi chyboczące się na starych zawiasach, ustawicznie atakowane przez wicher. Śnieg przedostawał się do wnętrza przez każdą szparę w ścianie i dziurę w dachu, i osiadał na ziemi.

- Pewien jestem, że świetnie damy sobie radę. Burza szybko minie i będziemy mogli opuścić ten pałac. Do doliny nie jest stąd daleko, prawda?

Usiadła, oparła się plecami o ścianę i szczerzej otuliła się pledem.

- Pasterski szlak wije się wśród wzgórz i nie prowadzi bezpośrednio do podnóża; będziemy musieli przejść ponad trzy kilometry do doliny, a stamtąd jeszcze kilometr do domu mojego ojca. Trakt jest stromy, zarośnięty i zdradliwy przy złej pogodzie. A pan nie powinien odbywać forsownych przemarszów, zwłaszcza z urazem głowy. Ma pan zapewne inne siniaki i stłuczenia, choć, Bogu dzięki, nic sobie pan nie złamał. - Za czerwieniła się, gdy spojrzał na nią badawczo. - Musiałam pana zbadać - wyjaśniła.

Widząc na jej policzkach rumieniec zażenowania, Evan uśmiechnął się.

- Rad jestem, że pani to sprawdziła - stwierdził rzeczowo, by poczuła się mniej skrępowana. - Będę z pewnością zdolny do takiego spaceru, o ile pogoda się poprawi. Ale wygląda na to, że będziemy musieli spędzić tu noc, panno MacConn. - Spojrzał na dziewczynę z powagą. - Mam nadzieję, że nie czuje się pani zbyt zażenowana taką perspektywą.

Wzruszyła ramionami z niezbyt przekonującą nonszalancją.

- A czy jest inne wyjście? Jakoś sobie poradzimy. Mamy ogień, trochę jadła i... pled. - Zmarszczyła brwi. - Pewnie przyjaciel zacznie pana szukać.

- Fitz? Być może... ale to nic pewnego. To porządny człowiek, ale niepoprawny optymistą. Zwykle zakłada, że wszystko jest w najlepszym porządku, i wraca do swoich spraw. Poza tym zawierucha uniemożliwia wszelkie poszukiwania. Ale pani rodzina z pewnością będzie zaniepokojona.

- Mój ojciec i brat istotnie zaczną się martwić, gdy nie wrócę na czas do domu. Mój... najstarszy brat zginął w podobnej sytuacji wiele lat temu - mruknęła. - Wszedł na Beinn Shee i spadł. Może byłby dla niego jakiś ratunek, ale nie odnaleziono go na czas.

- Mój Boże! - westchnął Evan, szczerze przejęty. - Jakie to musiało być straszne dla całej rodziny! - Odłożył łyżkę, pochylił się w stronę dziewczyny siedzącej nadal przy ogniu.

- Mój ojciec... przeżył to bardzo ciężko. Donald był najstarszy z sześciorga jego dzieci. W trakcie poszukiwań ojciec również miał wypadek, a potem... potem bardzo się zmienił. Stał się nagle innym człowiekiem. Od tamtej pory był zawsze ponury i bezwzględny. Znalazł pociechę w religii, a raczej w bardzo surowym przestrzeganiu nakazów i zakazów i bezlitosnym piętnowaniu wszelkich uchybień. - Znowu wzruszyła ramionami. - Wszyscy jakoś uporaliśmy się z tą tragedią, każdy po swojemu. Jak już wspomniałam, zaniepokoją się, kiedy nie wrócę na czas do domu, i z pewnością zaczną mnie szukać, gdy tylko pogoda na to pozwoli.

- No, cóż... Myślę, że bez trudu zdołamy dotrzeć do Glen Shee rankiem, zanim pani bliscy wyruszą na poszukiwania. I nikt się nie dowie o naszej niezwyklej przygodzie, jeśli pani na tym zależy. Możemy wrócić każde inną drogą- zaproponował pod wpływem impulsu.

Przechyliła głowę, zamyśliła się i przytaknęła. Wiatr wył, deszcz ze śniegiem dobijał się do ścian. Catriona MacConn rozejrzała się z niepokojem.

- Ta chata stoi tu od wielu, wielu lat. Początkowo korzystano z niej, gdy pasterze z rodzinami wiedli stada na górskie pastwiska, by szczypały bujną trawę wysoko na stokach. Ale teraz nikt tu nie zagląda od dwudziestu lat, a może i dłużej.

Evan zmienił pozycję. Siedział teraz plecami do ściany nieco bliżej dziewczyny.

- Moglibyśmy zatkać większe dziury i zablokować wyrwę w suficie, żeby tak nie wiało - zaproponował, szukając wzrokiem innych uszkodzeń. - Chybaby się udało wetknąć coś między krokwie.

Potarła zziębnięte ramiona.

- Wiedziałam, że się zanosi na deszcz, ale nikt nie potrafi przewidzieć wichury. A jesienią ich nie brakuje! Temperatura może się nagle obniżyć i do rana napada mnóstwo śniegu. Gdyby tak się stało, zostalibyśmy odcięci od reszty świata na wiele dni.

- Wszystko będzie dobrze! - zapewnił.

Odpowiedziała mu spokojnym, szczerym spojrzeniem. Catriona MacConn pochodziła z rodu praktycznie myślących szkockich górali. Evan był pewien, że jego towarzyszka okaże się opanowana i godna zaufania, choćby ich wspólna przygoda przekształciła się w najcięższą z życiowych prób, w której waży się losy życia i śmierci.

- Ja również mam taką nadzieję, panie... Nie znam nawet pańskiego nazwiska!

- Mackenzie. Evan Mackenzie. Bardzo miło mi panią poznać, panno MacConn. - Uśmiechnął się, wyciągnął rękę i lekko uściśnił wysuwające się ku niemu paluszki.

Niejednokrotnie dotykali się nawzajem, ale był to zawsze kontakt przypadkowy lub wynikający z konkretnej potrzeby. Ten pierwszy w pełni świadomy i zamierzony dotyk przejął Evana dreszczem i wprawił go w zdumienie. Cóż takiego jest w Catrionie MacConn, że wywołuje burzę zmysłów?, zastanawiał się w duchu.

Przedstawiając się, nie podał swoich tytułów, jak zazwyczaj. To była w końcu jego prywatna sprawa. Jemu samemu robiło się głupio na myśl, że jest parem. Zdecydowanie

wolał być postrzegany jako inżynier, konstruktor mostów. Ponieważ na skutek zerwania kontaktów z ojcem jego dziedzictwo stało pod znakiem zapytania, postanowił zdobyć zawód, który pozwalałby mu zarobić na życie i zyskać reputację rzetelnego, godnego zaufania fachowca. Od dawna przedstawiał się jako zwykły pan Mackenzie i - z wyjątkiem nielicznych oficjalnych uroczystości - zupełnie mu to wystarczało. W ciągu ostatnich kilku miesięcy, gdy zdobył już tytuł hrabiowski, używał go bardzo rzadko.

Co się zaś tyczy jego reputacji, to ucierpiała poważnie dwa lata wcześniej. Był to dla Evana ogromny wstrząs. Nie chciał także, by w Glen Shee doznało ujmy jego nazwisko i tytuł - z powodu błędów popełnionych przez ojca.

- Panie Mackenzie... - Catriona MacConn uśmiechnęła się miło i znów oczarowała go ulotnym, tajemniczym urokiem i dwoma ślicznymi dołeczkami, które niespodziewanie pojawiły się na jej policzkach, by równie nieoczekiwanie zniknąć. - Mamy tu kilka rodzin o tym samym nazwisku. Czy jest pan spokrewniony z którąś z nich?

- Być może - odpowiedział wymijająco. - Sam uważam się raczej za człowieka z nizini, choć rodzina mojego ojca wywodzi się z tych stron, a matka urodziła się w Inverness.

Nie dodał, że spędził część dzieciństwa w Glen Shee. Te wspomnienia były dla niego zbyt drogie i zanadto osobiste, by dzielić się nimi z kimś obcym. Nie życzył sobie również dyskusji na temat jego zmarłego ojca ani swojego obecnego położenia. Wyczuwał też instynktownie, że Catriona MacConn nie byłaby wcale zachwycona, gdyby zdradził swoją tożsamość, a zwłaszcza gdyby poznała całą prawdę o nim i jego rodzinie. Nie chciał zniszczyć powstającej między nimi, jakże przydatnej, więzi koleżeństwa, która pomogłaby obojgu znieść tę niełatwą noc.

- W każdym razie jest pan szkockim góralem, jeśli nie z wychowania, to przez więzy krwi - rzekła Catriona. - Do rodu Mackenziech od wielu po kolei należał zamek Kildonan oraz posiadłość w dolinie Glen Shee. Tytuł hrabiowski otrzymali znacznie później, mniej więcej dwadzieścia lat temu.

- A jakże - przytaknął. - Coś o tym słyszałem.

- Może zna pan obecnego lorda Kildonana albo znał jego ojca, niedawno zmarłego hrabiego?

- Hm... słyszałem także o nich. - Podszedł do ognia i zaczął znów mieszać owsiankę. Wiedział, że powinien wyznać Catrionie prawdę, ale odłożył to na później, gdy oboje dotrą szczęśliwie do podnóża.

- Szczerze mówiąc, panie Mackenzie, zmarły hrabia był po prostu okropny! Proszę się nie gniewać, bo być może należał do pańskich krewnych. Przykro mi, oczywiście, że zginął, i to tak głupio! Jego strzelba wypaliła, gdy ją odstawiał przy podchodzeniu jelenia. Nie była to ani zaszczytna, ani bohaterska śmierć, ale cóż, mało kto się zmartwił, gdy hrabia pożegnał się z tym światem.

- Rzeczywiście - odparł Evan bezbarwnym głosem, choć znów uczył ostry ból w sercu na myśl, że stracił ojca, zanim wszystkie nieporozumienia pomiędzy nimi zostały wyjaśnione.

- Nie widziałam jeszcze dziedzica, ale podejrzewam, że nie będzie lepszy od ojca. Jeszcze nie pofatygował się do nas, choć stary hrabia zmarł wiele miesięcy temu.

Evan spojrzął na dziewczynę i aż go korciło, by wyjaśnić, że spędził te miesiące przeważnie pod wodą, nurkując bez końca jako konsultant przy ocenie projektu latarni morskiej. Wieść o śmierci ojca dotarła do niego z dużym opóźnieniem: hrabia leżał już w grobie, zanim Evan dowiedział się o wypadku.

Evan posłuszny głosowi instynktu, zwłaszcza po wysłuchaniu pogardliwych uwag Catriony na temat hrabiów Kildonan, postanowił pozostać incognito. Świadom karygodnych postępów ojca nie spodziewał się, że mieszkańcy Glen Shee zgotują gorące powitanie nowemu hrabiemu.

- A poprzedniego hrabiego pani znała, panno MacConn? - spytał. Potrząsnęła głową.

Evan zauważył, że dziewczyna drży. Jemu również

nie było zbyt ciepło i wygodnie, nawet koło ognia. Ostre zimne powietrze wdierało się do chaty każdą szparą i szczeliną.

- Nie znałam go osobiście - odparła Catriona. - Ale wiem, że to z jego winy w tej dolinie było wiele nieszczęść i smutku. Zwłaszcza gdy wypędzał ludzi z zagród, by zdobyć jak najwięcej terenów na pastwiska dla owiec, które miały mu przynieść fortunę. Powiadają, że ją rzeczywiście zdobył. Słyszałam także, że nowy hrabia chce sprzedać większość gruntów, by nie zawracać sobie głowy prowadzeniem gospodarstwa.

Catriona uniosła lekko głowę. Evan pomyślał, że ten nieznaczny ruch jest dowodem jej dumy i jakiejś głębokiej urazy.

Uświadomił sobie, jak bardzo Catriona kocha tę ziemię. On również ją kochał, ale był świadom, że kroki, jakie musi podjąć, nikogo nie usposobią życzliwie do nowego hrabiego; nikt też nie uzna ich za dowód miłości do gór.

Zmarszczył brwi. Catriona, podobnie jak reszta mieszkańców Glen Shee, nie domyśla się wcale, że nowy hrabia nie ma wyboru: musi sprzedać kawał ziemi i wynająć zamek oraz udostępnić tereny myśliwskie, by zdobyć niezbędne fundusze. Ojciec Evana zostawił po sobie ogromne długi. Hodowla owiec istotnie przynosiła duże zyski, ale hrabia potrafił przepuścić znacznie większe sumy, a jego następcą miał również własne zobowiązania.

Po załamaniu się mostu, skutkiem czego straciło życie trzech jego współpracowników a zarazem przyjaciół, Evan wspierał finansowo trzy wdowy i jedenaścioro dzieci pozbawionych ojców. Zadbął o to, by każda z osieroconych rodzin otrzymywała niezbyt wysoką, lecz stałą rentę. Postanowił przyjąć na siebie odpowiedzialność za porządne wykształcenie całej jedenastki. Mógł z własnej inżynierskiej pensji pokryć większość tych zobowiązań, ale po spłaceniu ojcowskich długów był zmuszony do sprzedaży części gruntów, by załatać dziury w budżecie.

Chociaż komisja parlamentarna, która sprawowała nadzór nad budową mostów w Szkocji, uwolniła Evana od wszelkiej odpowiedzialności za tragiczny wypadek, on winił tylko siebie. Nie przypuszczał, że kiedykolwiek zdoła sobie wybaczyć ten błąd. Wspomnienia tamtego dnia będą go prześladowały do końca życia.

Owszem wspierał materialnie osierocone rodziny i osobiście sprawdzał, jak sobie wszyscy dają radę, a zwłaszcza dzieci, ale nie mógł przeboleć śmierci trzech wspnianych ludzi. I wiecznie dręczył się myślą: „Może mogłem ich ratować? Ale jak?!”

- Rozumiem - odpowiedział bez pośpiechu. - Jeśli hrabia zamierza wprowadzić pewne zmiany w posiadłości, przypuszczam, że czyni to nie bez powodu. Całe życie spędziła pani w tej dolinie, panno MacConn? - Chciał jak najszybciej zmienić temat rozmowy.

- Tak. I kilka lat temu widziałam, jak wygnano stąd wielu ludzi. Nigdy nie zapomnę tego widoku - dodała szeptem.

Evan również widział na własne oczy pochód wypędzonych.

- Ale pani rodzina została?

- Mój ojciec jest proboszczem tej parafii. Skłania się raczej ku Kościołowi Wolnemu niż Państwowemu. Zresztą, zostało mu tak mało parafian, że bez proboszcza doskonale by się obeszło.

Evan wiedział, że członkowie Wolnego Kościoła oddzielili się przed kilkoma laty od bardziej umiarkowanego Kościoła Państwowego i byli zwolennikami ściśle obowiązujących dogmatów.

- Rozumiem. Panno MacConn, dlaczego pani zakłada, że dziedzic nie będzie lepszy od starego hrabiego?

- Dlatego, że mój brat jest jego rządcą, panie Mackenzie. To właśnie od Finlaya wiem, że nowy hrabia nie dba o swoją posiadłość, przerzuca na rządcę całą odpowiedzialność, nie zależy mu wcale ani na ziemi, ani na mieszkańcach. Interesują go tylko zyski ze sprzedaży

welny. No, cóż... to jest przecież najważniejsze! - Szaroniebieskie oczy Catriony miały iskry.

O Boże! - pomyślał Evan, przeczesując palcami włosy. Finlay MacConn. Znał to imię i nazwisko, ale do tej pory nie zetknął się osobiście z tym człowiekiem. Siostra Evana, lady Jean Gray, odwiedzała regularnie Kildonan i spotykała się z młodym MacConnem. Był pomocnikiem starego rządcy i po śmierci Granta objął jego stanowisko. Wkrótce potem stary hrabia także rozstał się ze światem.

A on tu siedzi sam na sam z siostrą swojego rządcy a zarazem córką wielebnego proboszcza parafii w Glen Shee. Z każdą chwilą utwierdzał się w przekonaniu, że zdecydowanie lepiej nie zdradzać, kim jest, póki nie minie zagrożenie. Gdyby Catriona dowiedziała się prawdy, pewnie nie chciałaby przebywać w jego towarzystwie. Najlepiej będzie, tłumaczył samemu sobie, od tej pory nie angażować się zbyt: postawa neutralna, obie strony na równych prawach. Później, gdy trochę się ogrzejemy i coś zjemy, będzie czas na przestrzeganie konwenansów. Może się nawet pośmiejemy z minionych kłopotów?

- Nie dba?... - spytał Evan. - Ani trochę nie dba o swoją posiadłość?

Nigdy dotąd nie spoglądał na sprawę pod tym kątem. Przebywał na odległych Hebrydach, ciężko pracując nad realizacją inżynierskich projektów, kiedy jego ojciec zmarł. Nie mógł oderwać się od roboty, a zapewne i tak nie zdążyłby na pogrzeb. Jego siostra i szwagier z przyjemnością spędzali wolne chwile w Kildonan; poprosił ich więc, by mieli oko na posiadłość. Jean i Harry zgodnie stwierdzili, że nowy młody rządcą jest kompetentny i godny zaufania. Evan doszedł do wniosku, że wszystko w porządku.

- Zrzucił wszystkie obowiązki na siostrę, jak powiada mój brat - mówiła dalej Catriona. - Czy wrócił po śmierci ojca, by spotkać się ze swoimi dzierżawcami? Skądże znowu! Zamierza naprawić zło, które wyrządził stary hrabia? Mógłby przecież znów sprowadzić do doliny tych, których zmuszono do opuszczenia Glen Shee. Mógł poprosić miejscowych górali, by doglądali jego ogromnych stad. Zrobił coś takiego? -Skrzyżowała ramiona na piersi. - Nic podobnego, panie Mackenzie! Aż przykro o tym mówić.

Evan zmarszczył brwi.

- O, tak... Z całą pewnością. Rozumiem, czemu odniosła pani takie wrażenie...

- Wrażenie? Jakie znów wrażenie?! On po prostu idzie w ślady swojego ojca! Jest bardzo zadowolony, że owce przynoszą dochód, ale innym też nie pogardzi. Wyciąga od turystów pieniądze: bez opłaty nie mają tutaj wstępu!

Evan odwrócił wzrok. Opłaty dla przyjezdnych były pomysłem ojca i przynosiły pokaźny zysk. Rozmawiali nawet z Jean o budowie jakiejś oberży z miejscami noclegowymi. Evan potrząsnął głową, jakby dyskutował sam ze sobą. Iluż to rzeczy musiał się jeszcze dowiedzieć o Glen Shee?...

Catriona usiadła prosto i spojrzała na niego.

- O, Boże! Panie Mackenzie... czy pan nie jest przypadkiem... o, Bo że!...

Już go rozszyfrowała. Prędko jej to poszło! No, cóż... Trzeba będzie stawić czoło konsekwencjom.

- Kim, panno MacConn?

- Czy jest pan jednym z tych, którym kazano zapłacić za zaszczyt wspinania się na górskie szczyty... prywatną własność lorda Kildonana?

- Nie, panno MacConn - odparł z wyraźną ulgą. - Zapewniam panią, że nie zapłaciłem ani grosza za ten zaszczyt.

4

Catriona cofnęła się o krok i rozejrzała dokoła z satysfakcją. Razem z panem Mackenzie pozątkali szczeliny resztkami strzechy, wyłowionymi ze sterty odpadków po zawalonym dachu. Wiatr nadal zawodził, niosąc wilgoć i paskudne zimno, a zmieszany ze śniegiem deszcz przenikał przez pozostałe otwory w dachu, ale przeciągi mniej dokuczały.

- Niech pan się nie przemęcza, panie Mackenzie! - ostrzegła towarzysza niedoli.

Evan połamał drewnianą ławę, by wetknąć kawałki desek pomiędzy belki nośne dachu. Sięgnął wysoko ponad głowę, żeby sprawdzić, jak trzyma się prowizoryczna łąta, i zablokować dostęp lodowatemu powietrzu.

-Nic! Mi! Nie! Bę! Dzie! - wyskandował, waląc pięścią w deskę, by zaskoczyła na właściwe miejsce.

Catriona zauważyła, że kilkakrotnie podczas pracy krzywił się z bólu. Była dostatecznie wysoka, by mu pomagać, podeszła więc i przytrzymała kolejną deskę, gdy utykał ją między krokwiemi. Mackenzie spojrział na dziewczynę przelotnie.

- Zawsze mnie ciągnęło do wysokich dziewczuszek. Teraz już wiem dlaczego! - Wyszczerył zęby w szerokim uśmiechu.

Nadal przytrzymywała deskę, ale i bez patrzenia w lustro wiedziała, że zaczerwieniła się, słysząc ten żartobliwy komplement. Ukradkiem obserwowała Evana przy pracy. Podziwiała wielką siłę ramion i zwinność. Przyglądała się, jak jego mięśnie napinają się pod koszulą, gdyż do roboty zdjął marynarkę i pozostał w koszuli i kamizelce. Pamiętała sprężystość twardych mięśni, których dotykała, szukając obrażeń. I własną ciekawość, i dręczące pytanie: jak czułaby się w jego objęciach? Na samą myśl o tym zapiekły ją policzki. Znow się zarumieniła!

Dawniej rzadko nachodziły Catrionę podobne myśli. Za to teraz uparcie ją dręczyły, co było jeszcze bardziej niepokojące. Choćby nie wiedzieć ile razy spychała je na samo dno świadomości, zawsze podnosiły głowy.

- Gotowe! - Evan odsunął się na bok i opuścił ramiona. Zerknął na Catrionę. - Coś mi się zdaje, że od razu zrobiło się tu cieplej!

- W każdym razie jest znacznie mniej przeciągów. Panie Mackenzie, niechże pan odpocznie! Z urazem głowy nie można tak harować. Nie wiemy nawet, jak mocno się pan uderzył. Jak tylko wrócimy do Glen Shee, doktor musi pana zbadać.

Evan był wyraźnie zdziwiony.

- Macie tu lekarza?

- No... prawie. Pan Grant z Kilmallie, posiadłości na drugim końcu doliny, studiował medycynę na uniwersytecie, ale jej nie ukończył. Jego ojciec, rządcą hrabiego, zmarł nagle i obowiązki wezwały syna z powrotem do Glen Shee. Spisuje się doskonale, jak na nasze potrzeby. Powinien pan skonsultować się z nim w sprawie tego uderzenia w głowę. Zamówił pan pokój w zajeździe Torridon Inn? W Glen Shee tylko pani MacAuley oferuje przybyszom noclegi. A może zatrzymał się pan u przyjaciół?

Evan unikał bezpośredniej odpowiedzi; był pewien, że Catriona zna wszystkich mieszkańców doliny, co do jednego.

- Być może skonsultują się z panem Grantem, ale wstrzymam się z tym do jutra. Zobaczmy, jak będę się czuł. No, powinno się teraz trzymać!

Odsunął się nieco, by podziwiać swoje dzieło.

- Czuję wyraźną różnicę!

- Bardzo to uprzejmie z pani strony, panno MacConn, ale nadal jest tu paskudnie zimno. - Rozejrzał się raz jeszcze. - A co z naszym spaniem? Przepraszam, że mówię o tym prosto z mostu, ale robi się późno. Musimy jakoś wyczarować poślanie.

- Poślania! -poprawiła go. - Pled mamy jeden, ale żakietem czy marynarką też można się otulić. Ostatecznie to tylko jedna noc. Proszę wziąć pled, a ja pożyczę sobie pańską marynarkę, jeśli można.

- To pani weźmie pled.

- To pan musi odpocząć na wygodnym poślaniu, panie Mackenzie. Niepokoją mnie pańskie obrażenia. Będzie tak, jak mówię!

Skrzyżowała ramiona na piersi jak nieustępliwa niania.

- Może się jakoś podzielimy pledem? - Ukląkł na podłodze i rozłożył tartan. - Damy mają pierwszeństwo, panno MacConn.

Spojrzała na niego jak na wariata.

- Chyba się pan nie spodziewa, że spędzimy noc pod jednym okryciem?!

- Dlaczego nie? Będzie nam o wiele cieplej. Jediną szansą na przetrwanie tej piekielnej nocy jest zachowanie ciepłaka, panno MacConn.

- Zachowanie ciepłaka! A ja... ja panu zaufałam! - Nawet teraz, spoglądając na niego z urazą, nie odczuwała lęku, tylko mroczne, tajemne podniecenie.

- Nie zawiodę pani, przysięgam! - Potwierdził to jeszcze skinieniem głowy.

- Nie jestem... Nie będę... - urwała zmieszana. Evan westchnął.

- Nie dybię na pani cnotę, panno MacConn. Znajdujemy się w wyjątkowo trudnym położeniu. Albo będziemy się nawzajem bronić przed tym morderczym zimnem, albo na ołtarzu tak zwanej przyzwoitości złożymy całonocną udrękę i własne zdrowie. Co pani wybiera?

- Założę się, że podczas wypraw w Alpy nie musiał pan dzielić się ciepłakiem ze swoimi towarzyszami!

- Znacznie łatwiej było zachować ciepło w Alpach na wysokości trzech tysięcy metrów niż w tej lodowatej norze na wysokości zaledwie trzystu, zapewniam panią. Mieliśmy namioty, termofory, zapasową odzież i stos koców. Nie zabrakło ogniska ani gorącego jadła. Gdy w namiocie zjedzą się dwie lub trzy osoby, robi się naprawdę ciepło, choćby na zewnątrz panował mróz. My tymczasem nie mamy namiotu ani innych sposobów utrzymania ciepłoty ciała. Udało nam się częściowo połatać dach, ale w nocy będzie tu zimno jak diabli.

- Więc niech pan czym prędzej wymyśli jakiś genialny sposób ocalenia bezcennego ciepłaka.

- Robię, co mogę - wycodził i rzucił jej ostre spojrzenie. - Lubię podejmować ambitne wyzwania, panno MacConn, ale jedna noc w tej lodowni jest znacznie bardziej ryzykowna niż noc spędzona na szczycie Matterhorn.

Spojrzała na niego kosym okiem.

- Jakoś sobie poradzimy.

- Sztuka przeżycia wymaga nie tylko odwagi i determinacji, lecz także pomysłowości, panno MacConn. Co musimy zrobić, by utrzymać się przy życiu, jest oczywiste. Ale jak pogodzić nakaz zdrowego rozsądku z regułami obowiązującymi w eleganckim towarzystwie? W tym sęk!

- ...By utrzymać się przy życiu...? Spojrzała z niedowierzaniem.

- Jeśli temperatura nadal będzie spadać, a my zaśniemy bez odpowiedniego zabezpieczenia przed zimnem, prawdopodobnie zamarzniemy na śmierć. Sądziłem, że pani zdaje sobie z tego sprawę.

- Ja... Ja nie przypuszczałam, że to takie niebezpieczne...

- Może temperatura nie spadnie i wszystko będzie dobrze. Nie znamy jednak przyszłości. Musimy uwzględnić ryzyko. Chociaż mam wrażenie, że dla niektórych kobiet względy tak zwanej przyzwoitości mają znacznie większe znaczenie niż zdrowy rozsądek - dodał, poklepując pled.

- Aż taka przyzwoita nie jestem! Och... jakoś to głupio wyszło... - wytłumaczyła z pośpiechem. - Chciałam powiedzieć, że bardzo cenię zdrowy rozsądek.

Evan uśmiechnął się nieznacznie.

- Słowo daję, że nie stracę do pani szacunku, jeśli położymy się koło siebie i zdołamy ogrzać się nawzajem.

Spojrzała na niego podejrzliwie. Evan Mackenzie miał rację. Obojgu będzie potrzebna czyjaś fizyczna bliskość i ciepło. Przeświadczenie Evana o słuszności własnych argumentów i jego szczerość dodały Catrionie otuchy. Nie wyglądał zresztą na kogoś, kto bezczelnie

wykorzysta niezwykle okoliczności. Ale lepiej nie narażać się na kompromitację.

- Będziemy spali po kolei - oznajmiła stanowczo. - Najpierw ja zostanę przy ogniu i będę go podsycać, a pan poleży wygodnie pod pledem. Potem zamienimy się miejscami.

Evan westchnął.

- Skąd u tej cichej myszki taki żelazny charakter? - Odwrócił się i ułożył na pledzie.

Siedząca przy ogniu Catriona wzięła do ręki pogrzebacz, by przegarnąć nim kruszące się brykiety torfu. Za bardzo dymił. Perkoczająca w żelaznym kociołku owsianka gęstniała. Przydałoby się więcej śniegu i lodu, by ją rozrzedzić, zanim zmieni się w niezjadliwą maź. Dobrze by było stopić także trochę lodu na wodę do picia... Może ze strumyka w pobliżu chaty?

Mackenzie umościł się na pledzie i wkrótce zasnął; Catriona słyszała jego regularny oddech. Wiedziała, że mężczyzna był posiniaczony, obolały i potrzebował snu. Postanowiła jednak obudzić go później, by upewnić się, że uraz głowy nie spowodował komplikacji.

Drżąc z zimna i zdumiewając się tak ostrym spadkiem temperatury i burzą śnieżną na początku listopada, Catriona doglądała ognia. Kiedy Mackenzie zaczął lekko pochrapywać, wymknęła się na dwór. Wzięła ze sobą drewnianą miskę, znaną w chacie, napełniła ją po brzegi zbitym śniegiem i zabrała do izby. Rozrzedziła gęstą owsiankę, gotującą się na wolnym ogniu. Wypiła trochę parującej zupy, by złagodzić ból żołądka.

Potem położyła się blisko ognia. Klepisko było lodowate. Catriona zwinęła się w kłębek. Otuliła nogi spódnicą i halkami. Słaby ogieniek nie promieniował już ciepłem.

Ale w zasięgu ręki leżał Evan Mackenzie. Nieoczekiwanie zapragnęła wślizgnąć się pod koc, tylko po to, żeby się rozgrzać. Ale w dalszym ciągu leżała na polepie, dygocząc z zimna.

Kiedy Evan obudził się w środku nocy, zobaczył, że z ognia zostało niewiele; tylko od czasu do czasu błysnął jaskrawy płomyk w kupce torfu. Usiadł na posłaniu i przekonał się, że oziębilo się niesamowicie. Dziewczyna zwinęta w kłębuszek przy dogasającym ogniu widocznie zasnęła.

Wymotał się z pledu, krzywiąc się i pomstując na zeszywniałe mięśnie. Wyszedł z chaty załatwić palącą potrzebę i doznał niemal szoku: gdziekolwiek rzucił okiem, wszystko pokryte było lodową powłoką. Deszcz ze śniegiem nadal bębnił o ziemię i ściany chaty. Evan wrócił do środka, zamknął drzwi i z trudem dobrnął po ciemku do kominka.

Najwyższa pora zająć miejsce przy palenisku i pozwolić dziewczynie otulić się ciepłym pledem. Przykucnął obok niej i spostrzegł, że nawet we śnie drżała z zimna. Skrzyżowała ramiona na piersi, podwinęła nogi pod spódnicę.

Dotknął jej ramienia.

- Panno MacConn... Podskoczyła przerażona

- Co się stało...? - wyszeptała tak ochryple, jakby już się przeziębila. I właśnie ten cichy, żałosny głosik sprawił, że Evan podjął ostateczną decyzję.

- Panno MacConn, czy zna pani stary obyczaj, zwany „przitulanką”? Spojrzała na niego, mrużąc oczy.

- No pewnie! W tych stronach nadal się to praktykuje.

- W takim razie z pewnością przekonaliście się na własnej skórze, pani i jej wielbiciel, na czym to polega?

Usiadła raptownie.

- Mój wielbiciel? Nikt się do mnie nie zalecał. Zamrugał oczami ze zdumienia.

- Nie wierzę! Wzruszyła ramionami.

- Jestem „Przydatną brzydulą”, i tyle.

- Cóż to za głupstwa? Wcale nie jest pani brzydka!

Roześmiała się nieoczekiwanie. Był to miękki, rozkoszny śmiech. W blasku ognia Evan ujrzał na jej policzku dołeczek. Pojawił się i błyskawicznie znikł.

- Nie o to chodzi, panie Mackenzie! To inny stary zwyczaj, który zachował się jeszcze tu i ówdzie w Górach Szkockich. Jestem najmłodsza z rodzeństwa, dlatego tak mnie nazywają. „Przydatna brzydula” to córka, która pozostaje w domu, by troszczyć się o starzejących się rodziców i prowadzić im gospodarstwo. „Przydatna brzydula” nigdy nie wychodzi za mąż.

- Ach, tak?... I pani wyraziła na to zgodę? - spytał.

- Do tego nie potrzeba żadnych formalności. Zawsze zakładałam, że taka będzie moja rola w rodzinie. Matka umarła dawno temu, starsze siostry powychodziły za mąż i porzuciły dolinę, a jeden z braci opuścił Szkocję w pogoni za fortuną. Ja zaś pozostałam na plebanii w Glenachan, by opiekować się ojcem i bratem Finlayem. - Spojrzała na Mackenziego, a on dostrzegł w jej oczach iskierkę buntu. Ciekawe, jak dalece pogodziła się z losem?... - I dlatego nikt się do mnie nie zalecał, i nigdy nie bawiłam się w przytulanki z żadnym konkurentem. Poza tym, w naszej dolinie nie ma zbyt wielu młodych ludzi, którzy by tracili czas na flirty. Evan skinął głową.

- Z powodu masowych wysiedleń?

- A tak. Z powodu nienasyconego hrabiego Kildonana.

Wypuścił powietrze z płuc. Znów nie była to odpowiednia pora na wyznanie, kim właściwie jest.

- Rozumiem. A więc „Przydatne brzydule” nigdy nie wychodzą za mąż?

Dorzuciła kilka kawałków torfu do ognia. Evan zauważył, że torf dymi, ale nie płonie.

- Czasami wychodzą za mąż po śmierci rodziców. Ale zazwyczaj odzyskują wolność zbyt późno. Są już zatwardziałyimi starymi pannami, przywykłymi do samotności. Trudno by im było przyzwyczać się do innego życia... A przede wszystkim nie mogą już mieć dzieci.

- Myślę, że pani nie zabraknie wielbicieli, choćby musieli czekać Bóg wie jak długo. Zerknęła na niego.

- Dziękuję za komplement, ale nie ulega wątpliwości, że jestem praw dziwą brzydulą. Wie pan, jak mnie przezywają? Catriona Mhór.

Evan zachował w pamięci kilka słów po gaelicku, których nauczył się w dzieciństwie. To słowo nie sprawiło mu trudności.

- „Wielka Catriona”? Przytaknęła.

- Przewyższam wzrostem ojca i wszystkie moje siostry i braci z wyjątkiem Finlaya. Ojciec mówi, że jestem „silna jak byk”, a ciotka powiada, że jestem „stworzona do harówki”.

Evan doszedł do wniosku, że ani ojciec, ani ciotka Catriony nie budzą w nim sympatii. Wpatrywał się we włosy dziewczyny. W słabym blasku ognia wydawały się równie ogniste.

- Jest pani wysoka, ale z pewnością nie „wielka”. Moja siostra ma prawie tyle samo wzrostu co pani i nikt jej z tego powodu nie przeżywa. A już na pewno nie jest pani brzydka! Powinni panią nazwać... Catriona Bhrn - szepnął. - Piękna Catriona. Znam kilka słów po gaelicku.

- O...! - Catriona odwróciła wzrok. - Bardzo pan uprzejmy... - Zachowywała się tak, jakby nikt jej do tej pory nie obdarzył komplementem.

- Czułbym się zaszczycony, gdyby wolno mi było razem z panią wziąć udział w „przytulance”. Ale nie warto gadać o zaszczytach, panno MacConn. Jest pani przemarznięta do szpiku kości i ja także. Może jednak...? - Wskazał wymownie na pled.

Przyjrzała się podejrzliwie Evanowi, potem zerknęła tęsknie na porzucone nakrycie.

- No... dobrze, panie Mackenzie.

Ruszył w stronę pledu, ona za nim. Usiedli jedno przy drugim. Po chwili Catriona zręcznie owinęła ich tartanem i położyła się na wznak, tak jak on. Pled okrywał Evana z góry, Catrionę od dołu, a koniec został wetknięty pomiędzy nich.

- Interesujące! - Skrzyżował ramiona na pledzie.

- Ręce proszę trzymać pod kocem! - rozległ się z ciemności jej niezadowolony głos.

- Przepraszam! - Schował dłonie. - Obiecuję, że będę grzeczny, panno MacConn. Ale i pani niech się przyzwyczaję zachowuje!

- Przyrzekam.

Usłyszał wesołą nutkę w jej głosie.

- Wygodnie pani?

- Jak najbardziej. - Zaszczekała zębami. - No... prawie.

Słowa dziewczyny zmieniły się w obłoczek zlodowaciałej pary.

Gdy tak trwali nieruchomo w milczeniu, Evan poczuł, jak bardzo jest pobudzony. Od dawna nie leżał obok kobiety i jego ciało zareagowało na jej bliskość. W niewielkiej przestrzeni pomiędzy nimi zbierało się coraz więcej ciepła, a Evan czuł gwałtowny przypływ krwi, który był oznaką wzbierającego w nim pożądania. Chociaż z każdą sekundą ciało coraz natarczywiej domagało się zaspokojenia, Evan bynajmniej nie zamierzał działać pod wpływem nagłego popędu i chwycić ją w ramiona.

Catriona leżała bez ruchu i wkrótce zorientował się, że usnęła. Uświadomił sobie, że dała w ten sposób wyraz absolutnego zaufania, zasypiając przy nim beztrudnie w takiej sytuacji. Uśmiechnął się do siebie i spróbował iść za przykładem Catriony. Ale myślami ciągle powracał do jej bujnych kształtów i cichego, zmysłowego głosu, łagodnego dotyku ręki i nieodpartej pokusy, jaką była sama jej bliskość.

Usiłował pogodzić się z tym, że po kilku godzinach spędzonych razem w zimnej, walącej się chacie i ciepłym gniazdku, obudzą się w poranek pełen słońca, które roztopi lód i śnieg. I trzeba będzie się rozejść.

Catriona MacConn miała swój dom i rodzinę, która na nią czekała. Evan nie... w każdym razie nie tu, w Glen Shee. Owszem, zamek Kildonan należał teraz do niego i był kiedyś prawdziwym domem, który kocha się przez całe życie. Ale po dziesięcioletniej nieobecności Evan czuł się w tych okolicach nieswojo. Miał wrażenie, że jest nieproszonym i niepożądanym gościem. I choć śniło mu się po nocach, że stał się znowu częścią Glen Shee i Kildonan, były to jedynie senne majaki. Rzeczywistość przedstawiała się zgoła odmiennie.

Evan westchnął z tęsknoty za prawdziwym domem - cudowną przystanią, gdzie czeka na niego miłość, rodzina i szczerzy śmiech przyjaciół. Ale to marzenie obecnie wydawało się równie nieosiągalne, jak odrobina ludzkiej życzliwości.

Catriona podniosła się ostrożnie w samym środku nocy z dziwnie po-zawijanego pledu. Podeszła na palcach do drzwi i uchyliła je lekko. Wyrzwała na świat odziany teraz w biel. Śnieg nadal polatywał w powietrzu, gnany podmuchami wiatru. Deszcz dudnił o ściany chaty. Zmrożona lodowatym wichrem, który dmuchnął jej prosto w twarz, zaczęła rozgrzewać zziębnięte ramiona dłońmi odzianymi w mitenki.

Zła czy dobra pogoda, człowiek ma pewne potrzeby. A jej i panu Mackenziemu z pewnością przyda się woda pitna. Zresztą ona sama obudziła się, bo poczuła pragnienie. Wzięła więc ze sobą drewnianą miskę i wymknęła się na dwór, na bezlitosne podmuchy wiatru. Pobiegnęła w nadziei na znalezienie ustronnego kącika do nieużywanej już obórki, której resztki znajdowały się za chatą owczarzy. Załatwiła szybko swoje potrzeby, trzęsąc się bez przerwy z zimna. Poprawiła ubranie i skierowała się w stronę strumienia, który płynął u podnóża pobliskiego pagórka.

Deszcz ze śniegiem padał gęsto, krople ostro cięły po twarzy, wiatr również pokazywał, co potrafi. Ze spuszczoną głową Catriona ni to schodziła, ni to ześlizgiwała się po pochyłości. Na oblodzonej trawie łatwo się było potknąć. Wreszcie dotarła do celu. Ukłękła, zanurzyła miskę w strumieniu i zmoczyła sobie mitenki. Wspinając się na wzgórze w drodze powrotnej, potknęła się, odzyskała równowagę i zaraz znowu się pośliznęła.

Nogi nagle załamały się pod nią i po zlodowaciałej trawie toczyła się i toczyła, by na koniec wpaść z pluskiem do strumienia, którego brzegi również były porośnięte oblodzoną trawą. Gdy woda i zimno, przenikając przez wszystkie warstwy ubrania, dotarły do skóry

Catriony, był to dla niej prawdziwy szok. Nie mogła złapać tchu ani wydostać się na brzeg.

Ugrzęzła na dobrych kilkanaście centymetrów w rowie pełnym szybko płynącej, lodowatej wody. Chcąc się wydostać, opadła na kolana. Rozpłakała się, ale zdołała wstać, podkasała nasiąknięte wodą spódnice i potykając się, pobiegła w górę do chaty.

Wpadła do środka z impetem. Evan Mackenzie siedział po ciemku, ale na jej widok wstał. Catriona podbiegła do kominka i uklękła przy ogniu. Najpierw ściągnęła przemoczone mitenki, pomagając sobie zębami. Potem zaczęła się mocować ze sznurowadłami mocnych skórzanych butów. Palce jej drżały.

Mackenzie podszedł do dziewczyny.

- Co się stało?

- Wpadłam do rzeki - wyjaśniała gorączkowo. - Chciałam zaczerpnąć dla nas wody do picia... Och! - zawołała z rozpaczą, kiedy wreszcie udało jej się ściągnąć but i przekonała się, że cała skóra trzewika prze-miękła, a wełniane pończochy są mokrusieńkie.

Palce jej drżały. Były czerwone i spierzchnięte. Lodowate zimno jak ostry nóż przeszywało kończyny, docierało do szpiku kości. Spódnica i halki ociekały wodą. Mokre zresztą było wszystko, łącznie z koszulką i majtkami. Z obrąbka spódnicy zwisały miniaturowe sople. Część z nich topniała już w bliskości ognia.

- Drugim butem ja się zajmę - oświadczył Mackenzie, przyklękając obok Catriony.

Odgarnął mokry brzeg spódnicy, szybko rozsznurował trzewik, ściągnął z nogi Catriony i oba przemoczone buty postawił przy ogniu, podszwami do góry.

- Teraz pończochy - komenderował. - Trzeba je zdjąć.

Catriona nie protestowała. Sięgnęła pod mokrą spódnicę i starając się zrobić to jak najprzyzwoiciej, odpięła podwiązki, które przytrzymały pończochy w połowie uda. Zrolowała obie pończochy i ściągnęła je z nóg. Mackenzie chwycił je i powiesił nad ogniem. Catriona ukryła gołe nogi pod spódnicą w nadziei, że się rozgrzeją. Ale zaczęła trząść się jeszcze bardziej, gdyż halki były już nie tylko przemoczone, ale i zlodowaciałe.

-Ach *Dhia* - westchnęła, szcękając zębami. - T...tak mi zimno!

Mackenzie odwrócił się i chwycił pled.

- Nie! Nie możemy zamoczyć naszego jedyne okrycia! - zaprotestowała.

- To proszę włożyć moją marynarkę - burknął, zdejmując ją i narzucając na ramiona Catriony. Potem ujął jej ręce i zaczął rozgrzewać.

Sam jego dotyk było tak cudownie gorący, że Catriona błogo westchnęła.

- A teraz ogrzeję pani stopy - powiedział, schylając się. -Nie, nie! Sama je rozetrę, kiedy pończochy wyschną.

- Proszę nie mówić głupstw! Pewnie będą schły przez całą noc. Pani musi się czym prędzej rozgrzać, inaczej choroba pewna!

- Jestem b..bardzo zdrowa - wymamrotała. - Nigdy nie eh..choruję!

- Jutro pani zachoruje z pewnością, jeśli zaraz temu nie zapobiegniemy. Palce u nóg odmrożone. Nie ulega wątpliwości.

Ręka Evana wśliznęła się pod mokry obrąbek spódnicy, a jego palce -rozkoszenie ciepłe - zaczęły masować stopę. Catriona niechętnie przesunęła się nieco, by miał lepszy dostęp do drugiej stopy.

Energiczny masaż sprawił, że nogi rozgrzały się i krew zaczęła znów dopływać do palców. Catriona cicho jęknęła.

- Trochę szczypie - pożaliła się.

Zaczął masować nieco delikatniej. Jego palce zapuściły się powyżej kostki i dalej, między mokre fałdy halek i bawełnianych majtek. Rozgrzewał jej łydki i kolana. Przypominało to pieśczętę bardzo intymną, niebezpieczną i rozkoszną. Odetchnęła głęboko, gdy ciepło jego ręki przeniknęło do kończyn.

Zęby nadal jej dzwoniły, ale siedziała spokojnie, choć dobrze wiedziała, że nie wolno

pozwalać żadnemu mężczyźnie na podobne poufałości. Ale była tak spragniona ciepła, że nie miała pretensji do Evana.

Uświadomiła sobie nagle, że tego właśnie pragnęła. Czowała się tak, jakby ukryte głęboko źródło nieoczekiwanie wypłynęło na powierzchnię. Fale ciepła i pożądania przepływały przez nią w dziwny, nieznanym jej sposób.

Nagle zapragnęła poczuć jego ręce na całym ciele. Jaki też byłby jego uścisk... jakie bywają w ogóle uściski zakochanego mężczyzny? Jak smakują prawdziwe miłosne pocałunki? Tylko raz zaznała na ciemnym stryszku niezdarnych pieszczot chłopaka, przyjaciela brata. O dziwo, te króciutkie, niezgrabne próby uświadomiły Catrionie, że jej ciało ma własne cudowne tajemnice, jeszcze dla niej niedostępne i nieznanne.

Wpatrując się w ciemne, lśniące włosy Evana Mackenziego zapragnęła ich dotknąć... Pragnęła również poznawać go dotykiem i pozwolić, by pieścił ją całą. Tak, całą!, pomyślała i serce zabiło jej mocniej. Przymknęła oczy. Westchnęła, wyobrażając sobie, że Evan obejmuje ją ramionami, przytyka szorstki policzek do jej policzka, dotyka wargami jej warg - łagodnie, z miłością, nie budząc obaw.

Zaszokowana własną wyobraźnią, która najwidoczniej zbłądziła na manowce, zeszywniała pod dotykiem Evana i odsunęła się.

- Bardzo dziękuję - powiedziała, nadal szcękając zębami. - Jestem pewna, że to wystarczy.

Ale nie wystarczyło. Podniósł na nią oczy.

- Musi pani zdjąć wszystkie spódnice i halki. One są aż ciężkie od wody!

- Wyschną, jeśli posiedzę przy kominku.

- Tych kilka węgielków niczego nie osuszy. - Ujął ją za ramiona i spojrzał z powagą. - Niech pani mnie posłucha! Jeśli zostanie pani w tych rzeczach przez całą noc, przeziębienie murowane!

- Nic mi nie będzie! - upierała się.

Ale ręce zaciskające się na jej ramionach były mocne, a w rysach twarzy mężczyzny po raz pierwszy dostrzegła gwałtowność, o której nie miała pojęcia.

- Proszę czym prędzej zrzucić z siebie te mokre szmaty, bo sam je zedrę!

5

Nie!... Ja... - Catriona odskoczyła, wyraźnie przestraszona.

- To nie groźba, jeśli tego właśnie pani się zlekła - wyjaśnił Evan, nadal trzymając ją za ramiona. - Skromność jest godna podziwu, ale właśnie teraz mogłaby pani stracić przez nią zdrowie, a może i życie.

- Życie? - Wpatrywała się w niego, trzęsąc się z zimna. Policzki miała chorobliwie blade, wargi jej posiniały. Zęby grzechotały jak kastaniety. Zapragnął nagle chwycić dziewczynę w ramiona i rozgrzać pocałunkami. Mogłoby to być cudowne, ale nie rozwiązywało podstawowego dylematu.

- Jak najbardziej. Pani oddech spowolnieje, temperatura ciała obniży się. Organizm nie będzie w stanie przeciwdziałać temu. W takiej sytuacji jeśli pani zaśnie, może się nigdy nie obudzić. Kiedy zziębnie się na wskroś, nie odczuwa się już zimna. Ma się wrażenie, że jest ciepło i wygodnie. Zapada się w sen, a jeśli już się zaśnie, to szczerze mówiąc, do śmierci tylko krok.

Chwycił Catrionę jeszcze mocniej i próbował przelać w nią swój gwałtowny niepokój.

- Mówi pan tak, jakby sam tego kiedyś doświadczył.

- Bo doświadczyłem. Proszę zdjąć ubrania!

Wiedział aż za dobrze, jak się wtedy umiera.

- Czy to w Alpach był pan wystawiony na takie zimno? - spytała. Potrząsnął głową i pochylił się, by znowu rozgrzać jej stopy.

- W Alpach było nam ciepło i sucho, jak już wspomniałem. To pod wodą przekonałem

się, jak niebezpieczny jest gwałtowny spadek temperatury. - Spojrzał na Catrionę. - Jestem wykwalifikowanym nurkiem morskim. Ilekroć schodzimy na dno, musimy być przygotowani na znaczne wyziębienie.

- P...pan jest nurkiem? B...bardzo interesujące - powiedziała, dygocząc jeszcze bardziej. - W.. .widziałam takie zdjęcia p.. .podwodne. Miał pan p.. .poważne kłopoty z raptownym oziębieniem, p.. .panie Mackenzie?

Zmarszczył brwi i szczerzej okrył dziewczynę marynarką. Zsuwała się z jej ramion, które zaczął właśnie rozcierać. Po chwili wahania postanowił, że powie Catrionie prawdę... a raczej drobną cząstkę prawdy.

- Tak, podczas pracy pod wodą, ale nie na dnie morza. Na jednej z rzek w Fifeshire zawalił się most. Byłem przy tym.

Zaparlo jej dech.

- Wpadł pan do wody?

Potrząsnął głową i nadal delikatnie rozcierał jej ręce. Ale choć dotykanie jedwabnej skóry i ślicznych, smukłych palców sprawiało mu przyjemność, myślami błądził gdzie indziej.

- Wskoczyliśmy do wody we dwóch z jeszcze jednym nurkiem. Robiliśmy, co tylko się dało, by pomóc ofiarom wypadku, ocalić wszystkich... ale trzech zmarło tego samego dnia. Nie zginęli w chwili, gdy most się zawalił. Nie zderzyli się z czymś twardym czy ostrym. Zabiła ich zimna woda. Przebywali w niej stanowczo zbyt długo. Kiedy wreszcie dotarliśmy do ofiar, wszystko było już stracone.

- To straszne - szepnęła. - Cz.. .czy pan ich znał?

Skinął głową. To byli jego przyjaciele, członkowie zespołu roboczego. To był jego most. Wznosił go według własnego projektu. Uciekł spojrzeniem w bok.

- Pracowaliśmy razem. Ja... ja nie zdołałem ich uratować. Jeden... zmarł mi na rękach.

Przez dwa lata, które minęły od katastrofy, Evan z nikim nie rozmawiał o tamtych wydarzeniach. A już z pewnością nie wypłakiwał się przed kimś, kogo poznał przed kilkoma godzinami. Był zaskoczony swoją nietypową reakcją.

- Mój Boże!... Evanie - szepnęła dziewczyna, a to, że zwróciła się do niego po imieniu, podziałało na Evana kojąco. - Jak to się stało, że byłeś tam akurat w chwili, gdy most się zawalił?

- Jestem specjalistą w dziedzinie budowy mostów. A ten był według mojego projektu. Moja duma, radość - powiedział z goryczą. - Zawalił się w trakcie budowy. - Mówił pozornie obojętnym tonem. Przysiadł na piętach. Puste ręce opadły na kolana. W dalszym ciągu nie mógł spojrzeć Catrionie w oczy.

Dotknęła jego ramienia.

- Tak mi przykro... - szepnęła. - Kiedy to się stało?

- Dwa lata temu - odparł.

- Taka tragedia odbiera nam kawałek duszy - powiedziała w zamyśleniu dziewczyna.

Spojrzał na nią. Nigdy nie rozważał sprawy pod tym kątem, ale czuł, że Catriona ma rację.

Dotarło do niego również to, że ona naprawdę go rozumie. Jej brat miał tragiczny wypadek w górach, a ojciec od tych strasznych wydarzeń zmienił się całkowicie. Widziała również, jak mieszkańcy doliny opuszczają Glen Shee na rozkaz hrabiego. Catriona - podobnie jak on - wiedziała doskonale, jak głęboko można zranić duszę.

Słowa dziewczyny były jak łagodne światło w otaczającym mroku. Nieoczekiwanie Evan dowiedział się czegoś o sobie. Zrozumiał, dlaczego od chwili wypadku snuł się po świecie obojętny na wszystko z wyjątkiem własnej klęski. Czemu zrezygnował z budowania mostów na rzecz przebudowy doków, wznoszenia morskich latarni i przekopywania kanałów. Czemu zakopał się w doskonałych wzorach geometrycznych i matematycznych formułach.

Czemu odgrodził się murem od miłości i przyjaźni, którą inni pragnęli mu ofiarować.

- Może upłynąć wiele czasu, nim człowiek dojdzie do siebie po takim ciosie. Niektórzy nigdy nie mogą się podźwignąć - dodała Catriona.

Nadal się trzęsła. Jej organizm jeszcze walczył. Próbował wytworzyć własne ciepło. Evan zmrużył oczy. Zdumiała go głębia współczucia tej dziewczyny. W ciągu kilku minut zrozumiała go lepiej niż ktokolwiek inny przez ostatnie dwa lata. Bezbłędnie zdiagnozowała jego ból i podsunęła niezawodny lek.

Jego przyjaciele i krewni uważali, że powinien wrócić do dawnego życia. Matka pragnęła, by znalazł sobie sympatyczną pannę z towarzystwa i ożenił się z nią jak najszybciej. Chciała, żeby wybudował piękny nowy most, który zastąpiłby ten dawny - zarówno w sensie dosłownym, jak w przenośni. Diabli wiedzą, czemu była przeświadczona, że taka kuracja wyleczy jego zbolące serce, wyzwoli od poczucia winy i samooskarżeń.

Catriona MacConn wcale go nie знаła, a jednak rozumiała, co Evan czuje. Kawalek jego duszy nie odrastał. Trzeba mu było wiele czasu, żeby ozdrowieć, odnaleźć jakimś cudem zagubiony kawałek samego siebie. Ta tragedia zniszczyła go po części. Z czasem poprawiło mu się na tyle, że mógł funkcjonować, trzymając się nieustannie na baczności i nie rozmawiając o tragicznym wydarzeniu.

Nie był jednak w stanie otrząsnąć się całkowicie - i nagle zrozumiał dlaczego. Część jego duszy została oddarta, wymknęła mu się i od tamtego dnia nie wróciła. Nie mógł jej odzyskać.

W zamyśleniu zmarszczył czoło, potem skinął głową.

- Dziękuję, panno MacConn. - Zerknął na wyraźnie zdumioną dziewczynę. - Sama pani teraz widzi, że dobrze wiem, ile złego może sprawić znaczne wyziębienie organizmu. - Wstał. - I nie pozwolę, żeby dzisiejszej nocy pani przez to przeszła. Może pani utrzymać się na nogach?

Wyciągnął do niej rękę. Catriona skinęła głową i pozwoliła, by pomógł jej przy wstawaniu.

- A teraz proszę zdjąć halki i spódnicę. - Znów się wahała, więc ściągnął marynarkę i zarzucił ją na ramiona Catriony. - Proszę to włożyć, a resztę zdjąć. Zaraz znajdzie się pani pod ciepłym pledem! No, szybciotko! - ponaglił i odwrócił się, by zapewnić dziewczynie maksimum prywatności.

Dreszcze nadal nią wstrząsały. Jeszcze nigdy nie była taka zlodowaciała. Miała wrażenie, że całe jej ciało zmieniło się w marmur. Musi uwolnić się od tych zimnych, mokrych łachów. Natychmiast!

Kiedy Mackenzie odwrócił się, zdjęła marynarkę i zaczęła szarpać guziki żakietu. Dłonie jej drżały, całe ciało również. Mięśnie naprężyły się, szczęki zacisnęły. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś będzie jej ciepło. Palce zrobiły się takie niezręczne, że nie mogła rozpiąć żakietu. Jęknęła. Była wściekła i bezradna.

- Już się pani rozebrała? - spytał, nie oglądając się za siebie.

- Mam... pewne trudności - wyznała.

Odwrócił się i podszedł do niej. Nie pytając o pozwolenie, uporał się z pętelkami i guzikami w pasie żakietu i ruszył w górę; jego palce działały szybko i sprawnie.

W milczeniu rozpiął żakiet i zabrał się za rząd maleńkich guziczków przy staniku sukni - od talii aż po stójkę pod szyją. Serce Catriony waliło jak młotem, oddech miała przyspieszony.

Kiedy palce Evana musnęły wgłębienie między jej piersiami, Catriona bez słowa odsunęła jego rękę. Sama rozpięła resztę guziczków. Pod suknią miała tylko koszulkę. Górna część była sucha, ale dół, podobnie jak wszystkie halki ociekał wodą.

Mackenzie znów zerknął na rowek między piersiami i pospiesznie się odwrócił. Catriona wyplątała się z górnej części sukni, potem ściągnęła ją przez biodra. Schwyciła

marynarkę Evana, wsunęła ręce w rękawy z satynową podszewką. Marynarka była oczywiście na nią za duża, ale czuła się w niej dobrze.

- A teraz reszta! - polecił, zerkając przez ramię.

- Nie mogę...

- Panno MacConn! Trzeba natychmiast zdjąć te mokre rzeczy! - burknął. - Bardzo proszę - dodał niechętnie. - Chodzi przecież o pani zdrowie. To wszystko musi wyschnąć!

Wiedziała, że Mackenzie bardzo się troszczy, by się nie przeziębila. I nagle zapragnęła, by cała jego troska i wszystkie myśli koncentrowały się na niej. Wyłącznie na niej! Z westchnieniem pozbyła się ociekających wodą halek. Została tylko w wilgotnej koszulce i majtkach.

Wówczas w jej mózgu zrodziła się szalona, ale bardzo ekscytująca wizja. Wyobraziła sobie, że zdejmuje resztę fatałaszków, a Evan na nią patrzy. Poczowała, jak jej ciało budzi się i drży. Jakimś cudem odgadła smak warg Evana. Wiedziała, że jego uściski będą mocne, ale i czułe, że przeleje w nią swoją namiętność, cały ogień.

Powiedział, że nie jest brzydula, nazwał ją „Piękną Catriona”. Nikt nie obdarzył jej dotąd takim komplementem. A zainteresowanie Evana jej osobą, choćby przelotne, miało magiczny, nieodparty urok.

Zapragnęła nagle, by ta niebezpieczna noc stała się szalona i intymna. Była sam na sam z dobrym i pięknym mężczyzną. Te godziny, które mieli jeszcze spędzić razem, mogły przemienić się w zwariowany cud, rozjarzyć się wszystkimi kolorami tęczy, zajaśnieć blaskiem, który raz na zawsze odmieni jej szarą egzystencję. Pragnęła związać się z Evanem wspólnym przeżyciem, sekretnym i niezapomnianym.

Serce Catriony zamknęło w swoim wnętrzu jej najbardziej szokujące pomysły. Jej palce drżały. Odetchnęła głęboko, zastanawiając się, czy nie zwariowała przypadkiem z powodu zimna. Rozwiązała tasiemkę podtrzymującą majtki i pozbyła się ich. Kremowa bawełniana szmatka wylądowała na podłodze u jej stóp, mokra i zimna, ale Catriona była rada. Zadrżała, ale tym razem nie z zimna, tylko z wrażenia, jakie na niej zrobiło własne zuchwalstwo.

Zachowała koszulkę, gdyż jej obrąbek był zaledwie wilgotny, a poza tym nie mogła się zdobyć na zdjęcie wszystkiego. Otuliła się marynarką Evana. Była zadowolona, że odzienie zakrywa japo uda. Wciągnęła powietrze: szorstka wełna pachniała egzotycznym ziołem, świeżym powietrzem i - oczywiście - Evanem.

Mackenzie odwrócił się i ogarnął ją wzrokiem. Oglądał bez pośpiechu, od głowy do stóp i z powrotem. Jego orzechowo-zielone oczy spoglądały na Catrionę z niezwykłym napięciem. Kiedy znaleźli się twarzą w twarz, uświadomiła sobie, że cienka bawełniana koszulka prawie nie zasłania piersi. Poczowała jak pod spojrzeniem mężczyzny sutki prężą się, a twarz oblewa rumieńcem.

Wyobrazić sobie, że Evan mnie kocha, to co innego, a stanąć przed nim prawie nago - tu poczuła nagły wstyd - to całkiem inna sprawa! -pomyślała. Jakby się wystawiała na pokaz! Do czego mogłoby to zachęcić Evana?!

Jednak dobrze wiedziała, czego chce, i czuła się zobowiązana do konsekwentnego działania. A więc, naprzód w nieznane! Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak gwałtowny poryw zmusza ją do takiego zachowania. Gdy napotkała spojrzenie Evana Mackenziego, serce zabiło jej jeszcze mocniej.

Zmusiła się do oderwania od niego wzroku. Schyliła się, by pozbierać z podłogi ubrania. Ani koszulka, ani marynarka Evana nie zakrywały jej ud.

- Ja... muszę wysuszyć swoje rzeczy - wymamrotała.

Evan jednym gwałtownym ruchem schwycił pled i zarzucił go na Catrionę. Owinęła się nim szczelnie, zakrywając goliznę. Przytrzymała tartan jedną ręką, drugą rozwieszała mokre rzeczy.

Mackenzie wyjął z zanadru srebrną płaską piersiówkę, otworzył ją i podał Catrionie.

- Niewiele zostało - rzucił szorstko. - Proszę to wypić. A potem spać!

Skinęła głową, zmieszana i zawstydzona. Siadła, ukryła nogi pod pledem i pociągnęła łyk z flaszki. Palący trunek spłynął jej do gardła. Roz-kaślała się. Potem jednak poczuła, jak we wnętrzu rozchodzi się cudowny ogień. Ciało zaczęło mrowić, serce się rozkołatało. Nie mogła w tej chwili spojrzeć na Evana. Nadal kierowały nią marzenia i instynkty. Była samotna, od dawna. Przyglądała się, jak inne dziewczęta wychodzą za mąż i rodzą dzieci, ona zaś usiłowała pogodzić się z perspektywą szarego, jałowego życia. Nie tylko chciała się przekonać, czym właściwie jest miłość fizyczna, ale uświadomiła sobie, jak bardzo ją pociąga Evan Mackenzie. I była pewna, że już nigdy nie zdarzy się w jej życiu podobna noc.

To właśnie on, Evan Mackenzie, swoją dobrocią, troską i cierpliwością sprawił, że jej samotność dała o sobie znać. Dotykając go i opatrując, Catriona poczuła, że narasta w niej wrodzona ciekawość. Rozbudził w niej buntownicze myśli i przebłycki namiętności przelotnym dotknięciem i nieprawdopodobnie pięknym uśmiechem. Kiedy w głębiach jego oczu pojawiały się iskierki, wiedziała, że Evan o niej myśli.

To tylko płody wyobraźni, zrodzone w przystępie nagłego szaleństwa, tłumaczyła sobie. Evan po prostu odczuwał wdzięczność za okazaną pomoc, i tyle. Był przystojnym, wykształconym dżentelmenem, a ona prostą szkocką dziewczyną. Kiedy jutro pogoda się poprawi, Mackenzie odejdzie, a ona nigdy więcej go nie zobaczy.

Ale raz, tylko ten jeden raz!, kusily ją grzeszne pragnienia. Zignorowała je i oddała flaszkę.

- Dziękuję. Potrząsnął głową.

- Jeszcze odrobinę! Powinna pani wypić więcej, jeśli chce się roz grzać.

Bez protestu wypila jeszcze jeden łyżeczek, a po nim następny, gdy ją do tego zachęcił. Połknięty ogień rozchodził się po całym ciele. Było jej tak dobrze... Oddała srebrną flaszkę.

- Ani kropli więcej - oświadczyła stanowczo. - Prawie nic nie jadłam. Tylko by mnie zemdliło.

Wziął piersiówkę i sam z niej pociągnął. Jego wargi przywarły do szyjki w tym samym miejscu, w którym dotykały jej usta. Przyglądała się, jak trunek spływa mu przez gardło.

- Pan Grant powiada, że po urazie głowy nie powinno się pić whisky -ośmieliła się wtrącić.

- Pan Grant widać nigdy nie zmylił drogi w zimną noc i nie znalazł się w chacie owczarzy sam na sam z piękną dziewczyną- zauważył sucho. -A teraz proszę spać!

Położyła się tak, że miała pled pod sobą i na sobie. Wełna drapała ją po bosych nogach, więc podciągnęła kolana pod brodę.

Evan Mackenzie usiadł przy ogniu. Zgiął jedną nogę w kolanie, by oprzeć na nim ramię. Wziął pogrzebacz i uderzał nim w poczerniałe cegiełki torfu. Podniósł się dym. Ale mimo starań, kruszący się torf nie zapłonął jasnym ogniem.

- Przydałoby się nam więcej opału - zauważył. - Ale chyba reszta torfu zamokła.

- Moja spódnica! - rzuciła z pośpiechem.

- Sytuacja nie jest aż tak rozpaczliwa - wycedził. - Ma pani prześliczne nogi, panno MacConn, ale mimo to spódnica chyba będzie pani potrzebna, gdy opuścimy ten apartament - uniósł pytająco brew.

Potrząsnęła głową.

- W kieszeni mam sporo papieru. Może przyda się na podpałkę. Sięgnął po spódnicę i wymacał plik złożonych kartek.

- Czy to listy?

- Notatki - odparła. - Zapisalam kilka gaelickich pieśni.

- Doprawdy? - Zerknął na kartki. - A, to zapisy nutowe.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Właśnie z tego powodu wybrałam się dziś na wzgórze. Zbieram stare gaelickie pieśni od mieszkańców doliny - wyjaśniła. - Od lat uczę się ich na pamięć i zapisuję wszystkie.

- Fascynujące! - powiedział, lekko marszcząc czoło. - Potrafi pani zrobić transkrypcję nutową usłyszanej melodii, a w dodatku może się pani porozumieć nie tylko po gaelicku i angielsku, ale również po francusku, włosku i niemiecku.

- I od biedy po grecku - dorzuciła.

- Widzę, że nie jest pani typową szkocką góralką.

- Jestem córką pastora - odparła. - Czego się pan spodziewał? Że spędzam wolne chwile, chodząc boso po górach w podartych łachmanach, że papłę w Bóg wie jakim narzeczu i pilnuję owiec? Wykształcenie jest równie ważne w naszych górach, jak w innych regionach Szkocji. Uczyłam się w domu i przez dwa lata studiowałam w Edynburgu. Mam równie dobre wykształcenie, jak pan. Tyle że nie znam się na inżynierii.

- A ja na nutach - odparował. - Nie znam też włoskiego. Mamy zatem remis.

Uśmiechnęła się blado.

- Proszę wziąć to na podpałkę, panie Mackenzie. Będziemy mieli trochę światła i ciepła, choćby przez chwilę.

- Ależ ja nie mogę tego spalić! Tu jest mnóstwo pieśni zapisanych nutami, a niżej tekst po gaelicku i angielsku. To z pewnością kosztowało wiele trudu!

- Jest tu zaledwie dziesięć pieśni. Mogę je opracować po raz drugi. Większość dobrze pamiętam, a przy innych pomoże mi przyjaciółka Morag MacLeod. Proszę to spalić. Nie mamy innego wyjścia.

Tym razem ustąpił i rzucał kartki po jednej do ognia. Zaraz się zrobiło widniej i cieplej. Catriona przyglądała się, jak papier czernieje, sypią się iskry. Przymknęła oczy, starając się nie myśleć o straconych pieśniach, tylko radować się ciepłem. Naprawdę mogła odtworzyć te notatki, tyle że potrwa to dość długo.

Przyglądała się, jak Evan zajmuje miejsce przy ogniu.

- Panie Mackenzie, będzie panu zimno bez marynarki - powiedziała.

- Pani jest bardziej potrzebna - odparł. - Mnie ogrzeją piosenki. - Uśmiechnął się, a Catriona zachichotała. Potem oparł głowę na ramieniu.

- Dobranoc, panno MacConn.

- Dobranoc... - wymamrotała z nagłym poczuciem zawodu. Będzie leżała w ciemności samiutka i zziębnięta. Przyciągnęła kolana do siebie, dygocząc z zimna mimo zakietu i pledu. Nieco wcześniej mocna, nie rozwodniona whisky spowodowała istny pożar w jej brzuchu, ale teraz to wrażenie ustąpiło. Poczowała znów ostrze lodowatego wichru, wciskającego się wszystkimi szparami do izby.

Ściągając pled nieco niżej, zerknęła na Evana Mackenziego. Papier spłonął bardzo szybko, ogień już dogasał. Trzeszczące cegiełki torfu rzucały jeszcze trochę blasku. Spostrzegła, że Evan nie śpi. Ód razu poczuła się winna, bo leżał niczym nieosłonięty.

- Panie Mackenzie - zagadnęła. - Bardzo tam panu zimno? - spytała, choć znała odpowiedź.

- No, cóż... Zastanawiam się właśnie, co by tu jeszcze spalić - wycedził. - Może gdzieś by się znalazła sucha krowka?

- Mnie też jest zimno. - Drżała i oddychała z trudem. - Co pan na to... żebyśmy się znowu... przytulili?

- Ja na to jak na lato!

W jego głosie usłyszała nutę ulgi, ucieszyła się więc, że wystąpiła z taką propozycją. Gdy zaś Evan wstał i podszedł do niej, poczuła rosnące w sobie oczekiwanie i coraz donośniejszy stukot własnego serca. Słyszała je tak wyraźnie, że mogłaby zliczyć wszystkie

uderzenia.

Evan przykucnął i dotknął jej policzka.

- Jest pani naprawdę zziębnięta.

- Nie mogę... po prostu nie mogę się rozgrzać. Och!... - wykrzyknęła, kiedy ciałem wstrząsnęły znów dreszcze. Stopy miała zimne jak lód, ale w tym drzeniu była niewątpliwie cząstka podniecenia. - Wszystko stało się jeszcze zimniejsze, gdy ogień zgasł.

- Istotnie - przytaknął.

Usiadł, zdjął buty i położył się obok Catriony pod pledem. Leżeli twarzą w twarz. Evan podłożył sobie jedną rękę pod głowę, drugim ramieniem objął dziewczynę. Rozwartą dłonią zaczął masować jej plecy. Poczwała, że jego nogi w pończochach dotykają jej nagich nóg, jakby używały opieki bezbronnym.

Catriona zamknęła oczy i oparła policzek na jego ramieniu. Była absolutnie wyczerpana niekończącą się walką z zimnem. Nagle zaczęła drżeć; widać jej organizm próbował sam wytworzyć ciepło. Przytuliła się do Evana jeszcze mocniej.

- Dobrze już, dobrze... - mówił, oplatając ją ramionami. - Powietrze jest niesamowicie zimne, a pled za cienki dla nas dwojga. W tej sytuacji stanowimy dla siebie nawzajem najpewniejsze źródło ciepła.

W milczeniu skinęła głową. Dygotała w dalszym ciągu, mimo że od kilku minut energicznie nacierał jej plecy. Objęła go w pasie, gładziła jego ramiona i plecy, żeby też się przyczynić do wytwarzania ciepła. Jej palce sunęły po satynowych plecach kamizelki. Przez materiał ubrania Evana wyczuwała imponującą szerokość jego ramion i gładkie, ale twarde mięśnie pleców.

Gdy masująca dłoń Evana sunęła w dół i wreszcie dotarła do wypukłości jej siedzenia, Catriona raptownie wciągnęła powietrze. W najtajniejszej głębi jej ciała coś się poruszyło. Zdawało się jej, że topnieje jak lód, czuła dziwne mrowienie. Westchnęła. Miała wyraźną ochotę na więcej, ale ręka Evana powędrowała znów do góry, by masować ramię.

Gorąco zbierało się pomiędzy nimi. Catriona poczuła, że Evan gładzi ją po włosach, potem po plecach. W tej chwili nie miało już dla niej znaczenia, że leży półnaga w ramionach obcego człowieka. Miała wrażenie, że znają się od lat. Ciepło jego ciała i szczerzej troski o nią otulało Catrionę niczym drugi pled.

Kiedy pod wpływem łagodnych pieszczot ciało Catriony zaczęło pulsować, zrozumiała, że rozplómienia ją pożądanie. Ciekawe, czy Evan również je odczuwa?... Jego dotknięcie było jak płomień, przepalało materiał... Catriona zaczęła oddychać w tym samym rytmie co on. Każda cząsteczka jej ciała łaknęła jego pieszczot.

- Jeszcze ci zimno?

Niski głos Evana niespodziewanie przerwał ciszę. Przyprawił ją o dreszcz, zmusił do zamknięcia oczu.

- Tak, trochę. - Uderzenia jej serca przypominały huk piorunów. Leżąc w jego ramionach, czuła, jak budzi się i trzepocze w niej namiętność. Zadrżała znowu, ale już nie z zimna. - A tobie...?

- Też trochę.

Czuła na policzku jego oddech, a gdy odwróciła głowę, dotknął wargami kącika jej ust. Serce waliło Catrionie jak oszalałe, we wszystkich tajemnych zakątkach swojego ciała czuła przypływ pożądania. Nachyliła się ku Evanowi.

Potem z westchnieniem odrzuciła głowę do tyłu, a jej usta same poszukały jego ust. Jak łatwy był ten pierwszy krok, łagodny i czuły. To nie był zły początek. To był niewinny pocałunek. Dobry Boże!... Czyżby zawędrowała do nieba?... Zacerpnęła powietrza i rozchyliła wargi, napraszając się o więcej.

Ramiona Evana zacisnęły się wokół niej, nakrył ustami jej usta i zaczął całować mocniej, wdzierał się głębiej, z taką siłą i namiętnością, że miała wrażenie, iż została rażona

piorunem. Pomyślała, że stopnieje od tej niewinnej błogości; była bezbronna wobec samej siebie.

6

Nikt jej w ten sposób nie całował. Nigdy! Nie miała pojęcia, że pocałunek może przypominać lot z ogromnej wysokości albo kąpiel w słonecznym blasku - gorącą i rozkoszną. Nie miała również pojęcia, że pożądanie może zrodzić się w niej i rozszerzyć jak pożar, niszcząc cały jej świat.

Evan utrzymywał, że ocaliła mu życie. Ona jednak wiedziała, że to on ją ocalił. Jego czuły i delikatny dotyk, zachłanne pocałunki ratowały ją od gorzkich myśli o wiecznej samotności, na którą była od dawna skazana.

Tylko raz pokieruje się własną chęcią, ulegnie głosowi namiętności, przekona się, jak wygląda miłość. Tylko jeden jedyny raz - a potem Evan na zawsze odejdzie z jej życia. Teraz zaś pragnęła, żeby znowu przelał w nią swój ogień. W poszukiwaniu ciepła spuściła z uwięzi drzemiącą w niej niebezpieczną siłę i głębokie pożądanie.

Pragnę cię, chciała mu wyznać. Kiedy znowu ją pocałował, poczuła rozkoszny dreszcz. I tego także pragnęłam od dawna!, dodała w myślach.

Jakąkolwiek cenę przyjdzie jej za to zapłacić, zapłaci z radością. Świadome pragnienie i głęboko skrywane pożądanie zagrzewały ją do czynu.

Evan odsunął się nieco i leciutko pogładził Catrionę po włosach. Jaka słodka pieszczota!

- Już trochę cieplej? - spytał szeptem.

- Trochę- powiedziała ledwo słyszalnie, nadstawiając się do drugiego pocałunku.

- Paluszki u nóg nadal zimne - szeptał, gdy ich stopy igrały ze sobą. -Twoje rączki też - dodał, gdy przesunęła palcami po jego policzku i przeczesła lśniąca gęstwinę włosów. - Dawaj je tu!

Rozpiął kamizelkę i koszulę, obnażając klatkę piersiową. Wsunął ręce pod zakiet Catriony, objął ją w pasie i przyciągnął bliżej. Tak mocno, że ich piersi przylgnęłyby do siebie, gdyby nie cienka koszulka Catriony, ostatnia bariera pomiędzy nimi. W brzuchu Catriony roztrzepotały się motyle, w piersiach czuła mrowienie. Z Evana promieniowało gorąco.

Catriona zbliżyła twarz do jego twarzy, nadstawiła się jak do pocałunku i czekała, co będzie dalej. W następnej sekundzie całował ją znowu, czule i rozkosznie. Czuła się bezpieczna, otoczona troską i miłością, choćby na krótko! Uznała tę chwilę za najszczęśliwszą w całym swoim życiu.

Ręka obejmująca ją w pasie sunęła pieszczotliwie w dół, po dolnej części pleców, biodrze i po zewnętrznej stronie uda. Następnie ruszyła w górę. Palce dotykały żeber, kciuk musnął z boku pierś Catriony. Zamknęła oczy i pozwoliła Evanowi zapoznać się ze wszystkimi partiami jej ciała i dotykać, gdzie tylko zechce, gdyż jego pieszczoty rozpałały wielki pożar.

Gdy ręka Evana znów zaczęła wędrowkę, Catriona wstrzymała dech. Nakrył dłonią jej pierś, a koniuszkami palców podrażnił sterczący sutek. Jęknęła, gdy nachylił się i przesunął wargami po obojczyku i nieco niżej, póki gorącym oddechem nie ogrzał jej piersi.

Wygięła się ku niemu łukiem i poczuła, że Evan rozgarnia pospiesznie fałdy koszulki. Jego ręka szybka i pewna spoczęła na nagiej piersi; dotknięcia były z początku bardzo delikatne, ale wkrótce stały się pewniejsze, zdecydowane, aż jęknęła z obawy, że stopnieje z rozkoszy.

Powiodła ręką po jego odsłoniętej piersi, pokrytej sprężystymi włoskami. Poznawała dotykiem płaszczyzny jego ciała, wyczuwała pod skórą twarde mięśnie. Przylgnęła biodrami do Evana. Czuła jego rosnące podniecenie i odsunęła się nieco, by powstrzymać natarczywy ból. Evan uniósł głowę i znowu pocałował ją w usta. Nie przerywając żarliwego pocałunku,

pieścił równocześnie jej piersi i drażnił sutki. Catriona poczuła nagle w całym ciele niezwykle dreszcz -jakby przeszła ją błyskawica.

Pożądanie wybuchło z całą mocą. Bijąc skrzydłami o klatkę jej ciała, usiłowało wyrwać się na wolność. Rzucając się niespokojnie i cicho popłakując, błagała bez słów o dalsze pieszczoty.

Ręka Evana sunęła znowu w dół po zmiętej koszuli i wreszcie znalazła udo ukryte pod wilgotnym obrąbkiem. Catriona czekała bez tchu, z dziwnym niepokojem. Palce Evana dotarły do zbiegu ud, potem ostrożnie wśliznęły się do tajemnego wgłębienia. Catriona głośno zaczerpnęła powietrza.

W pierwszej chwili intymny dotyk zbił ją z tropu, ale wkrótce całe jej ciało zapłonęło cudownym, rozżarzonym do białości ogniem. Pojękując cichutko kołysała się w rytm ruchów Evana i miała wrażenie, że się zaraz rozpułynie... Nagle poczuła, że wspina się gdzieś wysoko, a później, że osiąga szczyt, o którego istnieniu nie miała dotąd pojęcia. Było to jak nagłe pojawienie się światła w ciemności.

Logiczny umysł i zwykły zdrowy rozsądek nie miały większego znaczenia w fascynującym piekle, które odkryła w swoim wnętrzu. Równocześnie rosło w niej pragnienie, aż nie mogła tego dłużej wytrzymać. Błagała więc bezgłośnie całym ciałem, rękoma, ustami, że musi poczuć go w swoim wnętrzu. Przeczuwała bowiem, że tylko w ten sposób zaspokoi dręczący głód.

Gwałtownie przesuwając dłoń po obnażonej piersi Evana, po jego płaskim brzuchu. Ciągnęła go za ubranie, szukając w ciemności tasiemek i haftek. Z mocno bijącym sercem, dotknęła go jak pierwsza lepsza ulicznica. Nie wiedziała, czego oczekiwać, ale to, co poczuła, wydało się jej cudowne: hartowana stała się spowita w aksamit, potężna i piękna. Pod wpływem nagłego pożądania wygięła się w łuk i pojękując, błagała o coś, czego jej ciało domagało się od dawna, o czym wiedziało znacznie wcześniej niż ona.

Przesunęła po nim palcami, poczuła, jak istota męskości rośnie pod jej dotykiem. Usłyszała jęk Evana, gdy ich wargi się zetknęły. A potem jego palce - musnęły piersi Catriony, przemknęły po brzuchu, budząc podniecenie. W końcu Evan zaczął znowu pieścić najbardziej intymną i tajemną część jej ciała. Pod zdumiewająco subtelną pieszczotą zaznała raz jeszcze cudownego upojenia, towarzyszącego szczytowaniu.

Ale nawet i to nie było wystarczające; pragnienie stawało się coraz większe, bardziej natarczywe, potężniejsze niż wszystko, z czym kiedykolwiek miała do czynienia. Wiedzona instynktem, Catriona rozchyliła nogi i węzowym ruchem otarła się o Evana. Jęknął cicho i zmienił pozycję, nadal jednak obejmował ją w talii. Wówczas pojęła jasno, czego tak pragnęła i nie mogła się doczekać, nie mogła, nie mogła!

Wznosząc się łukiem ku niemu, zmieniając pozycję, czuła, jak Evan w nią wnika. Jak twardnieje i napiera, z początku delikatnie, ale potem zjawiał się ból. Nie był wielki, ale wciągnęła głośno powietrze. Zanim jednak zdążyła odetchnąć, wstrząs spowodowany wniknięciem Evana do jej wnętrza zelżał. Poczuła ogromną ulgę. Pomiaukując z głębokiej, nieopisanej rozkoszy, usłyszała nagle jęk Evana i napała na niego, przyjmując go w siebie bez reszty. Czuła, jak pulsuje wewnątrz niej, staje się jej częścią. Krzyknęła, gdy wbijał się mocno i głęboko, by zaspokoić najsilniejsze pragnienie duszy i ciała, z jakim się spotkała.

Kołysząc się w równym rytmie, słyszała dudnienie własnego serca, gdy ich ciała stopiły się w jedno. Obejmując Evana ramionami, czuła, jak on dygocze, wypuszcza raptownie powietrze z płuc i nieruchomieje.

Zaklął pod nosem i wycofał się pospiesznie. Ich ciała nie stanowiły już jedności. Przez chwilę tulił ją mocno do siebie, oddychając głęboko i szybko. Catriona czuła nawet przez koszulę i kamizelkę, jak bardzo się spocił; ona zresztą także. Była rozradowana, odprężona, zaspokojona. Rozkoszowała się ciepłem i bezpieczeństwem.

Evan potrząsał głową.

- Nie tak miało być - powiedział cicho, trochę do niej, trochę do siebie. - O, Boże, tak mi przykro! Dziewczyno kochana... Że też musiało się zdarzyć coś takiego!

Odsunął się od niej jak najdalej, usiadł, odłożył pled. Do ich gniazodka wtargnęło lodowate powietrze, wypierając ciepło i namiętność. Serce jej zamarło.

- Zaczekaj, Evanie, proszę! - Wyciągnęła do niego rękę. - Nie mam nic przeciwko...

- Ale ja mam - warknął. - Postaraj się zasnąć. Jest ci przynajmniej ciepło. Obojgu nam jest ciepło, psiakrew! Od tego się wszystko zaczęło... i zaszło za daleko. To znaczy, ja posunąłem się zbyt daleko. Niech to wszyscy diabli! - Mówił szeptem i potrząsał przy tym głową. - Jak mogłem... Myślałem, Catriono, że zdołam się powstrzymać. Ale zdarzyło się coś, o czym z pewnością nie marzyłaś.

Nie marzyła? Właśnie że marzyła! Catriona była tego pewna. Nigdy dotąd nie zaznała podobnej rozkoszy! Odetchnęła głęboko i już miała mu to powiedzieć, gdy odwrócił się raptownie i wstał.

Obserwowała go mimo ciemności. Ruszył do drzwi. Wyszedł na straszny mróz. Lodowate powietrze wtargnęło do izby i wypełniło pustkę, jaka powstała po wyjściu Evana.

Catriona zamknęła oczy, chcąc powstrzymać łzy. Zwinęła się w kłębek i położyła pod jeszcze ciepłym pledem. Nic nie zostało z podniecającej wiary w siebie, którą rozbudził Evan. Zastąpiło ją poczucie osamotnienia, silniejsze niż kiedykolwiek.

W jego ramionach czuła się piękna, zachwycająca. Teraz, gdy nią wzgardził, stała się znów brzydula, jeszcze paskudniejszą niż zwykle - wielką, niezgrabną, nikomu niepotrzebną. Co prawda przeczuwała, że nigdy nie doświadczy miłości, ale Evan Mackenzie dał jej odrobinę nadziei. Był silny, piękny i dobry, więc zakochała się w nim, zapragnęła go z całych sił. On jednak wcale jej nie chciał. Jutro każde z nich wróci do swojego świata i zapomną o sobie.

Drzwi otwały się w końcu i Evan wszedł do środka. Ukląkł obok Catriony. Odwrócona do niego plecami udawała, że śpi. Po chwili położył się obok niej. Ani drgnęła. Jego oddech stawał się coraz głębszy, coraz wolniejszy. Catrioną poczuła, że i ją morzy sen.

Nadal dokuczał jej chłód, gdyż ciepło pledu, jeśli nawet korzystali z niego wspólnie, było niewielkie w porównaniu z żarem, jakim pałali tak niedawno.

Evan obudził się z Catrioną w objęciach. Jego oddech zamarzał w powietrzu. Czuł, jak lodowate podmuchy wiatru wdzierają się do izby przez dziury w ścianach i suficie. Świt już blisko, pomyślał. Wszędzie rozlewało się szare światło.

Choć nie słyszał deszczu, wiedział, że stoki, po których można było zejść do doliny, nadal są zdradziecko śliskie. Powinni zostać z Catrioną trochę dłużej w chacie owczarzy.

Z niezwykłą jasnością myśli uświadomił sobie, że pragnie zostać z nią tu jak najdłużej. Chciał, by oboje mieli trochę czasu, żeby dowiedzieć się o sobie jak najwięcej. Od tego właśnie zaczęli wczoraj wieczorem, zanim podnieciła go namiętna reakcja Catriony.

Cóż go tak otumanilo, do diabła, że się z nią kochał? To, co mu zostało w pamięci, przypominało erotyczny sen, ale było zarazem tak realne, że musiało zdarzyć się naprawdę. Dziewczyna miała w sobie tyle subtelnego uroku, że zdołała sforsować jego bariery obronne. I wówczas utracił swoją słynną samokontrolę.

Mając ją tak blisko, znów poczuł pożądanie. Ładnie by się jej wywdzięczył za uratowanie życia, gdyby straciła przez niego dobre imię!

Objął ją ramieniem jeszcze mocniej. Westchnął z żalem i tęsknotą. Catrioną opierała się na nim całym ciężarem. Taka ciepłutka, ufna we śnie... Wczoraj oboje potrzebowali ciepła. I serdecznego zainteresowania ze strony drugiej istoty ludzkiej. Aż dziw, że się znalazł ktoś taki na tym odludziu. Ale co się z nimi stanie, gdy opuszczą chatę?

Winien był Catrionie przeprosiny, jeśli nie coś więcej. Nie wiedział jednak, co robić, co powiedzieć. Nie zachował się ani rozsądnie, ani po dżentelmeńsku. Krzywda została wyrządzona. Niewinność dziewczyny pogwałcona. Niewątpliwie z jego winy, choć Catriona

była ciekawa i chętna.

Prawie jej nie znał, ale pragnął jej i czuł się z nią związany. I jeszcze długo po opuszczeniu chaty jego serce... częśćka serca, będzie należała do Catriony. Żadna kobieta nie zrobiła na nim takiego wrażenia. Catriona uspokajała go, potrafiła zadowolić, rozumiała jak nikt, choć nie umiałby wytłumaczyć, czemu tak było.

Pochylił się i pocałował dziewczynę w czoło. Magiczna siła łącząca ich ze sobą nadal działała jak magnes. Ale pogoda wkrótce się poprawi, każde z nich pójdzie swoją drogą, a przygoda dobiegnie końca.

Był wykończony, Catriona spała, nic nie wymagało natychmiastowego rozwiązania. Nie wypuszczając dziewczyny z objęć, Evan zapadł w sen.

- Catriono!

Ocknęła się na dźwięk swojego imienia; myślała, że to Evan ją woła, choć głos dochodził z daleka. Otworzyła oczy i ujrzała, że jasne słońce poranka przenika do ciemnego wnętrza. Spała o wiele dłużej, niż zamierzała.

Evan leżał obok i obejmował ją ramieniem.

- Evanie! - szepnęła. - To ty mnie wołałeś?

- Co takiego?... - zamrugął.

- Catriono! - odezwał się znów głos. - Gdzie jesteś? Nie miała już wątpliwości.

- To mój ojciec. - Usiadła gwałtownie. - Stoi na zewnątrz...

- Catriono! Jesteś tam?

Zaczęła się wyplątywać z pledu, ale Evan popchnął ją na posłanie i naciągnął na nią wełniane okrycie.

- Nie ruszaj się! - mruknął, wstając. - Leż spokojnie! - polecił. - Jesteś nieubrana.

- O Boże! - jęknęła. Zacisnęła ręce na pledzie.

- Catriono!

Drzwi otwały się z impetem i blade światło wtargnęło do wnętrza. Na jasnym tle wyraźnie zarysowała się sylwetka wielkiego mężczyzny w czarnym ubraniu i meloniku na gęstej grzywie. Stał, ściskając w ręku długą łaskę, a jego cień sprawiał niepokojące wrażenie.

- Catriono! - zagrzemiał, zaglądając do mrocznego wnętrza. - Jesteś tu, dziewczyno?

- Jestem, tatusiu.

Z mocno bijącym sercem usiadła na posłaniu, podciągając pled aż pod brodę. Spojrzała niespokojnie na Evana Mackenziego, który stał obok legowiska, wysoki i opanowany.

- Chwała Bogu! Jest tutaj! - krzyknął do kogoś przez ramię wielebny Tomasz MacConn i przekroczył próg. Poruszał się sztywno, oparty na lasce. Za nim weszli do izby trzej inni mężczyźni. Ich potężne postacie przesłoniły światło dzienne, ale nie zablokowały dostępu świeżego, zimnego powietrza. Catriona zadrzała.

- Nic ci się nie stało, córko? - spytał ojciec, podchodząc do niej. - Bogu niech będą dzięki! Obawialiśmy się, że znowu coś strasznego wydarzyło się na tych zboczach... - Urwał nagle i zmierzył wzrokiem Evana. - Czy jest pan tym, o kim myślę?

- Bez wątpienia. - Evan skłonił się lekko. - Dzień dobry, panie pastarze.

- Nic mi nie jest, tato - zapewniła pospiesznie Catriona. - Zaskoczyła nas zawierucha... O, to ty, Finlayu? - powitała brata z wyraźną ulgą. - I pan Grant! Dzień dobry panu - odezwała się do trzeciego przybysza. Był to Kenneth Grant, właściciel niewielkiej posiadłości na przeciwległym końcu doliny, który odgrywał w Glen Shee rolę lekarza. Wielki Boże! Czy ojciec zapędził do poszukiwań całą wieś?! Niebawem wszyscy w dolinie dowiedzą się o jej hańbie.

Cztery pary oczu wpatrywały się w Catrionę ze zdumieniem i podejrzliwością. Okropnie się zmieszala. Siedziała na podłodze w samej koszuli, z rozczochranymi włosami. Nie ulegało wątpliwości, że pled, którym się osłaniała, zastępował łóżko - jedyne w izbie.

Niewątpliwie korzystali z niego wspólnie z Evanem. Stał teraz koło niej, odziany tylko w koszulę, rozpiętą kamizelkę i spodnie. Co gorsza, koszula wychodziła mu ze spodni, jakby wciągnął ją w pośpiechu. Był rozczochrany, na bosaka.

Prawda po prostu biła w oczy; była jasna jak słońce i przejmowała zimnym dreszczem jak poranne powietrze, wpadające do zrujnowanego i zaniedbanego wnętrza. Kenneth Grant zamknął kopniakiem drzwi za sobą jakby chciał podkreślić swoją dezaprobatę lub wyładować gniew.

Ojciec i brat Catriony oraz dwaj pozostali poszukiwacze wpatrywali się w przyłapanych na gorącym uczynku kochanków przez kilka sekund, które ciągnęły się nieskończoność.

Proboszcz z poczerwieniałą twarzą zaatakował Evana Mackenziego.

- A ty, mój panie! - ryknął do niego po angielsku. - Jaks znalazł się tu z moją córką... i to w tak... haniebnym stanie?!

Evan spoglądał na niego ze spokojem.

- Zapewniam, pastorze, że były po temu ważne powody.

- Zaskoczyła nas okropna zawierucha, omal nie zamarliśmy z zimna - odezwała się Catriona. - A pan Mackenzie doznał obrażeń podczas upadku...

- Obrażeń? - wtrącił się Kenneth Grant. - Odgrywam w tej dolinie rolę lekarza. Panno MacConn, czy pani się źle czuje? A może zraniła się pani?

- Nic mi nie jest - odparła. - Ale pan Mackenzie...

- To doprawdy nic wielkiego - zapewnił Evan.

- Pan Mackenzie? - zwrócił się proboszcz do córki. - Tak ci się przedstawił?

Spojrzała na ojca, potem na Evana.

- Nie rozumiem, o co chodzi?

- To nie jest jakiś tam pan Mackenzie - odparł gniewnie ojciec. Catriona spojrzała ze zdumieniem na Evana. Odwrócił wzrok.

- Ojciec, oni z pewnością zgłodnieli i przemarli. Dajmy im jedzenie i koce, które zabraliśmy ze sobą. - Finlay zdjął plecak. - Przeżyli ciężkie chwile, nie ulega wątpliwości. Najpierw zabierzmy tych dwoje do domu i niech pan Grant ich opatrzy. Potem opowiedzą nam szczegółowo o swojej przygodzie.

Evan przeciągnął ręką po zmierzwionych włosach i spojrzał na Finlaya. -Dziękuję panu!

- Chcę od razu poznać te szczegóły - warknął ojciec.

- Najważniejsze, że żyją- perswadował Finlay.

Grant pokiwał głową.

- To prawda. A jeśli ten dżentelmen doznał obrażeń...

- Wyglądają całkiem zdrowo - stwierdził wielebny MacConn. - Skrzyżował ramiona na piersi i wpatrywał się złym wzrokiem w Evana.

- Na litość boską, Kildonan, co z tobą? - Czwartym z mężczyzn wysunął się do przodu. - Cholernie miło znów cię zobaczyć! Zapamiętamy tę nockę, co?

- Z pewnością, Fitz - odparł spokojnie Evan. - I ja się cieszę, że cię widzę. Panno MacConn, to mój przyjaciel, Arthur Fitzgibbon.

- Już się obawiałem najgorszego, kiedy rozszalała się zawierucha, a ty nie wróciłeś - opowiadał Fitzgibbon. - Wybrałem się więc z powrotem do doliny i natknąłem się na tych dżentelmenów, którzy wyruszyli na poszukiwanie panny MacConn. Musieliśmy trochę poczekać, żeby się przejaśniło, a drogi podeschły. Noc była koszmarna, wszystko oblodzone, a poranna wyprawa też się nie zapowiadała na piknik. Co za szczęście, że znaleźliśmy was oboje za jednym zamachem, Kildonan!

Catriona miała wrażenie, że serce w niej zamiera, gdy wszystko nagle wyszło na jaw. Spojrzała na Evana.

- ...Kildonan?... - szepnęła.

- Tak - odparł, spoglądając na nią ponurym wzrokiem. - Nowy hrabia Kildonan to ja.

7

Catriona nie odezwała się ani słowem, gdy cała grupa kroczyła ostrożnie po pasterskim trakcie, gdyż nadał był oblodzony. Nie rzuciła nawet okiem na Evana Mackenziego... Nie, na lorda Kildonana, przypomniała sobie z goryczą. Skoncentrowała uwagę na ojcu. Skutkiem dawnego upadku i urazu kręgosłupa było mu bardzo trudno chodzić po górzystym terenie. Przede wszystkim powinien unikać długiej wspinaczki po stromych zboczach. Jednak wielbny Tomasz MacConn nie chciał przyjąć pomocy córki i nie przytrzymał się jej ramienia przy trudniejszych podejściach. To, że ojciec nie skorzystał ze wsparcia i wyraźnie - choć bez słowa - potępiał jej zachowanie, zabolalo Catrionę bardziej, niż chciała przyznać.

Kiedy dotarli wreszcie do domu, dziewczyna nadal milczała. Ale ciotka, Judith Rennie, i przyjaciółka rodziny pani MacAuley, właścicielka jedyne go zajazdu w Glen Shee, wzięły ją od razu w obroty. Niemal ogłuszona mnogością niespokojnych okrzyków i szelestem czarnych spódnic obu wdów, Catriona pozwoliła odprowadzić się na górę, do sypialni, gdzie czekała już na nią ciepła kąpiel, suche ubranie i gorący posiłek.

Czuła na sobie wzrok Evana, gdy odchodziła. Usłyszała jednak, że Mackenzie prosi Arthura Fitzgibbona, by udał się do zamku Kildonan i sprowadził jego siostrę. Hrabia wspominał, że siostra właśnie dziś miała przyjechać na spotkanie. Było więc znacznie więcej spraw, w które nie wtajemniczył Catriony. Nie miała pojęcia, że bawił w zamku już od kilku dni.

Pozostawiając Evana w holu, Catriona czuła, że cała energia opuszcza ją nagle, jakby to siła Mackenziego podtrzymywała ją w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, a teraz została jej odebrana. Evan Mackenzie, ten, którego znała, przestał istnieć. A teraz, gdy znalazła się znów na plebanii ojca, w atmosferze pełnej napięcia i krytycyzmu, czuła wewnętrzny opór: nie pozwoli zepchnąć się do bezpiecznego azylu, za który miała zapłacić milczeniem i posłuszeństwem.

Pragnęła tylko snu i spokoju. Potrzebowała czasu, żeby przemyśleć własne postępowanie i zastanowić się, co ją czeka w niedalekiej przyszłości. Czuła się zraniona i zawiedziona. Ojciec i ciotka byli wściekli i zaszokowani tym, że spędziła noc sam na sam z mężczyzną. Dla niej jednak największy cios stanowiło odkrycie, że Evan ją oszukał. Uznała to za zdradę. Nie był już dobrym, pełnym miłości nieznanym, za jakiego go uważała. Nie był też mężczyzną, o którym mogłaby marzyć w przyszłości, gdy poczuje się bardzo samotna.

Zamiast tego okazał się synem znenawidzonego hrabiego Kildonana i to, jak głośno wieść, niewiele lepszym od ojca. A ona mu pozwoliła... Gdzie tam pozwoliła, zachęcała go jak ostatnia ladacznica, by ją wykorzystał!

Połączyły ich chwile wspólnego zagrożenia i namiętne, intymne pieścizoty. Ale prawdą nie raczył się z nią podzielić! I właśnie tego nie mogła mu wybaczyć.

Nie zdobyła się na ani jedno spojrzenie na lorda Kildonana, choć stał na korytarzu w pobliżu jej pokoju, obserwował ją i zachowywał ponure milczenie.

- Zmarzła pani potężnie, a w dodatku wpadła do lodowatej wody. Wolałbym sprawdzić, czy płuca nie ucierpiały, panno MacConn. Pozwoli pani, że osłucham serce i płuca.

Pan Grant pochylił się nad pacjentką i delikatnie ostukał górną część klatki piersiowej. Siedząc obok niej w salonie na sofie z wyściółką z końskiego włosia, zbadał także plecy, zbliżając do nich głowę, by lepiej słyszeć każdy szmer.

Siedząc prosto i oddychając powoli, Catriona błogosławiła panią MacAuley, że luźno zasznurowała gorset po kąpielu, a przed założeniem nowej jedwabnej sukni w szaroniebieskie paski. Czekala teraz w milczeniu na zakończenie badania.

Ciotka Judith również milczała, stojąc obok zamkniętych drzwi salonu i odgrywając rolę przyzwoitki. Splotła przykładnie ręce, a jej dostojne oblicze kaziła głęboka zmarszczka na czole. O, tak! Ciocia Judith nie ukrywała swojej dezaprobaty. Wdowa po właścicielu ziemskim z hrabstwa Perth, Judith Rennie była damą o silnym charakterze i żelaznej woli. Szybko doszła do wniosku, że spotkanie Catriony z nowym hrabią nie było niebezpieczną przygodą, lecz skandalicznym wybrykiem bratanicy.

Choć tak opaczne podsumowanie wydarzeń Catriona mogłaby uznać za osobistą urazę, nie zdziwiły jej wnioski, jakie wyciągnęła wdowa. Nie miała teraz dość energii na wyprowadzanie z błędu cioci Judith. Zresztą, poczucie winy zamykało jej usta. Zachowała się wyjątkowo głupio, dokładnie tak, jak sądziła siostra ojca. Westchnęła i spojrzała na Kennetha Granta, gdy odsunął się po oględzinach.

- Wygląda na to, że wszystko w porządku. Jeszcze chwileczkę! - Wyjął stetoskop i przyłożył do piersi, osłuchując pacjentkę przez kilka warstw ubrania. - Doskonale! Płuca czyste. - Odłożył narzędzie. - Jest pani okazem zdrowia, jak zawsze. Tylko bardzo zmęczona, prawda?

- Owszem - przytaknęła po angielsku. Tym językiem posługiwano się na plebanii z wyjątkiem kuchni i pokoju dzieciennego, gdy była jeszcze mała. Ojciec odprawiał nabożeństwa w języku gaelickim, ze względu na parafian - szkockich górali. W domu jednak wymagał poprawnej angielszczyzny, zarówno w jadalni, jak i salonie.

Kenneth Grant spojrzał na ciotkę Catriony.

- Pani bratanica wyszła bez szwanku z tej niebezpiecznej przygody, ale powinna odpocząć przez kilka dni. Nie doradzałbym forsownych marszów po górach, dopóki nie odzyska pani sił, panno MacConn. Żadnych wypraw z Morag MacLeod! - dorzucił ostrzegawczo.

- Catriona i Morag MacLeod mają ważne zadanie do wykonania: odbierają zrobione na drutach rękawice, szaliki i szaliki dla żołnierzy, jak panu z pewnością wiadomo - odezwała się Judith Rennie. - To część owocnej działalności charytatywnej, która powinna przebiegać regularnie.

- Kilka dni nie zrobi chyba różnicy?

- Catriona jest w dobrym stanie zdrowia, a słyszałam, że lordowi Kildonanowi również nic nie dolega. Nie warto było organizować poszukiwań, nieprawdaż, Catriono? - powiedziała Judith, wyraźnie zadowolona z siebie.

- Sytuacja była groźna, łaskawa pani - odparł z powagą Grant. - Hrabia Kildonan dorobił się potężnego guza na głowie i siniaków podczas upadku ze ściany skalnej. Ma wyjątkowe szczęście i bardzo silny organizm. Potrzebuje tylko wypoczynku i będzie znowu zdrow jak ryba. Twierdzi stanowczo, że panna MacConn ocaliła mu życie. Może być pani dumna z bratanicy, pani Rennie. Zachowała się jak dobry Samarytanin!

- Jest córką pastora, więc powinna nieustannie świecić dobrym przykładem. Niestety, nie zawsze to się jej udaje - odparła Judith z pogardliwym prychnięciem.

- Spędziliśmy kilka godzin w strasznych warunkach, ale oboje wyszliśmy zdrowi i cali - powiedziała Catriona z naciskiem. - Moim zdaniem w takiej sytuacji najwłaściwszą reakcją byłyby modły dziękczynne, ciociu, zwłaszcza na plebanii.

- Oczywiście jesteśmy wdzięczni niebu i uradowani, że nie wydarzyła się kolejna tragedia. Nie sądzę, by twój ojciec ją przeżył - odparła ciotka. - Ale to wydarzenie przysporzyło nam niemało zmartwień.

Catriona westchnęła. Grant spojrzał na nią z twarzą bez wyrazu, jeśli nie brać pod uwagę charakterystycznego dlań ponuractwa i braku humoru. Nigdy nie czuła się swobodnie w towarzystwie tego człowieka. Brał wszystko zbyt serio i miał wiecznie niezadowoloną minę, co pasowałoby raczej do kostycznego starca, a nie mężczyzny w jego wieku. Był od niej starszy najwyżej o dziesięć lat.

- Czy skończył pan już badanie pacjentki, panie Grant? Ksiądz proboszcz chciałby porozmawiać z Catriona w gabinecie. Idziemy, moja droga! - Otworzyła drzwi i odruchowo schyliła głowę. - Hrabia odwiedził twojego ojca. Czekają na nas.

Serce Catriony znów zaczęło walić jak szalone na myśl o spotkaniu z Evanem, zamienieniu z nim kilku słów...

- Idź sama, ciociu. Ja... przyłączę się do was za chwilę.

Judith Rennie znów prychnęła z lekceważeniem i opuściła salon, pozostawiając uchylone drzwi. Grant wziął Catrionę za rękę.

- Pozwoli pani, że raz jeszcze sprawdzę puls, droga panno MacConn? Zniosła pani niezmiernie trudną próbę.

A ciotka robi, co może, żeby mi jeszcze bardziej zatruć życie, miała ochotę powiedzieć Catriona, ale w milczeniu usiadła obok Granta. Kiedy skinął głową i puścił jej rękę, uśmiechnęła się do niego.

- Bardzo jestem wdzięczna, że pofatygował się pan do Glenachan. I za to, że brał pan udział w poszukiwaniu mnie i... hrabiego Kildonana.

- Rad jestem, że mogłem się na coś przydać - powiedział, mrużąc piwne oczy. Był wysoki, miał kwadratową twarz i szopę ciemnych włosów. Ponieważ jego posiadłość, Kilmallie, oddalona od probostwa o dwanaście kilometrów, znajdowała się na wschodnim krańcu doliny, nieczęsto odwiedzał Glenachan. Wprowadzał teraz pewne ulepszenia na terenie niedawno odziedziczonej posiadłości. Zainstalował specjalne wybiegi dla owiec, które wreszcie zaczęły dawać pokaźne zyski. A jednak zawsze znajdował czas na odwiedzanie chorych. Było to wybawieniem dla mieszkańców Glen Shee, gdyż najbliższy prawdziwy doktor mieszkał trzydzieści kilometrów od doliny, w Kyle of Lochalsh. - Lubię pomagać ludziom, a zwłaszcza tobie, moja droga panno Catriono.

Niekiedy zwracał się do niej po imieniu; ostatecznie znali się od dzieciństwa. .. Ściśle mówiąc, od jej dzieciństwa. Był w tamtych czasach rzadkim gościem na plebanii. W ogóle nie przepadał za życiem towarzyskim. Uśmiech miał wymuszony i bezbarwny, jakby uśmiechanie się było dla niego torturą. Catriona przekonała się już, że Grant nie ma poczucia humoru, a jego wiecznie poważna, niekiedy nawet posępna mina bywała czasem irytująca.

- Ostatnio mało kto odnosi się do mnie tak życzliwie - powiedziała. Grant zmarszczył brwi.

- Trudno się dziwić, że wielebnego proboszcza to zdarzenie wytrąciło z równowagi. Drżał ze strachu, że spotkało panią coś złego. Ubiegłej nocy musiałem mu dać środek uspokajający taki był roztrzęsiony. I prosił mnie, żebym z panią poufnie porozmawiał i dowiedział się, czy nie została pani... skrzywdzona w inny, szczególny sposób.

- Lord Kildonan zachowywał się jak przystało na dżentelmena, jeśli o to panu chodzi - odparła.

Ostatecznie, była to prawda... a w każdym razie połowa prawdy. Przecież to ona nie zachowywała się jak dama! Nie zamierzała jednak dzielić się z kimkolwiek takimi szczegółami.

Grant spojrział na nią surowo.

- Pani ojciec obawia się, że została pani... skompromitowana. Nie ulega wątpliwości, że oboje z Kildonanem korzystaliście z jednego pledu.

- Musieliśmy, żeby nie zamarnąć na śmierć - odparła. - Było straszliwe zimno. Ojciec i ciotka nie mogą uwierzyć, że nawet w tej chacie groziła nam śmierć. Myślę, że pan jako lekarz zdołałby ich przekonać, że nie bez powodu korzystaliśmy wspólnie z tego pledu. Co zresztą wcale nie oznacza, że zostałam skompromitowana.

- A więc jednak spaliście razem. No, cóż... Mam nadzieję, że ta burza w szklance wody ucichnie równie szybko, jak wczorajsza.

Catriona w milczeniu skinęła głową. Gdyby podać do ogólnej wiadomości szczegóły,

nie wybuchłaby burza, ale huragan!

- Muszę iść do ojca - oznajmiła. - To już wszystko, panie Grant? Wstała, on również się podniósł.

- Proszę mi poświęcić jeszcze minutkę, panno MacConn - odezwał się z dziwnym niewesołym uśmiechem. Podszedł do drzwi i zamknął je starannie.

- Zamykanie drzwi nie jest konieczne... ani właściwe - zaprotestowała i wyciągnęła rękę, by znów je otworzyć. - Już wystarczająco naraziłam się ciotce! - Miał to być żart, ale Grant nie roześmiał się. Catriona przypomniała sobie, że jest zawsze poważny. I nigdy nie znał się na żartach.

- To, co zrobiłaś, też nie było właściwe, moja droga - stwierdził. - Gdybym wiedział...!

- Cóż takiego? - Chciała go wyminąć, ale schwycił ją za ramię. Odwróciła się początkowo zaskoczona, potem przerażona; Grant był wyraźnie zły. - O co chodzi? Czy ojciec albo ciotka prosili, żeby pan... wybadał mnie w innej sprawie?

- Żałuję, że nie miałem pojęcia, iż zawsze poprawna panna Catriona, najbardziej ofiarna ze wszystkich córek w naszej dolinie, ma ochotę spędzić noc w męskich ramionach - powiedział cicho. - Pospieszyłbym się ze swoimi konkurami. - Chwycił ją mocno za rękę. - Obawiam się, czy nie jest już za późno.

Próbowała się go pozbyć.

- Za późno? Co pan chce przez to powiedzieć?

- Byłem tam przecież, moja droga. Widziałem, jak siedzisz na tym barłogu, na którym spaliście oboje. Wyglądałaś tak pięknie z rozpuszczonymi włosami, różanymi policzkami, ustami... Ten widok zranił mnie do głębi - powiedział i musnął dłonią jej policzek. - Pragnę tego, co tak łatwo dostało się hrabiemu. Zasługuj na to bardziej niż on!

- Proszę mnie puścić! - powiedziała cicho, lecz ostro.

Serce jej biło gwałtownie, w głowie miała zamęt. Czyżby istotnie zdradzał jakieś oznaki miłości, a ona ich nie dostrzegła? Albo przejawy okrucieństwa? Zawsze był poważny i posępny, ale idealnie uprzejmy.

- Znałem cię od lat i już dawno poprosiłbym proboszcza o twoją rękę, ale sama zgodziłaś się na rolę „Przydatnej brzyduli” - córki, która wyrzeka się małżeństwa dla dobra rodziców. A tu masz!... Lepiej, gdybyś uciekła z domu i wyszła za kogokolwiek. Tak, to byłby dla mnie mniejszy szok niż taka hańba... Oddałaś się hrabiemu Kildonanowi. Właśnie jemu!

- Zachowywał się bez zarzutu. Już o tym panu mówiłam. - Było to zgodne z prawdą... do pewnego stopnia. - Nie jestem niczyją kochanką, jeśli panu o to chodzi. Proszę mnie puścić!

- Każdy w Glen Shee wie, że stary hrabia miał szkocką utrzymankę, i to niejedną. Widocznie synalek wstępuje w jego ślady.

- Nie ze mną! - burknęła, znów go odpychając. - A to, co się wydarzyło ostatniej nocy, to nie pańska sprawa. Ani niczyja! Proszę mnie zostawić w spokoju!

Ale on chwycił ją w ramiona i przyciągnął do siebie.

- Uspokój się i słuchaj! - syknął, gdyż Catriona wyrывała mu się. - Wiem o twoim bracie.

Znieruchomiła.

- O moim bracie? - szepnęła.

- Finlay MacConn sprowadza tu w sekrecie ludzi, którzy przed laty zostali wypędzeni z Glen Shee. I osadza w dawnych zagrodach.

- To... śmieszne! - powiedziała zdławionym głosem.

Skąd Kenneth Grant dowiedział się o tym? Finlay działał bardzo ostrożnie i do tej pory sprowadził tylko te rodziny, których zagrody znajdowały się w najbardziej odległych zakątkach doliny.

- Widziałem ich na własne oczy - stwierdził Grant. - Właśnie polowałem na swoim gruncie, tam, gdzie mój majątek graniczy z posiadłością Kildonana. Psy pomknęły za jeleniem. Jechałem za nimi w dość dużej odległości i nagle zobaczyłem dym z komina tam, gdzie powinna znajdować się od dawna opuszczona zagroda. A potem ujrzałem starego MacGillechalluma, którego wyrzucono z równie starą żoną z tej właśnie zagrody. Oboje siedzieli sobie na słoneczku przed swoim domkiem. A domek miał nowy dach i nowe drzwi. Co ty na to?

- Nie wiem, o czym pan mówi - odparła.

- Ależ wiesz, wiesz... - powiedział, trzymając ją mocno w talii. - Myślę, że mu pomagałaś. Ty i Finlay włóczycie się po górach całymi godzinami... Czasem nawet trwa to kilka dni. A ta starucha nuciła melodię, którą ty śpiewałaś, moja droga. Dziwna, bardzo stara pieśń. Od kogo mogłaś się jej nauczyć, jak nie od tej staruszki?

Pochylił głowę i zanucił fragment pieśni. Brzmiała dziwnie w ustach Granta, śpiewana płaskim głosem. Catriona spojrzała na niego.

- Proszę mnie puścić i natychmiast stąd wyjść - powiedziała zimno. - Kiedy mój ojciec i brat dowiedzą się, że pan, doktor!, ośmielił się mnie znieważać i to w tak ohydny sposób, tematu do plotek nie zabraknie. A od słów łatwo przejść do czynów.

Przyciągnął dziewczynę blisko, żeby mogła usłyszeć jego szept.

- Jak myślisz? Co nowy hrabia robi, kiedy się o tym dowie? Jego rządca podejmuje takie decyzje na własną rękę! No, cóż... pewnie go Kildonan każe aresztować. Szeryf w Inverness i sędzia z Torridon zawsze wspierali decyzje starego hrabiego. A teraz Finlay MacConn... i jego piękna siostra... złamali prawo. Tym ludziom zabroniono osiedlać się w dolinie. Nie należą do dzierżawców zaaprobowanych przez właściciela majątku. Nie nadają się do ciężkiej pracy i nie mają pieniędzy na czynsz dzierżawny.

Stała bez ruchu w jego uścisku. Ogarnął ją paniczny strach.

- Czego pan chce ode mnie? Czemu właśnie teraz wywleka pan te sprawy?

- Chcę, żebyś mnie całowała, najmilsza Catriono - mruknął gniewnie. - Pragnę sam zaznać tego, co zaszło między tobą a Kildonanem.

Sunał wargami po jej policzku. Catriona wzdygnęła się. Gdy dotknął ustami jej ust, poczuła odrazę i gniew. Znow zaczęła się szarpać, ale trzymał ją mocno. Był wielki, silny, zdeterminowany. Nie miał w sobie żadnego uroku. Widział wszystko w czarnych barwach, a przestępstwo Finlaya i grzech, jaki popełniła Catriona z Kildonanem, sprawiły, że ocknęło się w nim okrucieństwo.

Kenneth całował ją, usta miał twarde i zimne. Odwróciła głowę.

- A teraz słuchaj! - warknął. - Zawiadomię o nielegalnej działalności twojego brata zarówno hrabiego, jak i szeryfa. I dopilnuję, żeby ci starcy i wszyscy inni włóczędzy, których sprowadził tu Finlay, zostali znowu wyrzuceni z domów. Nie mają prawa tu mieszkać!

- A cóż to pana obchodzi? - spytała, znow próbując się wyrwać.

- Więcej niż myślisz. Ziemie Kilmallie graniczą z posiadłościami Kildonana. Hrabia zamierza sprzedać te właśnie grunta, a ja planuję je nabyć. Te stare dziady nie zabawią tam długo, jeśli będę miał coś do powiedzenia w tej sprawie. Hrabia ma już chętnych nabywców. Chcą tu przyjechać i obejrzeć posiadłość na własne oczy. To bogacze, którzy albo przekształcą cały teren na wybiegi dla owiec, albo zamienią posiadłość w istny raj dla myśliwych.

- To niemożliwe! - wykrztusiła z trudem. - Byłam pewna, że to tylko plotki. On by nie mógł zrobić czegoś podobnego!

- Mógłby i robi. A łążęgi, które Finlay bezprawnie osadza na tych terenach, pójdą znow do diabła! Już się o to postara Kildonan, albo nowi właściciele majątku... albo ja, o ile zdołam nabyć te grunta. Ale wydaje mi się, że ty i ja dojdziemy jakoś do porozumienia.

- Co pan ma na myśli?

- Zatrzymam przy sobie informacje na temat występków twojego brata - odparł. - A ciebie i mnie złączy jeszcze jedna słodka tajemnica.

Brutalnie przycisnął ją do siebie. Nawet przez kilka halek czuła wyraźnie, jak był pobudzony. Przywarł do Catriony i schylił się, by ją pocałować.

- Dasz mi wszystko, czym raczyłaś Kildonana - powiedział. - Jeśli jesteś jego kochanką, będziesz i moją. A ja udam, że nic nie wiem o za miarach Finlaya.

Skamieniała w ramionach Granta.

- Mam do ciebie prawo, odkąd okazałaś się dostępna. - Podparł jej głowę od tyłu i znów pocałował, choć wrywała się z obrzydzeniem. - Taka jest cena mojego milczenia, panno Catriono. Twój hrabia o niczym się nie dowie, a brat będzie bezpieczny. Zdobędę ziemię, na której mi zależy... Kildonan złapie sporo grosza i wróci znów na niziny. Nie będzie się zastanawiał nad losem ładniutkiej Szkotki, którą zbałamucił.

Wpatrywała się w niego oszołomiona. Grant ucałował ją w policzek.

- Do rychłego spotkania, moja droga. - Puścił ją i wyszedł na korytarz.

Catriona stała przez dłuższą chwilę, drżąc na całym ciele. Nagle zrobiło się jej tak słabo, że opadła na fotel. Schyliła nisko głowę. Była o krok od zemdlenia.

8

Proszę siadać, milordzie —odezwał się z namaszczeniem Tomasz MacConn. - Synu, pozostaw drzwi uchylone. Twoja ciotka i Catriona powinny zaraz tu być.

Evan usiadł na obitym skórą fotelu naprzeciw biurka proboszcza, Finlay zaś stanął przy oknie. W niewielkim, zagraconym pokoju centralne miejsce zajmowało ogromne biurko i skórzane fotele ustawione na wydeptanym dywanie. Pełne książek biblioteczki stały pod ścianami, a ciemne kotary ograniczały dopływ światła. W gabinecie był jeszcze wielki kamienny kominek.

- Ojciec, hrabia Kildonan jest z pewnością skrajnie wyczerpany i powinien choć trochę wypocząć przed tym przesłuchaniem - odezwał się Finlay.

Tomasz MacConn spojrzał pośpiesznie na syna.

- Musimy wyjaśnić tę sprawę bez zwłoki.

- Oczywiście. Doskonale rozumiem niepokój rodziny - powiedział Evan.

Proboszcz zasiadł za biurkiem i złożył ręce na brzuchu pod srebrnym łańcuszkiem od zegarka, wyraźnie widocznym na tle czarnej kamizelki. Pastor był potężnie zbudowanym, imponującym mężczyzną. Evan bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak samą swoją czcigodną obecnością i donośnym głosem budzi lęk parafian, zwłaszcza tych, którzy przejęli się duchem Wolnego Kościoła.

- Świetnie, milordzie - oświadczył wielebny MacConn. - Pewien jestem, że zrozumie pan również niepokój mojej siostry, pani Rennie. Po prosiłem ją, by uczestniczyła w naszym spotkaniu i przyprowadziła Catrionę.

Evan skinął głową. Zachował obojętny wyraz twarzy, choć serce mu podskoczyło na samą myśl, że ujrzy znów Catrionę, choćby w obecności jej rodziny. Spotkanie nie zapowiadało się przyjemnie, on zaś nie miał zamiaru spowiadać się z tego, co zaszło w chacie owczarzy. Cokolwiek był winien Catrionie - a nie wątpił, że ma wobec niej dług wdzięczności - musi zostać rozstrzygnięte w prywatnej rozmowie. Bez świadków!

- Milordzie - odezwał się Finlay. - Podczas pańskiego badania, pan Fitzgibbon odjechał do zamku Kildonan, by powiadomić pana krewnych o szczęśliwym zakończeniu sprawy.

- Jestem bardzo wdzięczny. Moja siostra i szwagier z pewnością się ucieszą, że wszystko jest w porządku.

- A teraz do rzeczy, milordzie - odezwał się znów wielebny. - Pan Fitzgibbon powiedział nam, że wczoraj wybraliście się we dwóch na Beinn Shee i straciliście się z oczu z powodu mgły. Pogoda zmieniła się na gorsze. Za to wszystko nie można, oczywiście, nikogo

winić. Chciałbym jednak się dowiedzieć, jakim sposobem pan i moja córka znaleźliście się sam na sam w chacie i pozostaliście tam przez cały dzień i noc.

- Bardzo chętnie to wyjaśnię. Kiedy straciliśmy się z oczu z panem Fitzgibbonem, miałem wypadek podczas dalszej wspinaczki - relacjonował Evan. - Spadłem ze ściany skalnej i straciłem przytomność. Panna MacConn, idąca pasterskim traktem, zobaczyła mnie i pomogła dowieść się do chaty owczarzy. Burza się nasiliła i musieliśmy zatrzymać się tam na dłużej. Zbocza pokryły się lodem i nie mogło być mowy o zejściu, do Glen Shee.

- Jestem pewien, że przeżyliście koszmar - powiedział Finlay. - Chata jest w fatalnym stanie. Trudno ją nawet uznać za schronienie. Zamierzałem wezwać cieślę i strzecharza, żeby podreperowali tę ruderę. Chętnie to zaaranżuję, oczywiście za pana zgodą.

- Za moją zgodą? - zdumiony Evan uniósł pytająco brwi.

- Chata stoi na pańskim gruncie, sir. Posiadłość Kildonanów obejmuje całą dolinę Glen Shee i liczy sobie ogółem osiemdziesiąt dwa tysiące akrów. Nawet większa część góry Beinn Shee należy do pana. - Finlay wyprostował się, potem skłonił lekko głowę. - W całym tym zamieszaniu nie miałem okazji przedstawić się jak należy panu hrabiemu. Jestem pańskim rządcą; pod moją opieką znajduje się Glen Shee i Kildonan. Objąłem tę funkcję po śmierci starszego pana Granta. Nie mieliśmy dotąd okazji poznać się osobiście. Kontaktowałem się przeważnie z lady Jean i sir Harrym.

Evan skinął głową.

- Wiem, panie MacConn, że jest pan rządcą. Moja siostra powiadomiła mnie, jakie korzystne zmiany wprowadził pan w moich posiadłościach.

- Bardzo dziękuję, sir.

Finlay oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersi. Był to wysoki młody człowiek przed trzydziestką. Grubokościsty, z niewielkim brzuszkiem. Ciemnobrązowe włosy, niebieskie oczy. Na jego sympatycznej twarzy malowała się szczerłość. A skórę miał tak delikatną, że czerwienił się z byle powodu jak pensjonarka. Evan dostrzegł wyraźne podobieństwo do Catriony. Jean i Harry bardzo często chwalili nowego rządcę.

- Jak tylko będzie to możliwe, panie MacConn, spotkamy się i zaznajomi mnie pan z obecną sytuacją w Kildonan - powiedział Evan.

- Oczywiście, sir. Bardzo przepraszam, że przerwałem pańską wypowiedź. Proszę mówić dalej! A więc pogoda nagle się zmieniła. W tej części Gór Szkockich to się zdarza. W chacie owczarzy musiał być straszny ziąb.

- Owszem, ale jakoś daliśmy sobie radę - odparł Evan.

- Wszyscy zauważyliśmy, że korzystaliście z kominka, a na palenisku stał kociołek - przypomniał pastor. - Może nie było wam aż tak źle, jak się wydawało?

- Przez dziurawy dach wpadał wiatr, deszcz i śnieg. Roznieciliśmy małe ognisko, ale torf zamókł i szybko się wypalił. Do jedzenia mieliśmy tylko garść owsa z odrobiną whisky.

- Moja córka nie pije mocnych trunków - zaprotestował wielebny MacConn. - Chyba że w celach leczniczych.

- W tej sytuacji whisky była niezbędnym środkiem leczniczym. Zrobiło się tak zimno, że groziło nam zamrznięcie. Panna MacConn poważnie ucierpiała od przejmującego chłodu i wilgoci; pojawiły się u niej pierwsze oznaki powolnego zamarzania. Nie poskarżyła się jednak ani słowem! Może pan być dumny ze swojej córki, pastorze. Jej zachowanie, według mnie, było godne najwyższego podziwu.

Evan wiedział, że cała wina spada na niego. Zmierzył twardym wzrokiem ojca Catriony, który nagle się rozkaślał.

Rozległo się stukanie do drzwi i weszła pani Judith Rennie. Evan zetknął się z siostrą proboszcza zaraz po przyjeździe i dobrze pamiętał, jak chłodno go przyjęła. Spowita w czerń z wyjątkiem kołnierzyka z białej koronki, na chudej twarzy wieczny grymas dezaprobaty. Podał jej krzesło, za co podziękowała prawie niedostrzegalnym ruchem głowy, i usiadła.

Trzymała się prosto. A ręce w czarnych koronkowych mitenkach złożyła na podołku. Przypominały ptasie szpony, gotowe w każdej chwili wczepić się w zdobycz i rozszarpać ją na strzępy.

- Judith, moja droga, lord Kildonan wyjaśnił, że on i Catriona zostali zaskoczeni przez fatalną pogodę - wyjaśnił pastor. - Nie mieli innego wyjścia, by nie zamarznąć w tej okropnej ruderze.

- Doprawdy? - Pani Rennie przeszła Evana lodowatym spojrzeniem swoich jasnoszarych oczu. Włosy w kolorze żelaza miała osłonięte czarną siateczką. - Zapewne doszedł pan do wniosku, że utrzymanie towarzyszącej mu damy w cieple, wszystko jedno jakimi sposobami, jest obowiązkiem dżentelmena. Kiedy was odnaleziono, Catriona nie była przyzwoicie odziana.

- Znaczna część jej ubrań ociekała wodą. Czy według pani miałem pozwolić, by zamarzała na śmierć i zadbać tylko o własne wygodę?

- Hrabia trafił w sedno - rzekł Finlay. Ciotka naburmuszyła się.

- Nikt nie powinien wahać się po górach przy takiej pogodzie. To była niewybaczalna lekkomyślność! Powinniście zejść do doliny. Oboje!

Evan pospiesznie odwrócił wzrok. Starał się trzymać w ryzach swój wybuchowy temperament. Finlay prychnął pogardliwie i przesłał hrabiemu spojrzenie pełne współczucia.

- Finlayu! Sprawdź, co zatrzymało twoją siostrę - polecił Tomasz MacConn. - Miała przyjść, gdy tylko pan Grant skończy ją badać.

- Jestem pewien, że sama zaraz się tu zjawi - odpowiedział Finlay.

Zaskoczony dyskretnym acz wyraźnym buntem Finlaya, dławiąc w sobie odruch sprzeciwu wobec tych obrzydłych świętoszków, Evan spoglądał na drzwi. Nie mógł się doczekać przyjścia Catriony jak niecierpliwy sztubak.

- Panie hrabio, Catriona rzeczywiście została przyłapana w niekompletnym stroju - odezwał się znów proboszcz. - Czy może pan to jakoś wytłumaczyć?

- Wpadła do strumienia i skąpała się w lodowatej wodzie. Miała przemoczone ubranie i przemarzała do szpiku kości. Wszystko to jest bardzo niebezpieczne w tak niskiej temperaturze. Wstrząsały nią bardzo silne dreszcze, szczękała zębami z zimna, wargi jej posiniały. Skłoniłem Catrionę, by zdjęła wszystkie mokre rzeczy, wypła odrobinę whisky i położyła się obok mnie na pledzie, według najlepszych tradycji niewinnej przytulanki.

- A, przytulanka! - zainteresował się Finlay. - Teraz wszystko jasne!

- Nie dla mnie - zaprotestowała pani Rennie. - Byli sami. A Catriona posłusznie wykonywała polecenia hrabiego. Jak myślicie, co jeszcze kazał jej uczynić? Obawiałam się, Tomaszu, że nowy hrabia nie będzie lepszy od starego, no i sprawdziło się. Uwodzić młodą dziewczynę w taki sposób!... - Wytarła nos w koronkową chusteczkę.

Evana ponosił gniew, porywczy i płomienny. Dusił go jednak w sobie, mocno splatając palce obu rąk.

- Zapewniam, że nie skrzywdziłem tej młodej damy. Poza tym nie ma pani prawa osądzać mnie na podstawie zachowania mojego ojca.

- Byliście sami przez dzień i noc - przypomniał pastor. - Mógł pan bez trudu wykorzystać dziewczynę w chwili, gdy czuła się bezbronna.

Jak, u licha, odpowiedzieć na coś takiego?!

- Podziwiam pańską córkę, panie pastorze, i traktowałem ją z należnym respektem.

No cóż, tak przecież było... w pewnym sensie. Zmarszczył brwi i spojrzął na nich buntowniczo znad piramidki splecionych ze sobą palców.

- Dziewczyna też nie przyzna się do niczego - orzekła pani Rennie. - Oto skutki błędnie pojętej lojalności!

Evan przyglądał im się zimnym wzrokiem, w milczeniu. Rosło w nim poczucie solidarności z Catriona i gniew na jej ciotkę, wiedźmę bez serca, i na pozornie srogiego, a w

gruncie rzeczy pozbawionego charakteru ojca. Za to brat dziewczyny wart był tyle złota, ile sam ważył!

Evan nie zamierzał dłużej dyskutować na temat ostatniej nocy. Nie ulegało wątpliwości, że Catriona jest w niełasce. To on ściągnął na nią hańbę. Odpowiedzialność za to przytłaczała go ciężkim brzemieniem.

- Sądzę, Tomaszu, że konsekwencje są dla wszystkich jasne - rzekła pani Rennie.

Tomasz MacConn zmarszczył brwi.

- O, tak! Dziewczyna jest skompromitowana i w mocy grzechu. - Rzucił Evanowi mordercze spojrzenie. - I to pan, hrabio, jest wszystkiemu winien!

Evan wstał i oparł się dłońmi o biurko proboszcza.

- Pomagaliśmy sobie przetrwać tę noc, ocalić się nawzajem od śmierci - powiedział cicho, z przejęciem.

- Bardzo wygodna wymówka - prychnęła pogardliwie pani Rennie.

Evan zaczerpnął haust powietrza. To prawda, dziewczyna była niewinna, a on posunął się za daleko. Jego również zaskoczyła siła pożądania, które nim owładnęło, pokonując samokontrolę i zdrowy rozsądek. Urażony brakiem zrozumienia ze strony świętoszków, wiedział, że nie ma nic na swoją obronę.

- Żywię najwyższy szacunek dla panny MacConn. I zapewniam, że nie były to warunki sprzyjające romantycznym uniesieniom - warknął.

- Nie pora na fałszywą delikatność. Musimy się dowiedzieć, co konkretnie wydarzyło się ostatniej nocy - oświadczyła siostra proboszcza. - Czy oboje...

- Daj spokój, Judith, to bez znaczenia - odezwał się wyjątkowo rozsądnie proboszcz. - Wystarczy, że byli tej nocy sami, bez przyzwoitki. Do tego sprowadza się cały problem.

Judith Rennie rzuciła bratu tak ostre spojrzenie, że potężnie zbudowany mężczyzna omal się nie ugiął, i zwróciła swoje wyblakłe oczy na Evana. On jednak nie zamierzał poddać się despotce.

- Nie będę dyskutować o szczegółach. Pani wyciągnęła już własne wnioski i z góry nas potępiła, nieprawdaż? Jaki sens ma dalsze przesłuchanie?

Siostrze pastora zaparło dech, a Finlay wybuchnął śmiechem.

- Moim zdaniem zachowywali się, jak należy. Catriona bywa uparta, ale zrównoważona, a lord Kildonan to prawdziwy dżentelmen, któremu można zaufać.

- Wszyscy już wiedzą o wydarzeniach ubiegłej nocy albo dowiedzą się w najbliższym czasie - upierała się pani Rennie. - Plotki dotrą aż do Inverness, Fort William, a może jeszcze dalej! Wiecie, jak pani MacAuley lubi plotkować. Napisze o tym potwornym skandalu do swoich krewniaków z innych miast. Nazwisko twojego ojca zostanie zbrukane.

- Chyba zamazanie Catriony na śmierć byłoby jeszcze bardziej potworne? Wybacz, ojcze, ale dobrze wiesz, że to prawda - powiedział Finlay. - Nie przeżyłaby tej nocy w mokrym ubraniu, zapięta pod szyję, pod czas gdy Kildonan żłopałby whisky i grzał się pod jej pledem. Gdybym był na jego miejscu, postąpiłbym tak samo: ratowałbym dziewczynę na wszelkie sposoby, nie zastanawiając się, co ludzie powiedzą.

Skinął głową Evanowi na znak aprobaty.

- To naprawdę niepokojąca sytuacja - powiedział pastor i wzniosł bezradnie rękę, jakby nie wiedział, co dalej mówić lub czynić. Rzucił Evanowi gniewne spojrzenie.

- Tak czy owak, Catriona po tej... eskapadzie nie może dłużej pozostawać na plebanii - zawyrokowała Judith Rennie. - Już i tak mamy dość zmartwień. Zresztą, to nie do pomyślenia, by w stanie grzechu przebywała pod dachem Bożego sługi.

- Jak możesz sugerować coś podobnego?! - zaperzył się Finlay.

- No, cóż... będę musiała tu pozostać i zająć się prowadzeniem domu - powiedziała z westchnieniem. - A nasi krewni z Glasgow może zgodzą się udzielić schronienia Catrionie.

- Z Glasgow?! - wybuchnął Finlay.

Siedzący w fotelu Evan pochylił się w stronę proboszcza.

- Przepraszam z całego serca. Cała wina spoczywa na mnie. Może pan mną gardzić, może mnie oskarżać, panie pastarze. Ale proszę nie karać niewinnej dziewczyny!

- Żadne przeprosiny nie wystarczą - wtrąciła się pani Rennie. - Catriona to nie dziewczka od krów, z którą hrabia miał ochotę pofiglować. Nie żyjemy w średniowieczu!

- Pani mnie znieważa - zaprotestował Evan. - Ona ocaliła mi życie!

- Może byłoby lepiej, gdyby wyjechała stąd na jakiś czas - odezwał się Tomasz MacConn i zerknął na siostrę niemal z poczuciem winy.

- Mojemu bratu mogą odebrać probostwo z powodu tego skandalu - obwieściła pani Rennie. - Nie wie pan, hrabio, ile złego pan wyrządził!... A może pan wie aż za dobrze?... - dodała tajemniczo.

W Evanie narastało jakieś mroczne, gwałtowne uczucie. Gniew? Poczucie winy? Wyrzuty sumienia? A może wszystkiego po trochu. Wstał, ciężko dysząc, i zwrócił się wprost do proboszcza.

- Potępia pan córkę, wypędzając z rodzinnego domu i Glen Shee za to, że ocaliła komuś życie?!

- Ja... - Tomasz MacConn spuścił oczy. - Zawsze była z niej dzielna dziewczuszka... Ale nie mogę uwierzyć, że musieliście spędzić razem tę noc.

- Bardzo nad tym ubolewamy - wtrąciła się pani Rennie, choć Evan wcale się do niej nie zwracał. - Ale jej ojciec jest sługą bożym. Powinien wspomagać tylko cnotliwych.

- Współczucie dla bliźnich również jest przejawem cnoty - odciął się Evan. - I słowa wdzięczności za szczęśliwy powrót do domu też spodobałyby się Bogu.

Po tym wybuchu gniewu-westchnął ze zniecierpliwieniem i odwrócił się gwałtownie. Ręce same zacisnęły się w pięści. W głowie miał zamęt. Catrionę wywiozą stąd jak najdalej. I podobnie jak w przypadku szkockich górali, których stąd wypędzono, promienny, życzliwy dla wszystkich duch Catriony uschnie z tęsknoty za doliną i za wszystkim, co kochała.

Determinacja, z jaką Catriona walczyła o jego życie, i wielkoduszność, z jaką mu się oddała, zostanie nagrodzona wygnaniem, które złamie jej serce. A wszystkiemu był winien on i tylko on! Dźwigał już ciężkie brzemie innej winy. Katastrofy, za którą był odpowiedzialny... przynajmniej częściowo. Ubiegłej nocy nikt nie stracił życia - ale przez niego zostało zniszczone coś pięknego i bezcennego: promiennosc i niewinność szkockiej dziewczyny.

Na szczęście, tę krzywdę mógł naprawić. Catriona ocaliła mu życie, on więc też musiał ją chronić. Wiedział już, co ma zrobić.

Odwrócił się i spojrzał na jej rodzinę.

- Ożenię się z Catriona.

- Co pan powiedział?... O... jest i Catriona! - Pani Rennie ściszyła głos.

Z mocno bijącym sercem Evan podniósł wzrok. W drzwiach stała Catriona, nieruchoma, z pobladłą twarzą, rozszerzonymi oczyma. Wpatrywała się w niego. Tylko w niego.

- Powiedziałem, że ożenię się z panną MacConn, jeśli mnie zechce.

Z początku Catriona nie pojmowała, co Evan mówi, zupełnie jakby przemawiał w nieznanym języku. Wpatrując się w hrabiego, znów uległa zauroczeniu. Zbliżał się do niej. Spojrzenie miał przenikliwe, a oczy jeszcze zieleńsze dzięki promieniom słońca, które przedostały się przez szczeliny między kotarami. Nie mogła oderwać od niego wzroku.

- Panno MacConn, czy zechce pani wyjść za mnie? - Mówił miękko, niskim głosem, jego spojrzenie koncentrowało się na niej, jakby byli sami w pokoju.

Oszołomiona, cofnęła się. Co nagadał jej rodzinie na temat ostatniej nocy? Ojciec spoglądał na nią ze smutkiem i rozczarowaniem. Ciotka była wściekła, palce jej zaciskały się i rozkurczały. Finlay wydawał się zbity z tropu; ostatnio często miewał taką minę. Wiedziała jednak, że przynajmniej on jej nie potępi.

Nie ulegało wątpliwości: wszyscy uwierzyli w najgorsze. Ogarnął ją strach, czuła się ponizona. Hrabia nigdy by nie ożenił się z córką pastora, w dodatku po tak krótkiej znajomości... Chyba że groził straszliwy skandal.

Oboje z Evanem dobrze wiedzieli, że zarówno lęk przed skandalem, jak natychmiastowy ślub były w pełni uzasadnione. Spędzili razem niezwykłą noc, pełną zaskakujących wydarzeń i wzajemnego pożądania. A teraz zostali złapani niczym ryby na haczyk!

Bynajmniej nie pragnęła wyjść za Mackenziego, ale słyszała, co powiedział, zanim wszyscy ją spostrzegli w progu. Nie chciała opuszczać Glenachan ani Glen Shee. Pogrożki Granta nadal rozbrzmiewały echem w jej głowie. A ona po prostu nie wiedziała, co robić.

- Panno MacConn...

Lord Kildonan, nie mogła wymazać z pamięci jego tytułu!, przysunął się jeszcze bliżej i wziął ją za rękę, zanim zdołała uciec. Intymne zetknięcie dłoni nie odkrytych rękawiczkami obudziło wspomnienia ostatniej nocy.

Pragnęła je zachować w najtajniejszym zakątku serca i radować się nimi przez resztę swojej samotnej egzystencji w Glenachan. Teraz zostały jej wydarte, wystawione na widok publiczny, poddane ogólnej dyskusji i powszechnemu osądowi.

Ale ten mężczyzna, który zdradził ich tajemnicę, nie był kochanym panem Mackenzie, który tak czule tulił ją w ramionach. To syn znieawidzonego hrabiego Kildonana, ktoś zupełnie obcy. Nie mogła mu ufać. Była jedną z idiotek, które oczarował swoim urokiem.

Grant powiedział, że Evan naprawdę zamierza sprzedać większość gruntów, oddać zamek Kildonan i Glen Shee w cudze ręce. Gdyby za niego wyszła, musiałaby wraz z nim opuścić dolinę - a tego nie mogła przecież uczynić. Ani zaakceptować jego decyzji o sprzedaży posiadłości!

- Nie! - rzuciła gwałtownie i wyrwała rękę z uścisku. - Nie i nie!

- Wysłuchaj mnie! - prosił żarliwie, choć cicho.

- Nie! - syknęła. - Nie mogę wyjść za ciebie!

Odwróciła się na pięcie, ale złapał ją za ramię i zatrzymał. Mocny chwyt skojarzył się jej z walką, jaką musiała stoczyć z Grantem przed kilkoma minutami. Szarpnęła się jeszcze bardziej rozpaczliwie.

- Przestań, Catriono!

To mówił dawny Evan, jej Evan. Uścisk był stanowczy, ale nie brutalny. Działał dziwnie kojąco. Odetchnęła głęboko i uspokoiła się.

- Cóż to ma znaczyć, moja droga? - Judith Rennie wstała. - Zachowuj się, jak należy!

- To najlepsze rozwiązanie, córko - wtrącił się ojciec. Jego głos przypominał dudnienie gromu. - Jestem naprawdę szczęśliwy, że ocalałaś, moja dziewczynko. Lękałem się o twoje życie, gdy błąkałaś się po górach. Wiesz o tym, prawda? Ale zakończenia tej dziwnej eskapady nie pochwalam. Nie pozwolę, by moja najmłodsza córka zachowywała się jak dzikuska! Hrabia Kildonan poprosił o twoją rękę, a ja życzę sobie, żebyś przyjęła oświadczenia.

- To jedyny sposób na uniknięcie okropnego skandalu - dodała Judith Rennie.

- Nie!

Catriona zdawała sobie sprawę, że zachowuje się jak krnąbrne dziecko albo kompletna idiotka, za którą decydują inni... tak jak teraz, gdy zmuszali ją do małżeństwa. Znowu szarpnęła ręką. Tym razem Evan ją puścił.

Obróciła się na pięcie, podkasała spódnicę i pobiegła korytarzem. Dotarła do schodów, wspięła się po nich błyskawicznie. Spódnica i halki powiewały, a stopy wprost fruwały w powietrzu.

Nagle za jej plecami zadudniły czyjeś kroki. Obejrzała się i zobaczyła Evana. Pędził

za nią po korytarzu. Twarz miał zmienioną... Nie był to gniew. Raczej całkowita determinacja.

- Catriono! - zawołał. Jego głęboki głos rozszedł się echem po całym domu.

9

Po tupocie większej ilości nóg zorientowała się, że inni ruszyli w ślady Evana. Catriona popędziła korytarzem do swojego pokoju, otworzyła drzwi i zamknęła je za sobą błyskawicznie. Przedtem zdążyła jednak dostrzec Evana, ciotkę Judith i ojca. Wszyscy wchodzili po schodach.

Oparła się o drzwi, ciężko dysząc. Takie zachowanie, godne rozpuszczonej smarkuli było całkowicie sprzeczne z charakterem Catriony; zazwyczaj zachowywała pozorny spokój, nie demonstrując własnych uczuć. A jednak dziś zadziałała pod wpływem gniewu i strachu, przyspieszającego bicie jej serca. Przymknęła oczy i czekała, co będzie dalej.

Najlepiej byłoby zamknąć się w pokoju i zastanowić, co zrobić, zanim znów stanie przed nimi z należycie przemyślaną decyzją. Jasne, że powinna odmówić Evanowi. Czuła się oszukana i zraniona. Chociaż jej serce tęskniło za panem Mackenzie, nie mogła wyjść za hrabiego Kildonana. Co się zaś tyczy szantażu Kennetha Granta, nie miała po prostu pojęcia, co robić. Czuła się bezsilna i pełna gniewu.

Kiedy wyjdzie z pokoju, spróbuje porozmawiać na osobności z ojcem. Jego pewnie zdołałaby przekonać, ale na miłosierdzie ciotki nie było co liczyć. Serce Judith dawno temu przemieniło się w twardy głaz; widocznie dotychczasowy sposób życia nappełnił ją goryczą. Miała zwyczaj tłamać własne i cudze szczęście jeszcze w zarodku, by przypadkiem nie rozkwitło. Od śmierci matki Catriona żyła w ponurym cieniu ciotki. Judith uznała za swój święty obowiązek zastąpić opiekunkę sześciorgu dzieciom brata. Ale znaleźli w niej tylko srogą macochę.

Bracia i siostry Catriony wynosili się z plebanii jedno po drugim. Dziewczynie brakowało ich opiekuńczej obecności. Czuła się tak, jakby zdzierano z niej kolejne warstwy odzienia, aż wreszcie została na mrozie w jednej koszuli. Nie opuścili domu tylko ona i Finlay, a ciotka Judith nadal matkowała im na zasadzie ścisłej kontroli i wiecznego karcenia. Przed wielu laty Judith ogłupiła w ten sposób swojego brata Tomasza, który nadal poddawał się jej nakazom. Finlay był pozornie łatwy do prowadzenia: nigdy się nie sprzeciwiał, lecz niefrasobliwie ignorował polecenia ciotki.

Catriona usiłowała zjednać sobie Judith, ale ta zawsze miała bratanicy coś do zarzucenia. Wkrótce dziewczyna doczekała się przydomka „Przydatnej brzyduli”. Postanowiono, nie pytając o zdanie Catriony, że wyrzeknie się osobistego szczęścia, męża i dzieci. Pozostanie na zawsze w rodzicielskim domu. Był to oczywiście pomysł ciotki. Zapewniła sobie i bratu opiekę, i wygodne życie, okradając dziewczynę z jej najdroższych marzeń.

Ponieważ Catriona kochała ojca, usiłowała pogodzić się z losem. Liczyła na to, że będzie odgrywała w domu rolę bufora, osłaniając proboszcza przed zjadliwością siostry.

Ciotka zawsze uważała się za panią domu, więc zapewne skłoni pastora do odesłania córki albo poślubienia hrabiego Kildonana.

Z dwojga złego Catriona wolała porzucić ukochaną dolinę, niż związać się ze zniechęconą arystokracją. Małżeństwo z hrabią oznaczało zerwanie z dotychczasowymi przyjaciółmi i zaprzepaszczenie celtyckiego dziedzictwa. Odcięto by ją od tego wszystkiego równie skutecznie, jakby skazano ją na wygnanie.

Rozmyślenia przerwał jej stukanie do drzwi. Było tak energiczne, że nie tylko je słyszała, ale czuła przez solidną zaporę.

- Otwórz! - powtarzał Evan, dobijając się nadal. Przymknęła usta do szpary w drzwiach.

- Odejdź stąd! - szepnęła.

- Muszę z tobą pomówić - odparł cicho, ale stanowczo.

- Aleja nie muszę. Wynoś się!

- Otwórz te drzwi! - Walnął w nie pięścią.

- Młoda dama nie otwiera swoich drzwi dżentelmenom - oświadczyła. - A prawdziwy dżentelmen nie wprasza się do pokoju niezamężnej pan ny. Ani nie dobija się do jej sypialni.

Nie było odpowiedzi, więc Catriona uznała, że Evan odszedł. Oparła czoło o deski i walczyła ze łzami.

- Ale jeśli młoda dama spędziła noc w ramionach tego dżentelmena, a on prosi ją o rękę, zasady ulegają zmianie - szepnęła przez szparę tak cicho, że tylko Catriona mogła go usłyszeć.

- Tylko wtedy, gdy młoda dama przyjmuje oświadczenia. Wcale nie chcesz się ze mną ożenić. I nie musisz tego robić! - Ostatnie słowa wykrzyknęła na użytek ojca i ciotki.

Znowu zapadła cisza. Potem usłyszała skrzypienie, jakby ktoś z całej siły napierał ramieniem na drewnianą przeszkodę.

- Catriono, otwórz wreszcie te cholerne drzwi! -Nie.

- Na korytarzu jest sporo ludzi, którzy marzą, by usłyszeć naszą rozmowę. Jestem gotów rozmawiać z tobą i w cztery oczy, i przy ludziach. Otwórz drzwi albo pogadamy sobie przy świadkach.

Catriona wymamrotała, że wszyscy powinni się stąd wynieść i zostawić ją w spokoju, ale nacisnęła klamkę. Otworzyła drzwi tak nagle, że Evan omal nie przewrócił się na progu. Uchwycił się framugi i spojrzał na Catrionę spode łba. Bezcelnie odpląciła mu pięknym za nadobne.

Za plecami Evana dostrzegła ojca, ciotkę, Finlaya, małą pokojówkę Peggy z naręczem bielizny pościelowej i otwartą ze zdumienia buzią. A także panią McAuley stojącą obok pyzatej kucharki z Glenachan, Jessie. Obie śledziły rozwój wydarzeń z dolnego podestu.

- Możesz rozmawiać ze mną z miejsca, gdzie stoisz. A cała reszta niech lepiej wróci na dół - zarządziła Catriona.

- Teraz nie mam już żadnych wątpliwości, że musisz wyjść za hrabiego - stwierdziła Judith. - Od razu widać, że jesteście na bardzo poufalej stopie. Zostaniesz hrabiną. Czemu się tak wzdragasz? Albo wyjdiesz za tego człowieka, albo opuścisz na zawsze Glenachan. No, powiedzże jej coś, Tomasz! - Trąciła brata łokciem.

- Tatusiu! - Catriona ominęła wzrokiem Evana i popatrzyła na ojca. -Naprawdę mnie wypędzisz, jeśli za niego nie wyjdę? - spytała żałosnym tonem po gaelicku.

Tomasz MacConn westchnął ciężko.

- Catriono, nie wypada, żebyś tu została. Obciąża cię grzech. Wszelkie inne racje nie mają znaczenia. Wiem, że ocaliłaś temu człowiekowi życie, a on cię skompromitował. Pozwól mu naprawić zło, które wyrządził tobie... i nam wszystkim.

Odwrócił wzrok i nagle Catriona spostrzegła, że jest stary, siwy i przygarbiony. I taki słaby, choć zawsze robił wrażenie silnego.

- Pomyśl o pozycji twojego ojca w kościele - dorzuciła Judith. - I o całym dorobku jego życia. Harował przez tyle lat. A teraz mógłby stracić dach nad głową i wszyscy musielibyśmy się stąd wynieść.

Evan westchnął. Stał w drzwiach z ręką na futrynie. Catriona zerknęła na niego. Kiedy mówili inni, czuła obok siebie obecność Evana, silnego i opiekuńczego.

- Pani Rennie - powiedział, spoglądając przez ramię. - Próbuję rozwiązać ten problem. Proszę iść na dół i pozwolić nam na rozmowę bez świadków. To się odnosi do wszystkich!

Judith Rennie była wściekła. Zaczęła coś szeptać do proboszcza, ale on potrząsnął głową, wziął siostrę pod łokieć i poprowadził w stronę schodów. Pozostałe osoby -jedna za drugą- poszły za ich przykładem.

Evan znów odwrócił się do Catriony. Jego wysoka postać wypełniła całe wejście.

Mężczyzna skutecznie zagradzał Catrionie drogą ucieczki, a jego ręka na framudze uniemożliwiała zamknięcie drzwi.

- A teraz musisz mnie wysłuchać - oznajmił.

Spojrzała na niego i skinęła głową. Serce biło jej tak mocno, że obawiała się, iż Evan zauważy pulsowanie pod stanikiem sukni. Czuła się rozdarta. Jej pierwsze, ja" było nadal wściekłe na Mackenziego. Ale drugie, ja" rozpaczliwie pragnęło przyjąć oświadczenia w nadziei – bardzo wątpliwej - że jakimś cudem ostatnia noc znaczyła dla Evana równie wiele, jak dla niej.

- Ja... muszę wyznać, że popełniłem karygodną pomyłkę. Serce w niej zamarło na chwilę.

- Prosząc o moją rękę? Jestem tego samego zdania. - Uniosła dumnie głowę.

- Ależ nie! Popełniłem ją ubiegłej nocy, kiedy... wykorzystałem sytuację. Błagam o przebaczenie. - Mówił tak cicho, że nikt podsłuchujący na schodach niczego by nie usłyszał. Ton głosu i sama bliskość Evana zapierały dziewczynie dech i budziły niepokój w jej sercu. - Pozwól mi naprawić zło, które ci wyrządziłem.

- Byliśmy oboje zdezorientowani - szepnęła gwałtownie. - Nie musisz mnie za nic przepraszać ani niczego naprawiać. - Poczowała, jak pieką ją policzki. Ubiegłej nocy rozpaczliwie pragnęła być kochaną i starała się, jak mogła, by do tego doszło... a Evan ją przeprosza za to i pragnie naprawić zło! - Chciałabym zapomnieć o wszystkim. I wołałabym, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

- Drogie dziewczę! - wycodził. -Na to już za późno. - Wyciągnął rękę i opuszkami palców powiodł po jej policzku, a kciukiem po brodzie. -Musimy jakoś sobie poradzić z konsekwencjami naszej... przygody.

- Wszystko wyszło na jaw tylko dlatego, że za dużo im wypaplałeś! -warknęła, cofając się przed jego urzekającym dotykiem. - Myślałam, że zachowamy to w tajemnicy - zakończyła półgłosem.

Nachylił się jeszcze bardziej.

- Całą historię opowiedziała im bujna wyobraźnia. Twoja ciocia ma doprawdy robaczywe myśli! A co do prawdziwych wydarzeń ostatniej nocy, to pozostały wyłącznie naszą tajemnicą. - Spojrzał jej w oczy. Stał tak blisko, że dzieliła ich tylko szerokość framugi. Czuła ciepło jego oddechu, widziała jego gęste rzęsy, zauważyła miodowozłote i zielone jak mech plamki na tęczęwkach. - Przysięgam!

- Chyba naprawdę będzie lepiej, jeśli zapomnimy o wszystkim... panie hrabio.

- A, o to ci chodzi?

- Mogłeś mi powiedzieć! - syknęła przez zęby.

- Chciałem, ale kiedy pomstowałaś na mojego ojca i wszystkich hrabiów, uznałem, że to niezbyt odpowiedni moment na takie wyznania. I przyznam, że nie oczekiwałem gości w naszej ubogiej chatce o tak wczesnej porze. Myślałem, że mamy jeszcze dużo czasu.

- Czasu? Na co? Może na nowe oszustwa? A może na... dokładkę do naszej przygody?

- Na uczciwą rozmowę. Nie ulega wątpliwości, że cię skrzywdziłem. Powinienem ci powiedzieć od razu, kim jestem.

- Gdybym wiedziała, nie miałbyś najmniejszej możliwości skrzywdzenia mnie.

- Widzę, że nie jesteś dziś w nastroju do wybaczenia. Ale w chwili obecnej małżeństwo to jedyne rozwiązanie.

Jego niski, aksamitny głos był tak bezwiednie uwodzicielski, że Evan mógłby mówić byle co, recytować tabliczkę mnożenia lub czytać ogłoszenia z gazety, a ona słuchałaby z rozkoszą. Niestety to, co szeptał, było kwintesencją najśłodszych marzeń Catriony: pociągający mężczyzna proponuje jej romantyczną ucieczkę od codziennej harówki i osamotnienia. Tylko że w tej czarodziejskiej wizji brakowało miejsca na miłość, która w jej snach odgrywała zasadniczą rolę. Catriona odwróciła wzrok i pokręciła głową.

- W innej sytuacji ani by się panu śniło żenić ze mną, milordzie. Wobec tego lepiej i teraz nie zawracać sobie głowy małżeństwem. Przecież oni pana do tego zmusili!

- Nikt mnie do niczego nie zmuszał - rzucił ostro. - Sam zaproponowałem. Zawdzięczam ci życie.

- To jeszcze nie powód do żeniaczki.

Przysunął się bliżej.

- A jeśli będzie dziecko? - szepnął.

Zaparło jej dech. Ta myśl nasunęła się także i jej, kiedy postanowiła ostatniej nocy zakosztować namiętności.

- To wyłącznie moja sprawa!

- Nic podobnego! - zaprotestował.

Pokręciwszy głową, cofnęła się w głąb pokoju i popchnęła z całej siły drzwi, omal nie miażdżąc Evanowi palców.

-Idźże już!

W odpowiedzi pchnął drzwi z takim impetem, że nie była w stanie ich przytrzymać ani zamknąć. Przekroczył próg i wtargnął do pokoju. Catriona musiała się cofnąć.

Evan zamknął drzwi kopniakiem i chwycił Catrionę za ramiona.

- Posłuchaj, uparta dziewczyno! Skompromitowałem cię, ale zawsze szanuję swoje zobowiązania. Oboje wiemy, że może przyjść na świat dziecko. Moim zdaniem, małżeństwo jest jedynym rozsądnym rozwiązaniem.

- Nieślubne dziecko nie jest taką katastrofą w Szkockich Górach, jak na Szkockiej Nizinie czy gdzie indziej - zapewniła. - Takie dzieci są często przyjmowane z radością w tutejszych domach.

- Może i tak, ale nie w tym domu, założę się! - odparł porywczo. Pochylił się ku niej i zniżył głos, by nikt, nawet stojąc tuż obok drzwi, nie mógł go słyszeć. - Tu nie doczekasz się przebaczenia. Jeśli wyślą cię na południe, możesz skończyć jako robotnica w fabryce, a nasze dziecko będzie się wychowywało na ulicy. Widywałem już takie dzieci. A ty?

Catriona odwróciła wzrok.

- Ja też.

- No właśnie! Krzywe nogi, wzdęte brzuszki. Pólnagie włóczą się po ulicach, podczas gdy ich rodzice harują za nędzne grosze. Dzieci ze Szkockich Gór są proste, silne i piękne. Często chodzą ze swoimi rodzicami po górach. Hrabiowskie dziecko będzie miało wszystko, co najlepsze, nie będzie musiało cierpieć. Jaki ma być los naszego potomka? Powiedz sama!

Przedstawione przez Evana obrazy poruszyły jej serce, ale pokręciła głową.

- To pytanie nie ma sensu. Nie będzie żadnego dziecka.

- Skąd wiesz? Używałaś jakichś zabezpieczeń? Bo ja nie - wyznał Evan. - Nie byłem w stanie myśleć... wyglądałaś tak... - Urwał i uciekł spojrzeniem w bok. - Sytuacja mnie przerosła. A ty nie będziesz żyła w niepewności przez dobrych kilka tygodni.

- Kobiety mają swoje sposoby, milordzie. Jeśli jesteś tak nieugięty w tej sprawie, musimy po prostu poczekać. Niezbyt długo - powiedziała Catriona, Policzki jej płonęły. - Wówczas zyskasz pewność, że nie musisz się żenić.

-A jeśli się mylisz?

Odwróciła wzrok. Zrozumiała, że musi nieco zmięknąć.

- Wtedy moglibyśmy się pobrać, o ile będziesz nadal chętny.

- Jestem chętny teraz. Czekanie wykluczone, ponieważ nie zaplanowałem dłuższego pobytu w Glen Shee. I nie pozwolę, by moje dziecko urodziło się w sześć miesięcy po ślubie. Możesz być pewna!

Coś się poruszyło w głębi jej ciała. Coś upragnionego, chwytającego za serce. Instykt podpowiadał Catrionie, że Evan jest dobrym człowiekiem, prawym i serdecznym. Że powinni być szczęśliwym małżeństwem, mimo tak niepomysłnego początku. Jednak w głębi serca

dobrze wiedziała, że to ona skusiła Evana, a on kieruje się poczuciem obowiązku. Nie mogła mu również - przynajmniej nie od razu - wybaczyć, że nie powiedział jej, kim jest.

Pragnęła tylko jednej miłosnej nocy, niczego więcej. Ale za daleko zabrnęła, zbyt się zaangażowała. A teraz nie wiedziała, co robić. Poczula w oczach piekące łzy. Potrząsnęła głową w milczeniu.

- Posłuchaj! Ta bezduszna stara wrona z pewnością wyśle cię gdzieś daleko - zgrzytnął zębami. - Pozwól, bym zabrał cię stąd.

- Żebyś mógł sam odesłać mnie do jakiejś zapadłej dziury, kiedy się już przekonasz, że nie nadaję się na hrabinę? Nie!

Gdyby kiedykolwiek wyszła za mąż, musiałyby ją wiele łączyć z mężem: miłość, oddanie, wzajemny szacunek.

- Cóż cię tak niepokoi, Catriono?

Milczała. Nie chciała dzielić się z nim swoimi wątpliwościami i obawami. Nie mogła mu powiedzieć o pogrożkach Granta ani o tym, co usłyszała na temat zamiarów Evana odnośnie Glen Shee. Odwróciła głowę.

-Nie utrudniaj wszystkiego!

- Nie mamy żadnych podstaw, na których buduje się prawdziwe małżeństwo - powiedziała w końcu.

- Ubiegłej nocy mieliśmy całkiem niezłe - mruknął. - Może ci przypomnieć?

Przyciągnął Catrionę do siebie, pochylił się i ucałował z taką czułością, że w głowie się jej zawróciło, a kolana zrobiły się miękkie. Podniósł ją bez wysiłku, a ona objęła go za szyję i nie protestowała, kiedy znów zaczął całować.

Mimo oszołomienia uświadomiła sobie, że reaguje na jego gwałtowne pożądanie, które oczarowało ją ubiegłej nocy. Kiedy Evan oderwał się od niej, stała z zamkniętymi oczyma, oddychając gorączkowo.

-No i co? - spytał. - Przypomniałaś sobie? Mamy całkiem niezły fundament pod nasze małżeństwo.

Spojrzała na Evana. Górował nad nią jak żaden inny mężczyzna, którego znała. Tylko on przewyższał ją wzrostem... i uporem. Jej serce wypełniały radość i nadzieja, a namiętność rozpalala zmysły i wyobraźnię. Evan miał w sobie magię-jego ręce, wargi, głos były pełne czarów i darzyły ją urokiem, rozwiązując zarazem wszystkie krępujące więzy i odbierając wagę postanowieniom.

- Już wiem... - szepnęła. Czula, jak drżą jej kolana, jak ciało i dusza rwą się ku niemu, choć próbuje się temu oprzeć. - Wyjdę za ciebie... - Podniosła na niego oczy. - Twój dług zostanie spłacony.

Ręce Evana zacisnęły się na jej ramionach.

- Catriono najmiłsza! - szepnęła. - Coś mi się zdaje, że nie zdołam ci się wypłacić aż do końca życia!

Wpatrywała się w hrabiego w milczeniu i nagle zapragnęła jego pocałunków, jakby właśnie one mogły zatrzeć ślady niedawnych konfliktów i wątpliwości.

Evan wypuścił ją z objęć i odwrócił się.

- Chodźmy na dół, trzeba powiadomić twoją rodzinę. - Otworzył drzwi.

Catriona ujrzała ciotkę na korytarzu przed swoją sypialnią, jakby stara jędra próbowała podsłuchiwać przez dębowe drzwi.

- Widzę, że się wreszcie zdecydowałaś. Tym lepiej. Wasze sam na sam było nieprzyzwoicie długie. Milordzie, przyszedłam oznajmić, że pańska siostra, lady Jean i jej mąż... lord.. .lord Henry?

- Sir Harry Gray - poprawił ją cierpko Evan.

- No właśnie. Lady Jean i sir Harry przybyli i bardzo chcą się z panem spotkać. - Zmarszczyła czoło. - Nie miałam dość odwagi, by powiadomić ich o tym okropnym skandalu.

Zostawiam to panu. Chodź ze mną, Catriono. - Obróciła się na pięcie i podchodząc do schodów dodała przez ramię: - Twój ojciec życzy sobie, by małżeństwo zostało zawarte dziś wieczorem.

Catriona przemknęła obok Evana, rzucając mu spojrzenie pełne lęku.

- Już dziś? - spytała z niedowierzaniem ciotki, która schodziła szybko ze schodów.

- Proboszcz nalega - odparła pani Rennie, zatrzymując się na podeście i spoglądając w górę. - Zaczęliśmy przygotowania.

Catriona jęknęła i już chciała biec, by wyjaśnić sprawę, ale Evan ją powstrzymał.

- Daj spokój! Ostatecznie, jaka to różnica: dziś, za tydzień, w przyszłym miesiącu? Im prędzej się pobierzemy, tym szybciej wrócisz do łask. I tym prędzej opuścisz ten okropny dom! - mruknął.

Obróciła się jak fryga, by wyładować na nim swój gniew.

- To mój rodzinny dom, rozumiesz? Nie chcę go opuszczać tak szybko!

- Zmuszacie do odejścia, jeśli natychmiast nie wyjdiesz za mnie. A ja z przyjemnością przybiegnę na ratunek. Szczerze mówiąc, myślę, że moja pomoc bardzo ci się przyda.

- Jesteś w błędzie! - mknęła.

W głębi serca wiedziała jednak, że Evan ma rację. Jej życie zaczęło się zmieniać od chwili, gdy ujrzała go po raz pierwszy, i już nigdy nie będzie takie jak dawniej.

10

Pański ojciec, poprzedni hrabia, uczęszczał na nabożeństwa do naszego parafialnego kościoła. - Trzymając w mocnej, kwadratowej dłoni kruchą filiżankę, Tomasz MacConn spoglądał na Evana. - Ale zarówno pan, jak i lady Jean wychowywaliście się na Nizinie Szkockiej, o ile pamiętam. - Pastor zmarszczył brwi. - Chodzi pan do kościoła, milordzie?

- Oczywiście. Regularnie. - Evan zerknął na swoją siostrę, która siedziała obok Catriony.

Lady Jean Gray, ciemnowłosa i prześliczna kobieta, promieniała szczęściem: była w pierwszych miesiącach ciąży. Spoglądała teraz na brata, otwierając szeroko swoje piwne oczy. Zerknęła też na męża; wielki, przystojny i niemal zawsze tryskający humorem sir Harry miał w tej chwili zaciśnięte usta i ponurą minę. Obok nich, nie zwracając uwagi na resztę towarzystwa, Arthur Fitzgibbon pogryzał biskopta, głośno przy tym chrupiąc.

Evan był bardzo zadowolony, że Jean i Harry przybyli do Glenachan, gdy tylko dowiedzieli się o szczęśliwym zakończeniu poszukiwań. Zdołali ukryć zaskoczenie, gdy na plebanii Evan wziął ich na stronę i powiadomił o swoim ślubie, który miał się odbyć jeszcze dziś, późnym wieczorem.

Jean czule pocałowała brata w policzek, Harry zaś stwierdził jowialnie, że Evan powinien unikać gór, gdyż podczas każdej wspinaczki pakuje się w kłopoty. Jean udała się na poszukiwanie Catriony, by powitać w imieniu rodziny nową bratową. Evan docenił piękny gest siostry.

- Nasza matka potrafiła dopilnować, byśmy oboje w każdą niedzielę chodzili do kościoła. - Włączyła się do rozmowy Jean ze zwykłym spokojem. - Bez względu na to, czy przebywaliśmy w Edynburgu, czy w jej posiadłości w północnej Anglii.

- Uczęszczaliście na nabożeństwa Szkockiego Kościoła Państwowego czy też Kościoła Wolnego? - dopytywała się pani Rennie.

- Ani jednego, ani drugiego.

Evan odstawił filiżankę. Wiele by dał, by uniknąć tej krępującej, trzymającej w napięciu rozmowy, ale znosił to dla Catriony, która w milczeniu siedziała obok niego na krytej włosianką kanapie. Nie mógł przecież opuścić jej w takiej sytuacji!

Pani Rennie nachmurzyła się.

- Przeczynałam to! Jesteście papistami! Czciicielami Maryi!

- Co też ciocia mówi?! - wybuchnęła Catriona.

- Jeśli hrabia Mackenzie jest katolikiem, nie będę mógł udzielić wam dzisiaj ślubu, córko - wyjaśnił proboszcz. - Trzeba najpierw uzyskać dyspensę.

- Uczęszczamy na nabożeństwa Kościoła Anglikańskiego - odparł niezbyt uprzejmie Evan. Miał już stanowczo dość tej rozmowy. - A przebywając w Szkocji, odwiedzaliśmy Szkocki Kościół Episkopalny lub Kościół Państwowy. Czy to spełnia pańskie wymagania, pastorze?

Bohatersko wytrzymał pogawędkę ze swoimi nowymi powinowatymi. Jego podziw dla Catriony wzrósł dziesięciokrotnie. Coraz bardziej pragnął ją poślubić i zabrać jak najdalej stąd.

- W porządku - burknął wielebny Tomasz. - Kościół Anglikański i nasz Wolny Kościół uznają nawzajem ważność swoich ceremonii ślubnych. A więc pobierzecie się dziś wieczorem, jak ustaliliśmy.

Catriona odetchnęła głęboko.

- Tatusiu, nie chcę...

- Musimy to załatwić jak najprędzej - wtrąciła się ciotka Judith. -Bardzo przepraszam, lady Jean, sir Harry... - zwróciła się do siostry i szwagra Evana. - Nie tak pragnęlibyśmy powitać was na plebanii. Cóż za niezręczna sytuacja!

- Skądże znowu, pani Rennie - odparła Jean. - Odczuwam ogromną ulgę, że mój brat, który gdzieś się nam wczoraj zapodział, jest żywy, zdrowy i bezpieczny! I jestem niezmiernie wdzięczna Catrionie. Okazała niezwykłą odwagę i wielkoduszność. Ich niebezpieczna przygoda tak romantycznie się zakończyła! Nieprawdaż?

- Jestem pewien, że w tych okolicznościach małżeństwo jest najlepszym rozwiązaniem. I, jak mi się zdaje, odpowiada wszystkim zainteresowanym - wtrącił z uśmiechem sir Harry.

Błogosław im, Panie Boże!, myślał Evan. Ileż dobroci w tym zawadiace Harrym! A Jean dzięki swojej słonecznej naturze potrafi oczarować każdego.

Spostrzegł z radością, że Catriona nieco się rozchmurzyła i odprężyła.

- Tatusiu, muszę mieć trochę czasu na przygotowanie wesela - prosiła. -Kilka tygodni...

Zerknęła na Evana. Od razu zrozumiał, o czym dziewczyna myśli. Jeśli nie będzie dziecka, może nie zawierać małżeństwa. Ale zawsze już pozostanie w niełasce.

- Wesele nie jest tak ważne, jak ceremonia ślubna - stwierdziła Judith. - Nie możesz spędzić następnej nocy w stanie grzechu!

O, tak!, myślał Evan. Był niezmiernie rad, że pomógł Catrionie MacConn uwolnić się od takiej opieki.

- Ależ to był zwariowany dzień, Kildonan! - stwierdził Arthur Fitzgibbon, podchodząc do Evana, który przechadzał się po parafialnych gruntach.

- Racja, Fitz - potwierdził ponurym głosem Evan. - Niesamowity.

Nie dodał niczego więcej, gdy weszli na ścieżkę biegnącą przez środek rozległego, starannie przystrzyżonego trawnika. Ciągnął się po stoku aż do niewielkiego jeziora, widocznego z oddali. Skromne rabatki kwiatowe rosły po obu stronach trawnika. Pokryta żwirem ścieżka i kilka kamiennych stopni dostosowały naturalny spadek zbocza do wymagań użytkowników. Teraz, późną jesienią, na rabatkach pozostało niewiele kwiatów, ale chryzantemy, ostrokrzew i niskie iglaki ozdabiały grządki soczystymi barwami.

Znajdująca się z tyłu plebania była stateczną dwupiętrową budowlą z szarego kamienia. Przedzielone kolumnkami okna zasłonięto ciężkimi draperiami. Po lewej stronie plebanii Evan dostrzegł kościół, na samym końcu parafialnych gruntów, w otoczeniu drzew. Ściany z polnego kamienia i strzelista wieża nadawały mu malowniczy wygląd. Dalej w gładkiej powierzchni jeziora odbijało się ciemniejące wieczorne niebo. Zafascynowany

widokiem gór po przeciwnej stronie jeziora Evan skierował się w stronę brzegu. Arthur dotrzymywał mu kroku; kamyczki zgrzytały pod solidnymi butami.

- Mogę ci złożyć gratulacje? - spytał Fitzgibbon.

Evan wychwycił niepewność w tonie głosu przyjaciela.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że zostaniesz na weselu.

- Oczywiście! Nie przepuściłbym takiej okazji - odparł Arthur. - Panna MacConn jest czarująca, a jej rodzinie trudno mieć za złe, że nalega na małżeństwo w takich... hmmm... okolicznościach. Ale powiem ci szczerze: moim zdaniem popełniasz błąd.

- Doprawdy?

Evan spojrzął na kompana. W gruncie rzeczy nie zaskoczyła go taka opinia Arthura. Fitzgibbon, starszy od niego o dziesięć lat, był średniego wzrostu, mocno zbudowany. Miał brązowe, siwiejące włosy oraz gęste wąsy i bokobrody. Dotąd się nie ożenił. Był sympatyczny, tylko zbyt pochłonięty pracą. Miał na koncie szereg prac naukowych; wykładał na uniwersytecie w Edynburgu historię naturalną. Prowadził badania geologiczne, zwłaszcza formacji polodowcowych i masywów górskich. Evan był niegdyś studentem profesora Fitzgibbona, a potem nawiązała się między nimi przyjaźń, oparta na wspólnych zainteresowaniach naukowych - geologia, i sportowych - wspinaczka wysokogórska.

Kiedy Arthur zajął się całkiem poważnie alpinizmem, namówił Evana i innych przyjaciół na wspólną wspinaczkę w Alpach Szwajcarskich. Evan zgodził się niezbyt chętnie, ale odkrył, iż przebywanie wysoko ponad ziemią pomogło mu otrząsnąć się z rozpacz po zawaleniu się mostu. Od tamtej pory Evan wspiął się to na góry w Walii, to na Grampiany w Szkocji i nie mógł się doczekać powrotu do Glen Shee, którą ze wszystkich stron otaczały najwyższe w Szkocji górskie zbocza.

- Wiesz co, Fitz? - odezwał się Evan po chwili milczenia. - Przekonałem się, że można ci zaufać podczas wspinaczki na skalną ścianę albo przy poszukiwaniu właściwej drogi na polach lodowych w Wetterhorn. Ale nie jestem pewny, czy można polegać na twojej opinii na temat małżeństwa. Masz uprzedzenie do tej instytucji. Aleja zawsze chciałem mieć żonę i dzieciaki. Najwyższy czas zabrać się do tego.

- A zatem małżeństwo z rozsądku? - spytał Arthur. - Nad tym się nawet nie trzeba zastanawiać. Wystarczy zacisnąć zęby i mieć to z głowy. Chyba tylko na takie małżeństwo dałbym się namówić. Tyle że pora niezbyt odpowiednia. Klub Alpinistów, i w ogóle...

- A prawda! - Evan pokiwał głową. - Szkocki Klub Alpinistów... Całkiem o nim zapomniałem w tym zamieszaniu.

Niedawno wyraził zgodę na przyjęcie pod swój dach tej samej grupy wspinaczy, z którymi przed rokiem wędrował po Alpach Szwajcarskich. Siłą napędową klubu była jego kuzynka, panna Jemima Murray. To ona, ze sporą gromadką, miała zakwaterować się w zamku Kildonan i stamtąd wyruszać na wycieczki po górach. Evan i Arthur zamierzali wziąć udział w kilku takich wyprawach.

Ale w swoich planach Evan nie przewidział, że będzie wówczas nowo-żeńcem. Zmarszczył brwi i wetknął ręce w kieszenie spodni. Najgorszy moment na wprowadzenie do domu młodej żony. Kildonan będzie zatłoczony niczym pensjonat w modnym uzdrowisku.

- Czy nasi goście już się zjawili? - spytał.

- Jeszcze nie - odparł Arthur. - Zatrzymała ich ta sama cholerna pogoda, która ciebie tyle kosztowała. Zamierzają wynająć dwa powozy i przybędą do Kildonan za dzień lub dwa. Dobrze się stało, że nie było ich tu, kiedy się zawieruszyłeś. ..i w ogóle.

- I w ogóle - powtórzył cierpkim tonem Evan. Bawiła go zdolność Arthura do retuszowania swoich wypowiedzi i pomijania kłopotliwych szczegółów, jeśli nie odnosiły się bezpośrednio do niego, wspinaczki i geologii.

- Już się cieszę na kilka tygodni porządnej górskiej wędrowni. Chciałbym również sprawdzić moje teorie związane ze zlodowaczeniami. Mam nadzieję, że będziesz nam

towarzyszyć?

- Oczywiście - odparł Evan. - Tylko jeszcze nie wiem, czy moja... żona przyłączy się do kompanii. Nie byłoby ładnie opuścić ją na dłuższy czas zaraz po ślubie.

- Zabierz Catrionę ze sobą. Szkockie góralki z reguły przepadają za chodzeniem po górach - zauważył Arthur. - Choć muszę przyznać, że małżeństwo to niełatwy orzech do zgryzienia.

- To było nieuniknione, Fitz - powiedział Evan. - Łączyło się ze skandalem, o którym teraz wszyscy zapomną.

- Nie zaszkodziłoby, gdybyś spróbował się z tego wywinąć. Przemyśl to sobie! Pięknie przeproś panienkę i jej rodzinę, i zaoferuj pieniężną rekompensatę. To prawie zawsze rozwiązuje problem.

- Catriona jest córką proboszcza, a ja noszę tytuł hrabiowski związany z tym regionem - wyjaśnił Evan. - Nie zamierzam wstępować w ślady mojego ojca. Każdy Szkot z tej doliny zniechęciłby mnie. Prawdę mówiąc, nawet teraz wrogów mi nie brakuje - mruknął pod nosem.

- Przykra sprawa - skostatował Arthur. - Ale... czy naprawdę dopuściłeś się wobec tej dziewczyny czegoś takiego, że nie ma innego wyjścia, tylko ślub? - Zerknął na Evana. - Nie moja sprawa, ale ludzie i tak będą plotkować.

- Niech plotkują! Jestem zdecydowany poślubić Catrionę. Bez względu na to, co się wydarzyło albo nie wydarzyło, gdy byliśmy sam na sam, oni ją traktują jak zadżumioną!

- Jeśli rodzina chce się jej pozbyć, znajdź dziewczynie jakiś domek i płac za utrzymanie, nim znajdzie sobie męża. W ten sposób miałbyś też... pewne prawa, powiedzmy. Mogłoby się całkiem dobrze ułożyć.

- Zawdzięczam jej znacznie więcej, niż myślisz. Uratowała mi życie. Gdyby nie ona, pewnie bym zmarł na górskim stoku.

- Wróciłem przecież po ciebie - wymamrotał Arthur.

- Wiem. I jestem ci bardzo wdzięczny za zorganizowanie poszukiwań.

- Widzę, że dla ciebie to bez znaczenia, z kim się ożenisz. Ważne tylko, żebyś się ożenił, co? - analizował Arthur. - Hrabia musi mieć spadkobiercę, i tak dalej?...

Evan wzruszył ramionami.

- Przyznaję, że w testamencie ojca są pewne zastrzeżenia związane z konkretnymi posiadłościami. Istotnie, oczekuje się ode mnie, żebym się ożenił i postarał o syna i spadkobiercę.

- Aha! - mruknął Arthur. - Stąd ten pośpiech!

- Mogę się ożenić w dowolnym czasie. Mam na to cały rok. Nie muszę się spieszyć. A jednak coś mnie popycha, i to natarczywie, bym doprowadził tę sprawę do końca. - Evan roześmiał się niezbyt wesoło i przystanął, by spojrzeć na ciemniejące niebo. - Zabawne, co?

- Pewnie chcesz się zachować po rycersku wobec panny. Ma świetną figurę i ładną buzię. Ale na błyskotliwą panią domu raczej się nie nadaje. No, cóż... wystarczy i taka.

- Z pewnością wystarczy!

Evan przystanął i zapatrzył się w przestrzeń za jeziorem. Robiło się coraz ciemniej.

- Spójrz, która godzina! - Arthur otworzył kieszonkowy zegarek i zaraz go zamknął. - Lepiej się szykuj do ceremonii!

- Nie muszę się tak bardzo szykować. Lady Jean przywiozła mi ubranie na zmianę. Nie miała pojęcia, że będzie mi potrzebny ślubny strój. - Wskazał na czarny garnitur, czarną jedwabną kamizelkę i chustę na szyję z ciemnobłękitnego jedwabiu. - Jestem gotowy. Ale ty zmykaj do domu. Ja też wrócę niebawem, ale chciałbym jeszcze coś przemyśleć.

- Nic dziwnego! - powiedział Arthur i ruszył przodem.

Evan zapatrzył się w dal. Na ciemną, szklistą powierzchnię jeziora, w której przeglądał się zmirzch, długie pasmo wzgórz i ośnieżone szczyty gór na przeciwległym

brzegu. W nocy się rozpada, pomyślał. Nie najlepsza wróżba dla nowożeńców... ale, prawdę mówiąc, tej parze nie przyświecają żadne dobre gwiazdy.

Zmarszczył brwi i spuścił wzrok. Przyglądał się i przysłuchiwał, jak woda - zimna i czysta - podpływa z pluskiem i zwilża noski jego czarnych butów. Dzisiaj złoży przysięgę małżeńską dziewczynie, której prawie nie znał.

A jednak, w jakiś niepojęty sposób wyczuwał, że dokonał słusznego wyboru. Zawdzięczał jej życie, a zawsze spłacał swoje długi. Poza tym chciał mieć pewność, że żadne z jego dzieci nie zostanie bez nazwiska, rodziny - i ojca.

Ojciec... Co to słowo właściwie oznacza?, zastanawiał się. Czy to możliwe, że zostanie ojcem? Jeśli tak, nigdy by nie opuścił swojego dziecka, jak uczynił jego ojciec. Nie obdaruje go pięknym domem, dobrym wykształceniem, wszystkim - z wyjątkiem ojcowskiej uwagi i opieki. Evan chciał mieć pewność, że jego dziecko, syn albo córka, będzie znało swojego tatę i czuło się bezpieczne, potrzebne i kochane.

Może to właśnie popchnęło go do podjęcia niełatwej decyzji? Był dziwnie spokojny i pewny swojego wyboru. Doszło w nim do głosu głębokie uczucie, gdy leżał z Catriona MacConn w ramionach. Coś poważniejszego niż przelotny pociąg czy nagła zachcianka. Hrabia Kildonan potrzebował reprezentacyjnej hrabiny. Ale Evan Mackenzie chciał znaleźć w żonie towarzyszkę życia. Pragnął rodziny i miłości. A Catriona miała na niego magiczny wpływ, którego nie potrafił wytłumaczyć.

Uważał, że nie można pokochać dziewczyny zaledwie po jednym dniu znajomości. Zdążył jednak docenić jej zalety. Wiedział, że będzie wspaniałą hrabiną i cudowną żoną.

Musiał tylko przekonać ją o tym po ślubie i skłonić, by pozostała z nim na zawsze. Wiedział, że wymiana formulek nie wystarczy, by utrzymać przy sobie Catrionę.

Co człowiek powinien zabrać ze sobą, opuszczając rodzinny dom na zawsze?

Catriona stała pośrodku pokoju - skromnego pomieszczenia, którego jedyną ozdobę stanowiła oprawna w ramki grawiura przedstawiająca góry Torrison; był to prezent od matki. Biała kołderka została wykonana przez babcię. I kilka półek z książkami, które uważała za swój największy skarb.

Z westchnieniem odwróciła się od regalików. Ciotka Judith powiedziała, że jej rzeczy zostaną przesłane do zamku Kildonan. Wobec tego dziewczyna musiała teraz zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy na kilka dni. Wypełniła skórzany neseser niewielką ilością ubrań - kilka bluzek i spódnic, dwie suknie i bielizna. Na halki potrzebowała drugiej walizki; zmieściły się w niej również pantofle owinięte w papier, kilka książek i notatki związane z kolekcją pieśni.

Catriona nie miała wielu ubrań, ale wszystkie były dobrego gatunku. Matka wcześniej wpoila jej zasadę, że porządna suknia jest oznaką dobrego wychowania. Ale żaden z tych strojów nie nadaje się dla hrabiny, myślała Catriona, marszcząc brwi.

Nie wiedziała jeszcze, na czym polega rola hrabiny. Czy będzie musiała prowadzić bujne życie towarzyskie, obracać się wyłącznie w kręgu wyższych sfer? A może wystarczy trzymać się dotychczasowych zasad, wieść takie życie jak dawniej... z wyjątkiem męża, oczywiście!

Mąż i rodzina - czy naprawdę były jej pisane? Nie bardzo wierzyła w spełnienie marzeń. W tym cudzie nad cudami znajdowały się niebezpieczne niespodzianki. Cóż za ironia losu, że wychodzi właśnie za hrabiego Kildonana, w dodatku nie wiedząc o nim prawie nic!

- Możesz tu wrócić, kiedy tylko zechcesz - rozległ się w ciszy głos Finlaya.

Obróciła się na pięcie z koszulą nocną w rękę. Brat zaglądał do środka przez uchylone drzwi i obserwował poczynania siostry z pozorną obojętnością.

- Nie musisz tak się spieszyć z pakowaniem.

- Zabieram ze sobą tylko parę rzeczy. Resztę wezmę później. Wpakowała do nesesera jeszcze nocną koszulę i wybrała kilka ubrań

wyłożonych na łóżko. Bagaże były spakowane. Catriona spojrzała na brata.

- Dopilnujesz później, by zapakowano wszystko, co trzeba, a my przywieziemy ci to do zamku. Albo zostaw tu, Catriono. - Spojrzała na nią z powagą. - Póki nie przyzwyczaisz się do nowego życia i nie upewnisz, że chcesz zostać na zamku.

- Tutaj nie jestem już mile widziana - powiedziała sztywno i odwróciła się, powstrzymując łzy.

- Ja zawsze przyjmę cię z otwartymi ramionami - powiedział cicho. Skinęła głową, potem zaczęła chlipać i na chwilę zakryła twarz ręką mi. Finlay podszedł do Catriony i objął ją ramieniem.

- Chyba się na to nie zdobędę, Finlayu - powiedziała, pociągając nosem.

- Hrabia nie jest taki straszny, jak go malują. - Poklepał ją po ramieniu. - Wyglądaliście w tej ruderze na bardzo zaprzyjaźnionych - powiedział lekkim tonem. - Co innego mógł zrobić ojciec, jak nie domagać się małżeństwa?

Przytaknęła z posępną miną.

- Ale... ja nie czuję się na siłach, by odgrywać hrabinę... a zwłaszcza żonę Kildonana! Byłam „Przydatną brzydulą” przez całe życie, braciszku. Nigdy nie planowano dla mnie małżeństwa.

- Wiesz, co ci powiem? Zasłużyłaś sobie na trochę szczęścia. Chociaż to skomplikuje nasze plany. - Finlay zmarszczył czoło. - W żaden sposób nie możesz nam pomagać tak jak dotychczas. To, co robimy, jest zbyt niebezpieczne dla hrabiny, Catriono.

Spojrzała na brata i przypomniały się jej pogrożki Kennetha Granta.

- Finlayu - szepnęła. - Może i ty byś tego zaniechał?

- Wykluczone - odparł. - Mam już rodzinę gotową do podróży, trzeba ją tylko przywieźć z Glasgow. I ciągle poszukuję kilkorga MacLeodów. Nie odstąpię od tego, choćbym musiał zająć się wszystkim sam, bez twojej pomocy.

- Pamiętasz, jak mówiono, że nowy hrabia jeszcze mniej dba o swoją posiadłość niż jego ojciec? Ale teraz, kiedy zatrzyma się na jakiś czas w zamku Kildonan, zacznie zadawać kłopotliwe pytania. Nie chcę, żebyś narażał się na takie ryzyko!

- Może to nie dopust boży, tylko błogosławieństwo?

- O czym ty mówisz?

- Postaraj się, żeby hrabia nie badał zbyt dokładnie tych spraw, póki nie wykonam swojego zadania. Kiedy sprowadzone rodziny znajdą się w swoich ustronnych domkach, nikt się nie zorientuje przez dłuższy czas. Będą pilnować owiec, potem spędzą je razem z innymi, a na koniec ostrzygą jak co roku. Hrabia się nieźle obłowi i nie będzie go obchodziło, skąd się te pieniądze wzięły.

- On nie jest taki, jak jego ojciec - powiedziała. - Jeśli zainteresuje się prowadzeniem gospodarstwa, bardzo prędko odkryje twoje sprawki!

- Wobec tego musisz go tak oczarować, by niczego nie podejrzewał.

- My się prawie nie znamy, Finlayu.

- Ciebie wysłucha z pewnością. Jak mógłby się oprzeć mojej siostrzyczce? - Finlay uśmiechnął się. - Postaraj się odciągnąć jego uwagę, póki nie skończę tego, co zacząłem.

Catriona westchnęła.

- Spróbuję.

Odwróciła się, by włożyć do nesesera jeszcze parę drobiazgów.

Żeby powstrzymać Kennetha Granta od spełnienia groźby: wydania Finlaya i wypędzenia szkockich górali po raz drugi z ojczystych stron, musi zostać jego kochanką - mimo ślubu z Evanem.

Zamknęła oczy. Poczowała lodowatą bryłę strachu w dole brzucha.

wyczuwała srebrną monetę, którą lady Jean wręczyła jej na szczęście i kazała ukryć pod lewą stopą.

Na szczęście!... Catriona omal nie wybuchnęła śmiechem. Też pomysł!

Nawet teraz, gdy stała obok hrabiego Kildonana w kościele parafialnym w Glenachan, a jej ojciec łączył ich węzłem małżeńskim, miała ochotę roześmiać się gorzko. We frontowych ławkach niewielkiego kościółka siedziało kilkoro świadków ślubu. Z jej rodziny ciotka i brat, ze strony Evana siostra z mężem i przyjaciel. Ciemności panujące we wnętrzu skromnego pomieszczenia o pobielanych ścianach rozpraszał tylko blask kilku zapalonych świec. Zimne powietrze i bębnienie kropel deszczu o okna przypominały Catrionie o nocy, z powodu której odbywał się właśnie ich ślub - ponury jak pogrzeb.

Miała na sobie swoją najlepszą suknię z ciemnoniebieskiego jedwabiu. Stanik i spódnica przybrane były skromnymi kokardkami z czarnej jedwabnej wstążki. Szerokie rękawy wierzchniej sukni opadały na kremowe półrękawki ozdobione angielskim haftem. Catriona wiedziała, że jest to bardzo ładna suknia, ale odpowiednia raczej na miłą herbatkę, niż na ceremonię ślubną.

Lady Jean taktownie podsunęła, by przystroić wnętrze kościoła złotymi chryzantemami, które kwitły jeszcze w ogrodzie, ale ciotka Judith oświadczyła, że Catriona ma wziąć ślub bez kwiatów i welonu, gdyż jest w stanie grzechu. Panna młoda trzymała więc w ręku niewielką biblię przełożoną na język gaelicki, która należała niegdyś do jej matki. Na głowie miała mały czarny czepek, przybrany białą koronką i czarną wstążką. Wyglądała jak dość pospolita panna młoda.

Mroczne wnętrze kościoła, posępny głos ojca, nieżyczliwa atmosfera i nieustanne bębnienie deszczu - wszystko to pasowało jak ulał do „Przydatnej brzyduli” i jej żalostnego ślubu. Jednak, mimo pozbawionego ciepła obrzędu i jej własnych oporów przed poślubieniem hrabiego Kildonana, Catriona czuła, że rośnie w niej podniecenie. Nigdy nie przypuszczała, że wyjdzie za mąż, więc na chwilę przymknęła oczy i radowała się tym, że ktoś chciał ją wziąć za żonę. Wygłaszane przez ojca uświęcone formułki przelatywały jej mimo uszu.

Pozwoliła sobie przez króciutką chwilę ludzić się, że jej najdroższe marzenia się spełniły: czeka ją miłość i szczęście, będzie miała dzieci i własny dom oraz czułą opiekę męża - aż do końca życia. Westchnęła. To nie było małżeństwo z miłości, ale z konieczności i poczucia obowiązku.

W blasku świec oblubieniec nie wyglądał na nieszczęśnika zmuszonego do małżeństwa. Przypominał księcia z bajki, zdumiewająco przystojnego w czarnym fraku i spodniach, w czarnej jedwabnej kamizelce, z wymyślnie pofałdowanym błękitnym fularem pod szyją. Ciemne włosy falowały mu lekko nad czołem, a orzechowo-zielone oczy jaśniały w blasku świec. Był piękny. Żadne inne określenie nie pasowało. Catrionie na chwilę zaparło dech, gdy spojrzała na niego. Nie mogła uwierzyć, że tak pełen uroku mężczyzna chce poślubić właśnie ją!

Spostrzegł, że na niego patrzy i uśmiechnął się. Przelotny uśmiech Evana rozgrzał jej serce i przyniósł chwilową pociechę. Podczas tej ciężkiej próby Catriona przekonała się, jak uczciwie i szlachetnie Evan Mackenzie odniósł się do małżeństwa, do którego w gruncie rzeczy został zmuszony.

Wielebny MacConn wymamrotał słowa przysięgi po gaelicku i zwrócił się do pana młodego, by je potwierdził. Evan spojrzał na Catrionę i uniósł brew na znak, że nie rozumie, o co chodzi.

- Powiedz „tak” - podszepnęła. - To znaczy... jeśli tego naprawdę chcesz.

Evan lekko zmarszczył czoło. Catriona z bijącym sercem wpatrywała się w oblubieńca. Czyżby rozmyślił się w ostatniej chwili?...

- Tak - powiedział cicho.

Potem Catriona złożyła przyrzeczenie po gaelicku i powtórzyła po angielsku. Evan

ujął jej okrytą rękawiczką dłoń.

Poczuła zawrót głowy - miała wrażenie, że przetoczyła się przez nią czarodziejska fala i złączyła ich na całe życie w myśl złożonej przysięgi.

Przymknęła oczy. Nie mogła jednak pozbyć się wrażenia nierealności, jakby nagle pograżyła się we śnie, gdzie czas płynie niesłychanie szybko i niezwykle wolno, a stukot serca i tętno krwi zagłuszają wszelkie inne dźwięki.

Kiedy wielbny MacConn ogłosił ich mężem i żoną, Evan zerknął na Catrionę.

- Już po wszystkim - szepnęła. - Teraz mamy...

- Pocałować się - mruknął, przysuwając się bliżej. - Tyle to i ja wiem. Dotknął ustami jej ust z taką czułością, że coś poruszyło się w jej sercu

i całym ciele, choć ojciec stał nad nimi z ponurą miną. Byli mężem i żoną. Catriona nie mogła w to uwierzyć.

Paniczny strach mrozi jak ostry wiatr.

Z bijącym mocno sercem Evan czekał - nie okazując po sobie, że ogarnęły go nagle wątpliwości - aż Catriona staromodnym piórem ojca podpisze się w kościelnym rejestrze. Znajdowali się w kancelarii parafialnej.

Co ja tu robię?, zdumiewał się w duch. Dobry Boże! Ja się naprawdę ożeniłem!

Po jednym czy dwu głębokich wdechach zdał sobie sprawę, że nadal jest przekonany, iż postąpił słusznie i roztropnie. Tylko to mogło naprawić sytuację. •

Zerknął nad ramieniem żony do rejestru. Podpisała się: Catriona Elspeth MacConn. Nie wiedział nawet, że Catriona ma również drugie imię. W ogóle wiedział bardzo mało o swojej żonie, choć poznał już niektóre jej sekrety, i to najbardziej intymne.

Przyszło mu na myśl, że jego matka również miała na imię Elspeth. Ciekawe, czy synowa przypadnie jej do gustu? Hrabina wdowa bawiła w Hiszpanii z grupą przyjaciół i nie miała pojęcia o zmianach, jakie zaszły w życiu syna.

Powinien jak najszybciej napisać i powiadomić matkę o swoim ożenku, choć obawiał się, że ta nowina ściągnie ją do kraju. Matka spadnie na Szkocję niczym trąba powietrzna! Marzyła przecież tylko o jednym: żeby jej syn się ożenił. Evan był pewien, że stara hrabina powita Catrionę równie serdecznie, jak Jean, która uczyniła to w imieniu całej rodziny. Na to wspomnienie hrabia uśmiechnął się do siebie.

Wziął pióro i podpisał się w rejestrze. George Evan Mackenzie. Po krótkim wahaniu dodał: Hrabia Kildonan, wicehrabia Glendevon. Poczuł, jak stojąca obok niego Catriona sztywnieje na widok wypisanych tytułów.

Świadkowie obserwowali młodą parę. W kancelarii probostwa zapadła niezręczna cisza. Jean, która starała się na wszelkie sposoby podtrzymać fikcję, że to małżeństwo jest dla wszystkich radosną uroczystością, podeszła do panny młodej, objęła ją i obdarzyła jednym ze swoich cudownych uśmiechów - łzawych, ale szczęśliwych.

- Witaj w naszej rodzinie, Catriono - powiedziała. - Gratulacje, braciszku! - Odwróciła się, by cmoknąć go w policzek. - Mam nadzieję, że będziecie ze sobą bardzo szczęśliwi!

-No tak, oczywiście, gratulacje! - mówił Harry, potrząsając ręką Evana, a potem Catriony.

Arthur poszedł za jego przykładem, brat panny młodej również. Wielbny MacConn zdawkowo cmoknął córę w policzek, a ciotka zaszczyciła ją sztywnym uściskiem.

Evan wziął Catrionę pod łokieć i poprowadził do drzwi. Trzymając jej szczupłe ramię, poczuł nagłą i niespodziewaną tkliwość. Odezwał się w nim również instynkt opiekuńczy. Nade wszystko pragnął zabrać dziewczynę jak najdalej od rodziny, która nie potrafi docenić jej zalet.

Co się miało stać, już się stało. Spełnił swój obowiązek. Na miłość nie było miejsca w małżeństwie, zawartym z poczucia winy i z wdzięczności. A jednak obudziła się w nim słaba nadzieja. Zawsze pragnął mieć rodzinę. Być może to właśnie zdecyduje o jego szczęściu... No

i, oczywiście, szczęściu jego żony.

Wpatrywał się w Catrionę mimo ciemności, gdy przemierzali trawnik w drodze powrotnej na plebanię. Czekala ich tu późna kolacja przed podróżą do zamku Kildonan. Inni ruszyli po cichu za nimi.

Zdawał sobie sprawę, że zabrakło kobziarza, który powinien ich przedstawiać wszem i wobec. Nie będzie też wróżenia z pantofli, żadnych przyśpiewek ani dokazywania. Panna młoda nie miała ślubnej obrączki, welonu, kwiatów. Żadnej muzyki ani tańca. Surowe zasady wzbraniały członkom jej rodziny wpłatać żarty i inne wesołe elementy do ceremonii weselnej. Wiedział jednak, że nawet zawieranie małżeństw w Wolnym Kościele nie bywa zwykle aż tak ponure.

Catriona powinna mieć piękne wesele i wzruszającą ceremonię ślubną, myślał. A jeśli ktoś zasługuje na tytuł hrabiny Kildonan, to przede wszystkim ona! Nikt nie kochał Glen Shee tak gorąco, jak Catriona MacConn; żadna inna hrabina nie byłaby lepszą opiekunką doliny i orędowniczką jej mieszkańców. Evan wiedział, że pod tym względem dokonał znakomitego wyboru. O ile zdoła przekonać Catrionę, by pozostała jego hrabiną do końca życia.

Zazdrościł jej miłości i więzi, jaka łączyła ją z Górami Szcockimi, jej małą ojczyzną. Jako chłopiec kochał gorąco te strony. Został jednak wyrwany stąd i przesadzony na inny grunt. A teraz, z winy ojca, mieszkańcy doliny nie mają do niego zaufania.

Wkrótce musi powiadomić Catrionę o swoim zamiarze sprzedania dużej części ziem, wynajęcia zamku i opuszczenia tych stron raz na zawsze. Uwolni się w ten sposób od licznych powinności szkockiego lairda. Musi również uprzedzić ją o gościach, którzy niebawem przybędą do zamku Kildonan. Niektórzy z nich przyjadą, by omówić konkretne warunki sprzedaży.

Był żonaty dopiero od dwudziestu minut, a już miał sekrety przed żoną!

Siedząc na wprost męża na obitej skórą ławeczce zamkniętego powozu, Catriona spostrzegła, że Evan marszczy brwi. W zamyśleniu wyglądał przez okno po swojej stronie.

Bez trudu mogła zrozumieć, że Evan żałuje pochopnie zawartego małżeństwa. Ona też nie całkiem jeszcze oprzytomniała po pospiesznym ślubie i sztywnym pożegnaniu z ojcem i ciotką. Z westchnieniem zwróciła się do swojego okienka i podziwiała strome zbocza i ciemne kontury gór, otaczających skalnym pierścieniem Dolinę Wrózek.

Nowożeńcy jechali sami. Lady Jean i sir Harry, którzy dostarczyli jednokonny gig do Glenachan, pożyczili zaprzężony w kuca powozik proboszcza, aby dotrzeć do zamku Kildonan przed młodą parą. Jean potrzebowała trochę czasu na powiadomienie służby, że przybędzie hrabia i przywiezie swoją świeżo poślubioną żonę do rodowej siedziby.

Pannie młodej niezbyt się spieszyło do nowego domu. Wtuliła się w kącik powozu i spoglądała w wieczorne niebo. Miała nadzieję, że woźnica będzie jechał ślimaczym tempem i wybierze najdłuższą drogę. Nie była jeszcze gotowa - ani sercem, ani umysłem - do porzucenia rodzinnego domu i bliskich. Lękała się także, że przez małżeństwo nie poprawi swojej opinii u ojca ani ciotki. Długo będzie musiała na to czekać.

Powstrzymała napływające do oczu łzy i zerknęła jeszcze raz na Evana. Siedział z założoną nogą na nodze. Na jego twarzy, widocznej tylko z profilu, widać było zamyślenie, gdy spoglądał na przemykający mu przed oczami krajobraz.

Jego wygląd świadczył o tym, że podobnie jak żona żałuje podjętej decyzji. Łza spłynęła Catrionie po policzku, ale starła ją niecierpliwie rękawiczką. Evan spojrzął na dziewczynę.

- No i co, moja pani żono? - spytał cicho.

- Mam nadzieję, że niedługo dojedziemy - powiedziała, łudząc się, że błaża rozmowa pomoże jej opanować płacz. - Z Glenachan do zamku Kildonan jest tylko dwanaście kilometrów.

- Ano tak. Zobaczysz zamek najpierw ty, po swojej stronie, jeśli nie będzie zbyt

ciemno. - Pochylił się, by razem z nią wyglądać przez okno. - To piękny widok, zwłaszcza przy księżycu, tak jak dziś. - Tylko spójrz!

Catrina przechyliła nieco głowę i ujrzała okazałą budowlę w księżycowej poświacie. Często widywała zamek Kildonan z daleka, ale nigdy w nim nie była. Nawet się jej nie śniło, że kiedyś w nim zamieszka.

Wzniesiony na brzegu niewielkiego jeziora, zabezpieczony od tyłu ciemnym masywnym wałem niższych gór, zamek Kildonan wyglądał jak z baśni. Jasne kamienne ściany, rozmaite wieżyczki i stożkowate kominy wyglądały w księżycowym blasku jak dzieło gnomów czy wrózek.

- O, jaki piękny! - westchnęła z całego serca.

- Owszem, imponujący - mruknął. - Na mój gust aż za bardzo. A wszelkie remonty i renowacje są okropnie kosztowne. Ale lepsza taka rodowa siedziba niż żadna.

Wkrótce woźnica skręcił w długi podjazd, który kończył się półkolem przed frontowymi drzwiami. Budowlę otaczały akry starannie przystrzyżonych trawników i wielopoziomowe ogrody kwiatowe. Z dwóch stron najstarszej części, centralnej wieży, biegingy prostokątne skrzydła z okazałymi oknami. Całość była mieszaniną wzorowej symetrii i zaskakujących kaprysów poszczególnych pokoleń mieszkańców. Dość dziwne tło dla tego rodzaju budynku stanowił dziki, surowy krajobraz Szkockich Gór.

- Z pierwotnego zamku zachowała się centralna wieża, wzniesiona przez jednego z lairdów w XVI wieku - wyjaśnił Evan. - Skrzydła dodano w XVIII wieku na rozkaz mojego pradziadka. Zewnętrzne ściany są z miejscowego piaskowca, pokrytego grubą warstwą podbarwionego tynku dla ujednolicenia kolorytu. Tynk chroni również ściany przed kaprysami pogody. Niebawem trzeba będzie na nowo otynkować zamek. Jest to niezbędny, ale bardzo czasochłonny zabieg. Jeśli w ogóle uda się znaleźć tynkarzy, którzy raczą tu przybyć.

- Rzeczywiście, zamek leży na odludziu - przytaknęła, rada, że rozmowa zeszła na obojętne tematy. - Ale jestem pewna, że można by znaleźć w pobliżu ludzi, którzy by się tym zajęli. Nie trzeba koniecznie spraszać malarzy i tynkarzy z Inverness czy Glasgow.

- Doskonały pomysł! Poproszę twojego brata, by zaangażował miejscowych ludzi do tej pracy. Nie wątpię, że zagrodnicy bez trudu opanują technikę tynkowania i podbarwiania zamkowych murów.

Catrina pospiesznie przełknęła ślinę i skinęła głową.

Powóz toczył się po długim podejździe, żwir skrzypiał pod kołami. Catrina nerwowo poprawiła niebieską spódnicę i krótką czarną pelerynkę, i nałożyła prosto czepek z czarnego jedwabiu. Przez kilka chwil, oczarowana widokiem zamku, zapomniała o czekającym ją spotkaniu z całą służbą zamkową. Zostanie przez nich powitana jako nowa hrabina Kildonan.

Evan odchrząknął nerwowo.

- Powinienem wspomnieć ci o tym wcześniej, ale całkiem wypadło mi z głowy w ferworze wydarzeń. Oczekujemy gości. Przyjadą do Kildonan za dzień lub dwa.

- Gości? - powtórzyła. - Tak od razu?

- To dwoje moich kuzynów z przyjaciółmi. Zaplanowali sobie miesiąc w Szkockich Górach, więc Jean i ja zaprosiliśmy ich na kilka dni do Kildonan. Zależy im na przetarciu pieszych szlaków; chcą też spróbować wspinaczki.

- Ach, tak?... - powiedziała w osłupieniu. Ciekawe, czy ktoś z tych gości nie zamierza przyjrzeć się z bliska zamkowi i hrabiowskiemu gruntom w nadziei, że je kupi? - Z pewnością okażą się sympatyczni - mruknęła bez przekonania.

- Wiem, że trudno ci będzie zajmować się gośćmi, ale wątpię, byśmy ich często oglądali. Przybywają tu przede wszystkim po to, by obejrzeć zamek i Glen Shee.

A więc miałam rację, pomyślała. Odwróciła głowę i zapatrzyła się w ciemność. Czowała ciężar w żołądku.

- Wszystko to doświadczeni wspinacze, entuzjaści wypraw górskich. Zamierzają odbyć sporo pieszych wycieczek. Większość z nich znam. Byliśmy razem w Alpach. Przy odrobinie szczęścia, moja pani, nie będziesz musiała bawić przybyszów rozmową. Ujrzysz ich tylko podczas śniadania i od czasu do czasu na obiedzie. Mają bardzo bogaty program.

- Czy i ty będziesz się wspiął razem z nimi? - spytała.

- Tak planowałem. Oczywiście będziemy zachwyceni, jeśli się do nas przyłączysz. I goście się ucieszą, i tobie może się to spodoba.

- Mnie?... No cóż... możliwe - odparła ponuro.

Konieczność zaznajomienia się z całą służbą jeszcze dziś wieczorem ciążyła jej jak kamień. Ale spotkanie kuzynów i przyjaciół Evana zaraz po skandalu i wymuszonym małżeństwie?! Przyjmowanie osób zainteresowanych kupnem Glen Shee i odgrywanie przy nich roli gościnnej pani domu... to już było za wiele! Nie mogła nawet o tym myśleć.

- Od czasu do czasu możesz wymówić się bólem głowy od obowiązków towarzyskich - podsunął Evan, jakby domyślał się jej niechęci. - Lady Jean zabawi tu kilka dni dłużej i może pełnić honory gospodyni.

W Catrionie ocknęła się duma.

- Bardzo rzadko miewam bóle głowy - oświadczyła. - Zrobię wszystko, czego się po mnie oczekuje.

- Doprawdy wszystko? - mruknął, bacznie ją obserwując.

Zdała sobie sprawę z podtekstu tego pytania i poczuła, że się czerwieni. Pragnęła nade wszystko znów znaleźć się w ramionach Evana Mackenziego, kochać go i być kochaną. Ale odezwały się również przeciwne uczucia. Był hrabią Kildonan. Oszukał ją. Musiała obronić swojego brata i ludzi z doliny. Cóż mogło ją fascynować w tym obcym człowieku, który zamierzał zrujnować jej życie i zniszczyć ukochaną dolinę?

Pragnienia ciała i serca były sprzeczne ze sobą. Catriona zmarszczyła brwi i odwróciła się do okna.

Zaprężony do gigu koń zwolnił i zatrzymał się. Dziewczyna spojrzała na frontowe wejście do zamku. Drzwi były otwarte. Wychodziło z nich mnóstwo ludzi. Wszyscy ustawiali się na szerokich schodach zalanych światłem księżycy.

Powóz zatrząsnął się, gdy stangret zsiadł z kozła. Evan poderwał się i wyskoczył pierwszy, by pomóc Catrionie przy wysiadaniu. Czowała, że strach aż się w niej przelewa, gdy z pomocą Evana schodziła na ziemię.

- Witaj w domu! - szepnął.

W domu? Zamknęła oczy, jakby coś ją nagle zabolalo; przez chwilę miała wrażenie, że traci grunt pod nogami. Potem poczuła, że mąż bierze ją pod ramię i użycza swojej zdumiewającej siły.

Ich twarze nie były mu znane, nazwiska też się plątały. Evan uprzejmym skinieniem głowy powitał wszystkich i kroczył bez pośpiechu obok Catriony. Gospodyni, pani Baird, zaznajamiała nową hrabinę z całym personelem. Evan również słuchał uważnie wyjaśnień starszej kobiety, ponieważ przybył do Kildonan zaledwie kilka dni temu i nie znał jeszcze większości służby.

Pani Baird i jej mąż Robert Baird, majordomus, pracowali w Kildonan już wtedy, gdy Evan był małym chłopcem. Innych nie zapamiętał, choć po raz drugi słyszał ich nazwiska. Zwątpił niemal, że kiedykolwiek zdoła je zapamiętać. Większość pokojówek i stajennych była dziećmi albo krewniakami kucharki i głównego stajennego. Na dodatek, wszyscy wyglądali zdumiewająco podobnie.

Catriona witała się z każdym, kto został jej przedstawiony. Podawała rękę i powtarzała nazwisko. Służący uśmiechali się do niej, wyraźnie uradowani takim powitaniem. Evan zauważył, jak łatwo jego żona swoją postawą i szczerym, ślicznym uśmiechem zdobywa ich serca.

Choć odbył już tę ciężką próbę zaraz po przyjeździe, poszedł teraz za przykładem Catriony. Powtarzał nazwiska przedstawianych osób i ścisnął im ręce. Odkrył, że i twarze, i nazwiska tym razem utkwily mu w pamięci.

A więc moja hrabina już zdołała mnie czegoś nauczyć!, pomyślał i uśmiechnął się do siebie.

- A to Maggie i Deirdre, pokojówki - mówiła pani Baird, a dwie ładniutkie dziewczyny z brązowymi włosami uśmiechnęły się i dygnęły niezbyt zręcznie. Catriona zamieniła z nimi kilka słów, a Evan skinął głową. - Bethie sprząta na dole, a Seona pomaga w kuchni. - Obie skinęły głowami i dygnęły: pulchna rudaska i ciemnowłosa smukła dziewczyna. - Davey i Allan pracują i w zamku, i w ogrodzie, a mały Robert jest chłopcem stajennym. - Wszyscy trzej młodzieńcy, chudzi jak tyki i wyszorowani od święta, skłonili się uroczyście, miętosząc w ręku czapki. - A to pan MacGillechallum - ciągnęła niezmiernie pani Baird, która podobnie jak mąż robiła wrażenie osoby władczej i nieprzystępnej. Ale MacGillechallumowie, ogólnie biorąc, byli pogodni i sympatyczni. - Pan Gillie, jak go nazywamy, odpowiada za stajnie. A pani MacGillechallum, jego żona, jest kucharką.

- Starczy samo Gillie - odezwał się MacGillechallum. Głos miał niski, a ręce wielkie i spracowane. On też zdjął czapkę.

Evan skinął głową i podał mu rękę, podobnie jak Catriona.

- A mnie wołają pani Gillie albo kucharka - odezwała się jego żona, niska, krzepka i bardzo podobna do młodziutkich pokojówek. - A te chłopaki i dziewczuchy to nasze dzieciaki i krewniaki. Wszyscy dobrze panią znamy... lady Kildonan. - Uśmiechnęła się do Catriony i szepnęła jej coś po gaelicku.

Catriona uściśnęła rękę kucharki i wyszeptała coś w odpowiedzi.

Evan nie mógłby się rozmówić po gaelicku, ale pamiętał to i owo z dzieciństwa, gdy niania uczyła go tego języka. Zrozumiał teraz, że pani Gillie dziękuje za coś Catrionie, a jego żona zapewnia, iż jej brat Finlay i ona sama byli szczęśliwi, mogąc pomóc.

- Widzę, że znasz państwa Gillie - zwrócił się do Catriony zaintrygowany.

Mógłby przysiąc, że się zaczerwieniła.

- Pomagaliśmy tylko rodzicom pani Gillie, którzy mieszkają trochę dalej w górach.

Słyszając, że ktoś go woła po imieniu, Evan odwrócił się i zobaczył siostrę ze szwagrem. Wyszli z domu i przyłączyli się do ogólnych powitań. Evan ucałował Jean, a potem przyglądał się, jak serdecznie jego siostra obejmuje Catrionę.

- Wchodźcie do domu! - popędzała ich Jean. - Przez ostatnią godzinę pracowaliśmy jak mrówki, ale chyba wszystko już jest gotowe!

Evan wziął Catrionę pod ramię, by doprowadzić ją do wejścia. Nagle jednak przystanął. Przypomniał sobie, jak należy wprowadzić żonę do domu. Szybko chwycił zaskoczoną Catrionę na ręce, a ona objęła go za szyję.

Choć wysoka, nie była wcale ciężka. Bez wysiłku przeniósł ją przez próg i dopiero we frontowym holu postawił na ziemi. Zgromadzeni na schodach przed wejściem obserwowali ich i nagrodzili ten wyczyn gromkim aplauzem. Evan pochylił się do żony i delikatnie dotknął wargami jej warg. Dotyk i smak jej ust był taki czuły i rozkoszny, że Evan przymknął oczy. Pragnął więcej, znacznie więcej! Każda cząsteczka ciała zapewniała go, że dokonał właściwego wyboru, poślubiając Catrionę bez zwłoki, choć inni mieli co do tego poważne wątpliwości.

- Witaj w Kildonan, Catriono! - Wziął ją za obie ręce i spojrzał w oczy. - Mam nadzieję, że nasze małżeństwo się ostoi.

Spojrzała na niego i szepnęła:

- Być może...

Zapierający dech w piersi widok gór zalanych księżycowym blaskiem, który roztaczał się z wielkich okien jej sypialni, przyciągnął od razu uwagę Catriony.

Kiedy pani Baird ustawiała na stole latarnię sztormową z migoczącą świeczką i zamykała drzwi sypialni, Catriona powoli odwróciła się od okna.

Zdumiała ją sama wielkość pokoju. Wysoki, pokryty sztukaterią sufit, ogromne okna i jasne ściany sprawiały wrażenie rozległej przestrzeni, której nie zakłóciło nawet ogromne łóże z baldachimem. Zasłony wokół niego, kapa, baldachim i stojący w pobliżu szezlong stanowiły miłe połączenie kremowego adamaszku z kwiecistym perkalem. Nie gryzły się także z wielkim dywanem o liściastych wzorach. Niewielkie obrazy olejne, lśniące meble z mahoniem i oszklona biblioteczka - wszystko to składało się na niezwykle uroczą całość.

W porównaniu ze skromnością i prostotą niewielkich pokojków w Glenachan ta komnata wydawała się godna królowej. Catriona aż pomrukiwała z zachwytu, gdy pani Baird pokazała jej osobistą gotowalnię, nowoczesną ubikację i wielką wyłożoną kafelkami łazienkę. Apartament był niezwykle komfortowy. Deirdre, jedna z pokojówek, napełniała porcelanową wannę gorącą wodą, która płynęła z mosiężnych kurków. Dziewczyna spojrzała na swoją nową panią z nieśmiałym uśmiechem i wróciła do układania grubych lnianych ręczników.

- Cysterna na dachu dostarcza gorącą i zimną wodę do pokoi na piętrze i do kuchni - wyjaśniała pani Baird. Trzymała się sztywno, zachowywała się oficjalnie i miała twarz tak pozbawioną wyrazu, że Catriona zaczęła podejrzewać, iż lata służby u poprzedniego hrabiego pozbawiły tę kobietę wszelkiej wesołości. - Niekiedy mamy kłopoty z wodą do kąpeli, jeśli zjedzie się cała chmara gości. Wówczas woda zostanie dostarczona do pani pokoju na każde żądanie.

- Bardzo dziękuję! - odparła Catriona.

O mały włos nie wypaplała, że w Glenachan zawsze brała kąpiel późnym wieczorem w pokoju kredensowym. Cysterna z dopływem wody do każdej sypialni wydawała się jej zdumiewającym luksusem.

Pani Baird otworzyła następne drzwi.

- To wejście do wspólnego saloniku pani hrabiny i lorda Kildonana. Jego sypialnia jest tam, za drzwiami naprzeciwko.

Catriona zajrzała do saloniku; był to przytulny pokój z niewielkim kominkiem, jednym oknem i kompletem obitych skórą mebli: kilku foteli i szezlonga, starannie poustawianych na podniszczonym wschodnim dywanie. Drzwi naprzeciwko były uchylone. Catriona ujrzała niewielką sypialnię, ciemną, ale przytulną. Ściany były ciemnozielone, meble mahoniowe. Nagle usłyszała Evana; rozmawiał z kimś półgłosem, być może ze służącym. Po chwili ukazał się w drzwiach łączących obie sypialnie; zamierzał je właśnie zamknąć.

Ich oczy spotkały się. Spojrzenie Evana było przenikliwe i skupione. Po chwili zamknął drzwi.

- Deirdre będzie osobistą pokojówką pani hrabiny, póki nie wybierze sobie pani kogoś innego - oznajmiła pani Baird. - Poprzednia hrabina nie mieszkała w Kildonan, a lady Jane przywozi zawsze własną służącą.

Catriona skinęła głową. Nie bardzo wiedziała, po co jej pokojówka i gdzie miałaby się o nią starać.

- Jestem pewna, że Deirdre świetnie sobie poradzi - powiedziała, uśmiechając się przez drzwi do dziewczyny, która właśnie układała na tacy różne kosmetyki. Nie zabrakło też bukietka kwiatów.

Po odejściu pani Baird, Deirdre pomogła Catrionie zdjąć błękitną jedwabną suknię. Dziewczyna była skromna, nie narzucająca się, zręczna. Kiedy zaczęła rozplatać i rozczesywać jej włosy, Catriona nieco się odprężyła. Podczas gdy pokojówka rozpakowywała podręczny bagaż, Catriona zamknęła się w łazience i zanurzyła w gorącej, pachnącej wodzie. Westchnęła i przymknęła oczy.

Zaledwie wczoraj gotowa była zaprzedać duszę za tyle ciepła i takie wygody. No i

zaprzedała... w pewnym sensie. Przypomniała sobie dotyk rąk Evana na swoim nagim ciele, rozkosz stąpienia się w jedno, pieśczętę jego ust i rąk. Ciekawe, czy Evan spodziewa się, że spędzą razem tę noc... albo wręcz przeciwnie - podziela jej żal z powodu zbyt pospiesznego małżeństwa.

Z cichym westchnieniem zanurzyła się w gorącej, pachnącej różami wodzie i omal się nie utopiła. Gęste pasma miedzianozłotych loków pływały na powierzchni. Ciało Catriony tęskniło za czarodziejskim dotykiem Evana, ale jej serce przepełniał niepokój.

12

Stojąc przed wewnętrznymi drzwiami do sypialni żony, Evan wahał się. To była jego noc poślubna. Doskonale znał swoje prawa, ale nie był pewny, czego sobie życzy jego żona. Zacisnął mocniej pasek szlafroka z kasztanowego jedwabiu, zastukał, usłyszał cichą odpowiedź i wszedł.

Catriona zerknęła na niego znad książki, którą trzymała w ręku. Oczy miała szeroko otwarte i trochę zaniepokojone. Spoczywając w ogromnym łóżku, zagłębiona w koronkowe poduszki i okryta kołderką w kolorze kości słoniowej, wyglądała kusząco i ślicznie. Jej wdzięczna postać odziana była w śnieżnobiałą nocną koszulę zapiętą po szyję i obszytą jasnoniebieską wstążeczką.

Wydawała się bezbronna, choć w lśniących rudych włosach spływających na ramiona było coś drapieżnego. Na sam widok żony Evanowi zabrakło tchu, a całe ciało sprężyło się instynktownie. Podeszedł bliżej.

- Dobry wieczór, pani hrabino - wymamrotał.

- A, to pan, milordzie?

Wzięła znów do ręki książkę i zaczęła ją kartkować z pozorną nonszalancją. Zauważył jednak, że palce jej drżały.

Zastanawiał się, od czego zacząć, co powiedzieć. Wetknął ręce w kieszenie jedwabnego szlafroka i rozejrzał się dokoła. Obicia zostały niedawno zmienione, ale meble pozostały te same. Matka kupiła je przed laty. Dywan z liściastym wzorem również leżał tu od niepamiętnych czasów. Evan przypomniał sobie, jak wodził paluszkami po tych liściach dawno, dawno temu, w szczęśliwszych czasach.

- Spodziewam się, że.... Proszę, mów pierwsza - powiedział, gdy odezwali się równocześnie.

- Chciałam tylko zauważyć, że to prześliczny pokój i jest mi tu bardzo wygodnie. - Splotła ręce na piersiach jak skromnisia. - To był pokój twojej matki? - spytała.

- Tak. Moi rodzice korzystali z tego apartamentu, zanim... matka opuściła swojego męża. Była o nim podobnego zdania jak ty - zauważył cierpko.

Catriona zamrugnęła i nic nie odpowiedziała; Evan dostrzegł jednak w jej oczach błysk zrozumienia.

- Moja siostra po śmierci ojca kazała przemeblować salony. - Jego odnowiony pokój był mniejszy i bardziej przytulny od sypialni Catriony. Ciemna zieleń... ciemne drewno... Owszem, spodobała mu się ta przyjemna i wygodna Jaskinia". - Nie dostrzegłem zmian aż do wczoraj.

- Nie spodziewałaś się przecież, że będziesz musiał ulokować tu żonę - stwierdziła bez ogródek.

- W każdym razie, nie tak szybko - przyznał.

Rany boskie! Dyskutował o meblowaniu pokoi, jakby nie był jej mężem tylko majordomusem! Najwyraźniej znów nie poruszył odpowiedniej struny.

Wczoraj w nocy przysła z własnej woli w jego ramiona. Wspólne ciężkie przeżycia wytworzyły między nimi przejmującą i emocjonującą więź. Evan pragnął, by ten cud powtórzył się dla nich obojga, ale nie miał pojęcia, jak tego dokonać.

Podeszedł do łóżka.

- Co czytasz? - spytał.

Zerknęła na okładkę, jakby sama nie знаła tytułu.

- Znalazłam to na półce... Sir Hugh MacBride, „Zaklęty głóg”. - Przerzuciła kilka stron. - O!... Dedykacja od autora: „Dla panicza Evana z serdecznymi życzeniami, sir Hugh. Dundrennan House, Boże Narodzenie 1840”.

- Skończyłem dwanaście lat przed samym Bożym Narodzeniem. Dostałem to od niego w prezencie. Nie wiedziałem, że ta książka jeszcze tu jest. Moja siostra kiedyś ją sobie pożyczyła. Przyjeżdżała tutaj znacznie częściej niż ja.

- Rozumiem. Więc w grudniu skończysz trzydzieści jeden lat?

- Właśnie. A ty... jeśli wolno spytać? Nie wiem nawet, ile masz lat, choć podejrzewam, że nie jesteś aż tak stara jak twój oblubieniec.

- Dwadzieścia sześć skończę we wrześniu. Niewątpliwie stara panna.

- Już nie - powiedział, przypatrując się jej bacznie. Podchodząc do łóżka, czuł na sobie czujne spojrzenie Catriony. Wiedział, że oboje wykorzystują tę rozmowę, żeby zbliżyć się do siebie, poznać nawzajem. Nigdy jeszcze się tak nie wahał, nie zwlekał. Wcale mu to nie odpowiadało! Był człowiekiem czynu, który szybko podejmuje decyzje.

W chacie owczarzy wiedział, co robić. Ale idąc za głosem serca i instynktu, pozwolił, by pożądanie i namiętność powiodły go ognistą ścieżką.

A teraz dreptał po czyściutkiej dróżce towarzyskich konwenansów, choć palił się do tego, by chwycić Catrionę w ramiona i znów się z nią kochać, mocno i żarliwie. W dodatku całkiem legalnie. Musi dać jej do zrozumienia, że chętnie podejmie obowiązki małżeńskie, ale ten taniec, który każą mu tańczyć, jest dla niego zbyt wyrafinowany, a układ zbyt subtelny. Jeden niewłaściwy krok, a serca się złamią i nadzieje prysną.

Spojrzała znów na książkę.

- A więc znałeś sir Hugh'a osobiście. Bardzo interesujące! Zawsze prze padałam za jego poezją.

Nie miał ochoty gadać o wierszach. Chciał wyrwać żonie tę cholerną książkę, rzucić ją w drugi koniec pokoju i chwycić Catrionę w ramiona. A jednak nie mógł tego zrobić.

Usiadł w nogach łóżka. Materac aż pod nim jęknął.

- Catriono... - szepnął, opierając się na rękę.

Podciągnęła kolana, by znaleźć się jak najdalej od niego.

- Dobrze znałeś sir Hugh'a?

Przerzuciła jeszcze kilka kartek.

Evan westchnął.

- Znam syna i spadkobiercę. I miałem szczęście, bo zapraszano mnie do jego domu podczas wielu szkolnych wakacji. Uczyłem się w Eton, potem studiowałem na uniwersytecie w Edynburgu z Aedanem, obecnym lairdem z Dundrennan, i z jego kuzynem Dougalem Stewartem. Nadal jesteśmy przyjaciółmi. Może i ty kiedyś ich poznasz.

- Może... Ale znajomość z tak wielkim człowiekiem musi być niesłychanie interesująca!

- Szczerze mówiąc, bardzo rzadko go widywałem. Spędzałem czas na łowieniu ryb i wędrówkach po górach z synami i siostrzeńcem poety, i wdychałem żałośnie do jego ślicznej córki oraz siostrzenic. Dzięki romantycznej poezji można było pozyskać względy dziewcząt... Chociaż ja robiłem z siebie głupca nadaremno.

Uśmiechnął się niemądrze.

Catriona roześmiała się. Kochał jej śmiech, bo przypominał muzyczną grę.

- Chyba więc to odłożę.

Rzuciła mu łobuzerskie spojrzenie i wstała z łóżka. Przeszła przez pokój i odstawiła książkę na miejsce, w pobliżu szeslonga.

Złociste światło lampy otoczyło ją jak aureola i przeniknęło przez niemal

przezroczysty materiał koszuli. Evan widział wyraźnie jej pełne piersi, prześliczne nogi, zarys krągłych bioder i osiej talii. Ciało Evana natychmiast zareagowało na ten widok, ale skrzyżował tylko ramiona i uniósł lekko brew.

Znał ją od niedawna, to prawda, ale i tak wiedział o niej znacznie więcej niż pierwszy lepszy żonkoś w noc poślubną. Zapoznał się już z kuszącymi kształtami, poznał smak ust i przysłuchiwał się, jak dziewczyna oddycha, kiedy zasnęła w jego ramionach. Takich doznań nie zapomina się z dnia na dzień. Catriona rzuciła na niego urok, a on nie spodziewał się czegoś podobnego. Nie mógł pojąć, jakim cudem tak od razu dał się schwytać.

- Moja droga... - Wstał i zbliżył się do Catriony. - Boże wielki! - pomyślał. - Nawet nie wiem, jak się do niej zwracać! - Sądzę, że powinniśmy podyskutować o naszej umowie.

Odwróciła się z rękoma skrzyżowanymi na biuście. - O umowie?...

- Tak. Nasze spotkanie i małżeństwo było niespodziewane dla każdego z nas. Wiem, że nie jesteś najszcześliwszą oblubienicą na świecie.

- Prawie się nie znamy - przypomniała. Skinął głową.

- Wiele małżeństw opiera się na jeszcze słabszej podstawie.

- Tak, ale nadal mnie zdumiewa, że zniósłeś to wszystko. - Zmrużyła oczy w zamyśleniu. - Czyżbyś aż tak potrzebował hrabiny? Może jakiejś góralki ze sporą rodziną, która zajmowałaby się zamkiem Kildonan pod twoją nieobecność i załagodziła stosunki z okoliczną ludnością?

Evan zmarszczył się. Temperament już go ponosił.

- Przestań mnie obrażać! Dobrze wiesz, że zrobiłem to, co uważałem za słuszne. I sądzą, że powinniśmy dać sobie jeszcze jedną szansę. Zerwanie więzów małżeńskich to koszmar! - Jego rodzice żyli w separacji przez dwadzieścia lat, by uniknąć tej straszliwej próby, jaką był przeprowadzony na drodze sądowej rozwód. - Nie możemy po prostu anulować tego małżeństwa.

- Nie możemy - przytaknęła. - Myślałam, że chcesz poczekać kilka tygodni, by... - Urwała. - ..upewnić się w sprawie dziecka.

- Czy będzie, czy nie będzie, i tak dobrze się ze sobą zgadzamy - odparł.

- Mogliśmy zgadzać się ze sobą w chacie owczarzy, wiedząc, że inaczej musimy zginąć. A poza tym sądziłam wtedy, że jesteś panem Mackenzie. Człowiekiem godnym zaufania.

- Mogłabyś zaufać także hrabiemu, gdybyś spróbowała. - Parsknął gromkim śmiechem. - A zresztą, co miałem ci powiedzieć? „Jestem tym, kogo nienawidzisz nade wszystko w świecie. Chodź, prześpimy się razem”?

- Doceniłabym twój dobry gust! - warknęła.

- Gdybym ci to wyjawiał, pani hrabino, zamarzlibyśmy oboje.

- Dlaczego tak ci na tym zależy? - spytała bez ogródek.

Zmarszczył brwi i zastanowił się. Nie potrafił wyjaśnić, że czuje się z nią związany, i nie tylko jej pożąda, ale też darzy szacunkiem. Poza tym łączyło ich pokrewieństwo dwóch samotnych dusz.

W jego wnętrzu toczyła się wojna między gwałtownym pragnieniem miłości i fizycznego zbliżenia a logicznie myślącym umysłem, który ostrzegał, by się nie spieszył, wytrzymał ten taniec po tańcu i przekonał się, co z tego wyniknie.

Nie umiałby wyjaśnić, jak to się stało, że na dwa lata zamknął serce przed całym światem, a w jej towarzystwie czuł się uleczony, zrozumiany i silny. Żadna kobieta nie spowodowała w nim takich wewnętrznych zmian.

Nie mógł jednak wyjawić tego Catrionie; nie potrafił odkryć się tak całkowicie... nawet przed nią. Duma i wrodzona rezerwa sprawiły, że wzruszył tylko ramionami.

- Jestem przyzwyczajony do ryzyka i chcę wykorzystać tę szansę - odpowiedział po prostu. - Ale widzę, że ty tego nie pragniesz.

- Nie zamierzam akceptować niczego z tej tylko racji, że jest wygodne - odparła szorstko. - Dobre małżeństwa opierają się na czymś znacznie ważniejszym niż... pociąg fizyczny i obowiązek. - Zarumieniła się.

- Masz na myśli miłość? To bardzo rzadki skarb, dziewczusko. Czasem dostrzegałem ją u innych albo czytałem o niej, ale wątpię, by była dawana za darmo każdemu, kto się żeni. A jednak wiele małżeństw radzi sobie całkiem dobrze bez idealnej, wspaniałej, wiecznej miłości.

Spoglądała na niego spod zmarszczonych brwi. Oczy jej straciły blask. Evan przeklinał się w duchu za swoją przeklętą szczerłość.

- Więc nie spodziewasz się miłości, a jednak chcesz kontynuować ten związek?

Zawahał się.

- Myślę, że dokonaliśmy dobrego wyboru, choć przeznaczenie również odegrało tu niemałą rolę. Ja znalazłem najodpowiedniejszą hrabinę dla Kildonan - oznajmił. - A ty zyskałaś potrzebne ci wsparcie. Bez tego małżeństwa znalazłabyś się w bardzo trudnym położeniu.

Wiedział, że brzmi to sucho, ale nie mógł dłużej rozmawiać o swoich uczuciach. Czuł się związany z tą dziewczyną jak z żadną inną, choć nie bardzo pojmował, czemu tak jest. Nie zamierzał też bez końca dręczyć się tym samym pytaniem. Kierował się instynktem i odwagą. Instykt podpowiadał mu, że małżeństwo będzie dobre dla nich obojga. Zresztą, niech to wszyscy diabli! Nie zamierzał spędzić nocy poślubnej na dyskusji o miłości, zwłaszcza że był przekonany, iż miłość nigdy do niego nie zapuka.

- Wiem, że nasze pierwsze spotkanie było niekonwencjonalne, ale... Mimo woli roześmiał się głośno. Zaciśnęła usta, a on skinął głową. -Mów dalej!

- A zatem nasza znajomość opiera się na rozpacz, strachu... i chęci przetrwania?

- To bardzo przyjemne uczucie, gdy pomogło się komuś przetrwać. Spojrzała na niego krzywym okiem.

- A jeśli się okaże, że w codziennych sytuacjach wcale do siebie nie pasujemy? W razie niebezpieczeństwa musimy sobie pomagać, żeby przetrwać. Ale w zwykłych warunkach nie mamy właściwie nic, co nas łączy.

- Mamy oboje w sercu tę dolinę. - Machnął ręką w stronę okna, za którym księżyc, cienki skrawek światła, błyszczał nad ciemnymi, pradawnymi górami. -Nasze szkockie dziedzictwo. Chatę owczarzy... i ślub.

- Ślub... - Odwróciła oczy. - Smężna ceremonia.

- Obyło się bez pompy, to prawda. Ale za to panna młoda była śliczna - dodał cicho. Jego wzrok przemknął po całym ciele dziewczyny; blask świecy nadal przenikał koszulę, toteż ciągle zerkał w tę stronę.

Catriona chyba wreszcie zrozumiała, że Evan widzi ją półnagą, bo schwyciła leżący na szezlongu szal, pokryty drobnym haftem, i otuliła nim ramiona. Fałdy materiału nie przesłoniły mu na szczęście widoku cudownych nóg Catriony.

Skrzyżowała ramiona na piersi.

- Gdybyśmy mogli zacząć wszystko od początku!... Ale małżeństwo już nas związało.

- Nie mam ochoty znów spadać z góry - wycedził.

- Chodziło mi tylko o to, że większość znajomości zaczyna się od prezentacji, miłej przyjaźni. Potem następują zaloty, a w końcu obie strony stwierdzają zgodnie, że małżeństwo jest po ich myśli. A my zaczęliśmy wszystko na opak!

Wpatrywał się w nią, oszołomiony rozwiązaniem, które właśnie przyszło mu do głowy. Czy w grę wchodzi taniec, czy długa wędrówka, czy zdobycie górskiego szczytu, czy wreszcie małżeństwo, trzeba iść krok za krokiem.

- Moglibyśmy... zacząć od nowa, wiesz? Bez oblodzonej góry, zawieruchy śnieżnej. Po prostu... wystartować raz jeszcze.

- Pewnie, że moglibyśmy.

Spojrzała na niego z ożywieniem w oczach. Potem wyciągnęła rękę.

- Jestem Catriona MacConn, proszę pana. Córka proboszcza. - Uśmiechnęła się.

Miała małe dołki w policzkach. Pojawiały się tylko wtedy, gdy się uśmiechnęła, więc Evan nie widywał ich często. Boże! Ależ ona piękna, pomyślał. Uśmiech przeobrażał jej miłą buzię w niezwykle piękne zjawisko.

- I proszę mi nie wmawiać, że nazywa się pan Mackenzie! - powie działa.

Usta mu drgnęły i musiał parsknąć śmiechem, co mu się ostatnio rzadko zdarzało.

- Lord Kildonan.

Ujął szczuplutkie, chłodne paluszki Catriony. Złożył głęboki ukłon. Szeźlong stał pomiędzy nimi jak barykada.

Dołączki Catriony jeszcze się pogłębiły, jej niebieskie oczy rozbliły. W przezroczyściej koszuli, z nieujarzmionymi ognistymi włosami spływającymi na ramiona, z piersiami prężącymi się pod materiałem, była więcej niż piękna. Wyglądała jak uosobienie namiętności.

Patrząc na Catrionę, miał wrażenie, że wymierzono mu brutalny cios w serce i żołądek. I nagle przyszło mu do głowy, że może jednak - rozpaczliwie i niespodziewanie - zakochał się?...

Wdrapywał się na szczyty gór, zstępował w głębie oceanu, narażał życie setki razy. Nie wahał się z całą świadomością zawrzeć małżeństwo, by uratować honor tej dziewczyny. Ale nic nigdy nie przeraziło go tak, jak przypuszczenie, że naprawdę się zakochał.

Czyżby właśnie to przyciągało go do Catriony?

Z wałącym na alarm sercem, nie puszczać ręki żony, obszedł szeźlong, by musiała odwrócić się do niego twarzą. Przyciągnął ją powoli do siebie. Płonęło w nim pożądanie.

- Możemy zacząć od nowa, jeśli chcesz - powtórzył półgłosem. - To twoja noc poślubna, więc wszystko winno się dziać zgodnie z twoim życzeniem. Nie łudź się jednak, że możemy wytrzeć tabliczkę do czysta, bawić się w niewinną przyjaźń i czekać, co z tego wyjdzie.

- Gdybyśmy od pierwszej chwili wiedzieli, kim naprawdę jesteśmy, to może by nam się udało.

- Tak sądzisz? - Przyciągnął ją jeszcze bliżej do siebie, a ona się nie opierała. - Co byś czuła, gdybyś spotkała mnie po raz pierwszy w przedsionku kościoła albo w salonie jakiejś czcigodnej matrony przy herbatce? Powiedz! - Objął jej twarz dłońmi, zasłaniając delikatny, a zarazem wyrazisty kontur jej szczęki.

- Poczulałabym, że coś nas ciągnie do siebie jak magnes - szepnęła.

- Teraz też to czujesz? - zapytał cicho, pochylając głowę.

- O, tak! - wyszeptała i odchyliła głowę. Dotknął ustami jej ust.

Poczuł, jak wargi Catriony poruszają się słodko pod jego ustami. Przyciągnął ją do siebie, by pocałować tak, jak pragnął, spieszenie i brutalnie, aż jęknęła.

Zanurzając palce w złotorude włosy i czując, jak loki Catriony spływają kaskadą na jego ramię, całował ją tak długo, aż sam zaczął drzeć od potężnej siły, która posłużyła się jego ciałem.

Porwał ją w ramiona i przycisnął biodra do jej bioder. Czuł rozkoszne kształty i błogosławione ciepło przez zwiewne warstwy jedwabiu i gazy. Wiedział, że ona również czuje twardość napierającego na nią ciała. Zagłębił się pomiędzy uda dziewczyny tak, że rozdzielały ich tylko zwiewne szmatki. Całował ją bez przerwy, odchylając do tyłu, tak że jej piersi i wyprężone sutki ocierały się o jego klatkę piersiową. Z każdą chwilą stawał się coraz bardziej podniecony, rozgorączkowany i natarczywy. Nie mógł już ukryć widomych oznak pożądania.

Zbyt długo trzymał się na uboczu, zbyt długo był sam. Teraz czuł zgromadzony w

sobie potencjał emocji, który przewyższał jego oczekiwania. Nigdy jednak nie będzie odgrywać roli spragnionego miłości durnia... nawet jeśli w głębi serca, gdzie ukrywał sekrety, tało się marzenie o tym, by kochać i być kochanym.

Przez kilka chwil mógł jeszcze dotykać jej i całować, jak długo mu na to pozwoli.

Wśliznął się językiem pomiędzy jej rozchylone wargi i poczuł, jak Catriona wzdycha i mięknie. Sunął ustami w dół, pieścił jej szyję, ucho...

Prężyła się w jego ramionach - było to oczywistym zaproszeniem, a gdy przesunął ręką po jej ramieniu, by odnaleźć spadzistość piersi, Catriona jęknęła i poruszyła się lekko. Dzięki temu pierś znalazła się w jego dłoni. Przez cieniutki materiał wyczuł perełkę napiętego sutka.

Gdy drażnił pierś otwartą dłonią, Catriona odprężyła się nieco w jego ramionach. On sam tak był pobudzony i spięty, że nie mógł złapać tchu, zaskoczony potęgą wzbierającego pożądania. Raz jeszcze zawładnął jej ustami i całował zaborczo, ona zaś objęła go za szyję.

Evan instynktownie wiedział, jakie skarby ukrywa przed światem Catriona. Pragnąc rozpaczliwie zakosztować ich znowu, czuł, jak jego ciało spręża się i nabrzmięwa, a serce łomocze jak szalone! Jeszcze chwila i już nie zdoła się opanować. Zacisnął powieki i odetchnął głęboko.

Nagle Catriona odsunęła się, by spojrzeć na Evana. Pierś jej falowała, wargi obrzmiały od pocałunków, sutki napinały rozkosznie cieniutki materiał koszuli.

- Nie teraz! - powiedziała bez tchu. - Jeszcze nie! Musimy... Myślę, że trzeba poczekać: niech się wszystko ułoży samo, bez pośpiechu. Nada jemy zbyt szybkie tempo.

Mógłby jej wyjaśnić, że i tak wszystko będzie dobrze. Kiwnął jednak głową i cofnął się o krok. Poczuł, jak wdiera się między nich chłodne powietrze. Jego ciało nadal płonęło żywym ogniem pod fałdami jedwabnego szlafroka. Choć tak bardzo pragnął jej dotknąć, zdołał się cofnąć jeszcze o krok.

- Jak już mówiłem, moja droga... - zaczął, nie mogąc zapanować nad oddechem. - ...możemy zacząć od nowa, wedle twojego życzenia, ale nie będę się bawił w żadne salonowe sztuczki. Wiesz i bez tego, jak się do ciebie palę. - Poglaskał ją po ramieniu. Kciukiem musnął leciutko pierś i poprzestał na tym, choć powściągliwość doprowadzała go do szaleństwa. Wszystko albo nic. - Decyduj się Catriono. Albo ten pocałunek wraz ze wszystkimi jego konsekwencjami albo nic.

- N.. .nic? - zamrugła ze zdumienia.

- Żadnych sztuczek, nieszczerych przysięg, żadnego dożywotniego więzienia w małżeństwie bez miłości. Sama zdecyduj, czy chcesz tych pocałunków, czy wolisz żyć bez nich. Zdecyduj się albo na małżeństwo w pełnym znaczeniu tego słowa, pani hrabino, albo wróć do dawnego życia jako Catriona MacConn. Cokolwiek wybierzesz, dotrzymam przyrzeczenia i będę się tobą opiekował - mówił cicho, a na koniec przeciągle pocałował jej rękę. - Ale musisz się zdecydować... Zaufasz mi, czy nie?

Każda cząsteczka jego ciała płonęła. W Catrionie również wyczuł dreszcz pożądania. Puścił jej rękę.

- Wszystko zależy od ciebie. A teraz idź spać, moje miłe dziewczę. Oboje potrzebujemy wypoczynku. Jeśli mamy zacząć wszystko od nowa, musimy się przedtem wyspać.

Odwrócił się, choć kosztowało go to wiele wysiłku. Nigdy nie zapomni wyrazu jej twarzy: wielkie, błękitne oczy, zaróżowione policzki, wargi wilgotne i rozchylone, ogniste włosy. Jego pulsujące ciało protestowało gwałtownie, ale wyszedł z pokoju żony i zamknął za sobą drzwi.

Od ubiegłej nocy pragnął tylko jednego: znów zakosztować żaru jej miłości. Teraz także myślał tylko o jednym: o bardzo zimnej kąpieli.

Catriona obudziła się nagle i uświadomiła sobie, że bardzo długo spała. Ktoś zapukał do drzwi i ukazała się Deirdre z herbatą na tacy. W kilka chwil pokojówka napełniła miednicę gorącą wodą, rozłożyła ręczniki i spytała, w co pani hrabina chce się dziś ubrać. Zdążyła zrobić to wszystko, zanim Catriona zdołała wypić drugi łyk herbaty.

Podziękowała pokojówce i szybko ją odprawiła. Doceniała sprawność dziewczyny, nadal jednak czuła się niezręcznie, gdy wyręczano ją w tym, co zawsze robiła sama. Szybko umyła się, by spędzić sen z oczu, i zajęła wyborem sukni ze swojej niezbyt imponującej garderoby.

Kilka dni temu, choć teraz wydawało się to wiecznością, umówiła się z Morag MacLeod przy starym moście. Pospiesznie włożyła kilka halek pod szarą wełnianą spódnicę. Narzuciła też lnianą bluzkę na koszulkę i luźno zasnurowany gorset. Wiedząc, że czekają długi spacer, wybrała mocne buciki, przezornie zabrane z Glenachan.

Od ostatniego spotkania z Morag tyle się wydarzyło!, myślała zapinając bluzkę. Czuła, że i ona także się zmieniła. Zastanawiała się, jak to wytłumaczyć starej przyjaciółce.

Catriona zawsze uważała się za krzepką, ale niepozorną dziewczynę, oddaną rodzinie. Swoje niewielkie talenty wykorzystywała na prawdziwe dzieło miłości: ocalenie od zapomnienia pięknych gaelickich pieśni. Nie przypuszczała nigdy, że wyjdzie za mąż, a zwłaszcza za kogoś takiego jak Evan.

A tu przez jej życie wraz ze śnieżną zamięcią przeleciał huragan, ona zaś nadal nie mogła dociec, gdzie właściwie rzuciły ją żywioły.

Spostrzegła szal w drobne kwiatki, którym osłoniła się ubiegłej nocy. Złożyła go starannie i schowała do szuflady. Wspominając pocałunki Evana, pogładziła przedtem uroczą haftowaną szmatkę. Nie mogła wyjść ze zdumienia, że w jej ciche życie wtargnęła namiętność i nadzieja.

Musi podjąć decyzję, czy przyjąć ryzykowną propozycję Evana i ruszyć w nieznaną z mężczyzną, którego w gruncie rzeczy nie znała, czy wrócić do dobrze jej znanego życia. Tylko czy drzwi dawnego świata będą nadal dla niej otwarte? Rodzina, która ją ukształtowała na własny obraz i podobieństwo, osądziła ją teraz i uznała za osobę niepożądaną. Ciotka Judith i ojciec nie chcieli widzieć Catriony pod swoim dachem. Wypędzili ją -jeśli nie na zawsze, to przynajmniej na dłuższy czas.

Catriona usiadła i spojrzała w lustro nad toaletką. Niebezpieczna przygoda i rozbudzone zmysły nie wpłynęły na jej wygląd. Tylko oczy wydawały się teraz bardziej błękitne, cera jaśniejsza, policzki i wargi czerwieńsze. Włosy w kolorze roztopionego brązu nadal były niesforne, ale polubiła tę lśniąca grzywę jak nigdy dotąd. Na swój sposób wyglądam prawie ładnie, pomyślała.

Była jednak w dalszym ciągu zbyt wysoka, ramiona miała mocne i sprawne, ale nie delikatne. Biust raczej duży, talia cienka, nogi bez zarzutu... ale doprawdy cieszyła się z prostego kroju swoich sukien, bo tuszowały zbyt krągłość bioder. Zawsze ją przezywano Catriona Mhór, Wielka Catriona, wyższa od większości znanych jej mężczyzn. Takiej dziewczyny nikt nie nazwie piękną, pomyślała.

Propozycja, z jaką wystąpił Evan wczoraj wieczorem, zdumiała i wzruszyła dziewczynę. Hrabia Kildonan mógł wybrać sobie każdą kobietę, która by mu wpadła w oko. Tego była pewna. Oprócz tytułu i majątku szczycił się błyskotliwością, inteligencją, ujmującym wdziękiem i urodą. Ubiegłej nocy oczekiwała, że mąż zaproponuje, by grać na zwłokę przez kilka tygodni, a może nawet miesięcy, a potem rozejdą się - ona w jedną, on w drugą stronę. Evan tymczasem złożył absolutnie zaskakującą propozycję.

Kaprys losu, poczucie obowiązku i rzekomy dług wdzięczności zmusiły hrabiego do poślubienia brzydkiej, niezręcznej, rudej Szkotki. A on miał szczerzy zamiar uznać ten związek. Prawdę mówiąc, Catriona była zupełnie zaskoczona. Potrafiła zrozumieć poczucie obowiązku, ale nie spodziewała się, że hrabia zechce utrzymać małżeństwo bez względu na

to, czy oczekiwała ona dziecka, czy nie. A ta kwestia wyjaśni się dopiero za trzy tygodnie, co najmniej! Catriona przyłożyła rękę do brzucha.

Nadal nie była pewna, czy może zaufać mężowi. Nie powiadomił jej o sprzedaży części gruntów, choć wspomniał, że zamierza niebawem opuścić zamek Kildonan. Może okaże się, myślała, nieodrodnym synem swojego ojca? Ona z całą pewnością nie wyjedzie z nim na południe - co już rozstrzygało z góry los ich małżeństwa. Rozstaną się prędzej czy później.

Odpędzając od siebie dręczące myśli, upięła włosy w prosty niski węzeł i zabezpieczyła czarną siateczką z aksamitną kokardą. Deirdre poinformowała, że śniadanie wszyscy jedzą w małej jadalni, każdy kiedy zechce, do wpół do jedenastej. Sprawdziła na srebrnym kieszonkowym zegareczku: dochodziła dziesiąta. Była naprawdę głodna! Pospiesznie wyszła z pokoju.

Skrzydło, w którym znajdowała się sypialnia, łączyło się z centralną częścią domu długim i jasnym korytarzem. Kiedy dotarła do starej wieży, poczuła się jak w labiryncie: wąskie korytarzyki, po których hulały przeciągi, i mnóstwo identycznych dębowych drzwi. Catriona rozejrzała się dokoła. W końcu znalazła drogę do frontowego holu, gdzie natknęła się na panią Baird. Starsza kobieta zaprowadziła ją do położonej o kilka schodków wyżej małej jadalni.

Catriona weszła do ciemnego pokoju. Światło słoneczne, nieśmiało przezierając przez stare draperie z czerwonego brokatu; na podłodze leżały wydeptane już dywaniki; wzdłuż ścian stały wypolerowane do blasku meble z orzechowego drewna, na blacie wielkiego kredensu rozstawione były błyszczące półmiski. Cztery osoby siedzące przy stole odwróciły się do Catriony. Lady Jean, sir Harry, Arthur Fitzgibbon i Evan spoglądali na nową hrabinę. Mężczyźni wstali, a Jean z uśmiechem pospieszyła bratowej na spotkanie.

- Wchodź, wchodź! Na śniadanie każdy przychodzi, kiedy zechce. Taki mamy zwyczaj. - Pociągnęła dziewczynę w stronę stołu. - Evan, twoja siostra oblubienica wreszcie się zbudziła! - I obdarzyła oboje promiennym uśmiechem.

- Widzę. Dzień dobry, moja droga. - Evan obszedł stół dookoła, by ująć obie ręce żony, i pocałował ją lekko w policzek.

Odczuła tę pieczęć całym ciałem: od stóp do głów. Jak przyjemnie pachniał: mydłem, krochmalem, kawą i czymś jeszcze, co doskonale pasowało do niego i kojarzyło się ze świeżym górskim powietrzem. Catriona uśmiechnęła się nieśmiało i strasznie zaczerwieniła, widząc, że wszyscy ich obserwują. Usiadła, gdy Evan wysunął dla niej krzesło obok siebie, i podziękowała Jean, która podała filiżankę parującej kawy. Co prawda, na śniadanie wolała herbatę, ale łyk mocnej kawy podziałał krzepiąco. Widać właśnie tego potrzebowała. Podeszła do kredensu i wzięła z podgrzewaczy owsiankę i bekon, po czym wróciła na miejsce.

- Mam nadzieję, lady Kildonan, że dobrze się pani spało - odezwał się sir Harry.

Jean musiała go kopnąć pod stołem, bo skrzywił się i spojrzał na żonę.

- Całkiem dobrze, dziękuję - odpowiedziała Catriona.

- Ubrała się pani jak na spacer, lady Kildonan. Co ma pani dziś w programie? - spytał Arthur.

Catriona polubiła Fitzgibbona od pierwszej chwili. Mężczyzna z kwadratową szczęką, średniego wzrostu, atletycznie zbudowany, z gęstą szopą brunatnych włosów, które wiecznie opadały na czoło, i z pastelowo-niebieskimi oczyma. Często się uśmiechał, a choć od czasu do czasu bajdurzył na tematy, które nikogo poza nim nie obchodziły, widać było, że jest lubianym i cenionym przyjacielem.

- Na spacer? - spytał Evan. - Pan Grant doradzał, byśmy oboje z lady Kildonan odpoczęli dzisiaj po dramatycznych przeżyciach na górskim stoku oraz po wczorajszym pełnym napięcia dniu. Pomyślałem, że zechcesz może spędzić spokojnie dzień, zapoznając się

z zamkiem, moja droga. Jeśli o mnie chodzi, zamierzałem spędzić trochę czasu nad księgami rachunkowymi i rejestrami gospodarskimi.

- Siedzieć w domu i odpoczywać?! - wtrąciła się Jean. - Przecież wiesz, Evanie, że dziś jest wasz „Spacerowy dzień”! - Zerknęła na Catrionę. - Pobraliście się wczoraj wieczorem. Owszem, nie było to typowe wesele, ale warto przynajmniej podtrzymać śliczną szkocką tradycję: państwo młodzi następnego dnia po ślubie wychodzą na spacer i witają się ze wszystkimi mieszkańcami. Catriona zasługuje, by mieć jakieś miłe wspomnienia związane ze ślubem!

- Istotnie - zgodził się Evan.

- Wobec tego musicie dostosować się do miejscowej tradycji. „Spacerowy dzień” pasuje jak ulał do waszego skromniutkiego szkockiego ślubu! - Jean uśmiechnęła się promiennie.

Evan spojrział na Catrionę.

- Co ty na to, moja droga? Zetknęłaś się może z tą tradycją?

- Oczywiście - odparła Catriona. - Następnego dnia po weselu młoda para przechadza się po wiosce i wita ze wszystkimi. Ale ponieważ najbliższa wioska znajduje się wiele kilometrów stąd, a my nie mieliśmy tradycyjnego weseliska... nie sądzę, by „Spacerowy dzień” był w naszym przypadku konieczny. - Ani odpowiedni, dodała w duchu, spoglądając na swój opróżniony do połowy talerz.

- Wobec tego weźcie kuce i niech to będzie „Objazdowy dzień” - za proponował sir Henry i roześmiał się gromko. - Hrabiowskie dobra nie ograniczają się do Doliny Wrózek. Jest tego osiemdziesiąt dwa tysiące akrów! - dodał na użytek Catriony.

Skinęła głową.

- Pewien jestem, że moja żona zna historię Glen Shee znacznie lepiej niż ktokolwiek z nas - zauważył Evan.

- Czy wasza rodzina mieszka tu od dawna? - spytała Jean.

- MacConnowie przebywają w Glen Shee od stuleci - odpowiedziała Catriona. - Przybyliśmy tu znacznie wcześniej, niż ród Mackenziech otrzymał hrabiowski tytuł.

Evan odchrząknął i odstawił filiżankę.

- Nic dziwnego. Mój dziadek był pierwszym hrabią Kildonan. Przedtem mieliśmy w rodzinie tylko lairdów bez tytułów, którzy mieszkali poza tą doliną, póki nie przywłaszczyliśmy sobie ziem Kildonanów dzięki małżeństwu w XVII wieku. No i jak, pani hrabino? Masz ochotę na spacer ze swoim mężem? - zapytał.

Wyczuła napięcie w jego głosie; była jednak pewna, że pozostali nie zauważyli tego. Stanowili beztrioskie trio. Paplali o wszystkim i o niczym z wyraźnym zadowoleniem. W odróżnieniu od nowożeńców, których nikt by nie nazwał „beztroską parą”. Napięcie z poprzedniej nocy nie opuszczało ich ani na chwilę.

- W każdą środę mam pewne obowiązki - wyjaśniła. - Sprawdzam, jak się spisują uczestniczki „sprzysiężenia dziewiarek”.

Evan wyraźnie niczego nie rozumiał.

- A cóż to takiego, u diabła?!

- Głuptasie! - odpowiedziała mu siostra. - To specjalna akcja charytatywna tutejszej społeczności.

- Sprzysiężenie dziewiarek?! To mi pachnie babską rewolucją! - odezwał się Arthur, bardzo rad ze swojego dowcipu.

- W pewnym sensie - uśmiechnęła się Catriona. - Jestem członkinią Stowarzyszenia Kobiet z Gór Szkockich. Wymyśliłyśmy kilka projektów akcji wspomagających mieszkańców najdalszych osad, którzy najbardziej ucierpieli w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci. Sprzysiężenie, o którym wspomniałam, stanowi realizację jednego z tych pomysłów. Dostarczamy wełnę kobietom z najbiedniejszych gospodarstw, a potem we dwie,

ja i moja przyjaciółka, chodzimy od zagrody do zagrody i zbieramy to, co zrobiły z wełny: skarpety, rękawiczki, szaliki... Kobiety otrzymują nową porcję materiału i wszystko się powtarza.

- Co robicie z tymi wyrobami? - zaciekawiał się Evan.

- Odsyłamy do lady Saltoun, żony naczelnika klanu Mackenziech. Ona zaś, gdy ueziera się większa ilość, wysyła je do Pułków Górali Szkockich. Mamy od nich zamówienie na tysiąc par skarpet i rękawiczek oraz pięćset szalików. Większość naszych wyrobów trafia do Indii, część do Kanady. Każda z dziewiarek otrzymuje niewielką sumkę. Bardzo im się to przydaje, bo nie mogą liczyć na inne dochody.

- Niezwykle chwalebne - stwierdził Evan i skinął głową.

- Znakomita działalność charytatywna! - przytaknął Arthur. - Lady Kildonan ma wyraźne zadatki na idealną hrabinę - uśmiechnął się do obojga.

Catriona i Evan równocześnie sięgnęli po filiżanki i przez chwilę słycać było tylko brzęk porcelany. I znowu nikt nie zauważył ich zdenerwowania.

- Zgadzam się z tobą, Fitz - powiedział Evan i zwrócił się do żony: - Moja droga, gdybyś zechciała połączyć „Spacerowy dzień” z „Dniem dziewiarek”, chętnie przeszedłbym się razem z tobą i poznał twoją przyjaciółkę. Co ty na to?

Z trudem przełknęła ślinę i skinęła głową.

- Wezmę tylko pled.

Stara kobieta czekała w pobliżu kamiennego mostu. Po drugiej jego stronie wznosiło się wysokie, porośnięte lasem wzgórze. Evan i Catriona podeszli do Morag, dzierząc długie kije, które miały im pomóc w wycieczkach po pagórkowatej okolicy. Kobieta przyglądała się parze, marszcząc czoło.

Wygląda na babcię, pomyślał Evan. Widać, że niemłoda, bo choć wydaje się silna i krzepka, skórę ma wysuszoną, a włosy siwe pod spłóviałym kraciastym szalem.

Nosiła łatanе buty z mocnej skóry i ścisła w garści sękaty kij. Na głowie, pod szalem, miała plisowany czepek z białego lnu, przymarszczony u góry, z dwoma skrzydełkami po obu stronach twarzy. Naprawdę piękny stroik. Evan wiedział, że to ubiór zamężnych niewiast ze Szkockich Gór. Ogólnie rzecz biorąc, wyglądała jak postać ze średniowiecza, toteż Evan w pierwszej chwili był zaskoczony, gdy odezwała się zwykłym głosem, całkiem nie jak duch!

- Catriono Mhór, czy to twój nowy mąż? - spytała po gaelicku. - Miło na nim zatrzymać oko: bardzo przystojny!

Evan rozumiał większość słów, więc spojrział na Catrionę rozbawiony.

- Naprawdę? - mruknął cicho.

- No pewnie! - odpowiedziała Catriona i zaczerwieniła się. - Chciałam powiedzieć: no pewnie, że to mój mąż! - tłumaczyła się, a Evan śmiał się nadal. - Mówmy po angielsku, Morag, bardzo proszę! Milordzie, to moja przyjaciółka, pani MacLeod. Żona Johna MacLeoda. Ich zagroda leży na dolnym zboczu Beinn Alligin.

Morag przyglądała się Evanowi z kwaśną, nieufną miną. Hrabia skłonił się lekko i wyciągnął rękę.

- Jestem Evan Mackenzie. Bardzo mi miło panią poznać.

- A to dlaczego? - spytała podejrzliwie.

- Morag! - rzuciła Catriona ostrzegawczo.

- Ja też jestem rada, że pana widzę - powiedziała kobieta, zuchwale mierząc młodzieńca wzrokiem. Potem spojrziała na Catrionę. - Hrabina Kildonan, co? Hmmm. Powinam ci chyba złożyć najlepsze życzenia z racji ślubu, choć nie mogę pojąć, czemuś to zrobiła! I będę do ciebie mówiła „pani Mackenzie”, bo właśnie tym jesteś, i tyle!

- Mów do mnie „Catriona”, jak zawsze - odpowiedziała. - Bardzo cię proszę!

- Jakbyś była żoną zagrodnika, a kto wie, czy nią jeszcze nie będziesz, sama

włożyłabym ci na głowę małżeński czepek, a nowy pled na ramiona. Ale teraz jesteś wielką panią z Kildonan, już do ciebie nie pasuje tartan, a na głowie będziesz nosić sztywne cacuszka z koronki!

Catriona odruchowo podniosła rękę do głowy. Na włosach miała tylko czarną siateczkę, a od tyłu osłaniał ją długi, lekki szal w kremowo-niebiesko-brązową kratkę.

- Chyba wyglądam na mężatkę ze Szkockich Gór?

- Wyszłaś za lairda ze Szkockich Gór - stwierdził rozsądnie Evan.

- A więc to on! - powiedziała Morag, spoglądając na Evana. - Jesteś Mackenzie, i już. Wybacz, że nie będę ci lordować, ale w tych stronach nie lubimy takich szumnych tytułów - wypaliła Morag bez ogródek.

- Znakomicie, pani MacLeod. Wolę, gdy mnie nazywają „panem Mackenzie”.

- Wzrost ma w sam raz dla ciebie, dziewczyno, a to już coś! - zauważyła Morag, mierząc męża przyjaciółki badawczym wzrokiem. - A co za bajki o was gadają! Spadł ci z góry prosto do stóp, powiadają. I to tego samego dnia, kiedyśmy wylazły wreszcie z mgły! I pewno byłoby po nim, gdybyś go nie zataszczyła do starej chaty owczarzy. Przez całą noc podobno go pilnowałaś, żeby ci nie uświerk! - Znów popatrzyła na Evana, mrużąc oczy. - Teraz wygląda całkiem zdrowo. To musiała być porządna pielęgnacja, co? - Mrugnęła znacząco.

- Nie był aż tak chory - wyjaśniła Catriona.

- Ona naprawdę ocaliła mi życie, pani MacLeod - oświadczył Evan. -A ja poprosiłem ją o rękę, by choć częściowo spłacić swój dług wdzięczności.

- Ale chodziły słuchy, że więdźmo wata ciotka kazała się Catrionie wynosić z domu. Musiałaś być bardzo szczodra dla swojego pacjenta, Catriono - mówiła Morag pompatycznym tonem. - Ale która by nie była dla takiego przystojniaka?

- Morag! - zawołała ze złością Catriona, a Evan odwrócił się, by skryć uśmiech. - Skąd doszły ci te wszystkie plotki?!

- Słyszałem od mojej córki, dziś rano. To Mairi MacAuley, ta z oberży - wyjaśniła Evanowi. Mówiła zaskakująco dobrze po angielsku, tylko z lekkim zaśpiewem. - Wspominał o tym i pan Finlay, kiedy spotkaliśmy się na wzgórzach wczesnym rankiem.

- Finlay był tutaj? - Catriona rozejrzała się dokoła.

- Przyszedł zobaczyć się z moim starym, ale John pojechał do Inverness. Mówił, że zabawi tam dzień albo dwa. A wieści o waszym ślubie szybko wędrują- ciągnęła dalej Morag. - Moje dwie zamężne córki nic tylko o tym gęgają i wieść rozchodzi się od domu do domu w całej dolinie. Choć niewiele nas tutaj zostało, panie Mackenzie, jeśli pan wie, o czym mówię.

- Bardzo dobrze wiem. A wesele naprawdę spadło na nas jak grom z jasnego nieba, pani MacLeod. Całkowita niespodzianka.

- Niespodzianka - powtórzyła Morag. - A przestrzegałam, nie wychodź na taką paskudną pogodę, Catriono Mhór! Miałam dziwne przeczucie... i patrz, co się stało!

- A ja sądzę, że to było dobre przeczucie - wtrącił Evan.

- Nie zawsze umiem ocenić, jakie będzie. Czuję tylko, że się coś stanie... a czy złego, czy dobrego...? Nie jestem jasnowidzem. Ale jedno mogę powiedzieć: tytuł hrabiny Kildonan dla naszej Catriony Mhór nie wszystkim się podoba. A jakie są teraz pańskie plany? - zagadnęła zniecka Evana.

- Plany?... - zamrugął ze zdziwienia.

- Zostanie pan tu, czy porzuci dolinę? - wyjaśniła Morag. - Niektórzy mówią, że pan chce zabrać się stąd czym prędzej. No więc, jak to jest?

- No, cóż... Ja... muszę jeszcze podjąć kilka ważnych decyzji - odparł.

- Odziedziczył wszystko po ojcu prawie rok temu. A dopiero teraz zdecydował się tu przyjechać - powiedziała Morag na stronie do Catriony.

Evana nie dziwiło, że stara kobieta ma co do niego poważne wątpliwości. Nie

spodziewał się niczego innego po mieszkańcach doliny, dobrze pamiętających krzywdy wyrządzone im przez ojca.

- Wiem, że macie z panią MacLeod różne plany - zwrócił się do Catriony. - Wobec tego zostawię was teraz, moje panie, i zajmę się swoimi interesami.

- Doskonale - odpowiedziała dziewczyna.

Przez chwilę Evan i Catriona czuli się niezręcznie. Nie wiedzieli, jak się pożegnać. W końcu Evan pochylił się i pocałował żonę po bratersku w policzek.

Catriona wraz z Morag zawróciły w stronę mostu. Znajdował się tuż obok miejsca, w którym się spotkali. Evan zobaczył, że jest to konstrukcja oparta na jednym kamiennym łuku, przerzucona nad wąwozem, po którego dnie płynie szeroki, bystry strumień. Jego wzrok pobiegł dalej, ku wzgórzom na drugim brzegu. Wysoko nad nimi wznosiły się zalesione zbocza i ponure, skaliste stoki, upstrzone małymi jak kropeczki figurkami pasących się owiec i kóz. Jeszcze wyżej wznosiły się szczyty Torridonu, otoczone girlandą chmur. Zewsząd dochodziły odgłosy i dolatywały wonie wiatru, wody, torfu i sosen. Tutejszy krajobraz odznaczał się przytłaczającą i tajemniczą siłą oraz surowym pięknem. Większa część, niemal wszystko w zasięgu spojrzenia - było własnością Evana.

Spojrzał znów w stronę mostu. Catriona i Morag wstąpiły już na kamienny łuk. Gdy podszedł bliżej, dostrzegł, że most w połowie długości jest zerwany.

Nie było zwornika i pusta przestrzeń oddzielała od siebie dwie połówki konstrukcji.

A jednak obie kobiety szły po lekko wznoszącym się kamiennym łuku, zatopione w rozmowie, nie dostrzegając uszkodzenia, jeszcze jeden krok, jeszcze... i runą w dół na pewną śmierć!

Evan rzucił się biegiem w ich stronę.

- Catriono!

Wpadł na most, schwycił żonę, złapał drugą kobietę i odciągnął obie jak najdalej od urwiska, zwałók z mostu na bezpieczną, stabilną ziemię.

- Dziewuszk - zwróciła się Morag do Catriony. - Nie opowiedziałas swojemu chłopu o moście?!

14

Co miałaś powiedzieć o moście? - spytał Evan z bijącym wciąż na alarm sercem. Puścił Morag, ale Catrionę nadal trzymał mocno za ramię, choć stali już na pewnym gruncie. Wiedział, czemu to zrobił. Ale po prostu wolał o tym nie myśleć. Szok, jakiego doznał, gdy zobaczył ją na brzegu urwiska, był tak silny, że Evan nadal dygotał.

- Po tym moście można chodzić bez obawy. Tylko wozów i koni nie przeprowadzamy tędy - wyjaśniła Catriona.

- Bez obawy? - Evan zamrugnął ze zdumienia. - Czyż ty oszalała?!

- Często tędy chodzimy.

- I most ani drgnie! Mocno trzyma się ziemi - dodała Morag.

- Czemu, u diabła, nikt go nie naprawił?! - dopytywał się Evan.

- Naprawiali, i to niejednym razem - odparła Catriona. - Ale zawsze łamie się pośrodku.

Przymrużył oczy i przyjrzał się uważnie.

- Łukowe sklepienie jest za niskie - zauważył od razu. - A może i konstrukcja wadliwa. - Spojrzał w dół na strumień, bystry i głęboki, który płynął między stromym brzegiem a urwistym górskim zboczem. Znów podniósł wzrok na obie kobiety. - Na zboczu są wyraźne ślady topniejących śniegów... Czy w porze wiosennych deszczów ten strumień nie występuje z brzegów?

- Czasami - odparła Catriona. - Jeśli woda dochodzi aż do mostu, wykruszają się kolejne kamienie. Czy łuk powinien być dużo wyższy?

- Nie, ale taka niska krzywizna jest niestabilna, zwłaszcza przy dużej rozpiętości. I właśnie dlatego most często się łamie.

- Gdzie tam! To robota złośliwych wróżek - pouczyła go Morag.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Co takiego?

- To Most Wróżek, prowadzi do Góry Wróżek. *Daoine sith*, to znaczy wróżki, nie lubią, kiedy za dużo ludzi płacze się po ich szlakach. Więc rozbierają most, kiedy im się spodoba, ale ludzie zaraz naprawiają szkody. Pamiętam, kiedy byłam mała, mój ojciec i kilku innych chłopów na schwał osadzali kamienie na dawnym miejscu, ale wypadały jeszcze w trakcie roboty. No i ludzie zaczęli gadać, że to wróżki psocą. To było bardzo dawno, zanim jeszcze pana ojciec wygnał mojego i wielu innych ludzi z ich własnych domów, bo się zestarzelili i nie było już z nich pożytku dla pana hrabiego i do roboty na pańskim - dodała z oskarżającym spojrzeniem.

- Bardzo nad tym boleję, pani MacLeod, proszę mi wierzyć - odparł. - Ale niech mi pani opowie, jeśli łaska, co się dalej działo z tym mostem.

- Ano, wróżki ciągiem go niszczą, a my naprawiamy. Ostatnio jakoś się nie walił. To całkiem krzepki mostek!

- Z dziurą pośrodku! - odciął się, wymachując palcem.

- Co tam! Łatwo zrobić jeden mały kroczek, trzeba się tylko zabezpieczyć.

- Jeden mały kroczek? - Zmarszczył czoło. - A niby na czym polega to „zabezpieczenie”.

- Trzeba wymówić specjalne zaklęcie.

- Co takiego?! - Przeniósł zdumiony wzrok na Catrionę, która jednak najwidoczniej nie znalazła nic dziwnego w słowach przyjaciółki.

Morag skinęła głową.

- Wymawiamy zaklęcie dwa razy: kiedy wchodzimy na most i kiedy wracamy. To zaklęcie zapewnia bezpieczeństwo podróży.

Evan ujął się pod boki.

- Zaklęcie przeciw złym wróżkom?

- Lepiej go naucz, Catriono. A nuż coś mu strzeli do głowy i uzna, że musi wleźć na most! - poradziła Morag.

- Naucz mnie, koniecznie! - Nie odrywał wzroku od Catriony.

- Najpierw ułóż palce... właśnie tak - powiedziała Morag, tworząc z kciuka i palca wskazującego zamknięty krąg. Potem zaczęła recytować po gaelicku i na oczekaniu tłumaczyć na angielski, by wszystko rozumiał.

Niby ptaki przez powietrze szybują,

Niby liść na ostrym wietrze wiruje...

Nogi w górze, w dole głowa... zlatują!

Kto mnie zechce poratować?7... Dziękuję!

Aniołowie! Aniołowie!

Niech się żadna wróżka nie dowie! Ląduję.

- I to wam zapewnia bezpieczeństwo? - wycodził Evan.

- Trochę to, a trochę długie nogi, dobre do skakania - przyznała Mo rag.

Potrząsając głową, Evan spojrzał na most, gdzie poobijane kamienie ledwie się trzymały nad niemal siedmiometrową przepaścią.

- Czyste szaleństwo! - mruknął. - Zamknę ten most.

- Ale to najkrótsza droga do dolnych stoków Beinn Shee! - perswadowała Catriona. - Co tydzień chodzimy tędy z Morag. A wielu zagrodników i pasterzy mieszka z rodzinami na stoku góry. Jeśli zabierają ze sobą zwierzęta albo jadą wozem, wędrują traktem pasterskim i przechodzą drugim mostem, kilka kilometrów dalej i niżej. - Wskazała południowy wschód, z daleka od Kildonan i bliżej Glenachan.

- Wobec tego można spokojnie zamknąć ten na jakiś czas. Nie przysporzy to wielkiej

niewygody.

- Ależ przysporzy, przysporzy! Do niższego mostu bardzo długa droga. A dzieciaki zagrodników wędrują do wiejskiej szkoły w Kilmallie właśnie tędy, przez twoje ziemie, panie.

- Dzieciaki?! Absolutnie zabraniam! Nie mogą korzystać z tego mostu.

- Nie lubi pan dzieciaków? I nie chce, żeby się włóczyły po pańskiej ziemi? - spytała

Morag.

Evan spojrzał na nią kosym okiem.

- Bardzo lubię dzieci i właśnie dlatego nie dopuszczę, by któreś z nich spadło w przepaść. Przejście będzie zagrodzone, póki most nie zostanie naprawiony albo nie wybuduje się nowego.

- Ależ nasze zakłęcie zapewnia bezpieczeństwo! - dowodziła Morag.

- O tragedię nietrudno. - Evan wiedział o tym aż za dobrze. Wszedł na most, by wypróbować, jak się trzymają kamienie. Niektóre niepokojąco ruszały się pod nogami. Zwrócił się do kobiet: - Jako hrabia Kildonan dla bezpieczeństwa moich dzierżawców zabraniam wstępu na ten most, póki nie zostanie naprawiony.

- Żaden z hrabiów Kildonan nigdy się nie kierował interesem swoich dzierżawców - odezwała się Catriona. - Skąd ta nagła troska?

Rzucił jej mroczne spojrzenie i podszedł do głazu wielkiego jak pudło na kapelusze, dźwignął go i wykorzystał jako barierę przed mostem.

- Odsuńcie się, moje panie - powiedział.

Przyniósł albo przytoczył kolejne wielkie odłamy skalne i głazy. Wzniósł z nich prowizoryczną zaporę. Otrzepując rękawiczki z kurzu, spojrzał na Catrionę i Morag, które stały bez ruchu wpatrzone w niego.

- To na razie powinno wystarczyć. Przyślę tu kogoś z grubym sznurem i zakazem wstępu na most.

- Po gaelicku czy po angielsku? - warknęła Catriona. - Nie wszyscy poradzą sobie z czytaniem. A już na pewno nie najstarsi i najmłodsi. Lepiej postawić strażnika, by ich odganiał.

- A może sam powinienem czaić się pod mostem w przebraniu krasnoludka?! - odburknął Evan. - Ten most to śmiertelna pułapka! I dowiaduję się, że wszyscy się tu szwendają od wielu lat! Dlaczego nikt nie powiadomił mojego ojca o stanie mostu?

- Niewiele by go to obeszło - odparła Catriona.

- O ile wiem, nigdy tędy nie przechodził - dodała Morag. - W tej części majątku polowanie było marne. A o nasz los nigdy by się nie zatroszczył, choć stąd nie tak daleko do zamku Kildonan.

Evan puścił tę uwagę mimo uszu. Wiedział, że to może być szczerą prawdą.

- A zatem, moje panie, jeśli musicie dziś odbyć wędrowkę, trzeba skorzystać z niższego mostu. Zawiozę was tam. Wrócimy do Kildonan i weźmiemy gig albo wózek zaprzężony w kuca.

- Mieszkam trzy kilometry stąd i nie mam zamiaru wlec się na piechotę od niższego mostu - odparła stanowczym tonem Morag i zerknęła na Catrionę.

Obie, jak na komendę, podkasały spódnice i zręcznie przeskoczyły kamienne ogrodzenie.

Evan ruszył za nimi wielkimi krokami, ale gdy dotarł do najwyższego punktu, wyczuł lekkie drzenie podłoża. Dodatkowe obciążenie mostu w chwili, gdy kobiety znajdowały się w najbardziej zagrożonym miejscu, było niewybaczalnym ryzykiem.

- Catriono! - krzyknął. - Wracaj! Pani MacLeod, bardzo proszę! Ostrożnie! - Wyciągnął rękę, by im pomóc.

- Ale strachajło z tego twojego męża! - powiedziała Morag do Catriony.

Nawet się nie obejrzały. Wypowiedziały zaklęcie z lekkim zaśpiewem, potem swobodnie przeskoczyły przez wyrwę. Stojąc już po drugiej stronie skalnego usypiska, Catriona zawołała do męża:

- Sam widzisz, jakie to proste. Do zobaczenia. Wrócę w porze kolacji. Jeszcze jeden obrót, wzięła Morag za rękę i spacerowym krokiem prze mierzyły drugą część mostu.

Evan spoglądał za nimi do chwili, gdy stromą ścieżką dotarły do zbocza pokrytego gęstym lasem. Wysoko nad nimi wznosiły się w bezchmurne niebo szczyty dwóch gór: zamieszkaanej przez wróżki i drugiej, nieco dalszej.

Zwrócił wzrok na wąwóz. Na bardzo, bardzo odległym dnie bystry i głęboki strumień pędził po głazach i kamieniach. Evan nigdy się nie spodziewał, że jeszcze raz będzie miał kłopoty z mostem. A choć ten był bardzo mały, samym swoim istnieniem przypomniał mu z okrutną wyrazistością wspaniałe dzieło z żelaza i stali, którego pomalowane na czerwono dźwigary połyskiwały w słońcu, gdy runął na przystań w Fifeshire.

Mimo bolesnych wspomnień, Evan nie mógł zignorować mniej ambitnego wyzwania, jakim była naprawa prościutkiego kamiennego mostka. Gdy zobaczył Catrionę nad przepaścią, serce zaciężyło mu jak ołów. Musiał zadbać, by nic nie zagrażało jego żonie... ani nikomu innemu.

Wolno podszedł do środkowej części mostu, sprawdzając jego nośność i wytrzymałość. Czuł pod stopami niebezpieczne chybotanie, zwłaszcza tam, gdzie poszarpana krawędź szczyrzyła zęby, a dalej była już tylko pustka. Nigdzie nie dostrzegł ani klucza sklepienia, ani zworników. W dole ujrzał stos tłuczni. Nieprawdopodobnie stare i zniszczone przez wodę kamienie leżały pośrodku głębokiego, rwącego strumienia.

Cofnął się, marszcząc brwi. Jeśli ktoś tupnie mocno kilka razy w tę krawędź, kamienie z pewnością się posypią.

A wtedy żadne zaklęcia nie pomogą. Stary most runie.

Mały kamienny domek, kryty gęstą strzechą stał na szczycie stromego zbocza. Wznosiła się nad nim potężna, ciemna ściana skalna, porośnięta gdzieś zielonym mchem i rudawą paprocią. Kilka dzikich kóz upodobało sobie te wyżyny. Catriona spostrzegła zwierzęta, gdy obie z Morag podeszły bliżej.

Pasmo dymu unosiło się z otworu pośrodku dachu. Dwie kozy pogryzały torf pozostawiony obok zamkniętych drzwi. Wokół nie było żadnych innych oznak życia.

- Matka Flora jest w domu? - spytała Catriona przyjaciółkę.

- A jakże! Czasem tylko wychodzi na przechadzkę dla zdrowia. Poza tym nigdzie nie można jej wyciągnąć. Ale ostrzegam cię: bardzo często odsyła mnie bez ceremonii, jak tylko przyjmie ode mnie podarki i żywność.

- Mam nadzieję, że zechce zaśpiewać mi kilka pieśni. Wzięłam na wszelki wypadek papier i ołówek do notowania.

- Na twoim miejscu nie wyciągałabym od razu zapisków - przestrzegła Morag. - Flora wie, że przyjdziemy. Byłam u niej niedawno z synową i wy-dębiłam przyrzeczenie, że się z tobą zobaczy. Spójrz, drzwi zamknięte. Chce, żebyśmy się dobijały do niej i błagały, by wyszła, stara wiedźma!

W czasie spaceru Catriona rozglądała się dokoła. To ustronne zbocze stanowiło część podnóża Góry Wrózek; biegło jednak pod takim kątem, że nie mogła stąd dojrzeć samego szczytu. Wiatr był zimny i ostro zacinał. Catriona wciągała łapczywie w płuca powietrze, przesycone upajającym zapachem sosen, trawy, wody oraz energią, która biła od potężnej góry.

Catriona czuła magię tych wzgórz. Gdyby rzeczywiście chodziły po ziemi elfy, skrzaty czy wróżki, z pewnością osiedliłyby się tutaj, na stokach potężnej, tajemniczej góry, nazwanej ich imieniem.

Wspinały się po wydeptanej w trawie ścieżce, tak stromej, że Catrionę zaczęły boleć

nogi, choć była przyzwyczajona do górskich wspinaczek. Wyciągnęła rękę do Morag. Przyjaciółka zbyła propozycję pomocy.

Gdy dotarli do ogrodu warzywnego przy chatce, kozy wyraźnie zdziwiły się na widok gości. Zza węgła wyłonił się kot. Z góry torfu przeskoczył na kryty strzechą dach, gdzie zwinął się w kłębek.

Morag zastukała do zniszczonych drewnianych drzwi. Żadnej odpowiedzi.

- Wiem, że tam jesteś, Floro MacLeod! - zawołała.

W końcu drzwi otwały się ze skrzypieniem i wyjrzała zza nich malutka staruszka. Zgarbiona, krucha, z twarzą poznaczoną siecią zmarszczek. Jej oczy miały kolor morskiej wody. Były to młode oczy w starej twarzy. Plisowany czepek częściowo zakrywał śnieżnobiałe, przerzedzone włosy. Brązowa suknia wyglądała niemal jak szmata; spod wystrzępionego obrąbka wystawały skórzane połatanе buty. Ramiona kobiety okrywał spłowiały pled.

- A, to ty, Morag MacLeod. Czego tu szukasz?

- Przyniosłam ci świeże jarzyny. - Morag podniosła koszyk. - I przyprowadziłam gościa. Wpuście nas do chaty, matko Floro. Odbyliśmy męczącą wspinaczkę, byle się z tobą zobaczyć.

- Dzień jest piękny, a trochę ruchu dobrze ci zrobi, Morag! Utuczyłaś się jak prosię! - Popatrzyła na Catrionę. - Ile masz wzrostu, dziewczyno?

Zaskoczona tym pytaniem Catriona zamrugowała.

- Niecałe metr osiemdziesiąt.

- Hm... Widzi mi się, że trochę więcej. - Przyjrzała się jej uważnie. - I te rude włosy! Mój mąż był wysoki i rudy. Nie wiesz przypadkiem, czy to nie twój dziadek?

- Nie... nie sędzę - odparła Catriona.

- Mój chłop był jurny i napłodził bękartów co niemiara, zanim się zesłiśmy. Od tej pory miał chrapkę tylko na mnie. - Flora uśmiechnęła się szeroko, ukazując nieliczne już zęby.

- Oj, matko! - upomniała staruszkę Morag z pobłażliwym uśmiechem.

- Jak cię zwa, wielgachna? - spytała Flora.

- Catriona MacConn. Mój ojciec jest proboszczem z Glenachan. A moją matkę pani podobno znała. Miała na imię Sara.

- Pewnie, że znałam! Nie była taka wysoka jak ty, ale też miała ogniste włosy. - Flora uśmiechnęła się. - Moje były kiedyś złote.

- Wpuścisz nas do siebie czy nie? - spytała Morag.

- Lubię rzepę - oznajmiła Flora, zaglądając do koszyka z jarzynami. Co jeszcze dla mnie masz?

- Przydałyby się pani skarpety? - spytała szybko Catriona.

Sięgnęła do obszernego kosza z robionymi na drutach rzeczami, które właśnie zebrały z Morag od kilku kobiet z maleńkich zagród porzrzucanych w różnych zakątkach doliny. Wyciągnęła parę podkolanówek w jaskrawą czerwono-czarno-białą kratę.

Flora chwyciła je w zniekształcone artretyzmem palce i spojrzała na gości.

- No, co tak stoicie? Wchodźcie do chaty! Uważaj na głowę, wielgachna!

Catriona schyliła się, by nie nabić sobie guza o nadproże, i weszła do środka. Spodziewała się, że ujrzy niechlujną norę. A jednak izba - choć pełna dymu i słabo oświetlona - była przytulna. Stało w niej kilka pięknych mebli oraz łóżko porządnie pościelone, z mięsistą narzutą i płaską poduchą na wierzchu. Podłoga jednak, niestety, była zaśmiecona obierkami różnych warzyw, które chrzęściły pod nogami, a w całym domku podejrzanie pachniało obórką.

- Żyje jak ta koza! - wymamrotała Morag.

- Siadajcie! - zarządziła Flora. Catriona i Morag usiadły na ławeczce koło paleniska.

Flora usadowiła się w drewnianym krześle, obitym wytartymi poduszkami.

- Masz tam coś jeszcze? - spytała z ciekawością i sięgnęła do kosza. Zaczęła w nim grzebać. Po chwili wyciągnęła szalik. - W sam raz by mi się nadał.

Morag wyrwała jej zdobycz z ręki.

- Naucz najpierw dziewczynę pieśni, to ci go damy.

Flora wykrzywiła się do Morag, po czym zwróciła się do Catriony:

- Dlaczego chcesz uczyć się pieśni?

- Zbieram od lat stare gaelickie pieśni. Zapisuję ich teksty i melodie. - Catriona wyjęła z kosza kilka złożonych arkuszy. - Nauczyłam się na razie stu trzydziestu paru. Tutaj są wypisane...

Flora przerwała jej machnięciem ręki.

- Wielkie mi co! Czemu zamierzasz zamienić nasze pieśni w jakieś tam znaki na papierze?

- Catriona chce je ocalić od zapomnienia, żeby następne pokolenia też mogły je śpiewać - wyjaśniła Morag. - Niektórzy nie mają pojęcia o starych gaelickich pieśniach.

- Jeśli nie znają starych pieśni, skąd by się u nich wzięła ochota do śpiewania? - spytała Flora. - Masz już swojego chłopca, dziewczyno?

Catriona znów zamrużyła oczyma na tak obcesowe pytanie i zerknęła na Morag, która zmarszczyła brwi.

- Mam - odpowiedziała obojętnym tonem.

- Co z niego za mąż, jeśli pozwala swojej pięknej młodej żonie zbierać pieśni jak motyle? Powinien zrobić ci dzieciaka. Będziesz miała dużo zdrowych dzieci, z takimi biodrami. A piersi też jak trzeba! - zauważyła Flora.

Catrionie odebrało mowę. Dziewczyna zrobiła się czerwona jak burak.

- Wyszła za mąż dopiero wczoraj - wtrąciła Morag. - Daj jej trochę czasu, a potem zobaczymy, jak będzie.

Flora uśmiechnęła się szeroko.

- Wzięłaś sobie jakiegoś MacLeoda? Niewielu zostało przystojnych chłopaków w dolinie. Mam nadzieję, że to nie ten skwaszony doktorek z Kilmallie, którego Morag przyprowadziła do mnie raz czy drugi. Nie wie nawet połowy tego co ja. No więc, kto to taki?

- Mackenzie z Kildonan - odparła Catriona. Poczowała, że siedząca obok niej Morag sztywnieje.

Flora zmrużyła oczy.

- Jesteś hrabiną Kildonan?

- Tak. - Catriona niepewnie skinęła głową.

- Nie będę się dzielić pieśniami z żoną Kildonana! - wrzasnęła Flora i wskazała drzwi.

- Wynoś się z mojego domu!

- Ależ, matko... - zaczęła Morag.

- Daj spokój, Morag. - Catriona chwyciła kosz i wstała, zbierając resztki godności, choć miała oczy pełne łez. Obawiała się, że tak się to skończy. Wiedziała, że jej nowa pozycja odstręczy od niej przyjaciół i przeszkodzi w badaniu spuścizny wieków, którą tak ukochała. - Ja... przepraszam.

- Nie gadaj, tylko się wynoś! - Zacietrzewiona Flora przeszywała palcem powietrze. - Zostaw mnie z moimi wspomnieniami i z moim bólem. A starych pieśni też ode mnie nie wyciągniesz! To jedyna pociecha, jaka mi jeszcze została! Wynoś się!

- Catriona zasługuje na twoje pieśni - odezwała się Morag.

- Jest hrabiną, wielką panią, a jej mąż haniebnie wypędzał naszych ludzi. Widziałam go razem z ojcem, jak się przyglądali żałobnej procesji.

- To prawda! - szepnęła Morag. - Ja też go pamiętam.

- Może nakazesz mężowi, by pozbawił mnie pieśni, jak jego ojciec pozbawił mnie

rodziny? - spytała urągliwie Flora.

Catriona spuściła głowę. Ona też widziała młodego Kildonana tamtego nieszczęsnego dnia. Jechał u boku znienawidzonego hrabiego. Jako żona musiała jednak być lojalna wobec Evana.

- Stary hrabia wypędził stąd czternaścioro moich dzieci i dziesięcioro wnuków. Wszyscy byli już dorośli, mieli rodziny - robiła dalej wyrzuty Flora. - Zostawili mnie tu samą, tylko kilkoro moich bliskich zostało, by się o mnie troszczyć. Ale taka to i troska! - dorzuciła, zerkając na Morag.

- No, tego to już... - zaczęła Morag.

Catriona wyszła z izby. Za progiem odwróciła się jeszcze do starej gospodyni.

- Floro MacLeod, ja również oplakuję tamtą tragedię - powiedziała. - I ja wtedy płakałam przy rozstaniu z krewnymi i przyjaciółmi, którzy musieli opuścić Glen Shee. Ale ani mój mąż, ani ja nie przyłożyliśmy ręki do tej zbrodni. Podzielamy twój ból i nadzieję, że pewnego dnia wygnańcy powrócą do Doliny Wrózek, gdzie tak ich kochają i tak za nimi tęsknią. Chodźmy, Morag!

Oddaliła się od domu Flory. Wiatr szarpał jej spódnicą i pledem. Górskie powietrze wprawiało ją w oszołomienie. Łzy mąciły wzrok. Morag utyskując, ruszyła za przyjaciółką.

Kiedy szły przez dziedziniec, dotarł do nich głos Flory. Śpiewała pieśń żalobną chrapliwym, drżącym głosem. Mimo to można było poznać, że niegdyś brzmiał silnie i donośnie. Catriona odwróciła się.

*Gdzie zabrzmi nasz błagalny chór,
Gdy głód doścignął nas wśród gór?
Hiri uam, hiri uam*

Stara kobieta śpiewała lament, ten sam *tuireadh*, którym Catriona przed laty pamiętnego dnia, żegnała wypędzonych z Glen Shee. Stojąc na górskim zboczu, uczciła odchodzących najlepiej, jak umiała.

Teraz podniosła głowę, wciągnęła powietrze i zawtórowała matce Florze. Jej głos był wyższy i czystszy od głosu starej kobiety, ale oba tworzyły urzekającą harmonię.

*Jak przemóc lęk, odegnąć chłód,
Gdy nasza krew się ścina w lód?
Z kim dzielić ból, dać upust łzom,
Gdy pusty już matczyny dom?
Hiri uam, hiri uam...*

Kiedy pieśń zakończyła się rozdzierającą nutą, góry odpowiedziały echem.

Flora wyszła z chaty i podeszła do Catriony. Spojrzała na nią intensywnie niebieskimi oczyma.

- To ty! - powiedziała. - To ty śpiewałaś *tuireadh* odjeżdżającym tam tego dnia!

Catriona w milczeniu skinęła głową. Flora spojrzała na Morag.

- Słyszałaś ją wtedy?

- Słyszałam - odparła Morag. - I od samego początku wiedziałam, że to ona.

- Czemuś mi nie powiedziała?! - Flora schwyciła Catrionę za ramię i pociągnęła ją z powrotem do domu. - No, wchodź!

15

Morag rechocze jak żaba, więc nie nauczyłam jej żadnej czarodziejskiej pieśni - powiedziała Flora, gdy wszystkie trzy znalazły się znów w przytulnym wnętrzu chatki. Morag spojrzała na nią z wyrzutem, Flora jednak mówiła dalej: - Zawsze chciałam mieć uczennicę, która byłaby warta tej muzyki. Głos masz czysty, Catriono Mhór, i znasz się na starych pieśniach. Wiesz, jakie są piękne i cenne.

- Dziękuję, matko Floro - powiedziała Catriona.

- Ale jesteś hrabiną Kildonan. To nic dobrego! Jednak bardzo lubiłam twoją matkę. -

Staruszka zmarszczyła brwi.

- Catriona Mhór zasługuje, by poznać pieśni - nalegała Morag. - Pragnie ocalić je od zapomnienia. Powstrzymaj niechęć do Kildonanów, przynajmniej na jakiś czas, i użycz Catrionie swojej mądrości!

- Mogłabym zaufać tej dziewczynie... ale nie jej mężowi! - odparła Flora. - Czy moje pieśni byłyby bezpieczne w jego domu? Ci obcy, wspinacze amatorzy dopraszaliby się, żeby hrabina zaśpiewała im którąś z ładniutkich tutejszych piosenek. Ale moim pieśniom nie do pary ani z fortepianem, ani z ich sztuczną czułościowością! To piękne, pełne mocy i magii pieśni. Powinny być docenione. A nowy hrabia z pewnością nie pozna się na nich, tak samo jak jego ojciec.

- Evan nie jest wcale podobny do swojego ojca - ujęła się za mężem Catriona. - To dobry człowiek. Zrozumie te pieśni i pokocha. Fałszywie go osądzasz, matko Floro! - Ni stąd, ni zowąd odezwała się w niej troska o dobre imię męża.

- A jaki on przystojny! - wtrąciła się Morag. - Gdybyś wreszcie zlazła z tej góry, matko Floro, sama byś się przekonała!

- Nie było na świecie większego przystojniaka niż mój mąż - przerwała dyskusję Flora. - Ale wystawię cię na próbę, wielgachna. Czy twoja matka nauczyła cię którejs z moich pieśni?

- Znała ich mnóstwo, ale z twoich czarodziejskich pieśni tylko jedną.

- Zaśpiewaj mi ją teraz.

Catriona przymknęła oczy, żeby przypomnieć sobie melodię i słowa. Z głową odrzuconą do tyłu, wyprostowana, zaczęła nucić piękną kołysankę, którą matka przed wielu, wielu laty śpiewała swoim dzieciom do snu.

Moje szczęście, mój skarb,

Uśmiech mój, moje łzy,

Wszystkim tym, dziecię me,

Jesteś ty!...

Hill o hu w

Hill o hu ro, hiri o...

Gdy Catriona wyśpiewała ostatnie nuty, będące prześlicznym ozdobnikiem pieśni, melodia stopniowo cichła, zanikała...

- Pięknie - pochwaliła Flora.

- To miała być próba? W takim razie Catriona zdała celująco! - orzekła Morag.

- To nie była żadna próba! Tej kołysanki moja prababka nauczyła się od wrózek, kiedy przyszły do niej obejrzyć dzieciątko leżące w kołysce. No to jak? Chcesz poznać resztę moich pieśni?

- Bardzo tego pragnę.

-No więc... dostał ci się od wrózek dar śpiewu. Ale najpierw musimy się przekonać, czy wróżki naprawdę cię akceptują. Hmm... - Flora rozejrzała się po izbie. Potem wstała i podeszła do okna. Wzięła mały przedmiot z parapetu. - Chcę, żebyś przyniosła mi kryształowy kamień. - Wyciągnęła rękę i otworzyła dłoń. Leżał na niej przydymiony kilkucentymetrowy kryształ.

- To kryształ górski, zwany kamieniem z Cairngorm - powiedziała Catriona. Wiedziała, że półprzezroczyste skały kwarcowe w różnych od cieniach brązu można znaleźć na zboczach Szkockich Gór, zwłaszcza w części wschodniej, i że swoją nazwę wywodzą od górskiego masywu. Sama je niekiedy odnajdywała podczas wędrówki wśród wzgórz. - Z przyjemnością wyszukam taki kamyk dla pani, matko Floro.

Flora odłożyła kryształ na parapet. Był koloru whisky i pod wpływem światła od razu zaczął migotać.

- Ba! Takich kamieni niemało. Pragnę czegoś mniej pospolitego! Chcę mieć

czarodziejską różdżkę.

- Czego ci się zachciewa? Nie ma żadnych czarodziejskich różdżek! - ofuknęła ją Morag.

- Ależ są! Tylko trudno je znaleźć - odparła Flora. - Świecą własnym magicznym światłem. Jeśli przyniesiesz mi jedną z nich, nauczę cię moich pieśni.

- Kamienie zwane czarodziejskimi różdżkami? - Catriona skinęła głową. - Naczytałam się o nich w starych legendach, ale nie poznałam nikogo, kto by je widział. Nie mogę ich poszukiwać, nie mając pojęcia, gdzie występują i jak wyglądają.

- Znaleźć je można tylko na szczycie Góry Wrózek. - Flora uniosła palec i wskazała na sufit, chcąc podkreślić, że chodzi o wielką górę, w której cieniu znajdowała się chatka.

Catriona spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Dotychczas nikt nie dotarł na sam szczyt! Powiadają, że jest nie do zdobycia.

Wiedziała o tym aż nadto dobrze: Evan odpadł od ściany skalnej podczas takiej wspinaczki. Jej rodzony brat zmarł w połowie zbrocza wiele lat temu, gdy była jeszcze dzieckiem.

- Kto mówił, że to będzie łatwe? Ale jeśli naprawdę ci zależy na moich pieśniach, musisz znaleźć w sobie dość hartu ducha i włożyć w poszukiwania całe serce. Powiadają, że szczyt tej góry skrzy się w słonecznym świetle, gdyż pełno na nim czarodziejskich różdżek. Pragnę takiej, jakie trafiają się najrzadziej; połyskującej w blasku księżyca.

- W blasku księżyca? To szaleństwo! - zaprotestowała Morag. - Takich kamieni nie ma! I nie możesz wysłać Catriony na szczyt po ciemku!

- Cicho tam! Wybór zależy od dziewczyny - odparła Flora. - Większość tych najcenniejszych czarodziejskich różdżek zachowuje w swoim wnętrzu magiczne światło i dlatego najłatwiej można je znaleźć albo w całkowitej ciemności, albo w blasku księżyca. Powtarzam, jeśli ci naprawdę zależy na moich pieśniach, wybierzesz się na ten szczyt. A jeżeli wróżki uznają, że jesteś tych pieśni godna, postarają się, byś znalazła drogę, bez trudu odnalazła kamień i zdrowo dotarła do podnóża. Nie będzie to takie straszne, jak myślisz, jeśli wróżki i inne czarodziejskie istoty będą cię miały w opiece.

- Zbyt długo się karmiłaś swoimi obłąkańczymi marzeniami, Floro, zbyt długo! - ofuknęła ją Morag. - Catriona to hrabina Kildonan, dopiero co zaślubiona panna młoda, a nie zaklęta bohaterka z dawnej legendy!

- A jak ja, według ciebie, zdobyłam czarodziejskie pieśni? Nie rozdają ich wszystkim chętnym! Dawno, dawno temu pewien stary pieśniarz kazał mi wykonać równie trudne zadanie.

- Cóż to mogło być? - spytała urągliwie Morag. - Latałaś nad górami na miotle?

- Jeśli chcesz koniecznie wiedzieć, zrzędo, kazał mi zdobyć serce Rory'ego MacLeoda i zatrzymać go przy sobie do końca życia - odcięła się Flora. - W ten sposób okazało się, jaka jest we mnie siła miłości i na co mnie stać. Wykonałam zadanie, choć okazało się trudniejsze od górskiej wspinaczki, żebyś wiedziała! Ale zdobycie takiego mężczyzny, i to raz na zawsze, było warte każdej ceny. - Flora uśmiechnęła się i przenikliwie spojrzała na Catrionę. - A jak będzie z tobą? Co powiesz?

Catriona zmarszczyła brwi. Przez całe życie pragnęła poznać jak najwięcej starych pieśni. Zwłaszcza od chwili, gdy odkryła wyjątkowy, magiczny urok celtyckiej muzyki. Najdroższym jej marzeniem było zachowanie gaelickich pieśni w czasach, gdy zanikała pamięć o nich, a cały świat ulegał zmianom.

Rzadkie i piękne czarodziejskie pieśni zawsze miały dla niej największy urok, a nikt nie posiadał w pamięci tylu tych skarbów, co Flora. Bez pozyskania ich, dzieło życia i serca Catriony byłoby niepełne.

Muszę spełnić ten warunek, nakazała sobie stanowczo w duchu. Nie dalej jak wczoraj Evan wyrzucił jej, że on gotów jest podjąć ryzyko, a ona woli to, co znane i bezpieczne.

Chciał, by zaryzykowała dla ocalenia ich małżeństwa. Ją jednak nadal dręczyły wątpliwości i przepełniał strach.

Teraz musi zdobyć się na odwagę, wspiąć na szczyt góry, dotrzeć wyżej niż wszyscy jej poprzednicy, dalej niż dotarł brat i Evan. Odnajdzie kryształ wróżek, którego pragnęła Flora. Jeśli tego nie uczyni, dzieło jej życia nigdy nie zostanie ukończone.

- Dokonam tego! - powiedziała ku własnemu zdumieniu.

- Dobrze, ale się pospiesz - odrzekła Flora. - Jestem już bardzo stara.

Później, po samotnym powrocie do zamku Kildonan, Catriona wymówiła się zmęczeniem, co było zresztą szczerą prawdą, i spóźniony podwieczorek zjadła w swoim pokoju. Wróciła przez stary most. Nie było tam Evana, który mógłby podziwiać jej lekki, swobodny skok nad przepaścią. Tym lepiej!, pomyślała. Męża spotkała na pagórkowatym wrzosowisku, przez które wiodła droga do zamku. Wysokie trawy były już ciemnożłote, jak jesienią, a zimny i wilgotny wiatr porządnie zaciął.

Evan nie wspominał o moście, ona również. Droga powrotna do Kildonan upłynęła im w ciszy; wymienili tylko kilka uprzejmych słów o tym, jak każdemu z nich zbiegło popołudnie. Catriona odbyła długi spacer, on spędził sporo czasu na przeglądaniu ksiąg gospodarskich. Potem udał się do stajni, by porozmawiać z panem Gillie o żywym inwentarzu. Oboje - Catriona i Evan - byli zmęczeni i pochłonięci własnymi myślami. Rozważania Catriony skupiały się wokół spotkania z Florą i misji, którą miała wypełnić. Oczywiście nie było mowy o przedyskutowaniu problemu z Evanem.

Kiedy zagadnął ją na temat muzyki, zaśpiewała mu kołysankę, której nauczyła ją matka. Wysłuchał pieśni w charakterystyczny dla siebie sposób: spokojnie i z uwagą, i poprosił, by zaśpiewała raz jeszcze. Gdy to zrobiła, dotknął lekko jej ramienia, podziękował cicho i pochwalił piękne wykonanie.

Dotknięcie było przelotne, ale serdeczny ton i szczerzy podziw dla pieśni przejął ją dziwnym dreszczem i podziałał niemal tak mocno, jak pocałunek.

Rozstali się w holu na dole. Evan zamierzał spotkać się w bibliotece z Arthurem, Catriona zaś udała się do swojego pokoju, by się przebrać.

Po wypitej w samotności herbacie chciała sobie poczytać, ale zmorzył ją sen. Obudziło ją stukanie do drzwi. Było już ciemno. W progu stała lady Jean. Catriona, nieco otumaniona i senna, z przyjemnością dowiedziała się, że Evan także odpoczywa, i że nikt się nie zdziwi, jeśli ani on, ani ona nie zjedzą na kolację.

- Dwa dni temu oboje cudem uniknęliście śmierci podczas śnieżnej zawieruchy - mówiła ze szczerym współczuciem Jean. - A potem to zamieszanie z natychmiastowym ślubem, no i przeprowadzka do nowego domu. - Uśmiechnęła się. - Nic dziwnego, że oboje potrzebujecie wypoczynku, co zresztą zalecał pan Grant.

Na wspomnienie Kennetha Granta Catrionę przebiegł nagły dreszcz, ale tylko przytaknęła w milczeniu. Pozwoliła, by szwagierka zatroszczyła się o wszystko: przygotowanie kąpieli, zasłonięcie okien, rozpalenie ognia na kominku. Potem Jean wyszła, żeby przysłać na górę Deirdre zjedzeniem na tacy: gorąca zupa, chleb i mocno osłodzona herbata. Po posiłku Catriona wróciła do łóżka pełnego poduszek i pikowanych kołder. Usnęła od razu.

W środku nocy obudziła się i wstała, by skorzystać ze swojej prywatnej ubikacji. Potem zatrzymała się przed drzwiami do saloniku i ogarnęła ją nagła pokusa połączona ze zwykłą ludzką ciekawością. Podeszła na palcach pod drzwi sypialni Evana. Choć bardzo ją korciło, by zastukać, przyłożyła tylko rękę do drzwi.

Wydawało się jej, że po drugiej stronie słyszy kroki. Podłoga skrzypiała, coś pacnęło o ziemię, zaszurały ranne pantofle. Coś widocznie obudziło Evana i nie dawało mu zasnąć.

Kroki ucichły. Catriona wyraźnie czuła bliską obecność męża. Oparła się o drzwi czołem. Oddychała powoli.

Bardzo chciała przekroczyć jego próg i dowiedzieć się, co gotów był tak chętnie zaryzykować. Nie zdobyła się jednak na tyle odwagi.

Przez chwilę z zamkniętymi oczyma myślała o jego niespiesznych, gorących pocałunkach, o namiętności głębokiej jak rzeka, o tęsknocie podsycanej pożądaniem. Wystarczy zastukać do drzwi... a małżeństwo zostanie skonsumowane.

Ona jednak chciała czegoś więcej niż przywiązanie i pożądanie. Pragnęła miłości, głębokiej i szczerzej, i wszystkiego, co się z tym uczuciem wiązało.

Wróciła do swojego pokoju, wśliznęła się do łóżka, umościła się na śnieżnobiałych poduszkach, pod ciepłą kołdrą. Była sama, ale świadoma tego, że nie musi spędzać tej nocy samotnie.

Niestety, to czego pragnęła, zdawało się niedosiężne.

16

Evan rad był, że znów przebywa na słońcu i wietrze, a zwłaszcza cieszył się, że na cały ranek ma zadanie wymagające fizycznego wysiłku. Pracował sam przy uszkodzonym moście. Dobierał najodpowiedniejsze kamienie wśród tych, którymi pokryte było zbocze. Wtykał jeden po drugim pomiędzy stare i obłupane, znajdujące się po obu stronach wyrwy. Starał się, jak mógł, podeprzeć obluzowane elementy konstrukcji.

Następnie, stojąc okrakiem nad wyrwą, zabezpieczył obie jej krawędzie. Potem w lesie na zboczu wyszukał sporo grubych, solidnych gałęzi; połamał je na kawałki i przerzucił nad rozpadliną.

Po śniadaniu przesłał słówko do Finlaya MacConna, ale Davey MacGillechallum, jego pomocnik w Kildonan, wrócił z wiadomością, że pan MacConn nie wrócił jeszcze z Inverness. Catriona nie miała pojęcia, w jakim celu jej brat udał się do miasta. Tuż po posiłku spiesznie wyszła na umówione spotkanie z Morag MacLeod. Musiały odebrać zrobione na drutach skarpety i szaliki od żony zagrodnika, której wczoraj nie zastały w domu.

Evan, zanim zajął się naprawą mostu, upewnił się, że Davey zawiezie powozikiem obie kobiety do niższego mostu. Wbił chłopakowi do głowy, że ma je odwieźć jak najdalej, o ile drogi będą już przejezdne. A ponieważ Catriona uparła się, że wróci przez Most Wrózek, Evan obiecał, że spotka się z nią tam późnym popołudniem.

Nim skończył prowizoryczną naprawę ubrudził się od stóp do głów. Strasznie też chciało mu się pić. Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki piersiówkę z whisky i wodą. Pociągnął łyk, by choć trochę zaspokoić dręczące pragnienie. Wytał przedramieniem spocone czoło i zszedł po stromej ścianie na samo dno wąwozu, by napić się czystej, zimnej wody ze strumienia. Gdy znów wdrapał się na górę, ujrzał w oddali dwóch mężczyzn. Zbliżali się poboczem drogi, prawdopodobnie z Kilmallie, niewielkiej posiadłości, która graniczyła z jego ziemią.

- Hop, hop! Kildonan! Arthur Fitzgibbon pomachał mu ręką.

Geologowi towarzyszył Kenneth Grant. Evan pomachał im także i czekał, aż podejną bliżej. Obaj nieśli strzelby myśliwskie z długą lufą. Arthur miał na sobie swoje ulubione pumpy i wysokie buty, Grant ciemną kurtkę i długie spodnie.

- Hej, Kildonan! Kiedyś się znów zawieruszył nie wiadomo gdzie, pan Grant zaprosił mnie na małe polowanko do Kilmallie - relacjonował Arthur, wywijając strzelbą. - Pożyczył mi nawet to cudeńko. Rzadko się teraz widuje coś takiego. Wspaniała broń, idealnie celna. Ależ mieliśmy frajdę dzisiejszego ranka!

- Doprawdy? - Evan wetknął ręce do kieszeni. Nadal był bez marynarki, którą zostawił na balustradzie mostu. - Co ustrzeliliście? - Zauważył, że żaden z nich nie ma nic prócz strzelby i płóciennego plecaka.

- Trzy pary kuropatw na wrzosowisku po drodze z Kilmallie do tego mostu, pięć przepiórek na południowym zboczu pagórka, w pobliżu jakiejś zagrody, i dwie dzikie kaczki w trzcinach nad rzeką. Wszystko odesłaliśmy do Kilmallie i Kildonan przez pomocnika

Granta.

- Wspaniale! Jestem pewien, że pani Baird i kucharka będą zachwycone. Przygotują pyszny obiad ze świeżego dzikiego ptactwa - powiedział Evan. - A pan Fitzgibbon przepada za polowaniem. Trafiła mu się niezła gratka, gdyż nie zaplanowałem żadnej wyprawy strzeleckiej na czas jego pobytu w Kildonan - wyjaśnił Grantowi.

- Nie lubi pan polowań, Kildonan? - spytał Grant, opierając strzelbę o głaz. - Pański ojciec był dobrym strzelcem i miał duży wybór broni oraz imponującą kolekcję głów ubitej zwierzyny na ścianie pokoju bilardowego.

- Istotnie - potwierdził Evan. Od śmierci ojca, który zginął od przypadkowego strzału pod koniec polowania, mającego być największą atrakcją dla gości, myślistwo straciło wszelki urok dla Evana. - Mówił pan o kolekcji broni mojego ojca, jakby ją często widywał. Towarzyszył mu pan podczas polowań?

- Od czasu do czasu. Przychodziłem do zamku Kildonan dość często, gdy stary hrabia tam przebywał - odparł Grant. - Zwłaszcza w tym okresie, kiedy wasze drogi się rozeszły. Nie tylko zjawiałem się u pana hrabiego w roli medyka, ale chodziliśmy razem na polowania. Wiele się od niego dowiedziałem o polowaniu na jelenie. Pański ojciec wspaniale podchodził zwierzynę.

- Wiedziałem o tym, oczywiście, ale nigdy z nim nie polowałem. Kiedy miałem dziesięć lat, po raz pierwszy pozwolono mi pójść z naganiaczami - wspominał Evan. Gdy dorósł, nie ciągnęło go do polowań. - Istotnie miał piękny zbiór broni. Większość została już sprzedana. - Upakowałem starannie te narzędzia zbrodni i wysłałem na południe, gdzie nie tylko znaleźli się chętni, ale wszystko osiągnęło dobrą cenę.

- Sprzedał pan taką pamiątkę? - Grant zamrugał z niedowierzaniem.

- Dzięki temu udało mi się spłacić część długów ojca i uregulować zaległe podatki - odparł Evan. - Nie miałbym z tej kolekcji żadnego pożytku, a moja siostra stwierdziła, że nie chce nawet patrzeć na to, co stało się przyczyną śmierci ojca.

- Oczywiście! Przepraszam, że o tym nie pomyślałem - mruknął Grant. - To był tragiczny wypadek, zupełnie bezsensowny. Żałuję, że nie było mnie wówczas przy hrabim. Że też musiałem wyjechać akurat wtedy! Kiedy wróciłem, pański ojciec już nie żył. - Ze zmarszczonym czołem rozglądał się dokoła pograżony w myślach. - Rozumiem, że myślistwo pana nie pociąga, milordzie. A jaki rodzaj sportu panu odpowiada? Z pewnością zajmuje się pan czymś dla odprężenia i utrzymania sprawności fizycznej. Może pasjonuje się pan golfem, jak wielu mieszkańców Niziny Szkockiej?

- Kildonan wspaniale gra w golfa, ale jego ulubionym sportem jest wspinaczka wysokogórska - wyjaśnił Arthur.

- W tej chwili można by pomyśleć, że jego lordowska mość ćwiczył rzut kłodą albo kruszył skały w kamieniołomach - wycodził Grant.

Evan spojrział na pokryte pyłem ubranie, rozpięty kołnierzyk i zakasane rękawy, plamy potu na koszuli.

- Prawdę mówiąc, pracowałem przy starym moście.

- A po jakiego diabła?! - Arthur spoglądał na przyjaciela przymrużonymi oczyma. - Po co dźwigałeś takie ciężary?

Evan odwrócił się i wskazał na most.

- Załamał się pośrodku, ale miejscowa ludność nadal tędy przechodzi. To cholernie niebezpieczne! - warknął. - Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, by most zabezpieczyć, gdyby przypadkiem jakiemuś głupkowi zachciało się pospacerować akurat tą drogą. Musimy jednak zabronić wstępu na most i zastąpić go nowym.

- Najwyższy czas - powiedział Grant. - Mówiłem nieraz o stanie tego mostu staremu hrabiemu, ale nie spieszyło mu się do naprawy. „Zbyt kosztowne, do diabła”, to był jego niezmienny komentarz.

- Doprawdy? - Evan uniósł brew. - Ojciec nigdy mi o tym nie wspomniał. Dziwne, bo jestem inżynierem i specjalizuję się w budowie mostów.

- Myślałem, że pan i poprzedni lord Kildonan zerwaliście ze sobą wszelkie kontakty, milordzie - odpowiedział Grant.

- Niezupełnie. Nie przebywałem w Kildonan od lat - wyjaśnił. - Ale ojciec i ja korespondowaliśmy ze sobą o sprawach dotyczących naszej rodziny i rodowej posiadłości. Ojciec wiedział, że prędzej czy później odziedziczę po nim tytuł i majątek, więc przysyłał mi od czasu do czasu informacje dotyczące mojego przyszłego dziedzictwa.

- Ach, tak? Rozumiem. Proszę mi wybaczyć.

- Nie ma tu nic do wybaczenia - odparł Evan. - A co do mostu, to dopilnuję, by mój rządca wywiesił ostrzeżenie i ogrodził wejście. Jak tylko będzie to możliwe, usuniemy tę ruinę i wzniesiemy nową konstrukcję. Poniosę, rzecz jasna, wszelkie koszty.

Kenneth Grant skinął głową.

- Bardzo wspaniałomyślny gest, milordzie.

- Nic podobnego. Przecież to mój obowiązek!

Arthur rozglądał się dokoła.

- Gdzie się podziewa dzisiaj lady Kildonan?

- Wędruje po wzgórzach z przyjaciółką, panią MacLeod - odpowiedział Evan.

- A prawda: „Sprzysiężenie dziewiarek”! - przypomniał sobie Grant.

- Jestem pod wrażeniem pomysłu panny MacConn... Ach, przepraszam! Hrabiny Kildonan. Sam podpowiedziałem damom z parafii w Kilmallie, by przygotowały coś równie prostego i atrakcyjnego. Zaczęły zbierać się i radzić na ten temat, choć brak im zapału lady Kildonan.

Grant przenikliwie wpatrywał się w Evana, a jego przymrużone piwne oczy mówiły coś wręcz odwrotnego niż łagodny, sympatyczny głos. Przez chwilę Evan był przeświadczony, że ten człowiek go nie lubi... wręcz nienawidzi!

Zmarszczył czoło; przypomniało mu się, że Kenneth Grant znał Catrionę od lat i nie tylko należał do ratowników, ale dotarł do chaty owczarzy z pierwszą grupką i ujrzał Catrionę w podejrzenie zażyłej przyjaźni z nieznanym. Być może nie potrafił zaakceptować ich długiego sam na sam albo natychmiastowego ślubu. Ponieważ jednak Grant mówił zawsze z szacunkiem i serdecznością o poprzednim lordzie Kildonan, Evan łagodził swoje podejrzenia myślą, że kto jak kto, ale przyjaciel ojca z pewnością nie żywi wrogich uczuć do syna, prawowitego dziedzica tytułu i majątku.

- Bardzo się cieszę, że moja żona tak się zaangażowała w działalność charytatywną.

- Mogę popatrzeć na most? - spytał Grant i wszyscy trzej podeszli bliżej do Mostu Wrózek. - Wykonał pan, milordzie, kawał dobrej roboty

- skomentował Kenneth. - Choć trzeba przyznać, że szkoccy górale z całej okolicy przeskakiwali przez tę dziurę od dawien dawna i nikt nie doznał poważniejszych obrażeń. Prawie wszyscy są zwinni jak kozice,

- Niemniej zamierzam wrócić tu później i dopilnować, by Catriona przeszła bez szwanku na drugi brzeg - oświadczył Evan.

- Nic dziwnego! Jest pan teraz jej mężem!

Grant uśmiechnął się i Evan znów pod gładką powierzchnią dostrzegł niepokojący błysk. Jakby wewnątrz czało się jakieś mroczne uczucie, całkowicie sprzeczne z przyjaznym zachowaniem Granta.

Dziwny, niepokojący człowiek, myślał Evan. Częściowo jego podejrzliwość wynikała z tego, że w Grancie było coś znajomego, a Evan nie mógł sobie przypomnieć, gdzie spotkał przedtem tego mężczyznę.

- Pan Grant również należy do naszej wspólnoty wspinaczy - poinformował go Arthur. - Rozważaliśmy zalety wspinaczki wysokogórskiej. Opowiadał mi o szczytach

Torridonu, których zdobycie jest niezwykle trudnym sprawdzianem sprawności. Grant doskonale zna tutejsze góry.

- Doprawdy? To bardzo interesujące, profesorze! - Evan odłączył się na chwilę od reszty, zabrał marynarkę i od razu włożył ją na siebie. Podniósł swój kapelusz i pospieszył w dół zbocza, by zrównać się z pozostałą dwójką. - Podobno zdobył pan wszystkie tutejsze szczyty, panie Grant?

- Tak. Chociaż dotychczas nie udało mi się dotrzeć na sam szczyt najwyższej góry, Beinn Shee, ten nieco szczyrbaty, pośrodku. - Wskazał najbardziej imponujące wzniesienie w paśmie gór o zaśnieżonych szczytach, które otaczały pierścieniem dolinę Glen Shee. - Kilkakrotnie próbowałem go zdobyć, ale zawsze stawały mi na przeszkodzie albo fatalna pogoda, albo złośliwy pech. To humorzysta góra. Podobno nikt jeszcze nie stanął na samym szczycie. Miałem znacznie więcej szczęścia podczas wspinaczki w innych regionach Szkockich Gór i na wyspie Skye.

- Na Skye są znakomite warunki dla wspinaczy - przytaknął Evan. - Byliśmy tam z Fitzem dwa lata temu.

- A tak! Wybraliśmy się na Sgurr nan Gillean podczas niesamowitej mgły - potwierdził Arthur. - Ale mieliśmy wspaniałego przewodnika i dzięki niemu poszczęściło się nam: zdobyliśmy szczyt tego samego dnia.

- To rzeczywiście imponująca góra, najwyższa w paśmie i, jak niektórzy powiadają, prawie nie do zdobycia. Widocznie jesteście panowie mistrzami w tym pięknym sporcie - powiedział Grant.

- Do mistrzów nam daleko - zaoponował skromnie Evan. - „Ostrożni, ale nieustępliwi”, takie określenie byłoby chyba bliższe prawdy. Sgurr nan Gillean ma chropowatą powierzchnię, a tym samym większą przyczepność na całej trasie, mimo nachylenia skały pod ostrym kątem. Po prostu nie poddaliśmy się, więc dotarliśmy do celu.

- Słyszeliśmy, że szczyt Góry Wrózek nadal pozostaje dziewiczy - powiedział Arthur. - Pomyślałem więc: to będzie coś w sam raz dla naszego klubu alpinistów. Dla tych, co kochają prawdziwą wspinaczkę. Myślę jednak, że nasze panie zrezygnują z wyprawy. I postąpiłyby słusznie. Wiesz co, Kildonan? Warto by zaprosić pana Granta, żeby się do nas przyłączył. Doskonale zna te góry, a jego medyczna wiedza będzie dla nas dodatkowym zabezpieczeniem.

- Doskonały pomysł! O ile, oczywiście, pan Grant jest zainteresowany.

- Będę zaszczycony - odparł z uśmiechem Kenneth Grant.

- Nasi przyjaciele zjawią się dziś po południu - powiedział Evan. - Prześlemy panu informację, jakie mamy plany.

- Wszystko wskazuje na to, że byłby pan wymarzoną członkiem Szkockiego Klubu Alpinistów - stwierdził Arthur.

- Doprawdy nie chciałbym się przechwalać swoimi skromnymi umiejętnościami - odparł Grant z ujmującą szczerością. - Ale, ale! Jeśli rzeczywiście chcecie pokusić się o zdobycie szczytu Góry Wrózek, będzie wam potrzebny najlepszy z miejscowych przewodników.

- Całkowicie się zgadzam. Czy mógłby nam pan kogoś polecić? - spytał Evan.

- Najbardziej doświadczony jest John MacLeod, zagrodnik, mąż Morag MacLeod. Jego bardzo już wiekowa matka ma chatkę na jednym z niższych i łagodniejszych stoków Góry Wrózek. Stary John przez całe życie chodził po wszystkich zboczach i zdobywał szczyty w paśmie Torrisonów. Był moim przewodnikiem, i to nie raz!, gdy zamarzyło mi się zdobycie tego czy innego szczytu. Ale John już się nieco postarzał. Prawdę mówiąc, poleciłbym na przewodnika twojego rządcę, hrabio. Finlay MacConn zna tutejsze góry jak własną kieszeń. Choć nie jestem pewien, czy udało mu się dotrzeć na szczyt Góry Wrózek.

- Finlay? Taki jest w tym dobry? - Evan wetknął ręce w kieszenie i spoglądał bacznie

na Granta. - Nie miałem pojęcia!

- Niegdyś zwykł wspinac się regularnie wraz ze swoimi braćmi i ojcem. Ale to było dawniej, przed wypadkiem naszego proboszcza i tragiczną śmiercią najstarszego syna na górskim zboczu.

Evan spojrział na rozmówcę.

- A, tak... Najstarszy brat mojej żony. Słyszałem o tej tragedii.

- Tak, to rzeczywiście była tragedia. Donald MacConn pewnego dnia wybrał się na wspinaczkę, ale pogoda nagle się pogorszyła. Zupełnie jak w pańskim przypadku, hrabio. Tylko Donald nie miał tyle szczęścia, nie został ocalony w cudowny sposób. Stracił równowagę i spadł. A w dole już na niego czyhała śmierć. Finlay z ojcem wybrali się na poszukiwanie Donalda. Wielebny MacConn również odpadł od skalnej ściany i doznał poważnych obrażeń. Straszna była tego dnia pogoda, a zbocza zdradziecko piękne. Po tym wypadku wielebny pastor nie wrócił już do zdrowia. Stał się po prostu innym człowiekiem. Na szczęście znalazł pociechę w wierze. Niebawem zmarła również pastorkowa. Moim zdaniem, przyczyną choroby był jej nieuleczalny smutek. A nieco później nastąpił dramatyczny exodus. Wielu krewniaków pastora poszło na wygnanie z rozkazu pańskiego ojca, hrabio. Tak, rodzina MacConnów z Glenachan wiele wówczas przeżyła.

- Mój Boże! - zdumiał się Evan. - Nie miałem pojęcia, że akcja wypędzania rdzennych mieszkańców doliny była tak masowa.

- O bardzo wielu sprawach nie ma pan pojęcia, hrabio - powiedział Grant. - Na przykład o niektórych związanych z dopiero co poślubioną żoną. Ale to całkiem zrozumiałe w takich okolicznościach.

Gładkość tonu w połączeniu z lisią chytrą i butą sprawiła, że hrabia przyjrzał się Grantowi podejrzliwie.

- Może nie wiem o wszystkim, ale szybko się uczę - odparł.

- Niewątpliwie. Wybacz, milordzie, ale chciałbym przed odejściem o coś cię poprosić.

- Oczywiście. - Evan czekał na dalsze słowa Granta z niepokojem, choć nie umiałby powiedzieć, czego się obawia.

- Usłyszałem w Inverness, a konkretnie od mojego adwokata, że nosi się pan z zamiarem odsprzedania części gruntów, będących pańską własnością. Zapewniano mnie nawet, że ma pan już poważnych klientów.

Evan przymrużył oczy.

- To prawda - odpowiedział. - Zastanawiam się nad tym od pewnego czasu. Posiadłość jest ogromna i chyba powinna być trochę okrojona, biorąc pod uwagę różne względy. - Nie zamierzał wyjawiać Grantowi, że jeden z oczekiwanych gości należy właśnie do poważnych klientów. Przyjeżdża, by obejrzeć posiadłość. Być może odkupi spory kawał ziemi, a nawet wynajmie zamek na dłuższy czas.

- A zatem pozwól i mnie złożyć ofertę, milordzie. Byłbym bardzo zainteresowany kupnem gruntów na granicy między naszymi posiadłościami, na samym końcu wschodniego odcinka doliny. Pragnę powiększyć pastwiska dla owiec, więc taka transakcja przyniosłaby korzyść obu stronom.

- Bardzo dziękuję za ofertę. Jest ogromnie interesująca i rozważę ją z całą powagą - obiecał Evan. - Jeszcze wrócimy do tego tematu.

- Doskonale! Wobec tego do zobaczenia, hrabio. Muszę już wracać. Obiecałem wpaść na plebanie w Glenachan i napić się herbaty z wielebnym MacConnem i panią Rennie. - Zabrał obie strzelby: swoją i tę, którą wypożyczył Arthurowi na polowanie. - A chciałbym jeszcze wrócić do Kilmallie i przebrać się. Dziękuję, Arthurze, było mi bardzo przyjemnie polować w twoim towarzystwie.

- Proszę przekazać ode mnie wyrazy szacunku dla wielebnego proboszcza i pani Rennie - mruknął Evan. - Niebawem zaprosimy ich na obiad do zamku Kildonan. - Evan

wiedział, że wcześniej czy później trzeba będzie załagodzić konflikt i przywrócić dawne stosunki między Catrioną a jej ojcem i ciotką.

- Przekażę im tę wiadomość. A zatem, do zobaczenia! - Grant uchylił kapelusza i odszedł szybkim krokiem.

Evan postanowił wraz z Arthurem dojść na piechotę do zamku Kildonan, który złocił się w promieniach słońca. Na tle błękitnego nieba i ostrych górskich szczytów prezentował się dość dziwnie, ale malowniczo.

- Sprzedanie kawałka ziemi panu Grantowi można potraktować jako dobry początek przy zmniejszaniu powierzchni posiadłości - skomentował Arthur.

- No właśnie! A ziemia pozostanie w rękach szkockiego lairda. Uważam to za bardzo istotne - odparł Evan. - Ale w tym człowieku jest coś... - Evan urwał w obawie, że Arthur poczuje się dotknięty: wyraźnie zaprzyjaźnił się z Grantem.

- Zgadza się z tobą w zupełności - stwierdził Fitzgibbon. - Sympatyczny mężczyzna, ale z oczu dobrze mu nie patrzy. Podszedłbym bardzo ostrożnie do jego oferty. Obedrze cię ze skóry, jeśli mu na to pozwolisz. Spodobały mu się dwie kuropatwy, które ustrzeliłem, więc chwycił je bez pytania, a potem zaklinał się, że sam je zestrzelił. Przyznasz, że to nie jest sportowa postawa. - Arthur wzruszył pogardliwie ramionami.

Poirytowany Evan potwierdził opinię przyjaciela głośnym pomrukiem. Potem przymrużył oczy i spojrzął na zamek Kildonan. Zauważył sporą grupkę ludzi przechadzających się po trawniku; były wśród nich cztery kobiety w szerokich spódnicach, z parasolkami. Hrabia zatrzymał się i osłoniwszy oczy ręką, spoglądał na nowo przybyłych.

- Któż to może być? - spytał Arthur.

- Coś mi się zdaje, że nasi goście przybyli przed czasem. - Evan przyspieszył kroku i wielkimi susami zbiegł do podnóża góry.

Po rozstaniu się z Morag Catriona ruszyła w stronę Mostu Wrózek, wiedząc doskonale, że Evan nie życzył sobie, by tamtędy chodziła. Była to jednak najkrótsza droga do zamku Kildonan, ona zaś nie bała się ani trochę przemierzać most, który - aczkolwiek złamany pośrodku - nie wykruszył się i nie rozpadł przez kilka dziesięcioleci. Zazwyczaj po długim spacerze wśród wzgórz w towarzystwie Morag, Catriona wracała pasterskim traktem na plebanię w Dolinie Wrózek - wiele kilometrów stąd! Ale życie i los nieoczekiwanie wyгнаły ją z domu. Gdy zeszła z porośniętego lasem zbocza i zbliżała się do mostu, usłyszała szmer wody przepływającej przez wąwóz. Podniosła wzrok i ujrzała Kennetha Granta. Stał obok mostu z drugiej strony. Zwolniła kroku, ujęła mocniej kij, którym się podpierała, aż wreszcie zatrzymała się i popatrzyła na Granta podejrzliwie.

- Pani hrabino! Jak miło znów cię widzieć - powitał Catrionę.

Podeszła jeszcze bliżej. Dobrze wiedziała, że tylko po tym moście zdoła wrócić do domu. Miała jednak wrażenie, że wchodzi do nastawionej pułapki, która zaraz się zatrasnie.

- Czego pan chce? - spytała.

- Upewnić się, że dotarłaś bezpiecznie na drugi brzeg. - Wyciągnął rękę, jakby zamierzał wspierać dziewczynę przez resztę drogi.

- Poradzę sobie sama, niech się pan nie fatyguje.

- Widziałem się z twoim mężem kilka godzin temu. Był ogromnie zaniepokojony stanem mostu. Przez cały ranek harował tu jak wyrobnik. Dokonał niemal cudu, tylko po to, żebyś przeszła bezpiecznie.

Popatrzyła uważniej na most i zauważyła mnóstwo kamieni wbitych siłą w poszarpane brzegi wyrwy. Mocne kije, przerzucone nad przepaścią, umożliwiały przejście na drugi brzeg.

- Widzę. Wygląda to na solidną robotę. Naprawdę nie potrzebuję pańskiej pomocy, panie Grant. Proszę spokojnie wracać do domu.

- Pomyślałem, że tu będziemy mogli porozmawiać bez świadków. No, chodź! - Kiwnął na nią palcem.

Rozglądając się w popłochu, Catriona dostrzegła mężczyznę przemierzającego wrzosowisko między zamkiem a mostem. To Evan. Szedł, by przeprowadzić ją bezpiecznie przez most. Widok męża niespodziewanie podniósł Catrionę na duchu. Nie bała się już Kennetha Granta. Nabrała nowej, zadziwiającej pewności siebie. Co jej tam pogróżki jakiegoś rządcy!

Dotarła do środka mostu i bez trudu przeskoczyła wyrwę. Na drugim odcinku mostu wyczuła już pewny grunt pod nogami.

Grant zrobił tylko jeden „siedmiomilowy” krok i chwycił dziewczynę za ramię tak szybko i brutalnie, że aż jęknęła. Szarpnął ją ku sobie, ona zaś potknęła się i jej lewa stopa ześliznęła się z nierównej krawędzi wyrwy, strącając przy tym jeden z kijów zasłaniających dziurę.

Grant błyskawicznie przechylił Catrionę do tyłu. Tak jato przeraziło, że przyłgnęła rozpaczliwie do jego ramienia. Wywijając ręką, w której trzymała kij, usiłowała odzyskać równowagę. Grant brutalnie wytrącił jej podporę z dłoni. Słyszała, jak odrzucony kij obija się o skałę. W końcu z dna wąwozu dobiegło głośne pluśnięcie.

- Uważaj, moja droga - powiedział Grant, ciągnąc ją z powrotem na most. - Omal nie spadłaś w przepaść.

Catriona wpatrywała się w niego z mocno bijącym sercem. Czy zrobił to umyślnie, żeby spadła? A może sam omal nie stracił równowagi i niechcący ją potrącił, gdyż stanęła zbyt blisko niego? Catriona dobrze wiedziała, co jej prześladowca wymyśli. Cofnęła się o krok i spróbowała znów wyciągnąć rękę, ale on wcale nie zamierzał jej puścić.

- Nie miałem pojęcia, że planowałaś już małżeństwo z Kildonanem, kiedy spotkaliśmy się poprzednim razem - powiedział. - Powinnaś mnie uprzedzić!

- Kiedy widzieliśmy się poprzednio, nie miałam pojęcia, że hrabia mi się oświadczy. To mnie boli! - Znów spróbowała się wywinąć z jego uścisku.

Osłabił nieco brutalny chwyt, ale jej nie puścił.

- Uważaj, żebyś znów nie spadła, moja droga - mruknął. - I nie zapominaj, o czym mówiliśmy zeszłym razem.

- Nie rozumiem, czemu pan to robi. Czemu pan jest taki zły, jakby chciał za coś ukarać mnie i moją rodzinę. Przecież zawsze okazywaliście panu życzliwość i zaufanie!

- To ja zaufałem tobie, moja droga, ale zraniłaś mnie do żywego swoim nieprzemyślanym zamążpójściem! Nie chcę zrobić ci nic złego, ale zawsze miałem nadzieję, że jeśli kiedyś będziesz miała ochotę na małżeństwo, twój wybór padnie na mnie. Co cię tak odmieniło, kiedy Mackenzie wszedł w twoje życie? Czyżby okazał się ucieleśnieniem marzeń samotnej dziewczyny? A może postanowiłaś go złowić, bo zaimponował ci tytułem i majątkiem?

- Jak pan śmie! Doskonale zna pan okoliczności. Nie było innego wyjścia. Musieliśmy się pobrać! - Czuła się taka bezbronna, stojąc obok niego na wąskim, niebezpiecznym moście. Ale nie mogła uciec na dobrze znaną, pewną ścieżkę.

- Otóż i wyznanie winy! Byłem jej prawie pewny. Kiedy znaleźliśmy was w chacie owczarzy, zauważyłem, jak na siebie patrzycie... i zrozumiałem, że wziął cię, a ty nie miałaś nic przeciwko temu. A zatem „Przydatna brzydula” nie oparła się urokiem Kildonana! Niech go wszyscy diabli! - warknął.

-Nie, nie! Pan niczego nie rozumie...

- Czekałem długo i cierpliwie. Nigdy mi nie przyszło do głowy, że oddasz się jakiemuś nieznanemu! Prawdę mówiąc, nie przemknęło mi nawet przez myśl, że ten typ może tu wrócić! Przecież doszły mnie słuchy, że sir Harry zawiaduje majątkiem, a Kildonan chce sprzedać wszystko albo prawie wszystko. Nic dziwnego, że jestem przygnębiony, bo jego powrót zrujnował mi życie... i tobie również.

Spojrzał na nią zimno i nagle zrozumiała, jak bardzo jest niebezpieczny. Szarpnęła

ramieniem, które nadal trzymał w mocnym uścisku.

- Czego w końcu ode mnie chcesz?!

- Tego, czego on mnie pozbawił! - warknął, przyciągając Catrionę do siebie, i pochylił się, by ją ucałować w usta, choć wywijająca się i protestowała. - I chcę, żebyś to sobie wbiła do głowy, brzydulo! - zakończył.

Rzuciła mu wściekle spojrzenie.

- Mój mąż i moja rodzina nie puszczą tego płazem, jeśli się dowiedzą...

- Ale nigdy się nie dowiedzą, bo nie piśniesz im ani słówka. Tak właśnie zapłacisz za moje milczenie. Już ci o tym mówiłem. Mogę unicestwić twoją rodzinę. Znikną z tej doliny.. jak wielu innych.

Oddychając ciężko, przyglądała mu się w milczeniu, bliska rozpacz. W głębi duszy wiedziała - i napawało ją to przerażeniem - że Grant mówi prawdę. Nie miała wyboru, nie mogła zwierzyć się nikomu, bo ucierpiałaby cała jej rodzina. A pośrednio i inni mieszkańcy doliny, gdyż zabraknie im pomocy Finlaya i duszpasterza, który miał w opiece ich dusze.

- No i jak? Będziesz milczała? Zostaniesz moją współpracowniczką i kochanką? Czy też wypaplesz wszystko drogiemu mężusiowi i zobaczysz, jak cały twój świat obraca się w perzynę? - Objął jej głowę, by znowu ją pocałować, ale zdołała się wyrwać.

- Zostaw mnie w spokoju! - syknęła.

- A więc chcesz, by Finlay dostał się do więzienia, a twój ojciec stracił wszystko? Szkoda. Naprawdę lubię ich obu. No cóż... napisałem już list do szeryfa, muszę go tylko wysłać. - Puścił Catrionę.

Cofnęła się, rozcierając bolącą rękę.

- Nie przypuszczałam, że z ciebie taki podlec!

- Zapewne mam to we krwi. Gdzie się spotkamy następnym razem, by dobić wreszcie targu? Może w chacie owczarzy, gdzie figlowałaś z hrabią? Wmówisz mu bez trudu, że macie się znowu spotkać z Morag MacLeod.

- Nie! - wykrztusiła, z trudem łapiąc oddech.

- Przemyśl to sobie dokładnie, Catriono - powiedział cicho. Potem spojrzał w kierunku zamku Kildonan. - No, no! Twój oblubieniec spieszy ci z pomocą. - Wskazał palcem.

Catriona odwróciła się i ujrzała Evana. Wszedł się po zboczu. Niewątpliwie zmierzał ku nim.

- Evanie! - zawołała, gdy Grant schwycił ją znów za ramię. - Evanie!

17

Kildonan! Tu jesteśmy! - wołał Grant, wymachując rękami, ku najwyższemu zdumieniu Catriony. Potem zwał ją z mostu i czekał na szczycie wzgórza, aż Evan podejdzie bliżej.

Serce Catriony biło na alarm, walczyła ze łzami, a jednak stała spokojnie. Zorientowała się, że Evan nie ma pojęcia, co się tu dzieje przed chwilą. Od podnóża góry nie było dobrego widoku na most.

Grant miał rację. Musiała milczeć. Przynajmniej teraz. A może zawsze?...

- Co za szczęśliwy traf, że wybrał pan akurat tę drogę, milordzie - powiedział Kenneth Grant, gdy Evan stanął na szczycie wzgórza. - Pańska żona najadła się strachu! Omal nie spadła z tego przeklętego mostu! Jestem ogromnie rad, że akurat tędy przechodziłem.

Evan sposępniał.

- Dobry Boże! - jęknął.

Chwycił Catrionę w objęcia i przytulił do siebie. Oparła się na nim całym ciężarem, położyła głowę na jego ramieniu. Czują, jak przetacza się przez nią fala ogromnej ulgi.

Cofnął się nieco, nadal obejmując żonę ramieniem.

- Boli cię? Coś ci się stało?

- Nic mi nie jest. - Pragnęła znów zatonać w jego uścisku; czuła się wtedy taka bezpieczna! Zamiast tego uchwyciła się poły surduta i stanęła tuż przy mężu. Była zwrócona twarzą do Granta. Spoglądała na niego z odrazą, nie ukrywając już swoich uczuć.

- Pańska małżonka, hrabio, weszła na most jak zwykle, ale się potknęła - relacjonował Grant. - Na szczęście byłem tak blisko, że zdążyłem ją podtrzymać. Miał pan całkowitą rację, milordzie. Trzeba zabarykadować wejście na most i zabronić wstępu. Dawno należało to zrobić!

- Jestem panu niewymownie wdzięczny. -- Evan potrząsnął ręką Granta.

- Doprawdy, nie ma za co dziękować. Udzielić pomocy tak uroczej damie to prawdziwa przyjemność. Jest pan wyjątkowym szczęściarzem, hrabio! Życzę państwu miłego dnia. - Skłonił się Catrionie, prawie na nią nie patrząc. - Zobaczmy się niebawem, może podczas wspinaczki.

- Już się na nią cieszymy - odparł Evan. Kenneth Grant uchylił kapelusza i odszedł.

- Podczas wspinaczki? - dopytywała się Catriona. - Będzie chodził po górach razem z wami?

- Arthur i ja spotkaliśmy go wcześniej i zaproponowaliśmy, by do nas dołączył. Jakie to szczęście, że dostrzegł cię na moście! Ja także byłem już w drodze do ciebie... ale zjawiłbym się zbyt późno. Dobry Boże!... Catriono, ależ się przez ciebie najadłem strachu! - mówił, przygarniając ją do siebie jeszcze mocniej.

Myślała, że chwyci ją znowu w objęcia, będzie całować... On jednak tylko otoczył ją ramieniem i zaczął schodzić do podnóża góry. Catriona poczuła głębokie rozczarowanie. Nawet ją zaskoczyła ta reakcja, bo przecież usiłowała właśnie wbić sobie do głowy, że oboje z Evanem powinni rozpocząć od nowa jako zwykli znajomi.

Obejrzała się przez ramię i przekonała się, że Granta nie ma nigdzie na widoku.

- Evanie... nie chciałabym okazać się niewdzięczna, ale czy pan Grant musi wziąć udział w waszej wyprawie? - spytała bez ogródek. - Ostatnio wcale mi się nie podoba jego zachowanie. Nie znasz go tak dobrze, jak ja! - dorzuciła.

Evan przechylił głowę i zrobił zdziwioną minę.

- Przecież to twój wybawca, kochanie! - powiedział lekkim tonem. Cóż, miał prawo tak mówić. Nie znał przecież prawdy, pomyślała Ca triona.

- Nie! - odpowiedziała mężowi, przygarniając się do niego i dając na chwilę upust swoim uczuciom. - To ty jesteś moim wybawcą. Poczulałam się bezpieczna dopiero wtedy, gdy się zjawiłeś, Evanie!

Zatrzymał się na chwilę i powiedział coś tak cicho, że niczego nie dosłyszała, choć bardzo tego pragnęła. Objął ją mocno jedną ręką w pasie, drugą otoczył od tyłu jej głowę, nachylił się i zaczął całować Catrionę.

Zaskoczona wstrzymała oddech i poczuła silną, dziką reakcję całego swojego ciała. Przymknęła oczy, oparła się o Evana, upajając się delikatną a jednak namiętą pieśczętą jego ust. Wyczuła potężną, groźną siłę, gdy przyciągnął ją do siebie. Oplotła ramionami jego szyję, wygięła się w łuk i odpowiadała pocałunkami na jego pocałunki z równym zapałem. Poddała się najwyższej radości, czując się tak bardzo kochana i całkowicie bezpieczna. Nie próbowała dociekać, czyjej odczucia są prawdziwe, czy nie.

Wtulona w objęcia Evana stała wraz z nim na odkrytej przestrzeni wrzosowiska, po kolana w trawie. Wiatr targał jej spódnicą i usiłował porwać tartan. Była oszołomiona, oczarowana, świadoma czujnej obecności dominujących gór, chmur gnanych wichrem po niebie nad ich głowami oraz tego, że ona i Evan jednoczą się pod osłoną tych żywiołów w kryształowe ostrze potęgi. Catriona pragnęła, by to uczucie trwało wiecznie.

Potem Evan wypuścił ją z uścisku. Słyszała, z jakim trudem oddychał. Gdy na nią spoglądał, czuła drżenie jego rąk. Oczy miał zieleńsze niż kiedykolwiek, na twarzy bezmierną powagę.

- Wybacz - powiedział. - Obiecałem, że tobie pozostawię decyzję w tych sprawach. Ale dziś omal cię nie utraciłem, Catriono. Śmiertelnie mnie przeraziłaś! Obiecuj, że będziesz trzymać się z daleka od tego mostu!

Catriona wypuściła powietrze z płuc i potrząsnęła głową.

- Nie mogę ci tego obiecać. Musimy z Morag właśnie tamtędy przedostać się do wyższych gór i wrócić stamtąd.

Puścił ją i szedł teraz obok, choć tak bardzo pragnęła zawrócić czas o minutę, albo cofnąć się do tamtej cudownej nocy, którą spędziła w jego ramionach, zanim wszystko stało się tak skomplikowane i niepewne.

- Można dotrzeć do tych wzgórz inną drogą - zauważył Evan.

- Naprawdę oczekujesz, że obie zejdziemy po urwistej ścianie na dno wąwozu i będziemy przeskakiwać z kamienia na kamień? Morag stuknęła już siedemdziesiątka.

- W takim razie nie powinna urządzać skoków przez dziurę w moście. - Uniósł brew i spojrzał na nią zadziornie.

- Przeskakiwała przez tę malutką wyrwę znacznie częściej niż ja. A ja zawsze ją ubezpieczam.

- Któregoś dnia możecie spaść obie! To twoje zaklęcie niewiele ci dziś pomogło. Nie ma mowy, Catriono! Od tej pory będziesz odwożona do pasterskiego traktu.

- Co za pomysł! Zbocza są strome i kamieniste, a drogi w fatalnym stanie, odkąd nie ma tu wielkich stad bydła, które po nich często pędzono, przy okazji przecierając szlaki. Gdybyśmy wybrały się na kucach, nasza wyprawa trwałaby znacznie dłużej. Poza tym nie mogłybyśmy odwiedzić zagród położonych w najdalszych i najbardziej odludnych zakątkach. W naszej dolinie nie pozostało zbyt wielu mieszkańców, ale na wyższych zboczach jest kilka zagród, gdzie czekają z utęsknieniem na nasze cotygodniowe wizyty.

- Rozumiem. Trzeba będzie wymyślić coś innego. Teraz jednak powinnaś wrócić do domu. Jesteś wyraźnie wstrząśnięta. Pewnie nawet nie starczyło ci czasu na herbatę.

- Czuję się doskonale - upierała się Catriona. - A herbatę piłam razem z Morag i jej mężem.

- Zostawiłem gig pod drzewami. Zabiorę cię do domu, do Kildonan. - Objął ją znów ramieniem, a ona przyjęła to z wdzięcznością.

Szli w równym rytmie; ich ciała również pasowały do siebie, uzupełniały się nawzajem. Catriona oparła głowę na ramieniu męża, ale po chwili ją podniosła. Nie powiedziała ani słowa, gdy schodzili długą drogą do podnóża jednego z większych wzgórz.

W gruncie rzeczy nie znała Evana, a jednak wzbudził w niej gwałtowną namiętność, której istnienia nawet nie podejrzewała.

Spadł jej z nieba i bez trudu znalazł sobie właściwe miejsce. Zupełnie jakby czekało właśnie dla niego. Nie wiedzieć czemu, czuła się przy nim bezpieczna i gorzko żałowała, że nie mogli zostać na zawsze w chacie owczarzy i pozostać w błogiej nieświadomości wielu spraw, z wyjątkiem tego, co najbardziej istotne: że im ze sobą dobrze.

Gdy tak szła objęta ramieniem Evana, uświadomiła sobie nagle, że nie tylko czuje się bezpieczna i opuściło ją napięcie, ale że Grant, ze swoimi ohydnyymi pogrozkami, przestaje być groźny, maleje i niknie jak mroczne cienie w pełnym blasku słońca.

Jadąc gigiem, Catriona i Evan przebyli rozległą przestrzeń, wyboistą i pokrytą wystrzępioną trawą. Wreszcie zbliżali się do zamku Kildonan. Nagle Catriona spojrzała w górę i zauważyła sporą grupę ludzi. Maszerowali po stoku jednego z bardziej urwistych wzgórz na tyłach zamku, po tej stronie doliny, naprzeciw której wznosił się masyw Góry Wrózek. Dotknęła ramienia Evana.

- Spójrz! Co to za jedni? - spytała.

- No, cóż... Nasi goście. Członkowie klubu wspinaczy zjawili się podczas twojej nieobecności, razem z moim dobrym przyjacielem. Miałem nadzieję, że i on przybędzie do

Kildonan, i przybył. Po lunchu aż się rwali do wyruszenia w teren, więc Jeanie i ja wyjaśniliśmy im jak dojść do tej szacownej górki. Widok ze szczytu, coś wspaniałego!

- Rzeczywiście - przytaknęła, bo doskonale знаła tę „szacowną górkę”. - Widać stamtąd całą dolinę, nawet pasmo Torridonów też można zobaczyć. Nazywamy japo gaelicku Sgairneach Mhór.

- A co to znaczy?

- „Wielka Kamienna Góra” - odparła, a śmiech Evana, niski i beztroski, podziałał na nią kojąco.

Niektórzy ze Szkockich Alpinistów odpoczywali na stoku, ale inni uparcie wdrapywali się na skalne zbocze. Wszyscy byli w eleganckich ubraniach. Mieli ze sobą laski i parasolki. Catriona dostrzegła, że spora grupa podzieliła się na dwie mniejsze: jedna prawie już dotarła do szczytu, druga znajdowała się o wiele niżej. Rozdzielała ich wysoka chropowata ściana, porośnięta paprociami, pełna kamieni, poprzecinana wąskimi strumyczkami. Widać było również owce, rozrzucone tu i ówdzie jak paciorki.

Catriona wpatrywała się z najwyższym zdumieniem w grupę przybyszów.

- Ubrali się odświętnie, a mimo to niektórzy wdrapali się całkiem wysoko.

- Równie dzielna, jak dobrze wychowana grupa - mruknął Evan.

Zawrócił gig i podjechali do podnóża stoku. Zatrzymał powóz, pomachał ręką znajomym, zeskoczył i pospieszył na drugą stronę, by pomóc Catrionie przy wysiadaniu.

Lubiła czuć w taliu twardość i siłę jego wielkich rąk, gdy lekko, bez wysiłku i pośpiechu stawiał ją na ziemi. Osunęła się wzdłuż umięsnionego ciała. Zarumieniła się, a w pamięci odżyły wspomnienia sekretnych chwil, do których nie powinna wracać nawet myślą - lecz mimo to pragnęła, by powtórzyły się znowu.

Ujął ją za łokieć. Catriona wzdrygnęła się mimo woli. Brutalne zachowanie Kennetha Grahama pozostawiło sińce na jej rękach. Gdy jednak Evan spojrzał na nią, tylko się uśmiechnęła.

- Starczy ci sił na uroczystą prezentację? - spytał.

- Oczywiście! - zapewniła, ale głos jej się załamywał, a dłonie zaciskały się nerwowo.

Wspięli się razem na niższą część zbocza Sgairneach Mhór. Evan pożyczył żonie swoją laskę, by pomogła w utrzymaniu równowagi przy wdrapywaniu się na skalisty stok. Szum wody w strumykach wzbogacił symfonię dźwięków, na którą składały się świst zimnego wiatru, echo ludzkich głosów i beczenie owiec.

Podejście było tak strome, że Catriona musiała mocno odchyłać głowę, by zobaczyć coś w górze. W milczeniu szła za Evanem, choć była przyzwyczajona do wspinaczki i mogłaby wyprzedzić go bez trudu. Woląла jednak pozostać z tyłu; wcale jej nie było spieszno na spotkanie z przyjaciółmi Evana.

Wśród przybyszów zauważyła lady Jean i jej męża. Spostrzegła również Arthura Fitzgibbona, ale z pozostałych osób nie знаła nikogo. Byli mniej więcej w wieku Evana, z wyjątkiem starszawego dżentelmena i damy, którzy wydawali się silni i pełni energii, choć pozostali z drugą, mniej ambitną grupą znacznie niżej. Wszyscy śmiali się i gawędzili, obie grupy pokrzykiwały do siebie, jakby to była partia tenisa lub gra w golfa, a nie trudne podejście po stromiźnie.

Lady Jean i pozostałe damy włożyły urocze małe czepeczki, suknie w ciemnych kolorach i krótkie zakieci. Przyglądając się im uważnie, Catriona wypatrzyła nawet krynoliny i śliczne, zapinane z boku buciki.

W porównaniu z tymi kobietami wyglądała jak niechlujna przekupka w skromnej bluzce i spódnicy. Nie miała czepka ani rękawiczek, jej lśniące jak miedź włosy wymykały się z nisko upiętego koka, a policzki były z pewnością czerwone od wiatru i wysiłku. Próbowwała uporządkować niesforne kosmyki, ale w końcu dała za wygraną.

Starsza dama pomachała do nich.

- Panie hrabio, widzę, że wystarczył się pan dla nas nawet o idealną pogodę na wyprawy po Szkockich Górach: niebo bez chmurki, miły wie trzyk i to urocze wzgórze... co prawda nie tak ekscytujące, jak alpejskie szczyty, wśród których spędziliśmy z lordem Wetherstone'em letnie wakacje.

Dość otyła, ale krzepka, odnotowała w myśli Catriona. A cały strój: czarna suknia, czepek z woalem, rękawiczki, buciki i czarna parasolka z frędzelkami, najwyższej jakości.

- Jesteś już z powrotem, Kildonan? Co za tempo!

Starszy dżentelmen serdecznie uściśnął Evanowi dłoń. Miał na sobie brązowy garnitur i długi płaszcz. Nie był wysoki, ale mocno zbudowany. Siwe bokobrody okalały pogodną twarz z nieco już obwisłą skórą.

Evan wziął Catrionę za ramię.

- Kochanie, pozwól, że cię przedstawię naszym znakomitym gościom i zapoznam cię z nimi - powiedział. - Oto lord i lady Wetherstone, którzy przybyli do nas z Londynu. - Wskazał żonie starszą parę; oboje skinęli głowami. - A to pani Anna Wilkie i jej małżonek, wielebny John Wilkie, ze Stirling. - Była to młoda para, stojąca obok Jean i Harry'ego. - Państwo pozwolą, że im przedstawię: oto Catriona MacConn, od niedawna moja żona, lady Kildonan.

- Cóż za miła niespodzianka! - powiedziała lady Wetherstone i z uśmiechem ścisnęła rękę Catriony. - Serdeczne gratulacje, hrabino!

Pani pastorowa również podała Catrionie rękę i życzyła szczęścia młodej parze.

Ależ to piękność! - pomyślała Catriona. Jasnowłosa, podobna do figurynki z chińskiej porcelany, drobna, z niemal przezroczystą skórą i niebieskimi oczyma. Starannie uczesane włosy, a na nich niewielki szary kapelusik. Żakiet i spódnica w trochę jaśniejszym odcieniu szarości podkreślały pastelową urodę pani Wilkie. Dama oparła na ramieniu przepiękną niebieską parasolkę.

W porównaniu z panią Wilkie Catriona czuła się zwałista i niezgrabna. Była pewna, że jej żywe kolory i potężna postać kojarzą się wyłącznie z zaniedbaną rudą krową, zwłaszcza w porównaniu z tą filigranową pięknnością. Ale zwiewna blondynka uśmiechnęła się do niej z taką szczerą życzliwością, że Catriona od razu ją polubiła i zaniechała wszelkich porównań.

John Wilkie, mąż prześlicznej blondynki, był wysoki, jasnowłosy i przystojny. Po kilku minutach rozmowy z pastorem Catriona odkryła, że należy on do Kościoła Państwowego. Bez zastanowienia powiedziała mu o swoim ojcu, proboszczu z Glenachan, zwolenniku Kościoła Wolnego. Lady Wetherstone uniosła wysoko brwi. Może nie wypadało tak od razu zwierzać się obcym, pomyślała Catriona poniewczasie. Ostatecznie hrabiowie nie żenią się zazwyczaj z panienkami z plebanii!

- Bardzo dziękuję... Jakże miło mi poznać... - powtarzała każdemu z nowo przybyłych gości. - To wspaniałe, że państwo zechcieliście odwiedzić zamek Kildonan.

Stała tak z odkrytą głową, warkoczem opadającym na plecy, pledem zsuwającym się z ramion. Rozczochrana, ubrana w codzienny strój... i taka pospolita! No, cóż... nie odebrała równie starannego wychowania, jak dzieci z wyższych sfer. Ci ludzie z pewnością wiedzą już, że mają do czynienia z prostaczką, pomyślała z goryczą.

Ale matka i nauczyciele od najmłodszych lat uczyli ją i jej rodzeństwo dobrych manier. Powinna zaufać im i mieć nadzieję, że wdrażane przez nich zasady dopomogą jej również w tej ciężkiej próbie. Witaa więc gości, dziękowała za przybycie, a poza tym mówiła bardzo niewiele, tylko uśmiechała się i przytakiwała.

Stała obok Evana i była mu wdzięczna, gdy od czasu do czasu ją obejmował, dyskutując zawzięcie z przyjaciółmi.

- Hej, wy tam! Chodźcie na górę! Czemu tam stoicie?

Catriona podniosła wzrok i ujrzała kobietę, która dawała im jakieś znaki rękoma. Nieznajoma była niemal na szczycie, a w każdym razie na górnej krawędzi najbardziej

stromego podejścia. Stała tam równie spokojnie i pewnie, jak młoda kozica: stopy postawione ukośnie, ręce na biodrach.

- Władcie, do licha! Boicie się, czy co?!

- Coś mi się zdaje, że rzucono nam wyzwanie - stwierdził Evan i pomachał ręką zaczepnej damie. - Nudzisz się bez nas, Jemimo? Zaraz tam będziemy! - Rozejrzał się po obecnych. - Kto ma ochotę na wspinaczkę?

- Na pewno nie ja - oświadczyła lady Jane i spojrzała na męża.

Sir Harry potrząsnął głową. Lord i lady Wetherstone również się wymówili.

- Idę z tobą, Kildonan - zdeklarował się John Wilkie. - A ty, moja droga?

- Zostanę z lady Jean - odparła pastorkowa. - A pani, hrabino? Chce pani zdobywać szczyty, czy zostać w naszym towarzystwie? - spytała.

Lady Wetherstone przeszła Catrionę badawczym, pełnym ciekawości wzrokiem.

- O, moja żona ma wrodzony talent do wspinaczki - stwierdził Evan.

Wyciągając rękę do Catriony, postawił ją w sytuacji bez wyjścia. A kiedy jego palce splotły się mocno z jej palcami, przyciągnął ją do siebie i oboje jednocześnie weszli na zbocze. Wielebny Wilkie ruszył w ich ślady, ale trzymał się kilka metrów w tyle. Najwyraźniej mu się nie spieszyło.

- Dziękuję - mruknęła Catriona do męża, gdy wspinali się po zboczu ramię w ramię. - Znów przybyłeś mi na ratunek!

Uśmiechnął się szeroko.

- Zauważyłem, że zbladłaś na samą wzmiankę o bawieniu gości poza stałymi na niższym stoku. Pomyślałem, że może bardziej ci się spodoba przyjmowanie ich na twoim własnym gruncie: wśród tych malowniczych wzgórz - dodał, rozglądając się dokoła.

Podejście było łatwe: przez cały czas, aż do stożkowatego szczytu szli po pochyłości usianej kamieniami i porośniętej wrzosem. Catriona wspiniała się pierwsza, tuż za nią Evan, a na szarym końcu sunął John Wilkie.

Catriona pomagała sobie laską i była już blisko wierzchołka, gdzie czekali na nich pierwsi śmiałkowie, podziwiając wspaniały widok. Wiatr wyszczypał policzki Catriony do czerwoności i próbował zderzyć z niej spódnicę. Zatrzymała się przed wejściem na szczyt.

Widok był istotnie wspaniały. Zamek Kildonan znajdował się w połowie drogi między górskim stokiem a jaśniejącym jeziorkiem, w którym odbijały się kontury zamku, nieliczne chmury i szczyty gór. Dolina Wrózek rozciągała się na całe kilometry, a jej pagórki, o tej porze roku zabarwione ciemną czerwienią, złotem i zielenią, utkane były zagrodami oraz pasącymi się tam owcami, które z odległości wyglądały jak ruchome kropki. Wąskie strumyczki i niewielkie jeziorko błyszcząły jak odłamki rozbitego lustro rzucone w trawę.

Potężne góry otaczały dolinę jak dumni, nieustępliwi wartownicy. Najwyższe wierzchołki pokryte były śniegiem. Catriona podniosła rękę do czoła, by osłonić oczy. Wiatr szarpał jej włosy, rozdzierał na pasemka i odrzucał Catrionie prosto w twarz.

- Piękne! - Evan podszedł i usiadł obok żony. - Czy nabrałaś znów odwagi?

- Ja i odwaga?!

- Niełatwo przyjmować nieznajomych i sprawować honory domu komuś, kto sam niedawno przybył do zamku. Nie czujesz się zbyt pewnie w nowej roli.

- W jakiej właściwie roli? - spytała bez ogródek. - Jeszcze nie ustaliliśmy, co dalej będzie.

Evan odgarnął Catrionie z twarzy luźne pasemka włosów i zatknął za ucho. Dreszcz przebiegł jej po plecach, ale nie miał on nic wspólnego z zimnymi podmuchami wiatru albo tremą przed witaniem następnym gości.

- Myślałem o tym - powiedział cicho.

- Ja też. - Wpatrywała się w niego spragniona, ale nie czuła się aż tak pewnie, by wyjawiać swoje uczucia.

- O, jest i Wilkie! - Evan obrócił się w stronę pastora.

- Cóż za wspaniały widok! - powiedział pastor. - Obejrzyjmy go z samego szczytu - zasugerował i ruszył pod górę.

Evan ujął łokieć Catriony, by sprowadzić ją z kamienistego szlaku. Dotarli do ostatniego odcinka.

- Witajcie na szczycie! - zawołał Arthur, spiesząc w ich stronę wraz z innymi.

- Moja droga, pozwól, że zapoznam cię z moimi kuzynkami. Panna Jemima Murray oraz jej siostra, panna Emily Murray. A oto sir Aedan MacBride - przedstawił jej wysokiego, ciemnowłosego dżentelmena, stojącego za siostrami Murray. - A to moja Catriona, od niedawna hrabina Kildonan.

- I pani tego wszystkiego, co widzicie wokół siebie - dodał Arthur.

Evan wybuchnął śmiechem. Catriona również się uśmiechnęła.

- Ogromnie się cieszę, że mogłam państwa poznać.

- My również jesteśmy radzi. Cóż za wspaniała nowina! Nasz hrabia wreszcie znalazł sobie żonę!

Ładna, ciemnowłosa panna Jemima Murray wyglądała na nieustraszoną. Miała szeroki uśmiech, zaraźliwy śmiech i zdecydowany uścisk ręki. Catriona w krótkim czasie dowiedziała się, że Jemima jest nie tylko kuzynką Evana i Jean, ale dowódcą tej wyprawy i wiceprzewodniczącą Szkockiego Klubu Alpinistów. Usłyszała również, że Arthur Fitzgibbon niedawno został mianowany przewodniczącym klubu.

W głębi ducha Catriona nie wątpiła, że Jemima nie tylko mogłaby z powodzeniem kierować klubem czy grupą turystów, ale stanąć na czele armii, gdyż jej energia była niewyczerpana, a entuzjazm zaraźliwy.

Panna Emily Murray stanowiła przeciwieństwo siostry: nie wywierała w pierwszej chwili takiego wrażenia, jak Jemima. Mówiła cicho i spokojnie. Wyraźnie onieśmielona, uściśkała rękę Catriony i rzuciła przelotny uśmiech.

Ale mężczyznę, który został jej przedstawiony zaraz po pannach Murray, Catriona zauważyłaby w każdej grupie ludzi. Wydawał się wyjątkowy i to nie tylko z powodu niewątpliwej urody, ale z racji otaczającej go atmosfery ciągłego napięcia. W tym człowieku coś bezustannie wrzało, ale zachowywał się nienagannie, był dżentelmenem w każdym calu. Czarnowłosa i niebieskooki nie mógł wyprzeć się swojego celtyckiego pochodzenia. Jako jedyny z mężczyzn w tej grupie, sir Aedan MacBride z Dundrennan miał na sobie tradycyjną szkocką kurtkę i kilt. W tym stroju poruszał się ze swobodą i naturalną gracją nawet podczas trudnej wspinaczki. Zdaniem Catriony miał w sobie coś z celtyckiego wojownika lub księcia ze Szkockich Gór.

- Lady Kildonan! - Ujął jej rękę w swoją, odzianą w rękawiczkę, ale tylko na króciutką chwilę. - Kildonan i ja przyjaźnimy się od wielu lat. Szczęśliwiec, zdobył szkocką piękność na hrabinę!

Roześmiała się na myśl o swoim zaniedbanym wyglądzie.

- Dziękuję za komplement, sir Aedanie! Mój mąż wspominał o panu bardzo serdecznie i opowiadał mi o wakacjach spędzanych wraz z pańską rodziną. Ja zaś zawsze podziwiałam poezje pańskiego ojca.

- Z pewnością bardzo by się ucieszył, gdyby mógł usłyszeć pani słowa - odparł uprzejmie.

- Tutejsze widoki po prostu zapierają dech - entuzjazmowała się Jemima. - Moglibyśmy urządzić sobie piknik pośród tych wzgórz... i zdobyć kilka szczytów przed zachodem słońca. Jestem pewna, że to całkiem możliwe! Jakież by to był radosny dzień! Co pani o tym sądzi, lady Kildonan? Zna pani te góry o wiele lepiej niż my.

- Można tego dokonać - odpowiedziała Catriona. - Wspinaczka na któryś z wyższych szczytów trwałaby dobrych kilka godzin... ale już z wyżyn czasem udaje się przejść z jednego

wierzchołka na drugi po grani... o ile, rzecz jasna, dopisze pogoda. - Zerknęła na Evana i przez chwilę wpatrywali się w siebie.

- Może pani hrabina zechce nas poinformować, które góry są najciekawsze do oglądania - wtrąciła Emily Murray. - Chcielibyśmy stawić czoło jakiemuś ambitnemu wyzwaniu.

- Tutaj, w Glen Shee, ambitnych wyzwań wam nie zabraknie - zapewnił Evan.

- Słyszałam, że najwyższe szczyty nie zostały dotąd zdobyte, na przykład Beinn Aligin i Beinn Shee - odezwała się Jemima.

- W takim razie my tego dokonamy, panno Jemimo - odparł rycersko Arthur.

Jemima zaśmiała się tak, że odezwało się echo.

- Oczywiście! Evan dołączy do nas, moja siostra też, i wolebny Wilkie. Sir Aedan zamierza tu pozostać tylko do jutra, ale sądzę, że Wetherstone'owie zechcą nam towarzyszyć, a może i pani Wilkie. Ewanie, pójdziesz z nami, nawet jeśli jesteś teraz... nowożeńcem? - Jemima z wahaniem spojrzała na Catrionę.

- Za żadne skarby nie przepuściłbym takiej okazji. Może moja żona również do nas dołączy? - Spojrzał pytająco na Catrionę.

Słuchając dyskusji, Catriona podziwiała urzekającą panoramę: góry, dolina, jeziora. Wiatr był silny i zimny, i widocznie wziął się na nią, bo omotywał jej spódnicę wokół nóg. Odwróciła się, by raz jeszcze spojrzeć na górę, na której zboczach zginął przed laty jej najstarszy brat, a ojciec miał wypadek.

Ze wszystkich gór Beinn Shee była jedyną, z którą Catriona nie chciała już mieć do czynienia. Ale otrzymała zadanie od Flory... musiała więc przemóc strach, stawić czoło zboczom tej właśnie góry i znaleźć kryształ.

Catriona wspinała się po wielu zboczach i zdobyła wiele szczytów w swoim życiu. Doskonale rozumiała Evana i jego przyjaciół. Na wyżynach, także i ona doznała uczucia tak niewiarygodnej wolności, że samo wspomnienie ciągnęło ją tam znowu, znowu i znowu.

Osiągnięcie tych wyżyn wspólnie z Evanem było ogromną, nieodpartą pokusą. Bez względu na to, czy zostanie z mężem, czy go opuści, poczuła, że musi wejść na tę górę razem z nim.

Odwróciła się do towarzystwa, zdobyła się nawet na uśmiech.

- Oczywiście, że się do was przyłączę. Z wielką radością.

Późnym wieczorem w całym zamku panowała cisza, gdy Evan przemykał się po nieoświetlonych korytarzach. Majordomus gasił lampy podczas swojego ostatniego przed nocą obchodu. Samotne kroki Evana rozbrzmiewały echem w korytarzach centralnej części zamku. Gdy wszedł do skrzydła, w którym znajdowały się połączone ze sobą apartamenty jego i Catriony, dudnienie kroków wyraźnie ścichło. W skromniejszych i bardziej nowoczesnych pomieszczeniach nie rozchodził się już tak potężny pogłos.

Zatrzymał się przed drzwiami Catriony i ogarnęła go pokusa, by do nich zastukać. Ale postać tylko przez chwilę, wsłuchany w ciszę. Wyobrażał sobie, że tam, wewnątrz, Catriona śpi spokojnie, oddychając miarowo, jak wtedy, gdy tulił ją śpiącą do siebie.

Po skromnej szkockiej kolacji, którą zjedli z gośćmi w małej jadalni (zawiesisty gulasz barani, razowy chleb i polany lukrem cytrynowy placek), Catriona jako pani domu zaproponowała, by damy wcześniej się położyły. Evana nie zdziwiła troskliwość żony o wygodę gości. Większość z nich była już bardzo zmęczona zarówno podróżą, jak i spacerem po górach.

Sugestia Catriony została mile przyjęta. Lady Jean była przy nadziei, a poza tym w ogóle szybko się męczyła, więc pierwsza skorzystała z propozycji bratowej. W jej ślady poszły inne damy, a nawet kilku mężczyzn. Każdy mamrotał pod nosem jakieś usprawiedliwienie - i już go nie było. Pokoje gościnne znajdowały się przede wszystkim w centralnej części domu oraz w obu później dobudowanych skrzydłach.

Evan pozostał najdłużej przy porto i cygarach z sir Aedanem MacBride'em i z wielbnyim pastorem Wilkie'em. Tylko oni zasiedzieli się po kolacji. Wilkie był autorem kilku książek o swoich podróżach oraz wspinaczce wysokogórskiej, uprawianej przez niego w Brytanii i Europie. Okazał się wyjątkowo utalentowanym gawędziarzem i zatrzymał zasłuchanego Evana i MacBride'a do późnej nocy.

Dwa kieliszki porto rozgrzały Evana, a miłe towarzystwo po zdrowym fizycznym wysiłku sprawiło, że się odprężył. Stał teraz w pustym i cichym korytarzu przed drzwiami Catriony i zmagał się z pokusą dotknięcia klamki.

W tej chwili najbardziej pragnął wejść do pokoju żony, wziąć ją w ramiona i opaść razem z nią na ogromne, luksusowe łóżce. Pragnął raz jeszcze przeżyć noc, kiedy obejmowali się nawzajem, pełni miłości i wzajemnej troski.

Współczucie i pożądanie, poddane ciężkiej próbie, tamtej nocy zaowocowały miłością. Z każdym dniem Evan był coraz bardziej o tym przekonany. Stojąc teraz pod drzwiami Catriony, zdawał sobie sprawę, że jest kimś innym niż kilka dni temu, kiedy wspinał się na górę podczas mgły.

Czy miłość mogła zjawić się bez uprzedzenia, jak iskra przy zetknięciu hubki i krzesiwa, i wywołać pożar uczuć tak gorący, że płonęli namiętnością wiele godzin? Czy ten zrodzony w ich sercach płomień mógł pozostawić po sobie wieczny żar?

Sam by w to nie uwierzył, gdyby nie poczuł czystego, magicznego ognia, który obudził jego duszę z długiego snu. Pełen nowej nadziei... nie, pewności!, przejęty tkliwością i pożądaniem, pojął, że to nie może być nic innego, tylko prawdziwa miłość, której ślad odnajdujemy w baśniach i legendach.

Wszystko jednak pozostawało nadal w zawieszeniu. I on, i Catriona mogli zniszczyć to, co w sobie odkryli, albo na takim fundamencie zbudować coś wspaniałego.

Wciągnął powietrze głęboko w płuca i doradzał sobie samemu cierpliwe czekanie. Musiał pozwolić Catrionie, by sama podjęła decyzję, wstrzymać się od narzucania swojej woli. Inaczej nigdy by się nie dowiedział, czego naprawdę pragnęła.

Ocalała mu życie, a on z kolei próbował ją ocalić. Teraz uświadomił sobie, jak wielki dar otrzymał od Catriony i jak lekkie okazało się jego brzemię. Nadzieja zaczęła znów ożywać, sypiąc nowymi iskierkami.

Stojąc w ciemności, oparł się bezwiednie ramieniem o drzwi i poczuł nagle, że miłość go obezwładnia, a on nie będzie i nie chce od niej uciekać.

18

Och! Cóż to za ponura sytuacja! - odezwał się ktoś prawie szeptem. - W sam raz pasuje do tej koszarnej pogody! - Tu rozległo się całkiem głośne prychnięcie. - Nie mogę sobie nawet wyobrazić czegoś podobnego: pośpieszna, nędzna ceremonia. I w dodatku po tak krótkiej znajomości.

Catriona po zejściu ze schodów coraz wolniej szła korytarzem do małej jadalni, choć wiedziała, że musi zapoznać się z resztą gości przy śniadaniu; bawią tu przecież od wczoraj! Ale przypadkiem zasłyszana i z pewnością nie przeznaczona dla jej uszu uwaga była wystarczająco przejrzysta i ukłuła ją jak żądło pszczoły.

Zawahała się tuż przed zakrętem korytarza. Nie wiedziała, jak zareagować: czy wkroczyć śmiało do jadalni, jak gdyby nigdy nic, czy odwrócić się na pięcie i uciec.

- To był rzeczywiście cichy ślub, ale jaki romantyczny! - usłyszała głos szwagierki. - Oni znali się od dziecka, naprawdę! A potem nagle rozkwitła miłość i nie mogli już znieść myśli o rozłące. - Westchnęła z rozmarzeniem.

Dzięki Ci, Boże, za Jean! - pomyślała Catriona. Tylko ona potrafi przekształcić wspomnienie o dawno zapomnianej znajomości w przekonującą opowieść o pierwszej miłości. Ot, niewinne kłamstewko w zbożnym celu. Ostatecznie i Catriona, i Evan rzeczywiście mieszkali w dzieciństwie w tej samej dolinie, choć zetknęli się ze sobą

przelotnie tylko raz czy dwa. Ale Jean robiła, co mogła, by przedstawić kłopotliwą sytuację w jak najlepszym świetle.

Catriona przysięgła sobie, że będzie za to wdzięczna szwagierce aż do śmierci. Rozejrzała się szybko. Którędy można by się wymknąć?... Niestety, na drugim końcu korytarza spostrzegła panią Baird. Gospodyni zatrzymała się na pogawędkę, zapewne z pokojówką, sprząającą w jednym z dalszych pokoiów.

- Też coś! - włączyła się do dyskusji lady Wetherstone. - Udało mi się przycisnąć do muru jedną z tych smarkatych pokojówek i wydobyć od niej prawdziwą przyczynę tego zdumiewającego małżeństwa... i wyobraźcie sobie, co mi powiedziała: spędzili całą noc sam na sam na górskim zboczu! Nic dziwnego, że pobrali się już następnego dnia.

- Lady Jean wspomniała, że panna MacConn tamtej nocy uratowała życie jej bratu - odezwał się jeszcze jeden głos, cichy i miękki. Należał do pastora Anny Wilkie. - A on poślubił ją natychmiast i z wdzięczności, i w trosce o jej dobre imię. A biorąc pod uwagę, że nawet w dzieciństwie mieli się ku sobie, uważam, że historia ich miłości jest doprawdy cudowna! - Westchnęła podobnie jak Jean. Lady Wetherstone obruszyła się.

- Potrafię zrozumieć, że w takich okolicznościach mężczyzna może ulec nagłej pokusie... tym bardziej, że z dziewczyny całkiem atrakcyjne stworzenie, mimo rudej szopy i olbrzymiego wzrostu... Widząc japo raz pierwszy, zdumiałam się, że kobieta może aż tak wyrosnąć... A ten jej szkocki tartan jeszcze to podkreśla! No i wygląda w nim na chłopkę, a nie na hrabinę!

Catriona ponownie przyłgnęła do ściany i skrzyżowała ramiona na piersi. Doszła do wniosku, że nie przepada za lady Wetherstone. Choć, oczywiście, jako osoba dobrze wychowana nie będzie jej publicznie robić wymówek.

- A ja uważam, że jest bardzo ładna, a jej góralski strój uroczy - sprzeciwiła się Anna. - Bardzo bym chciała mieć podobny tartan... to naprawdę piękny wyrób!

- Ale mimo tych wszystkich pochwał każdy przyzna, że z niej bardzo. .. osobliwa hrabina - orzekła lady Wetherstone.

- Przekonacie się, że lady Kildonan okaże się cennym członkiem naszej rodziny, bo dla mojego brata już jest dumą i radością - powiedziała Jean cichym, ale stanowczym głosem. - Wystarczy tylko na nich spojrzeć. Jak patrzą sobie w oczy, jak szepczą do siebie. Pomyślcie: w momencie zagrożenia żadne z nich nie myślało o sobie, tylko o uratowaniu drogiej sercu istoty. Są dla siebie stworzeni, a taka miłość jest niezwykle rzadka i cenna. Według mnie, powinniśmy ich podziwiać, a nie krytykować.

- Jestem tego samego zdania - poparła ją Anna Wilkie.

- Ach, co młode, to i głupie - orzekła lady Wetherstone. - Tylko romanse wam w głowie! A w pani błogosławionym stanie, lady Jean, pełne nadziei serduszko zmiękło jeszcze bardziej. Widywałam podobne przypadki. A teraz proszę nam przypomnieć, którą do ogrodów. Bardzo chętnie obejrzałabym je choćby dziś!

- Dzień jest mglisty, ale nie tak bardzo, żebyśmy nie mogły nacieszyć się tym widokiem - odparła Jean. - Wskażę paniom krótszą drogę przez korytarz biegnący obok kuchni, jeśli nie krępujecie się z niego skorzystać.

Rozległ się tupot damskich bucików i szybko ucichł w oddali. Catriona odetchnęła z ulgą. Wyprostowała się, przyglądała spódnicy z brązowego jedwabiu i przez dłuższą chwilę starała się nadać odpowiedni kształt swoim włosom, czerwonym jak ogień i równie trudnym do opanowania, jak ten żywioł. Potem stanowczym krokiem ruszyła do małej jadalni, gdzie tradycyjnie spożywano śniadanie.

- Wilkie właśnie pochwalił mi się, że napisał jeszcze jedną książkę - poinformował Arthur grupkę zebraną przy stole. Jego spojrzenie prześliznęło się po postaci Evana, Wilkiego, sir Harry'ego i spoczęło na Catrionie.

Utkwiła w nim wzrok z przejęciem. Filiżanka z herbatą znieruchomiała w pół drogi do

ust.

- To bardzo interesujące. O czym pan pisze tym razem? - Nie miała pojęcia, że młody duchowny pisze książki, wszystko jedno o jakiej tematyce, ale nie zamierzała przyznać się do swojej niewiedzy.

- O zdobywaniu górskich szczytów. We wszystkich książkach opowiada o wspinaczce - oświecił ją Arthur. - Przeczytałem jego pierwsze dzieło z prawdziwą przyjemnością. Całkiem dobre sprawozdanie z wędrowki po Alpach Szwajcarskich. Jak brzmiał tytuł?... - Spojrzał na Johna.

- *Wspinaczka po Alpach* - odpowiedział młody duchowny. - Napisałem również *Wspinaczką na wyspie Skye*. A moje najnowsze dziełko nosi tytuł *Wspinaczka na Grampianach*.

Catriona usłyszała, jak siedzący obok niej sir Harry dyskretnie prychnął, sięgając po grzanekę. Evan pochwycił spojrzenie żony i mrugnął do niej. Catriona z trudem powstrzymała się od śmiechu.

- Bez urazy, młody człowieku, tytuł nie jest zbyt fortunny - skomentował Arthur. - Mimo to każda książka, która oddaje honor starym szkockim górcom, warta jest przeczytania. A w dodatku pan, pastorze, ma talent do pisania książek podróżniczych. Jeśli interesuje panią ten temat, lady Kildonan, mam przy sobie egzemplarz książki o Alpach. - Spojrzał na Catrionę, która skinęła głową w bezgłośnie podziękowanie.

- Słyszałem, że i pan coś ostatnio opublikował, panie profesorze - odezwał się Wilkie.

- A tak! Wydałem na świat moje trzecie dziecko. Pierwsze nazwałem *Geologiczna struktura Alp*. Po niej przyszła kolej na *Teorie na temat zlodowacenia północnego pasma Gór Szkockich*. A moja najnowsza pociecha to *Formacje polodowcowe na Hebrydach*. Odnoszę jednak niemiłe wrażenie, że nikt się z nimi nie zapoznał - zakończył z uśmiechem.

- Ale twoi uczniowie z pewnością przeczytali te pozycje, a nasi najmłodszy studenci czytają je każdego roku - powiedział Evan. - Nawet ja rzuciłem na nie okiem, i to nie z musu.

- No, tak... To całkiem w twoim stylu - powiedział Arthur takim tonem, jakby spodziewał się podobnej odpowiedzi. - Przeczytałeś, ale z pewnością nie podzielasz moich poglądów.

- Nie jestem przekonany, że lodowiec można opisać jako zbryłowanie płynów lepkich - odparł Evan.

- Można, o ile owo zbryłowanie jest zamrożoną wodą morską, Kildonan.

- Sądzę jednak, że większość formacji polodowcowych w Szkocji okaże się słodkowodna. Przyznam jednak, że jestem bardzo ciekaw twoich doświadczeń dotyczących przewodnictwa cieplnego różnych kamieni.

- O, to wszystko brzmi tak... interesująco - odezwała się Catriona, choć sama czuła, że w jej głosie nie było entuzjazmu.

Evan roześmiał się, sir Harry także. Przyłączył się do nich Arthur, acz z pewnym żalem.

- Fitz wyklada filozofię naturalną na uniwersytecie w Edynburgu - wyjaśnił Evan. - Był najmłodszym profesorem tej uczelni, kiedy z sir Aedanem chodziliśmy na jego wykłady. Od tego czasu zebrał chyba wszelkie możliwe nagrody, pochwały i wyróżnienia. Jest także bardzo szanowanym członkiem Królewskiego Towarzystwa w Londynie.

Catriona wymamrotała coś z podziwem, choć nigdy w życiu nie słyszała o tym towarzystwie.

- Lord Kildonan równie wcześnie zaczynał: był najmłodszym członkiem przyjętym do Królewskiego Towarzystwa w Edynburgu - wtrącił Arthur. - Mając osiemnaście lat, napisał wspaniały artykuł na temat wygasłych wulkanów w Szkocji. Jest świetnym geologiem i potrafi zrobić dobry użytek ze swoich talentów.

- Jesteś naukowcem? - spytała męża Catriona i od razu uświadomiła sobie, że

popęłniła gafę. Przyznała się w ten sposób, że wie o Ewanie stanowczo za mało.

- Nie. Inżynierem - odparł Evan. - Ale w mojej pracy bardzo mi się przydaje dobra znajomość skał i formacji geologicznych.

- Jest wyjątkowo utalentowanym projektantem mostów - wtrącił sir Harry. - Pracowałem z nim, bo moja rodzina posiada hutę stali, pani hrabino - wyjaśnił Catrionie.

- Ach, tak?... Więc mój mąż buduje mosty nie tylko z kamienia? -Przypomniała sobie, ile włożył pracy i serca w Most Wrózek.

- Tak - odparł krótko hrabia. Catriona przypomniała sobie również, że Evan wspomniał o moście, który się zawalił, co spowodowało śmierć kilku jego przyjaciół. Pospiesznie rzuciła mężowi zatroskane spojrzenie. Żałowała, że sprowadziła rozmowę na niebezpieczne tory.

- Panie Fitzgibbon, rozumiem, że przybył pan na północ, żeby badać skład geologiczny naszych Torridonów - odezwał się Wilkie.

- Tak! - odparł Arthur entuzjastycznym tonem. - Te góry w fazie wstępnej formowały się z piaskowca oraz gnejsu z wyspy Lewis. Jest to twardy czarny kamień, występuje wyłącznie na wyspie Lewis i Skye. Na tych samych zboczach trafiają się również naturalne formacje krystaliczne.

- Krystaliczne? To wprost... fascynujące. - Catriona pochyliła się ku rozmówcy.

- Czy jest pani miłośniczką geologii i formacji skalnych, lady Kildonan? - spytał Arthur.

- Jestem miłośniczką gór, które otaczają naszą dolinę - odparła. - Beinn Alligin od zachodu, Liathach the Giant od południa, Beinn Dearg od północy i Beinn Eighe od wschodu. Podziwiam ich szczyty, kotlinki, granie i samotne skały. Ale nie wiem nic o ich składzie ani właściwościach termicznych. - Wyrzwała z okna na błękitnawy, zamglony masyw Beinn Alligin. - Niekiedy wydaje się, że słońce prześwieca przez górne partie góry, zupełnie jakby były zrobione z grubego szkła. Daje to niezwykły, wprost czarodziejski efekt.

- To nie żadne czary - powiedział rozsądnie Arthur. - Przypuszczam, że przy samym wierzchołku znajdują się pokłady kryształów.

- Nie pozbawiaj mojej damy pięknych marzeń - odezwał się Evan. -Podoba mi się wizja czarodziejskich gór, rodzących kryształy. - Uśmiechnął się, znad filiżanki kawy, do żony.

- Czy wiecie, że Beinn Alligin znaczy Góra Klejnotów? - spytała Catriona.

Obaj panowie potrząsnęli głowami. - Wierzchołek najwyższego szczytu, Benn Sitcheach, jest podobno z czystego kryształu - mówiła dalej Catriona, zachęcona zainteresowaniem mężczyzn.

- A Beinn Shee to Góra Wrózek - wyjaśnił Evan. - Mam stamtąd bardzo miłe wspomnienia. - Uśmiechnął się do żony przekornie.

Catriona odwzajemniła uśmiech, zachwycona odmianą nastroju męża. Evan wydawał się taki szczęśliwy! Zapragnęła, by radość na zawsze zapanowała w ich życiu.

- Nikt nie jest pewien tych wieści o kryształach - ciągnęła. - Nikt przecież nie dotarł tak wysoko. Panie profesorze - zwróciła się do Fitz-gibbona. - Jak pan sądzi, czy mogą być tu złoża kryształu?

- Bardzo możliwe - odparł. - Odkryto na przykład wielkie złoża białego kwarcu w wielu najbardziej wysuniętych na północ łańcuchach Szkockich Gór, przemieszanego z czarnym gnejssem, na podłożu z piaskowca; można również znaleźć pokaźne zasoby dymnego kwarcu, zwane w Szkocji „kamieniami z Cairngorm”.

- O, tak! Często sieje spotyka na górskich zboczach - przyznała Catriona. Proszę mi powiedzieć, czy słyszał pan kiedyś o niezwykłych kryształach.. . które świecą przy księżycu?

- Przy księżycu? - Arthur zamrugnął ze zdumieniem. - Może fosforyzują?

- Oczywiście, niektóre minerały fosforyzują- wyjaśnił Evan Catrionie. - Mówiąc

prościej, błyszczą własnym światłem i dzięki temu można je dostrzec w mrocznych szczelinach. To trochę niesamowity widok, gdy te maleńkie świetliste kuleczki mrugają do nas z jaskini lub rozpadliny skalnej. Bardzo ciekawy fenomen i nie wyjaśniony ostatecznie.

Catrionę ogarnęło podniecenie.

- Czy to kryształy?

- Formacje krystaliczne? - Arthur zmarszczył brwi. - No, cóż... niezupełnie, ale niektóre minerały fosforyzujące mogą, że tak powiem, uwięznąć we wnętrzu kryształów. Nazywamy je „widmami”. Są prześliczne... i bardzo rzadkie. Z całą pewnością należy ich strzec jak skarbu, jeśli nam wpadną w ręce.

Catriona, z trudem panując nad rosnącym podnieceniem, kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

- Czy słyszeli panowie o czymś, co nazywają potocznie czarodziejską różdżką albo kryształem wrózek?

Evan zmarszczył się i zaczął bębnić palcami po obrusie.

- Owszem. Tak laicy nazywają niektóre bezbarwne lub bardzo jasne kryształy. W skupiskach przypominają miniaturowy zamek z bajki, rzęsiście oświetlony. Są doprawdy prześliczne! Miałem kiedyś taki kryształ, gdy byłem jeszcze małym chłopcem. Co też się mogło z nim stać?... Kolekcjonowałem wówczas skalne odłamki i kryształy. Nazbierałem pełne pudło takich skarbów. - Uśmiechnął się do Catriony. - Skąd to nagle zainteresowanie, moja miła?

- Miałam nadzieję, że znajdę na szczycie Beinn Shee „kryształ wrózek”... zwłaszcza taki, który świeci w ciemności lub w blasku księżyca.

- Po co ci on?

Evan omal się nie roześmiał, pomyślała Catriona. I jest wyraźnie zdumiony.

- Obiecałam... mojej... przyjaciółce, że dostanie taki kamyk, jeśli uda mi się go znaleźć.

- Na szczycie Beinn Shee? To byłby chyba cud - włączył się do dyskusji wielebny John Wilkie. - Zdaje się, że Beinn Shee ma inną nazwę po gaelicku. I choć nie zapamiętałem jej, utkwiło mi w głowie dosłowne tłumaczenie: „Niedosiężny Szczyt”. Powiadają, że na tę górę nikt nie może się dostać... w każdym razie nie na sam czubek.

- Też tak słyszałem - powiedział Evan. Zerknął na żonę. - Kiedy po raz pierwszy przybyliśmy tu z Fitzem, wyruszyliśmy na najtrudniej dostępny wierzchołek na całej północnej ścianie skalnej. Pogoda natychmiast się pogorszyła i... no cóż, skusiły mnie inne rozrywki. Ale warte były nawet takiej ceny! - dodał.

- Kildonan przeżył na zboczu tej góry fascynującą przygodę, której prędko nie zapomni! - wyjaśnił Arthur. - Ale powinniśmy jeszcze raz spróbować. Co ty na to, przyjacielu?

- Ten pomysł nadal mnie pociąga - przyznał Evan. - Zresztą wspinaczka wysokogórska była jednym z powodów mojego powrotu w rodzinne strony.

- Wobec tego podsunę ten pomysł pannie Murray i reszcie grupy, kiedy wrócą z przechadzki po ogrodach. Może wybralibyśmy się jeszcze dziś?

- Po południu panna Murray i reszta dam urządzą piknik na szczycie jednej z najbardziej malowniczych i stosunkowo łatwo dostępnych gór - wyjaśnił Wilkie. - Jeśli dobra pogoda się utrzyma, wybierzmy się na szczyt Beinn Shee jutro lub pojutrze. Mam nadzieję, że pani hrabina zechce się do nas przyłączyć? - uśmiechnął się do Catriony.

- Pojutrze jest niedziela - przypomniała Catriona. - Czy pan, panie pastarze, i pańscy przyjaciele nie macie oporów przed wycieczką w dzień świąty?

- O, całkiem zapomniałem, że to będzie niedziela - odparł beztrudno Wilkie. - No, cóż... należę do Kościoła Państwowego, a prywatnie nie znoszę wszelkiej przesady, więc nie jestem zwolennikiem aż tak rygorystycznie pojmowanego przykazania, by dzień świąty

święcić. Pozostali członkowie naszego klubu, o ile mi wiadomo, podzielają moje poglądy. Czy perspektywa wycieczki w niedzielę niepokoi pani sumienie, hrabino?

Catriona wymigała się od bezpośredniej odpowiedzi.

- Miejskowa ludność pewnie troszkę się zgorszy, widząc duchownego, który nie przestrzega dnia świętego - powiedziała. - Może nie zechcą z panem szczerze rozmawiać albo odmówią gościny, jeśli pan do nich wpadnie. Przewiduję też kłopoty ze znalezieniem lokalnego przewodnika albo pomocnika. Jeśli zaś chodzi o mnie, to stosuję się obecnie do reguł obowiązujących u Kildonanów.

- Ojciec mojej żony jest proboszczem w Glenachan, na drugim końcu doliny - dorzucił Evan. - To zwolennik Wolnego Kościoła.

- O!... Wobec tego wychował panią... - zaczął John Wilkie.

- Według najściślej przestrzeganych przez Wolny Kościół zasad - przyznała Catriona. - Włącznie z regułą dotyczącą świętowania dnia świętego. W niedzielę nie wolno nam było robić nic poza uczestnictwem w nabożeństwie, modleniem się i czytaniem Pisma Świętego. Nie gotowaliśmy ani nie sprzątaaliśmy. Wszystkie posiłki należało przygotować w sobotę wieczór. Ojciec zabraniał również pieszych wycieczek lub przejazdów powozem dla przyjemności. Jedynym spacerkiem dozwolonym w niedzielę był krótki marsz do kościoła i z powrotem.

- Może zatem wolałaby pani pójść w niedzielę do kościoła, a potem zostać w domu? Co prawda, panna Murray zaplanowała właśnie na niedzielę jakąś wyprawę dla wszystkich - powiedział pastor. - Ale rozumiem pani sytuację. Ja sam mam szczerzy zamiar wybrać się do kościoła w niedzielę rano, przed wspinaczką... nabożeństwo będzie odprawiał pani ojciec, prawda?

- Tak. Wielebny MacConn z Glenachan. Pański udział w nabożeństwie sprawi ojcu prawdziwą radość. A co się mnie tyczy... - Catriona urwała i spojrzała na Evana.

- Zrób to, co ci serce dyktuje, moja droga - powiedział cicho. - Możesz iść do kościoła wraz ze swoją rodziną albo pomodlić się w samotności, a potem wziąć razem z nami udział w imprezie zaplanowanej przez pannę Murray. To zależy wyłącznie od ciebie.

Przez chwilę bacznie mu się przyglądała, nim pojęła, że mówił szczerze. Przez większość życia podporządkowywała się silniejszej osobowości ojca lub ciotki, albo trzymała się ściśle nakazów Wolnego Kościoła. Zawsze łaknęła swobody i czasem nawet jej zakosztowała, ale nigdy nie miała odwagi otwarcie przyznać się do tego nawet przed sobą. Pewnie właśnie dlatego tak lubiła samotne spacerki po górach albo zajęcia w „Sprzysiężeniu dziewiarek”, które dawały jej doskonały pretekst do włączenia się poza domem. Może dlatego też znajdowała zadowolenie w zbieraniu i katalogowaniu starych pieśni; zwłaszcza że w domu prawie zawsze wzbraniano tej niewinnej rozrywki z jakiegoś złośliwego powodu.

A poza tym, przypomniało się jej nagle, Kenneth Grant będzie z pewnością na nabożeństwie odprawianym przez jej ojca. Spotykała Granta w kościele co niedziela. Zawsze witała się uprzejmie, nie mając pojęcia, że ten pozbawiony wyobraźni i wiecznie poważny człowiek żywi złe zamiary wobec niej lub całej rodziny. Choć oczywiście, niekiedy gapił się na nią ponuro podczas kazania. Dopiero teraz wiedziała, aż za dobrze!, jak mroczne były te rozmyślenia. Nie miała wcale ochoty spotykać Granta; sama jego obecność była utajoną groźbą.

Evan uśmiechnął się blado. Catriona przypomniała sobie, że mąż cierpliwie czeka na decyzję. Nie zamierzał dyktować, co musi, a czego nie powinna robić w niedziele. I pojęła, że mąż ofiarowuje jej w ten sposób więcej wolności.

Musiałyby jednak podjąć pewne ryzyko, o którym wspominał - wystąpić z kręgu życia, jakie dotąd znała. Evan prosił ją o to już wcześniej. Okazywał jednak cierpliwość i akceptował odmienność żony, zamiast posunąć się do przymusu i przemocy. Nie zamierzał wpływać na jej decyzje siłą własnej osobowości. Nie wywierał żadnej presji, nie wygłaszał

mnóstwa swoich opinii.

Chyba takie postępowanie jest najlepszym dowodem prawdziwej miłości, gdy wspomaga się kogoś i kocha go takim, jaki jest, obdarowuje się tym, czego ukochana osoba najbardziej pragnie. Dla Catriony myśl ta była objawieniem.

Uśmiechnęła się leniwie.

- Wybrać się gdzieś w niedzielę? Kto wie, czy się na to nie zdobędę? - powiedziała do męża. - W każdym razie gruntownie to przemyślę.

19

Za nasz wspaniały piknik na wyżynach, panie i panowie! - wznosił toast lord Wetherstone.

Siedząc na wygrzonym słońcem głazie koło Evana, Catriona wraz ze wszystkimi podniosła kieliszek. Rozsiedli się, jak kto chciał: na kocu lub upatrzonym głazie. Po toaście powrócili do lunchu; gawędzili w małych grupkach, jedząc kanapki, owoce, sery i ciasta. Popijali przy tym lemoniadę i wino. Wszystko podawane było dokładnie tak, jakby spożywali posiłek w eleganckiej jadalni. Nie zabrakło obrusów, porcelany i szkła. Davey i Allan, dwaj chłopcy do pomocy z Kildonan, przytaszczyli zastawę i prowiant w koszach. dzielnie wspięli się po zalesionym stoku na wysokość stu dwudziestu metrów, gdzie cała grupa zebrała się na posiłek.

Catriona wypila łyżeczek i odstawiła kieliszek na całkiem płaskie miejsce na głazie, który zajmowała razem z Evanem. Miejsce odpowiednie na piknik, mała górską kotlinka, znajdowało się w połowie jednego ze zboczy Beinn Eighe. Lekko przechyloną naturalną nieckę z jednej strony ocieniała góra, z drugiej zaś zalewał ciepły blask słońca; cały teren wystawiony był na rześkie powiewy wiatru.

Z górskiej kotlinki roztaczała się wspaniała panorama Glen Shee i gór. Delikatna poranna mgiełka podniosła się i dzień, choć nieco pochmurny, promieniał srebrnym blaskiem, dzięki czemu wszystkie szczegóły ogromnej panoramy były niezwykle wyraźne. Jemima Murray zaproponowała, by tu właśnie urządzić piknik, podziwiać widoki i cieszyć się świeżymi podmuchami wiatru.

Catriona była zadowolona z tego wyboru, gdyż miała ochotę odpocząć po dwugodzinnej wspinaczce i żwawym marszu. Wózki zaprzężone w kuce pozostawili przy końcu drogi, która wiła się niczym wstążka po całej dolinie Glen Shee. Potem trzeba było przejść pieszo dwa kilometry wytyczonym pośród drzew szlakiem i wspiąć się na wyboistą drogę. Po pewnym czasie przemieniła się ona w dość łagodne zbocze, porośnięte strzelistymi sosnami i sięgającymi do kolan kępami rudych o tej porze roku paproci.

Przystanęli, by przyrzeć się dokładnie spadającej z wysoka malowniczej kaskadzie, która rozdzielając się na pienne strumyczki, biegła w dół po litej skale. Catriona i pozostali uczestnicy wyprawy szybko przekonali się, że nie sposób tu rozmawiać: nawet wrzaski nie mogły współzawodniczyć z hukiem spadającej wody. Odświeżeni nieco wilgotną mgiełką znad wodospadu, zaspokoili pragnienie zimną, czystą wodą, wirującą w jeziorku u jego podnóża i ruszyli w dalszą drogę.

Wspinaczka, choć po sporej stromiznie, nie była zbyt trudna. Każdy z uczestników zaopatrzył się w solidną laskę, więc dwaj niezmordowani pomocnicy mogli stale czuwać nad lady Wetherstone i Anną Wilkie, które przeliczyły się z siłami, a teraz zabrakło im również wytrwałości. Z tego miejsca roztaczał się widok na lasy sosnowe na niższych zboczach i posępne torfowiska porośnięte trawą i nieustępliwym wrzosem, który twardo trzymał się ziemi. Pełno tu było również kamieni wszelkich rozmiarów i kształtów.

Catriona usiadła wreszcie, zadowolona z nieoczekiwanej okazji do wypoczynku. Uporała się z drugą połową kanapki z szynką i popiła kompotem. Potem rozejrzała się dokoła, wdychając świeże, czyste, pachnące sosną powietrze.

Śmiejąc się z jakiegoś powiedzonka Evana, który siedział obok niej i gawędził z

Aedanem MacBride'em, Catriona napawała się poczuciem bezpieczeństwa i radosnej bez troski, którego nie doznawała od dzieciństwa. Spoglądając na leżącą w dole Dolinę Wrózek, rozważała, czym byłaby zajęta dziś, gdyby nie spotkała Evana i nie wyszła za niego z takim pośpiechem.

Pewnie obierałaby jarzyny na późną kolację, w towarzystwie ciotki Judith, doglądała prania bielizny pościelowej albo ścierała kurze w salonie. Może udałoby się jej wymknąć po południu na spacer z Morag MacLeod. Zebrałyby robótki na drutach, a ona nauczyłaby się nowej pieśni. Do późna w noc siedziałyby przy świeczce i pochylona nad biurkiem transkrybowały muzykę i przepisywała słowa gaelickie i angielskie, by dodać to wszystko do swojej powiększającej się kolekcji. Potem dopisywałyby adnotacje. W końcu samotnie położyłyby się do łóżka, którego nigdy nie miała dzielić z mężem - bo wówczas, przed kilkoma dniami, była tylko „przydatną brzydulą” z Glenachan.

A teraz odpoczywa skąpana w słonecznym świetle w połowie drogi między piękną doliną a górskim szczytem, ciesząc się doborowym towarzystwem i pysznym jedzeniem, sącząc wino z kieliszka, niczym arystokratyczna dama obsługiwana przez idealnie wyszkoloną służbę.

A jej mąż, hrabia, właściciel tych ziem, siedzi obok, ramię w ramię, osłaniają od wiatru i darzy poczuciem niewypowiedzianej wygody i bezpieczeństwa. Jego aksamitny głos i cichy śmiech przyprawiają Catrionę o rozkoszne dreszcze, a widok jego profilu, nieskazitelnego jak szkic wykonany mistrzowską ręką, wywołuje w niej zachwyty.

Uświadomiła sobie, że jest szczęśliwa - wolna i zadowolona, pełna nadziei i podekscytowana. Co prawda, wyglądało to raczej na cudowny sen niż na rzeczywistość, ale - tak czy owak - pragnęła, by trwało wiecznie.

Evan pochylił się, by dolać żonie wina, nie przerywając rozmowy z sir Aedanem MacBride'em. Wielebny John Wilkie z żoną siedział obok panny Emily Murray i lorda oraz lady Wetherstone'ów. Arthur Fitzgibbon zaś spacerował z Jemimą Murray, przeskakując przez duże, gładkie głazy. Od czasu do czasu przerywał tę zabawę, by wspomóc damę w takim czy innym kłopotcie. Davey i Allan zaczęli już sprzątać po pikniku. Chowali żywność, owijali półmiski i układali je starannie w koszach.

- Fitz nie odstępował kuzynki Jemimy ani na krok - zauważył Evan, obserwując przyjaciela, który stał obok Jemimy na głazie i zamasyście machał rękami. - Tłumaczy jej swoje lodowcowe teorie na temat ciśnienia mas lodu. Widzisz, moja droga - powiedział, nachylając się lekko nad Catrioną. - On naprawdę wierzy, że wyspy Skye i St. Lewis oderwały się od macierzystego ładu, Bóg raczy wiedzieć, jak dawno!

- Wydaje mi się to całkiem rozsądnym przypuszczeniem. Ten rodzaj skały można napotkać jedynie w tych regionach - skomentował Aedan.

- O, tak - odpowiedziała Catrioną. - Gnejs, na przykład, występuje na wyspach Lewis i Skye, tak samo jak w Torridonach. Charakterystyczne prążki, świadczące o połączeniu czarnego gnejsu z białym kwarcem, od razu przyciągają wzrok. - Uśmiechnęła się szelmowsko od ucha do ucha.

- Widzę, że profesor Fitzgibbon i ciebie zdążył oświecić. - Evan uniósł brew.

Roześmiała się.

- Wczoraj przy kolacji siedział obok mnie.

- Ciekaw jestem, czy fascynacja panny Murray górami wytrzyma cykl wykładów z filozofii naturalnej? - dumiał na głos Aedan.

- Całkiem możliwe. Kuzynka wydaje się oczarowana - odparł Evan, Aedan zaś zachichotał.

Catrioną spojrzęła na parę. Panna Murray chyliła się w stronę Arthura jak urzeczona, a profesor gadał jak najęty, wskazując kolejny widok na góry.

- Sir Aedanie - zagadnęła Catrioną. - Pan również pasjonuje się wspinaczką i

archeologią?

- Owszem, interesuję się alpinizmem, choć z innych powodów niż Kildonan - odpowiedział. - W sąsiedztwie Strathclyde, gdzie mieszkam, znajduje się sporo godnych uwagi górskich zboczy. Wspinam się jednak raczej z obowiązku niż dla przyjemności. A co do geologii, musiałem ją trochę poznać, gdyż przydaje się w moim zawodzie. Jestem inżynierem wodno-ładowym. Przeważnie buduję gościńce i szosy.

- O! Jest pan inżynierem, jak mój mąż?

- Studiowaliśmy razem inżynierię na uniwersytecie w Edynburgu. Z tym, że mnie fascynowały drogi i dróżki, a Evana urzekło piękno mostów i ścisła więź między ich budową a zasadami fizyki. Mamy jeszcze jednego kompana zapaleńca, który z kolei oszalał na punkcie latarni morskich. Ale jego zawsze pociągało ryzyko.

- A więc do alpinizmu nie zwabiło pana ryzyko?

- Z natury nie jestem ryzykantem, łaskawa pani - odparł z wesołym błyskiem w niebieskich oczach. - Odpowiada mi stateczne, uporządkowane życie. Moja żona twierdzi, że ze mnie nudziarz, aleja wolę myśleć, że jestem odpowiedzialny i konsekwentny.

- I to jak! Jeśli jakaś góra stanie mu na drodze do celu, to do diabła z górą! - wycedził Evan.

Catriona wybuchnęła śmiechem. Polubiła Aedana MacBride'a, przede wszystkim za to, że w jego towarzystwie Evan był odprężony i często się śmiał.

- A poza tym, pani hrabino, nie przybyłem do Glen Shee, żeby łązić po górach. Zamierzałem spotkać się z pani mężem - stwierdził Aedan. - Potrafi być takim ryzykantem, jak nasz trzeci kompan, Dougal Stewart, ten od latarni morskich. Chciałem koniecznie zobaczyć, jaką nową psotę szykuje Evan i co z tego wyniknie.

- Owszem, mam coś w zanadrzu - odparł sucho Evan i wypił łyk wina.

- Właśnie widzę - stwierdził Aedan i uśmiechnął się szeroko. - Zdążyłem do Kildonan w samą porę, by dowiedzieć się o radosnym wydarzeniu. Przyznam, że czegoś takiego się nie spodziewałem.

- Ja też - odparł krótko Evan. - Szkoda, że nie zabrałeś ze sobą lady MacBride. Jeśli już mowa o zdumiewających nowinach, to przyznam, że w ubiegłym roku wiadomość o twoim ślubie zdumiała mnie bezgranicznie. - Przysięgałeś przecież, że nie dasz się nigdy zawlec do ołtarza!

- Taka zmiana może okazać się zbawienna nawet dla tych, którzy się jej opierają. - Aedan uniósł brew i spojrzał na Evana.

- W każdym razie cieszę się, że znalazłeś trochę czasu dla nas... choćby tylko dzień czy dwa. Wspomniałeś, że wybierasz się na Skye?

Aedan skinął głową.

- Na życzenie komisji parlamentarnej mam ocenić teren; chcę tam przeprowadzić drogę. A ponieważ Dougal zabiera się do budowy nowej latarni morskiej na północno-zachodnim wybrzeżu Skye, będziemy tam we dwóch przez jakiś czas. Przydałoby się nam obu twoje doświadczenie, Evanie. To właśnie, między innymi, przywiodło mnie do zamku Kildonan.

- Dougal napisał do mnie o swoim nowym projekcie. Spytał, czy mógłbym przyjechać na Skye i trochę z nim ponurkować, by zbadać podłoże nowej budowli.

- Nurkowanie?... - odezwała się Catriona. - Myślałam, że chodzi o twoje doświadczenie w budowie mostów albo o ekspertyzę formacji geologicznych!

Evan skinął głową.

- Mosty i zabudowania portowe przeważnie opierają się na skalnym podłożu rzeki, jeziora czy przystani. Umiejętność nurkowania jest bardzo przydatna, toteż kilka lat temu postarałem się o tytuł mistrza nurkowania. Dougal Stewart od czasu do czasu prosi mnie, żebym tu czy tam ocenił całościowo geologiczne podłoże.

- O, Boże! - westchnęła Catriona. - To z pewnością jest niebezpieczne!
- Niekiedy bywa - przyznał Evan. Zerknął na Aedana. - Widziałeś się ostatnio z Dougalem?

- Kilka tygodni temu odwiedził nas w Dundrennan z Meg... To żona Dougala, lady Strathlin - wyjaśnił Aedan Catrionie.

- Lady Strathlin? - powtórzyła. - Słyszałam o niej. Była niezmiernie szczodra dla szkockich górali w czasie... gdy wypędzano ich z własnych domów i pól. - Zerknęła na Evana. Zastanawiała się, czy dotarła do niego uwaga o masowych eksmisjach, podczas których stary hrabia Kildonan wyróżnił się bezwzględnością.

- Meg to śliczna dziewczyna - stwierdził Evan. - I taka cichutka... Nikt by się nie domyślił, że fortuna tej skromnej panienci przewyższa nawet majątek królowej. A z Dougalem dobrali się w korcu maku! Ten chłopak mógłby leniuchować do końca życia, a on ani myśli rozstawać się ze swoimi latarniami! Myślę, że po prostu lubi walczyć z wszelkimi przeszkodami niczym mityczny heros.

- Tak jak ja czuję niecną radość, wysadzając w powietrze każdą górę, która stoi mi na drodze - stwierdził Aedan, a Evan zachichotał.

- A ty? - zwróciła się do męża Catriona. Sprawiała jej przyjemność nie tylko ciekawa rozmowa, ale także względy okazywane przez dwóch atrakcyjnych, interesujących mężczyzn; jeden z nich naprawdę zachowywał się, jak przystało na kochającego męża. Jakie to miłe... nawet jeśli nie potrwa dłużej niż do wieczora. - Czy budujesz mosty po to, by okryć się sławą albo wpaść w ekstazę?

Uśmiech Evana zgasł.

- Nie - odparł lakonicznie i spojrzał na nią tak przenikliwym wzrokiem, że omal nie jęknęła.

- Z pewnością doskonale się bawiłeś, reperując nasz mały mostek - rzuciła ostrym tonem.

- Naprawiałeś jakiś most?! - zdumiał się Aedan.

- Na terenie mojej posiadłości jest kamienny łukowaty mostek w fatalnym stanie - wyjaśnił Evan. - Spacer po nim grozi śmiercią lub kalectwem, ale ci cholerni górale mają to w nosie. Moja żona omal nie spadła w przepaść.

- Wcale nie! - zaprotestowała Catriona.

- Boże święty, tego by tylko brakowało! - wymamrotał Aedan.

- Mniejsza z tym! - warknął Evan, rzucając przyjacielowi znaczące spojrzenie. - Niebawem postawimy tam nowy most. - Znów wypił łyk wina.

Catriona wpatrywała się w męża, zaskoczona nagłym wybuchem złości. Wkrótce Evan opanował się.

- Powiedz, Aedanie, jak się miewa Christina i wasz maluch?

- Znakomicie, a Christina znajduje nawet czas na pracę naukową. - Aedan zwrócił się do Catriony. - Nasz syn urodził się we wrześniu. Przez pierwszy miesiąc przez pół nocy trzymał nas w ciągłym pogotowiu, ale teraz nieznośny chochlik zadomowił się widać na dobre. - Aedan promieniał z ojcowskiej dumy.

Catrionie znów przyszło na myśl, jaki przystojny i interesujący jest przyjaciel Evana, i jaka szczęśliwa musi być Christina.

Zerknęła na męża. Był wysoki, olśniewający, silny. Miał ciemne, falujące włosy, tajemnicze, orzechowo-zielone oczy i głęboki głos, którego brzmienie przyprawiało ją o rozkoszne dreszcze. A jednym dotknięciem wzbudzał w niej upragniony żar.

Siedząc obok Evana, Catriona uświadomiła sobie, jak bardzo jest uprzywilejowana, gdyż dane jej było - choćby na krótko - zakosztować szczęścia. Evan Mackenzie intrygował ją i niezwykle pociągał. Małżeństwo z nim wydawało się ziszczeniem najpiękniejszych marzeń... Dlaczego więc chciała to zniszczyć jak najszybciej?

Nagle, obserwując męża, zapragnęła czegoś więcej niż jego widoku i spojrzeń. Zapragnęła namiętności, niepodzielnej uwagi, miłości... jego dziecka, które nosiłaby w sobie. Moc tego pragnienia była porażająca.

Catriona chciała go kochać, oddać mu się całkowicie, bez wątpliwości, oporów.

- Mam nadzieję, że oboje przyjdziecie zobaczyć naszego malucha - mówił właśnie Aedan. - Christina będzie zachwycona, że znów się z tobą spotka, Evanie. I na pewno powita radośnie twoją żonę. - Uśmiechnął się do Catriony. - Mamy teraz początek listopada... Może spędzicie Boże Narodzenie z nami w Dundrennan? Dougal i Meg przyjadą również ze swoimi dwiema córeczkami.

- O, to brzmi cudownie... - zaczęła Catriona i urwała. Przygarbiła się, zwiesiła głowę, bojąc się spojrzeć na Evana. Do Bożego Narodzenia mogą się rozejść albo będą w trakcie postępowania rozwodowego.

Evan wziął ją za rękę, serdecznie, opiekuńczo. Serce Catriony tajało, ale nie pozwoliła sobie okazać takiej słabości.

- Z pewnością to przedyskutujemy - odparł Evan. - Nieprawdaż, moja droga?

Skinęła głową. Żałowała, że w rzeczywistości wcale nie jest wolna, nie ma prawa decydować ani przyjmować zaproszenia w imieniu własnym i małżonka. Swojego ukochanego.

- Zejście z góry jest o wiele łatwiejsze niż wspinanie się, nawet jeśli wszyscy jesteśmy tak zmęczeni, że najchętniej położylibyśmy się gdziekolwiek przy drodze i zdrzemnęli - orzekła Jemima.

Evan przytaknął i roześmiał się, zerkając na idącą obok niego Catrionę. Dla samego pretekstu, by dotknąć i być jak najbliżej żony, gotów był wesprzeć ją ramieniem albo prowadzić za rękę; ale z całej grupy Catriona miała chyba największe doświadczenie w chodzeniu po górach. Schodziła po zboczu z naturalną gracją. Ciemnoszara spódnica owijała się jej wokół nóg. Była na tyle krótka, że nie sprawiała trudności przy chodzeniu, a od czasu do czasu migwały mu to falbaniaste halki, to smukłe kostki nad solidnymi półbutami.

Moja szkocka oblubienica!, pomyślał, uśmiechając się nieznacznie do siebie. Pozostałe uczestniczki wyprawy były doświadczonymi alpinistkami i turystkami, ale ich kostiumy do wysokogórskiej wspinaczki nie różniły się zasadniczo od tego, co włożyłyby na piknik lub na spotkanie towarzyskie w ogrodzie. Szerokie spódnice, parasolki, rękawiczki, szale i prześliczne małe czepeczki. Ubiór Catriony był praktyczny i wygodny, a jej kraciasty szal w barwach klanu: brąz, błękit i kość słoniowa, nie tylko bardzo pasował jej do twarzy, ale także harmonizował z surowym pięknem otaczającej przyrody.

Kiedy schodzili długim klinowatym wgłębieniem po zboczu zasypanym głazami i odłamkami skalnymi, Jemima, a potem cała reszta, co chwila przystawała, by podziwiać scenerię i oglądać ładne kamyki, co w obecności Arthura, zawsze chętnego do wygłoszenia pogadanki geologicznej, znacznie spowalniało tempo marszu. Dzień był przyjemny, nie wiało zimne wietrzyko, a mimo szarawych chmur i mgły na górskich szczytach nikt nie obawiał się ulewy.

- Spójrzcie, co to takiego? - Pani Wilkie wskazała na pobliskim zboczu stertę najrozmaitszych kamieni ułożonych w kształt ula. - To mi wygląda na kopiec.

Catriona osłoniła oczy ręką i spojrzała we wskazanym kierunku.

- Tak, to bardzo stary kopiec. Nikt nie pamięta, kto go usypał, kiedy i z jakiej okazji.

- Czy to... kurhan? - spytała lady Wetherstone, zatrzymując się. Korzystała z każdej okazji, by przystanąć i odetchnąć swobodnie.

- Wątpię - odparła Catriona. - Większość kopców zostało usypanych dla uczczenia lub upamiętnienia kogoś szacownego, kto właśnie tu zmarł albo zatrzymał się na postój. Ten stos kamieni stoi tu od dawna. A tam, za nim - wskazała ręką - jest inny fenomen, jeszcze starszy: kamień z otworem, którego nie wywierciły ludzkie ręce.

- Słyszałem o nim! Muszę *to* zobaczyć... zgodzicie się państwo na niewielkie zboczenie z kursu?

Pan Wilkie i jego żona ruszyli w stronę kopca, a reszta poszła ich śladem.

Niezbyt zainteresowany Evan spacerowym krokiem szedł obok Catriony, której przypadła rola przewodniczki. Kiedy jednak dotarli do niezwykłego kamienia, zabytek sprawił go w zdumienie. Postawiony na sztorc, niemal dwumetrowy monolit z okazałym otworem w górnej części wyglądał jak prehistoryczna, prymitywnie wyciosana kamienna igła, wbita w ziemię.

- Cóż za rozkosznie absurdalny dziwo! - zachwyciła się Jemima, wkładając rękę w otwór. Emily zrobiła to samo, po czym obie wyjrzały przez ucho igielne.

- Urocze! - oświadczyła Emily. Przesunęła ręką po powierzchni kamienia. - Tu są wyrzeźbione jakieś znaki: spirale, krzyżyki...

Sir Aedan wysunął się do przodu.

- Może to znaki Piktów?¹

- Pochylił się i powiodł palcem po wgłębieniach. - Moja żona jest ekspertem w tej dziedzinie. Będzie zafascynowana i bardzo zawiedziona, że nie widziała tych cudów.

- Postaram się zrobić jak najstaranniej odcisk znaków na papierze i prześlę je pani MacBride - zaofiarowała się Catriona, a Aedan podziękował uśmiechem.

- Fascynujący zabytek! - powtarzał pastor Wilkie, obchodząc dziurawy kamień. - Ktoś mi wspomniał, że takie kamienie z otworami to dary wróżek.

- Znam osobiście pewną tutejszą Szkotkę, która z całą powagą potwierdziłaby tę opinię - powiedział Evan. Miał na myśli Morag, która z pełnym przekonaniem opowiadała podobne historie. Uśmiechnął się do żony, jakby to był ich prywatny żarcik.

Skinęła głową.

- Wiele z tych wzgórz jest zamieszkiwanych przez wróżki; tak przynajmniej sądzono od dawien dawna - powiedziała półgłosem. - Ostatecznie to Glennan nan Sitheach, Dolina Wróżek, nieprawdaż?

- Wróżek? Nie byłbym tego taki pewny - powiedział Arthur. Podeszedł do kamienia, by dokładniej go obejrzeć. - Takie dziurawe kamienie to rzadkość, ale otwory w nich rzeźbi natura. Prawie zawsze jest to działanie wody. A ten kolos prawdopodobnie został tu przywieziony przez jakieś starożytne plemię, które oddawało mu bałwochwalczą cześć.

- Słyszałam, że ma podobno właściwości magiczne - odezwała się znów Catriona.

- Czarujące! - Z kolei pani pastorkowa wsadziła główkę w otwór. - Na czym polegają?

- Powiada się, że jeśli ktoś spojrzy przez ten otwór, zobaczy własną przyszłość.

Wilkie podeszedł do żony.

- No i co widzisz, moja droga?

- Całą tę zaczarowaną dolinę. Prawdziwy raj! - odpowiedziała Anna. Wstała z klęczek i uśmiechnęła się do męża. - To z pewnością oznacza, że nasza przyszłość będzie równie promienna.

Mąż wziął ją za rękę.

Całe towarzystwo po kolei zerknęło przez kamienny otwór. Przyszła kolej także na Evana. Spojrzał przez dziurę w dół, by zobaczyć rozległą, piękną dolinę i góry niknące w mglistej nieskończoności.

- Nasze losy chyba nieźle się przedstawiają- zwrócił się do Catriony, która stała na uboczu. Ona jedna nie zaglądała do kamiennego otworu. -Chcesz zobaczyć naszą przyszłość? - spytał cicho.

¹ Piktowie - wojownicze plemię zamieszkujące Szkocję w czasach panowania rzymskiego w Brytanii (I w. p.n.e./I w. n.e.). Nazwę zawdzięczają Rzymianom; *pictus* to po łacinie „pomalowany”. Nazwano ich tak, ponieważ przed bitwą malowali twarze na niebiesko. Pozostały po nich, m.in. znaki ryte na kamieniu, o których tu mowa. (przyp. red.).

- Wolę sama decydować o swojej przyszłości - powiedziała z naciskiem.

Iwan wiedział, co miała na myśli.

- To dobrze! - szepnął.

Stali tak przedzieleni magicznym kamieniem, ona nieco wyżej, on zaś niżej na górskim stoku. Każde z nich oparło rękę na zimnej, szorstkiej powierzchni.

- Ten kamień odgrywa jeszcze jedną ważną rolę- odezwała się Catriona, a wszyscy zwrócili się w jej stronę i nadstawili uszu. - Nazywają go Skałą Małżeństwa. W dawnych czasach, gdy jakaś para chciała się pobrać, przychodziła tutaj. Oboje powtarzali przysięgę małżeńską, trzymając się za ręce przez kamienny otwór. I w ten sposób obywali się bez księdza - zakończyła.

- Cóż za wygoda! - powiedział lord Wetherstone, a ktoś roześmiał się w odpowiedzi.

- Jak ślicznie się złożyło, że nasi nowożeńcy stoją teraz obok kamienia! - powiedziała Anna Wilkie, spoglądając na Evana i Catrionę. - Ale chyba dla was za wcześnie na odnawianie przysięgi małżeńskiej.

- Wobec tego musimy tu przyjść innym razem - odparł Evan.

Popatrzył na Catrionę. Odpowiedziała mu poważnym spojrzeniem. Była jedyną osobą w tym gronie, która się nie uśmiechała.

- Zobaczcie, jak pomocnicy nas wyprzedzili! - zawołał lord Wetherstone. - Musimy się pospieszyć.

Gdy inni schodzili już ze wzgórza, Evan pozostał, wpatrzony w Catrionę. Stała bez ruchu obok rozdzielającej ich skały. Najwyraźniej nie zamierzała doganiać reszty grupy. Omiotła wzrokiem panoramę, napotkała wzrok męża i spojrzenia ich zwały się.

Poruszyła nieznacznie ręką i musnęła dłoń Evana spoczywającą na wewnętrznej stronie otworu. Nieistotny, przypadkowy kontakt... a może zamierzony?... Evan poczuł nagły dreszcz. Ujął palce żony, nim zdążyła cofnąć rękę, i bez słowa przycisnął je do siebie.

Nie protestowała, ale przyglądała mu się poważnym i szczerym wzrokiem, zadając mu bez słowa pytanie pełne znaczenia, a równocześnie bardzo proste.

Evan znał właściwą odpowiedź od dawna. Był ciekaw, czy dla Catriony sprawa jest równie jasna, jak dla niego. Wchodząc na zbocze, by stanąć obok żony, trzymał jej dłoń w uchu igielnym.

- Catriono... - Pochylił głowę, niezdolny do odparcia pokusy.

Catriona uniosła twarz ku niemu i odpowiadała pocałunkami na pocałunki, z ogromną czułością. Evan objął jeszcze mocniej jej palce wewnątrz magicznego kamiennego pierścienia.

Zaczerpnął powietrza i jednym ramieniem przygarnął Catrionę do siebie. Całował coraz zachłanniej, aż wyczuł rosnące w niej pożądanie. Wargi Catriony rozchyłały się pod naciskiem jego ust, mały, wilgotny języczek wyszedł mu na spotkanie. Evan miał wrażenie, że przeszła go błyskawica.

Chłodny wiatr zaczął mocno poświstywać. Evan wiedział, że muszą zaprzestać pieszczot, przynajmniej teraz, na zboczu. Staliby tu wystawieni na zimno. Jak przez mgłę słyszał czyjeś nawoływania, śmiechy. Przemocą oderwał się od Catriony, ale zatrzymał jej rękę w swoim uścisku, w kamiennym kręgu.

- Dziś w nocy - prosił. - Przyjdź do mnie dziś w nocy!

Wiedział, że nie powinien zmuszać jej do przyrzeczenia, ale nie był już w stanie dłużej czekać - jego ciało nie mogło dłużej czekać. Dusza również. Musiał mieć Catrionę, stopić się z nią, znowu stać się jej częścią. I nadal nie pojmował, co nim kierowało. Było to uczucie dotąd nieznanne, potężniejsze od wszystkich znanych mu emocji. Niezniszczalne i wieczne.

Cofnął się nieco, by spojrzeć na żonę. Wiatr bawił się jej włosami i wyciął policzki do czerwoności. Evan zrozumiał, że kocha Catrionę. Dla niego połączenie rąk we wnętrzu starego kamienia znaczyło tyle, ile przysięga. Z tą kobietą nie musiał wygłaszać

sakralnych formułek. Wiedział, co czuje, czego pragnie. I to już od ich pierwszej nocy.

Ponadto nie zamierzał dalej opierać się popędom i oczekiwać, aż zyska całkowitą pewność. Ich związek był zawarty w pośpiechu, ale z miłości. Powinien więc być trwały. Evan zawierzył wewnętrznemu głosowi, który upewniał go o tym, spokojnie i chłodno. Tak, ale Catriona nie była pewna, nie lubiła ryzyka. A on nie mógł jej przynaglać.

Pochylił się i pocałował żonę w policzek.

- Musimy już iść - szepnął. - Nasi kompani mają widowisko i są w siódmym niebie... prawie tak jak ja.

- Evanie... - szepnęła mu do ucha. - Och, Evanie!

Jego imię brzmiało w jej ustach jak poszum wiatru, ale Evan wychwycił także nuty pożądania i bólu.

- Catriono, moja jedyna - powiedział cicho, ale dźwięk jej imienia wydał mu się równie potężny i wspaniały, jak zew gór. Poczul się dziwnie, jakby opętała go czarami... a on chętnie się im poddał.

Pochylił się, by znów ją pocałować.

- Dziś w nocy - nalegał.

Gdy puścił jej rękę, cofnęła się o krok, obeszła magiczny kamień i pospieszyła w dół zbocza, gdzie czekała cała grupa, uśmiechając się do nich.

Ruszył za nią i wówczas uprzytomnił sobie, że nie odpowiedziała na jego prośbę.

20

Co za mężczyzna! Wielki Szkot w pełnym rozkwicie! - zachwycił się lord Wetherstone przed portretem któregoś z naczelników klanu. - Jeszcze jeden z przodków Kildonana, co?

Idąca pomiędzy lordem i lady Wetherstone Catrioną przystanąła razem z nimi, by spojrzeć na portret. Po powrocie z wędrowki późnym popołudniem większość gości po filizance krzepiącej herbaty postanowiła wypocząć. Evan udał się do gabinetu, by przejrzeć rejestry gospodarskie, Catrioną zaś zasiadła do transkrypcji kilku gaelickich pieśni. Przez cały czas nie opuszczały jej obawa i podniecenie, gdy usiłowała podjąć decyzję: iść do pokoju Evana, czy skazać jego i siebie na jeszcze jedną samotną noc?

Później, po skromnej kolacji, Evan zaproponował gościom zwiedzanie zamku. Zaczęli obchód od centralnych schodów, które zawiodły ich do długiej galerii na piętrze, pełnej malowideł z podobiznami przodków.

- To doprawdy jeden z najlepszych portretów, jakie dotąd oglądaliśmy - stwierdziła Catrioną. - Jaki przystojny Szkot!

- Istotnie przystojny, ale wygląda na dzikusa w tej wilczej skórze i uzbrojony po zęby. I ten tartan! Ma na sobie chyba całą belę kraciastego tweedu - zauważyła lady Wetherstone. - To już lekka przesada! Lord Kildonan i sir Aedan ubrali się dziś do kolacji w kilty. - Obejrzała się na Evana i jego przyjaciela, którzy stali tuż za nimi. - Ale ich stroje wcale nie przypominają tych na portrecie.

- Dawniej wszyscy szkoccy górale nosili fałdziste kilty - odezwała się Anna Wilkie, podchodząc do nich. - Nam, oczywiście, wystawianie kończyn na widok publiczny wydaje się niewłaściwe, ale szkoccy górale do tego przywykli i wyglądają w tych strojach doprawdy malowniczo. Zgodzi się pani ze mną, lady Kildonan? - Anna zerknęła na Catrioną. - Co za popis męskiej siły i urody! - Uśmiechnęła się tak szelmowsko, że Catrionąomal nie parsknęła śmiechem na widok jej miny.

- O, tak, pani pastoro! W pełni się z panią zgadzam - oświadczyła. Pomyślała, że Evan prezentuje się wspaniale w barwach swojego klanu: kilt ciemnozielony z niebieskim, delikatne prążki czerwone i białe; czarny żakiet i kamizelka, i podkolanówki z chwaścikami. Spoglądając na męża, podziwiała jego muskularne łydki i płaskie kolana. Poczula osobliwy dreszczyk na myśl o długich, sprężystych udach męża, kryjących się pod plisowaną

spódniczką i torbą myśliwską, zwaną sporranem. Od takich rozmyślań do wspomnienia całej reszty atletycznego ciała Evana był już tylko krok. Catriona spłonęła rumieńcem, ale uśmiechnęła się mimo woli.

No, cóż..., pomyślała, zdaje się, że już najwyższy czas na nocne odwiedziny. Czuła, że nie jest w stanie dłużej się opierać.

Portrety w galerii szczególnie fascynowały Catrionę, gdyż na wielu twarzach dostrzegła podobieństwo do Evana. Ciemne włosy męża i zielonkawe oczy należały do dziedzicznych cech rodzinnych i można je było zobaczyć u przedstawicieli różnych pokoleń klanu Mackenziech, właścicieli zamku Kildonan.

- O, tak wygląda tradycyjny szkocki strój. - Catriona spojrzała na obraz, pod którym się zatrzymali. Przedstawiał podobiznę groźnego szkockiego wojownika, owiniętego w czerwony pled. Mężczyzna, osłonięty małą okrągłą tarczą, nabitą mosiężnymi ćwiekami, dzierżył obosieczny miecz. - Pled był wówczas po prostu sztuką wełny, którą należało umiejętnie udrapować na ramionach i opasać rzemieniem w talii. Wolny koniec przerzucony przez ramię, a następnie umocowany w pasie, stawał się czymś w rodzaju pojemnej kieszeni - objaśniała Catriona. - A na noc szkocki góral mógł owinąć się tym pledem i całkiem wygodnie przespać się pod gołym niebem.

- Dienne ubranie w charakterze kołdry? Okropieństwo! - Obruszyła się lady Wetherstone.

- A mnie się całkiem spodobał ten pomysł - oznajmił jej mąż. - Szkoda, że nie mogliśmy go wykorzystać podczas naszej wyprawy. Przewiało nas na wskroś!... A poza tym człowiek by się nie kłopotał przebieraniem. Brałoby się tylko lekki plecak i pled, który może być ogromnie użyteczny. Prawda, Kildonan? - Uśmiechnął się szeroko do Evana.

- Istotnie, to był znakomity pomysł - przytaknął, Evan przyłączając się do grupy zwiedzających. - Szkoccy górale są niezwykle przedsiębiorczy i zaradni. A ten imponujący wojownik to sir Niall Mackenzie, drugi z kolei oficjalny laird z Kildonan. Zwano go Chytrym Niallem. To on polecił wybudować wieżę, która stanowi dziś centralną część budowli.

- Ale skąd biedny szkocki wojownik miał fortunę niezbędną do zbudowania tak wspaniałego zamku? - spytała lady Wetherstone.

- Z kradzieży bydła - odparł lakonicznie Evan.

- A, mówicie o Chytrym Niallu? - mruknął Aedan MacBride, który dopiero teraz dołączył do grupy.

Kiedy Catriona i reszta gości przestała chichotać, Evan podprowadził ich do innego portretu.

- To mój dziadek, pierwszy hrabia Kildonan. - Wskazał na sztywnego dżentelmena w czarnym wieczorowym stroju z białą kamizelką i białym fularem.

Na krześle stojącym za plecami mężczyzny udrapowano pled. Był to jedyny element potwierdzający szkockie pochodzenie portretowanego.

W kłapie na jego piersi połyskiwało wojskowe odznaczenie.

Dziadek Evana miał posępny wyraz twarzy i trzymał się niezwykle prosto. Należał do niezbyt licznej grupy tych Mackenziech, którzy nie przypominali w niczym ani Evana, ani Jean, mieli piwne oczy i brązowe włosy, charakterystyczne dla innego odłamu rodu.

Catriona zaczęła się zastanawiać, jak wyglądałoby dziecko jej i Evana. Czy odziedziczyłoby rude włosy i niebieskie oczy, przeważające w jej linii macierzystej?... A może zielone oczy i ciemne, lśniące włosy, tak często pojawiające się na tych rodzinnych portretach? Ostrożnie przyłożyła rękę do brzucha i zastanawiała się, czy upragniony cud już się zawiązuje we wnętrzu jej ciała. A jeśli nie, to kiedy się pojawi?... Musi po prostu podjąć decyzję, zaakceptować zmienioną sytuację - a reszta dokona się bez jej udziału.

Ale namiętne uściski ich pierwszej nocy mogły już zaowocować. Catriona pochyliła głowę i rozmarzyła się przez chwilę. Poczuła wdzięczność do losu za to, że spełnia czasem

gorące życzenia, i że cuda, jakich może dokonać miłość, są takie proste.

- Był już wicehrabią, lordem Glendevon. Ten tytuł również przejął po ojcu - ciągnął dalej Evan. - Ale tytuł hrabiowski był nowy. Z rozkazu królowej Wiktorii nadano go trzydzieści lat temu za bohaterskie czyny, jakich dokonał w Indiach. W pojedynkę oswobodził cały regiment oblegany przez wroga, a ponadto wrócił do kraju z niebagatelnym skarbem w złocie i klejnotach, którego większość przekazał Koronie. Ten dar zjednał mu wdzięczność królowej... toteż uhonorowała go tytułem hrabiego jego własnych włości: Kildonanu i Glen Shee.

- Tak... Słyszałem od kogoś tę historię - odezwał się Wetherstone. - Niezbyt wspaniale przedstawia się ten nowy hrabia według pewnych kryteriów.. . A jednak uzyskał godność para z rozkazu królowej. Interesujące!

- Kilka pokoleń wcześniej nie różniliśmy się prawie od większości mieszkańców naszej doliny. Ot, kolejni niewiele znaczący szkoccy szlachcice ze stadami krów i kilkoma owcami na dodatek. Uwikłani po uszy w lokalne wojny i lojalni przede wszystkim wobec swoich krewniaków. - Evan spojrzał znacząco na Catrionę. - Szczerze mówiąc, tytuły nigdy mi nie imponowały. Nie zasmuciłaby mnie ich utrata. Czułbym się znacznie swobodniej jako zwyczajny szkocki dziedzic na niewielkich włościach. To wystarczyłoby mi w zupełności! - Uśmiechnął się blado.

Lady Wetherstone i państwo Wilkie razem z MacBride'em kroczyli niespiesznie, by przyjrzeć się uważnie niektórym portretom na przeciwległym końcu galerii. Catriona obejrzała się na Evana. Wahała się pomiędzy obowiązkami pani domu a pragnieniem znalezienia się obok męża. Lord Wetherstone i Evan trwali nadal pod portretem dziadka, zatopieni w cichej rozmowie.

- Doprawdy, to wielka szkoda pozbywać się części majątku o tak godnej przeszłości - orzekł Wetherstone, kołyszając się na piętach i wpatrując się w sztywną postać pierwszego hrabiego.

- Pozbywać się?! - wykrzyknęła Catriona i obrzuciła wzrokiem Evana.

- Dobrze wiem, że nie ma czym się chwalić - odpowiedział Wetherstone'owi Evan. - Ale takim majątkiem teraz efektywnie zarządzam z odległości kilkuset kilometrów. Mam dom w Edynburgu i bardzo rzadko korzystam z posiadłości, pracując ciągle to nad tym, to nad owym projektem. Sir Aedan, na przykład, chciałby wyciągnąć mnie na wyspę Skye, żeby skonsultować ze mną projekt budowy drogi. Zarządzanie tak wielkim majątkiem wymaga nie tylko wielu starań, ale i ciągłej obecności właściciela. A jeśli on nie zamierza aż tak się poświęcać, potrzeby mieszkańców doliny po prostu są zaniedbywane. Byłbym, doprawdy, bardzo marnym właścicielem.

- Doskonale pana rozumiem. Rozparcelowanie posiadłości i wynajęcie zamku na jakiś czas wydaje się najlepszym rozwiązaniem - skomentował Wetherstone.

- No właśnie! I ja postanowiłem tak zrobić. - Evan spojrzał na Catrionę. - Przynajmniej gdy po raz pierwszy wróciłem do Kildonan.

Nie odrywał od niej wzroku i nagle dostrzegła w jego oczach ból. Odzyskała dech i przysunęła się bliżej. Nic jej nie obchodziło, że popełnia nietakt, pozostawiając tych, którzy przeszli już dalej.

Serce biło jej na alarm, gdyż zrozumiała, że Evan omawia warunki ewentualnej sprzedaży Kildonan Wetherstone'owi i jego żonie.

- Tak, rozumiem pańską sytuację- zapewnił po raz kolejny Wetherstone. - Kiedy człowiek się decyduje przybyć aż tutaj, chciałby pozostać na miejscu przez jakiś czas. Może nawet spędzić tu sezon myśliwski albo lato? O zimie nie ma mowy! Lepiej się nie włóczyć samemu po okolicy.

- Z pewnością- mruknął Evan.

Jego spojrzenie pomknęło znów do Catriony. Czuła się tak, jakby prowadzili ze sobą

bezdźwięczną konwersację. On ponury, niekiedy jakby skruszony, ona coraz bardziej oburzona i przewidująca, że utarczka między nimi stanie się jeszcze bardziej zapalczywa, ale zdumiewająco krótka, skoro tylko zostaną sami.

Po żarliwych pocałunkach obok magicznego kamienia, Catriona marzyła, by znaleźć się z mężem sam na sam tej nocy. Teraz jednak poczuła, że ogarnia ją nie pożądanie, lecz ognisty gniew, nie pragnienie, ale trwoga. Nie mogła pozwolić, by Evan oddał Glen Shee i zamek Kildonan komuś innemu - w dodatku Anglikowi! - który wprowadzi tu wszelkie zmiany, jakie uzna za stosowne.

Nie mogła również znieść myśli, że straci swój nowy dom i męża właśnie teraz, gdy czuła, że jej marzenie może się urzeczywistnić. Kenneth Grant zapewniał, że Evan sprzeda majątek, a ona nie chciała przyjąć do wiadomości, że Grant był poinformowany - znacznie lepiej niż ona - o wszystkim, co miało związek z Evanem.

- No cóż... - mówił Wetherstone. - Teraz, kiedy oglądam ten cudowny zamek na własne oczy, całkiem poważnie zastanawiam się nad kupnem. Jak tu jest z polowaniem? Spojrzał na Evana.

- Evan?... - spytała cicho Catriona, wpatrując się w męża. Pytanie na temat polowania nie interesowało jej ani trochę. Chciała dowiedzieć się prawdy, kryjącej się za pozornie błahą wymianą słów. Całej prawdy!

Spojrzenie Evana pobiegło w jej stronę, przenikliwe i szybkie; zaraz potem zwrócił się do Wetherstone'a:

- Mamy tu idealne warunki do polowania, sir. Mój ojciec był zapalonym myśliwym, a jego trofea można znaleźć w całym domu. W palarni wisi poroże z szesnastoma odnogami. Ja osobiście nigdy nie przepadałem za polowaniem. Arthur Fitzgibbon może panu powiedzieć znacznie więcej o walorach terenów łowieckich w Kildonan. On sam wybrał się dziś na polowanie wraz z panem Grantem, właścicielem jednego z pobliskich majątków, a zarazem lokalnym lekarzem.

- A, macie w sąsiedztwie medyka? Doskonale! Moja droga, w Dolinie Wrózek jest lekarz rezydent! - zwrócił się do żony.

Lady Wetherstone zawróciła i podeszła do mężczyzn.

- Naprawdę? Cudownie! To był jeden z problemów, które mnie gnębiły.

- To nie jest prawdziwy lekarz - stwierdziła nagle Catriona.

Evan i Wetherstone'owie spojrzeli na nią tak, jakby jej wyrosła druga głowa. Lady Wetherstone zamrugła.

- O Boże! Szarlatan! Oszust?

- Ależ nie! Po prostu nie skończył studiów medycznych i nie wie aż tak wiele, jak zapewnia. Miejscowa ludność nie dba o dyplomy i stopnie naukowe, ale ktoś z południa może być innego zdania. A jeśli chodzi o lekarską opiekę w naszej dolinie, milady, to często udajemy się po radę do jednej ze znachorek, które znają się na ziołach i przygotowują wywary. Choć równie dobrze mogą pani wręczyć kilka czerwonych nitek i przykazać, by nosiła je pani stale przy sobie... albo nacierać się ślimakami, albo nauczyć się zaklęcia, które pomaga na wszelkie dolegliwości. - Spojrzała ostro na Evana.

- Och!... - Lady Wetherstone była zbита z tropu. - Ale w Górach Szkockich wszyscy sana pewno zdrowi! Takie tu ożywcze powietrze. Z pewnością nikt nie musi wzywać doktora. - Uśmiechnęła się.

- I okolica taka zdrowa - poparł żonę lord Wetherstone.

- Ano, tak. Problem tylko z zapaleniem płuc - wtrąciła znów Catriona. - Jesteśmy na nie wyjątkowo podatni, zwłaszcza w zimie. - Potrząsnęła głową. - Ale najlepsze lekarstwo na kaszel to łykać kilka razy na dzień pieczone myszy. Albo znaleźć płaski kamień, popluć na niego dobrze, a potem położyć na piersi mokrym do dołu i dobrze wetrzeć w skórę. Sama słyszałam, że naprawdę pomaga. Więc nie musi pani obawiać się o swoje zdrowie.

- Och!... Och... - Lady Wetherstone podniosła do ust rękę w koronkowej mitence i lekko pozieleniała na twarzy.

Evan przymrużył oczy i nad głową lady Wetherstone posłał Catrionie mordercze spojrzenie.

- Ręczę, że jeśli państwo zdecydujecie się na kupno części Kildonan - zwrócił się znów do Wetherstone'a - nigdy tego nie pożałujecie. Cała okolica, jak mogli państwo się przekonać choćby dziś, jest wyjątkowo malownicza.

- Rzeczywiście przepiękna - przyznała lady Wetherstone, wracając powoli do siebie. - I tak mi tu jakoś lekko na duszy...

- Pewnie, że tu pięknie! Często wychodzimy na wzgórza, żeby oglądać, jak gwałtowny sztorm zmierza ku nam od wysp na zachodzie - przytaknęła Catriona. - Doprawdy urocze widowisko! Chyba że piorun w coś strzeli albo wichura zedrze dach z domu. Będzie pani bardzo miło i bezpiecznie w przytulnym zameczku!

- Moja droga! - rzucił jej ostrzegawczym tonem Evan i zwrócił się znów do gości. - A spacer po górach są wyjątkowo przyjemne. Cały krajobraz taki dziki i romantyczny...

- I rozległy - uzupełniła Catriona. - Aż nietrudno się zgubić. A pogoda jaka kapryśna. Nigdy nie wiadomo, co się zdarzy za chwilę. - Uśmiechnęła się do Evana. - Prawda, kochanie?

- Czasami - syknął przez zęby. - Chciałbym jeszcze przypomnieć, że mamy około pięćdziesięciu tysięcy owiec w naszej posiadłości. Dochody z hodowli bywają pokaźne.

- Tak, tak! Wyobraźcie sobie państwo, ile z tym mitręgi! Trzeba owce połapać, ostrzyc i przygotować wełnę do sprzedania - mówiła Catriona, lekko nachylając się ku nim. - A szkoccy górale są tacy leniwi... jak ludzie powiadają, bo nigdy się o tym nie przekonałam... ale też nigdy nie musiałam łąpać owiec ani ich strzyc. Może i ja bym się do tego nie rwała. Zawsze przyjemniej posiedzieć w przytulnym domku! - Roześmiała się beztrudnie. - A najmowanie do tej pracy ludzi z nizin to niełatwa sprawa. Nie mają ochoty jechać aż tu na sezonowy zarobek!

- Moja droga. - Evan wziął ją pod łokieć bez zwykłej delikatności. - Mam wrażenie, że sir Aedan chciał dowiedzieć się od ciebie czegoś więcej o pozostałych portretach.

Próbował usunąć ją z drogi, ale Catriona nie dawała za wygraną. Ni stąd, ni zowąd po początkowym wybuchu gniewu na Evana zaczęła się świetnie bawić.

Była pewna swoich racji i praw, niczym wojownicza królowa broniąca ojczyzny przed napastnikami.

- Lady Kildonan, jak określiłaby pani życie w Szkockich Górach? - spytał lord Wetherstone. - Czy mogłaby pani z ręką na sercu polecić tutejsze okolice?

- Ubóstwiam to miejsce i nigdy się stąd nie wyniosę. Nigdy! - dodała z naciskiem, uwalniając łokieć z uścisku Evana. - Ale jestem krzepka i zdrowa, i tu się wychowałam. Chodzę, gdzie mnie oczy poniosą, nieraz wędruję całymi godzinami. Czasem wyłącznie pod górę. No i, oczywiście, warunki życia są tu takie... sielskie. Ale jesteśmy do tego przyzwyczajeni.

- Sielskie?... - spytała niepewnym głosem lady Wetherstone, prawdopodobnie nadal myśląc o pieczonych myszach.

- Nigdy nie korzystałam przez czas dłuższy z dobrodziejstw i wygod życia na południu, toteż nie odczuwam ich braku. Żywność przywozimy regularnie raz na tydzień z targowiska w Inverness albo Fort William, bo nasze ogródki bywają mizerne. Jeśli się komuś zachciewa pomarańczy, cytryn albo bananów, musi za te frykasy słono zapłacić. A jeśli macie państwo nadzieję na przejażdżkę po dobrej drodze albo na wygodny spacer... to radzę porozmawiać z sir Aedanem i przekonać się, co on poradzi - dodała z uśmiechem. - O, i jeszcze poczta! Regularnych usług pocztowych, najnowszej prasy, a nawet mówiących po angielsku pomocników czy sprzedawców trzeba by ze świecą szukać. Przypuszczam, że

gaelicki i obca dla przybyszów kultura sprawiają, że w Szkockich Górach niektórzy czują się jak w innym kraju. Czy moje uwagi na coś się państwu przydadzą?

- O, Boże!... -jęknęła lady Wetherstone, spoglądając na męża.

- Czy mogę zapytać, dlaczego państwo byli tym zainteresowani? - spytała słodko Catriona. - Czyżbyście mieli ochotę na dłuższe wakacje w naszych stronach? - Rzuciła Evanowi wymowne spojrzenie.

- Dziękuję, moja droga - syknął. - Chyba już dostatecznie nam pomogłaś. - Obrócił nią energicznie i popchnął we właściwym kierunku. - Pani Wilkie wyraźnie potrzebuje pomocy. Sir Aedan i walebnny Wilkie wdali się w dyskusję na temat połowu łososia.

- Doskonale! Tak miło mi się rozmawiało z państwem, milady... milordzie. .. Mam nadzieję, że wrócimy jutro do naszej pogawędki. - Ukłoniła się lekko i obróciła z prowokacyjnym szelestem spódnicy.

Evan w dalszym ciągu obejmował żonę w pasie. Pochylił się do jej ucha.

- Ja również mam nadzieję, że wrócimy do naszej pogawędki dziś w nocy - mruknął, ale jego głos miał nowe, twarde brzmienie.

- O, tak! Teraz i ja nie mogę się tego doczekać! - syknęła przez zaciśnięte zęby i wyśliznęła się z uścisku.

- *O! Si run mo cheill'a bh 'ann* - wyśpiewywała Catriona, drepcząc w tę i z powrotem po i tak już wydeptanym dywanie w małym salonie. -*Hu Ul o-ho-ro, hu Ul o!* - Powtórzyła raz jeszcze te frazy, śpiewając cicho i żarliwie, tylko dla siebie. - *Ol Si run mo cheill'a bh'ann!* „Była moją miłością tajemną!”

Podbiegła do stolika ustawionego pomiędzy dwoma fotelami, chwyciła ołówek i zapisała melodię na papierze nutowym. Znow prześpiewała frazy, niemal szeptem. Palce jej poruszały się gwałtownie, bezszelestnie w powietrzu, jakby na klawiaturze fortepianu. - *Była moją miłością tajemną, Hu Ul o-ho-ro!* - Przygryzła wargę i kiwała głową w takt pieśni rozbrzmiewającej w jej umyśle.

Godzina była późna, ale Catrionie wcale się nie chciało spać po niedawnym starciu z Evanem. Kiedy goście rozeszli się do pokojów, ona krążyła po sypialni, czekając na Evana. Była pewna, że mąż zastuka do drzwi. Kiedy się nie zjawił, sama do niego pospieszyła.

W pierwszej chwili zawahała się, potem jednak gniew ją rozzuchwalił i zastukała energicznie. Nie odpowiedział, więc po chwili otworzyła drzwi. Niestety Evana nie została w pokoju. Cała odwaga poszła na marne!

Catriona nie mogła ani zasnąć, ani się odprężyć, zabrała się więc do pracy. Przed kilkoma dniami dała Evanowi kartki z pieśniami. Miały posłużyć za podpałkę, by życiodajny ogień nie wygasł w chatce owczarzy. Od tamtej chwili nie zdążyła ponownie opracować tych słów ani melodii. Teraz zabrała się do tego, by zapomnieć o niepokojach i dać ujście napięciu. Cztery ze zniszczonych pieśni zostały odtworzone, a leżący na podłodze stary turecki dywan miał już prawie dziury!

A Evana jak nie było, tak nie było.

- *Była moją miłością tajemną...* - Prześpiewała angielską wersję refrenu i zajęła się następnym wersem. Palce Catriony zatrzepotały znow w powietrzu. Zapisała dalszy ciąg melodii i kilka następnych wersów po gaelicku. Prześpiewała je, przetłumaczyła na angielski i znow zaśpiewała: - *Usta jak malina, całus ma smak wina... Oto jest dziewczyna ma!*

- *Była moją miłością tajemną* - zaśpiewał Evan.

Catriona aż podskoczyła. Ołówek wypadł jej z ręki i gdzieś się potoczył. Mało jato obeszło. Evan stał w otwartych drzwiach pokoju. Jego postać wypełniała framugę. Oparł ramię na futrynie, druga ręka powędrowała na nadproże. Miał na sobie czarny żakiet, kamizelkę i ten sam kilt, który włożył do obiadu. Znikł tylko misternie związany fular. Koszula pod szyją była rozpięta. Włosy miał w nieładzie, oczy błyszczące.

- Śliczna pioseneczka! - stwierdził. - *Była moją miłością tajemną... Hu Ul o-ho-ro, hu*

Ul o...

Śpiewał doskonale postawionym głosem, niskim i pewnym. Tak aksamitnym, że Catrionę przeszył dreszcz. Nie miała pojęcia, że Evan potrafi śpiewać. I to jak!

Ale, szczerze mówiąc, cóż ona w ogóle wiedziała o swoim mężu? Nigdy dotąd nie widziała go podchmielonego. Wstała.

Evan całym ciężarem opierał się o framugę drzwi. Pochylił głowę i utkwiał w Catrionie poważne spojrzenie spod ciemnych brwi.

- Co za urocza melodyjka, i taka szkocka! - pochwalił. - Zaśpiewaj ją następnym razem po obiedzie, dobrze? Nasi goście z pewnością będą zachwyceni. *Hu Ul o, Była moją miłością tajemną...* Odrobinka szkockiego folkloru, w wykonaniu nieocenionej, nieskazitelnie szkockiej hrabiny Kildonan!

Catriona podeszła do niego.

- *Usta jak malina* - śpiewał półgłosem. - *Catus ma smak wina...* A co dalej? - spytał. - *Włosy ma płomienne... a humory zmienne...* Nieźle mi idzie, co? Chociaż warto by coś dodać o straszliwych sztormach nadciągających ku nam od wysp. Takich, co zrywają całe dachy. Najprzyjemniej podziwiać szaf natury ze szczytu wzgórza... jeśli przypadkiem nie zabłądziliśmy, nie dopadło nas zapalenie płuc i uporaliśmy się z dzienną porcją myszy z rusztu.

- Jesteś pijany. - Jeszcze mocniej zacisnęła splecione palce.

- A owszem! - przytaknął i oderwał się wreszcie od drzwi. - Czyżby panna pastorówna miała coś przeciwko temu? Ta, która wmuszała we mnie whisky, a i sama nie wylewała za kołnierz, zanim zrzuciła z siebie szatki?

Podniosła głowę, spojrzała na niego z urazą i znów zacisnęła dłoń.

- Wybacz, o pani, ale w tej scenie trochę przeszarżowałaś - mruknął.

- Może i tak - potwierdziła. - Moja dezaprobata nie odnosi się do wszelkich okazji i napojów. Chodzi przede wszystkim o to, co kto pije, jak często i czy weszło mu to już w zwyczaj.

- Raczyłem się whisky. W takiej ilości, bym mógł nadażyć za Wetherstone'em, który, pije jak gąbka. I w zwyczaj mi to nie weszło. W całym życiu upiłem się tylko dwa razy, z dzisiejszym włącznie. Poprzednio niezbyt mi się to spodobało. Stanowczo wolę być trzeźwy - perorował, podchodząc do Catriony. - Zwłaszcza gdy muszę przekazać złe wieści.

- A mianowicie? - Wyprostowała się godnie, nim stanął przed nią; nie cofnęła się i spoglądała na niego śmiało, choć serce się w niej tłukło.

21

Miałem właśnie dłuższą pogawędkę z Wetherstone'em - powiedział Evan. - Ten wspaniały facet doszedł ostatecznie do wniosku, że nie kupi ani kawałka szkockiej ziemi, ani nie wynajmie zamku Kildonan za okrągłą sumkę, którą mi niedawno sam zaproponował. Oczywiście nie ma nic przeciwko Szkockim Górcom, rozumiesz? - mówił dalej Evan, znów zbliżając się do Catriony. - Cieszył się z góry na polowanie i zdobywanie szczytów. Ale jego żona ani myśli spędzać znacznej części roku w tej ukrytej przed całym światem dziurze. W dodatku żyłaby tu w otoczeniu dzikusów. Ciekawe, kto jej podsunął taką myśl? - Skrzyżował ramiona na piersi. - Kupią jakąś posiadłość w pobliżu Inverness albo inną, skąd jeszcze bliżej do Stirling... i do cywilizacji.

- To dobre wieści. Przynajmniej dla Wetherstone'ów.

- I dla ciebie, bez wątpienia. Złe wieści, moja droga hrabino, przeznaczone są dla mnie i moich doradców prawnych, wiecznie spragnionych pieniędzy diabłów, którzy już mi gotują gorące powitanie w Edynburgu.

- Twoich doradców prawnych? - spytała zdziwiona.

- Muszę zdobyć niezbędne fundusze, a że nie mam innego wyjścia, trzeba będzie wydusić je z tego majątku. Ogromnie mi zależało, by Wetherstone nie wycofał oferty: chciał

odkupić ponad połowę moich gruntów. Teraz nie ma co marzyć o podobnej okazji. Wiedziałaś, oczywiście, czym się to skończy, i z rozmysłem zniweczyłaś moje plany. Nie zajęło ci to nawet dużo czasu. Lady Wetherstone jest tak rozstrojona, że udała się od razu do swojego pokoju ze strasznym bólem głowy. Lord Wetherstone jest nie mniej wstrząśnięty, odkąd poznał, jak sądzi, całą prawdę o życiu szkockich lairdów... A i to, że został wyproszony z sypialni żony, też nie poprawiło mu humoru. - Ostatnie słowa Evan niemal wykrzyczał, wskazując znacząco na drzwi pokoju Catriony.

Nie odezwała się ani słowem, uniosła tylko brwi z wyrazem niesmaku, gdy ukazała się jej oczom nieproszona wizja wielkiej sceny miłosnej z lordem i lady Wetherstone w rolach głównych.

- Oczywiście głęboko współczuję Wetherstone'owi i potrafię zrozumieć jego problemy, ponieważ jestem w podobnej sytuacji - kontynuował Evan.

- Mogłeś przyjść do mojego pokoju, ilekroć miałaś na to ochotę - odparowała. - Od pierwszej nocy, którą tu spędziłam, czekałam, kiedy do mnie zastukasz. No i nic! Zostawiłeś mnie samą.

- Dokładnie tak, jak ci obiecałem - przypomniał jej i wziął się pod boki. - A ty, czy zastukałaś do moich drzwi? Gdybyś to zrobiła, przekonałabyś się, że dla ciebie stoją zawsze otworem. A moje dobijanie się do twoich drzwi też by niewiele dało. Widać jak na dłoni, że nie masz zamiaru odgrywać dłużej roli hrabiny Kildonan. Dziś w nocy wreszcie to do mnie dotarło.

- Niby dlaczego? - spytała natarczywie. - Ponieważ nie chcę, żebyś sprzedał swój majątek pierwszemu lepszemu, a najchętniej Anglikowi? Ponieważ uważam, że powinienes tak ważną sprawę przedyskutować z żoną?

- Jak mogłem to zrobić? - warknął. - Doszliśmy z Wetherstone'em do wstępnego porozumienia kilka tygodni przed naszym ślubem. Omówiliśmy transakcję w Edynburgu, dwa miesiące temu. Nie masz nic wspólnego z tą sprawą, i tyle. - Zrobił kilka kroków, przeganiał palcami włosy, odwrócił się na pięcie i powędrował w przeciwnym kierunku.

- Teraz już mam! - oświadczyła.

- O, jak najbardziej! Walnie się przyczyniłaś do jej zakończenia - mruknął, odwrócił się i powędrował po raz nie wiadomo który po wydeptanym dywanie.

- Mogłeś mnie wtajemniczyć w swoje plany - upierała się. - Tak samo, jak przyznać się, kim naprawdę jesteś!

- A co miałbym ci powiedzieć? „Witaj, dziewczyno, jestem tutejszym hrabią i zamierzam sprzedać całą dolinę pierwszemu, kto się zjawi z pieniędzmi. A teraz użycz mi tego cholernego koca albo wymyśl inny, mądrzejszy sposób, żebyśmy nie zamarli na śmierć!” - Z gniewem machnął ręką.

- Wystarczyło przyjść i wyjaśnić! - obstawała przy swoim. - Leżałam samotnie w łóżku i myślałam o przyszłości. Naszej przyszłości, jak zapewniałeś. A kiedy zaczęłam już po trosze wierzyć, że moglibyśmy wieść tu szczęśliwe życie, hrabia i hrabina, mąż i żona... a może pewnego dnia ojciec i matka... - Zabrakło jej tchu. Jakże bolało, że najbardziej żywotne potrzeby, najgorętsze pragnienia mogą zostać jej wydarte. - Ty planowałeś sprzedać ziemię, wynająć komuś zamek i czmychnąć na południe, ile sił w nogach! - wykrzyczała do końca swoje oskarżenie. Niesforne pasma włosów wyzwoliły się z uwięzi, opadły na ramiona, ale nie dbała o to. Ciężko oddychając, wpatrywała się w Evana,

- Nie wiedziałem o tym - odparł cicho. - Nie przypuszczałem, że rozważasz taką ewentualność. Sądziłem, że sprawy przedstawiają się całkiem inaczej, że pragniesz wyzwolić się z tego małżeństwa. Skąd mogłem wiedzieć...?

- Wystarczyło spytać! - powtórzyła z naciskiem.

- Czekałem, rozumiesz? Zamierzałem dać ci czas na rozważenie, czego naprawdę chcesz. „Zacząć od nowa”, przypominasz sobie? Ale nie miałem ochoty robić z siebie durnia,

zjednywać cię. kwiatkami i komplementami. Nie znoszę takich udawanek! Bądź moją żoną albo nie, co ci tam serce dyktuje, ale racz mnie przynajmniej zawiadomić, z której strony tym razem wiatr wieje, czcigodna hrabino!

- Twoje wichry bez wątpienia gnają cię na południe - warknęła. -W stronę Edynburga i życia, jak najdalej stąd!

- Nie z chęci, ale z konieczności - odciął się nadal cichym, ale stanowczym głosem. - Pieniądze sami koniecznie potrzebne, jak już mówiłem. Część mojego majątku musi zostać sprzedana. Nie mam innego wyjścia.

- Dlaczego? - Skrzyżowała ramiona. - Jeszcze jeden problem, który powinniśmy omówić. Jak mam podjąć decyzję, czy zostać twoją żoną, skoro nadal nie wiem o tobie prawie nic? Pijaństwo, długi, ukrywanie swojej tożsamości nie najlepiej wróżą naszemu małżeństwu! A w ogóle, jak możesz mieć długi, kiedy twój ojciec od lat karygodnie eksploatował tę ziemię, byle ciągnąc z niej jak największe zyski!?

- A co wiesz o mnie, o moich sprawach? - Tym razem w głosie Evana brzmiała ostra nuta. Rzucił jej wyzwanie. - No, powiedz, co naprawdę o mnie wiesz?

- To, że masz przede mną sekrety - warknęła. Skinął głową.

- A zatem już się przekonałaś, że nie opowiadam na prawo i lewo o moich problemach, choć nie zawsze wychodzi mi to na dobre. Przyznaję, mam wiele wad, a to jedna z nich. No, dalej! Co jeszcze wiesz o mnie?

- Że jesteś synem człowieka, który wypędził większość moich przyjaciół i krewnych z tej doliny. - Wciągnęła znów powietrze do płuc; zabrzmiało to jak płacz. - Tyle wiem na pewno!

- Ojciec przestał zajmować się moim wychowaniem, gdy byłem jeszcze chłopaczkiem w krótkich spodenkach, więc trudno doszukać się jego winy w moich takich czy innych grzeszkach - stwierdził. - Matka natomiast i jej rodzina wywarła na mnie znacznie większy wpływ, a wszyscy są szkockimi góralami z pochodzenia i z serca, choć od lat mieszkają na Nizinie Szkockiej i czynią tam wiele dobra, bo zacni z nich ludzie. Ja też kocham nasze góry, Catriono. Przez całe lata nie przyznawałem się do tego nawet przed sobą. Ale odkąd tu wróciłem i spotkałem ciebie, wiem, że noszę tę miłość w sobie i nic nie mogę na to poradzić.

- Więc dlaczego planujesz sprzedać posiadłość? - nastawała. - Czemu chcesz porzucić Kildonan i mnie? Po co oddawać te ziemie innym, którzy nie znają i nie cenią naszych potrzeb, naszego życia i spowodują pewnie więcej złego, niż doświadczyliśmy za rządów twojego ojca?

- Porzucić ciebie?... - spytał cicho, jakby z całej jej przemowy tylko to dotarło do niego.

Potwierdziła skinieniem głowy, usiłując powstrzymać łzy.

- Jeśli sprzedasz prawa do Kildonan i Glen Shee, nie wyjadę z tobą. Nie porzucę mojej doliny.

Zaczerpnął powietrza, odwrócił wzrok.

- Twój ojciec i ciotka chcieli cię wysłać do Glasgow.

- Przeniosłabym się do moich przyjaciół; mieszkają wyżej w górach i przyrzekli mi schronienie. Choćbyście nas stamtąd wygnali - dodała z goryczą.

- Ja nigdy bym tego nie zrobił.

- Ale Wetherstone pewnie tak. Grant też! - wygadała się niechcący. -Wiem, że chce odkupić część ziemi. Sam mi o tym powiedział. Nie sprzedawaj mu, za żadne skarby!

- Nie sprzedawać Grantowi? A to dlaczego? Jego posiadłość graniczy z Kildonan. To przecież szkocki laird! Nie będzie mu przeszkadzało, że nie dostanie tu pomarańczy albo że londyńska prasa przychodzi z opóźnieniem - burknął, wymachując ramieniem. - Sprzedam mu tyle ziemi, ile się da, kiedy Wetherstone stracił ochotę do tego interesu.

- Po cóż w ogóle sprzedawać? Czemu nie miałbyś zostać tutaj... ze mną? - Była bliska

płaczu, ale powstrzymywała łzy. - I stać się prawdziwym szkockim lairdem?

Przez długą chwilę wpatrywał się w nią spod zmarszczonych brwi. Pomyślała, że pewnie trunek przyprawił go o zawrót głowy; ciekawe, czy w ogóle jej odpowie?...

- Szkoccy górale z Glen Shee nie przepadają za swoim nowym hrabią.

- Ale mogą zmienić zdanie - odparła. - Udowodnij im, że się mylą.

- Ciekawe jak! - roześmiał się gorzko.

- Chciałeś naprawić most - podpowiedziała. W jej sercu odezwała się znów nadzieja. - Mógłbyś zwrócić im zagarnięte siłą domy.

Zmarszczył czoło, jakby się biedził nad łamigłówką.

- To niemożliwe.

- Wcale nie! - Na to mogła choćby przysiąc. - Można ich odnaleźć. I przywieźć z powrotem.

Skwitował tę uwagę niecierpliwym ruchem głowy.

- Muszę sprzedać Kildonan! I naprawić ten przeklęty most! - warknął. - To jest wykonalne, więc trzeba to zrobić.

- Myślisz, że nikt nie kupi posiadłości z uszkodzonym mostem? Nie bądź śmieszny!

- Nie dopuszczę, by na mojej ziemi doszło do tragedii! - odparł. - Po prostu tego nie rozumiesz.

- Więc mi wytłumacz. I powiedz, czemu musisz się wyprzedawać. Jestem twoją żoną, powinnam wiedzieć o takich rzeczach.

Zrobił tylko jeden ogromny krok i już był przy Catrionie. Przyciągnął ją do siebie tak mocno, że ich ciała stopiłyby się, gdyby nie dzielące ich ubrania. Ale nawet przez wszystkie warstwy stroju wyczuwała podniecenie i siłę tulącego się do niej ciała.

- Pozostaniesz moją żoną? Z której strony dziś wieje twój wicher, Catriono Bhrn?

A więc pamięta! Nie zapomniał, że nazwał ją piękną, gdy inni widzieli w niej tylko wielką lub zbyt wysoką dziewczynę. Ta myśl i gorący uścisk jego rąk na talii sprawił, że Catriona znów zaczęła topnieć.

- Catriono... - szepnął, nie doczekawszy się odpowiedzi na swoje pytania. Pochylił się i pocierał lekko jej nos swoim nosem, wodził ustami po gładkim policzku. - Catriono!...

Naprawdę tajała! Wkrótce przemieni się w wielką kałużę tęsknoty i pożądania, gdy Evan przestanie jej dotykać i czule muskać wargami policzek, tak delikatnie...

Albo całować ją w usta. Kiedy znowu zabrał się do tego, Catriona westchnęła. .. a może jęknęła? I otwarła się pod jego pocałunkiem. Nie mogła się od tego powstrzymać. Evan przygarnął dziewczynę do siebie, by przekonała się, jak bardzo jej pragnie, jak mu do niej spieszo. Pocałował ją niemal brutalnie. Czują czysty i cierpki zapach whisky w jego oddechu, a smak na języku i wargach. Objęła Evana za szyję i odwzajemniła każdy pocałunek.

Potem cofnęła się i oswobodziła. Czują, jak bardzo, rozpaczliwie jej pragnął. Ona pożałowała go równie mocno. Jednak broniła się, wyrwała z uścisku, a on nie protestował. I właśnie to, że cofnął się o krok, omal nie złamało jej serca.

- A więc wichry od gór i lasów znów zmieniły kierunek! - Podniósł ręce i przesunął się w bok. Między nich wdarła się pustka.

- Jak mam być żoną szkockiego górala, który ucieka ze Szkockich Gór? Dlaczego musisz sprzedać majątek?

- Naprawdę jesteś moją żoną? To zawiły problem, nieprawdaż?

Podniosła głowę.

- Nie mamy zbyt wiele czasu na rozstrzygnięcie tej kwestii.

- Nie potrzeba mi wiele czasu - warknął. - I wiem, czego chcę! Ciebie, Catriono. Niepotrzebne mi dowody, na których tobie tak zależy. Ja po prostu wiem. I, Boże zmiłuj się!, nie mam pojęcia, dlaczego tak to odczuwam. Zwłaszcza teraz.

Skrzyżowała ramiona. Poczuła, że jej się broda trzęsie. Rewelacje Evana zdumiały ją, dały nadzieję. Trzymała się jednak bezpiecznej ścieżki, jak zawsze powinna robić, gdy on miał ochotę zapędzić się w bardziej niebezpieczne rejony.

- Nie szukam żadnych dowodów - powiedziała. - Chcę tylko się do wiedzieć, dlaczego bez mojej wiedzy zamierzasz odebrać mi dom. Nie mam na myśli zamku. Należy wyłącznie do ciebie. Myślę o Glen Shee.

Skinął głową.

- Mój ojciec zostawił po sobie poważne długi. Większość pieniędzy utopił w Kildonan i swoich wielotysięcznych stadach owiec. Nie zdążył jednak przed śmiercią uregulować powinności. Posiadałem akurat sporo gotówki i dzięki temu udało mi się pokryć większość deficytu. Mam jednak.. . całkiem inny dług do spłacenia i dochody z majątku muszą to umożliwić.

- Cóż to za dług? - spytała Catriona. Zrobił głęboki wydech i odwrócił oczy.

- Jakie to ma znaczenie? Musi być spłacony, bez względu na to, jak dokonam tego cudu.

Zdała sobie sprawę, że Evan z własnej woli niczego nie wyjawia. A nie chciała być jędzą i naciskać męża. Na wszystko przyjdzie właściwa pora. Niektóre sekrety głęboko ją niepokoiły; no cóż... powinna czekać i mieć nadzieję, że Evan rozwiąże i ten problem tak samo uczciwie, jak załatwiał dotąd wszelkie sprawy.

Stojąc teraz w ciszy, Catriona uświadomiła sobie, jak bardzo pragnie być żoną Evana. Nie mogła jednak opuścić Glen Shee. Rozdarta wewnętrznie nie byłaby już sobą- tą samą kobietą, żoną, kochanką.

- A więc nadal obstajesz przy wyprzedazy majątku, by spłacić swój dług? - spytała cicho.

- Tak - odparł, odwrócony od niej, ze zwieszoną głową, z rękoma zatkniętymi za pas.

- Wobec tego... gdybyśmy nawet spróbowali zacząć wszystko odnowa, jak się umówiliśmy, będziemy musieli się rozstać - stwierdziła. - Nie opuszczę Glen Shee. Nie opuszczę!

- Uparta dziewczucha! - mruknął i zerknął na nią przez ramię. - Dlaczego uważasz, że możemy być małżeństwem tylko tu, w Glen Shee? Co ma jedno do drugiego?!

- Owszem, ma! I to wiele - odparła. Stała spokojnie, wyprostowała plecy, wyprężyła ramiona. - Nasza dolina jest częścią mnie samej. Nie mogę zerwać łączących nas więzów. Jeśli dla ciebie nie ma takiego znaczenia, potrafię to zrozumieć. Ale ja stąd nie wyjadę.

- A gdybyś została wygnana przed laty z całą gromadą? Nie pogodziłabyś się z nowym życiem?

Potrząsnęła głową.

- Po prostu bym umarła - powiedziała cicho, - Te góry... ta ziemia... Jestem częścią tego wszystkiego. Po prostu bym zmarniała, jak wielu innych, których zabiło rozstanie z ojczyzną.

- Skąd wiesz? - spojrzał na nią badawczo.

- Po prostu wiem. - Podniosła głowę uprzytomniła sobie, że niektórych sekretów nie wolno wyjawiać. On miał swoje, a ona swoje.

Spojrzał w okno. Na dworze już się ściemniło. Księżyc, niemal w pełni, wisiał daleko nad górami.

- Z małżeństwem nie powinniśmy eksperymentować - stwierdził. - Nie możemy cofnąć się do jego początku lub zbliżyć się wielkimi susami do końca. Oboje zakosztowaliśmy tego przysmaku i oboje mamy ochotę na więcej. Temu nie możesz zaprzeczyć!

Uniosła głowę jeszcze wyżej.

- Nie przeczę.

- Więc dokonaj wyboru, Catriono! Czy małżeństwo ma dla ciebie jakieś znaczenie? Czy zdobędziesz się na wysiłek, nawet gdybyś nie wiedziała, dokąd się udajemy, ani w jakim kierunku zmierzasz? To jest tak, jak z wyprawą w góry. - Wskazał głową odległe masywy. - Człowiek wyrusza na wspinaczkę, gdyż szczyt wzywa go i kusi. Jest taki piękny, że po prostu musisz go pokonać i uznać za swoją własność. Jest jak osłepiająca blaskiem obietnica. Odległa, nieznana, inna od wszystkiego, czego człowiek dotąd zakosztował, zaznał. O tyle piękniejsza, lepsza, wspanialsza. Rozumiesz, o czym mówię?

- Tak - odparła. - O nadziei i marzeniach.

- Właśnie! A poza tym posunąłeś się o parę kroków wyżej i czujesz się w obowiązku iść dalej. Bierzesz więc na siebie zobowiązanie, składasz obietnicę. A potem przekonujesz się, że nie jest to takie proste, jak myślałeś. Trzeba włożyć trochę wysiłku, robić dobrą minę do złej gry. Dołożyć starań... nawet do tego, by czuć się szczęśliwym. I wtedy pora zadać sobie pytanie: czy chcesz włożyć całe swoje serce i całą duszę w to przedsięwzięcie, bez względu na to, dokąd cię zawiedzie?

- Być może - odparła.

- A ja jestem gotów - stwierdził. - Choć nie wiem, do czego mnie to doprowadzi. Wiem jednak, że góra jest piękna. Potężna. I ta właśnie świadomość uczyni mnie silniejszym i lepszym. Nagle góra bierze cię w posiadanie - prawil, odwracając się do Catriony. - Wchodzi ci w krew, pojawia się w snach, staje się częścią duszy. Przerasta nasze poczucie piękna. Nigdy już nie będzie taki jak dawniej ktoś, kto zobowiązał się trwać przy swojej górze i zostaje z nią. Staje się tysiąc razy lepszy dzięki temu. Góra najpierw podda cię próbie, a potem zmieni. Choć z początku chciałeś, człowieku, tylko ją zdobyć i uznać za swoją własność.

Słuchała Evana - jego głos rozbrzmiewał w jej duszy, osłabiał opór, łagodził serce, mógł rozpedzić gniew i ból. Piękny, głęboki, aksamitny... Niczym lunatyczka zbliżyła się do Evana i stanęła tuż przy nim jak urzeczona.

- Mów dalej - szepnęła. - O tej górze.

- Jeśli zobowiążesz się, że nie przerwiesz wspinaczki... - Odwrócił się tak, że stał teraz bardzo blisko Catriony, wznosił się nad nią jak potężna góra. Jedyne mężczyzna, który znacznie przewyższał ją wzrostem i uporem, a w dodatku odznaczał się takim pięknem duszy i ciała. - Musisz być gotowa, Catriono!

- Na co? - spytała szeptem.

Pochylił się nad nią, wyciągnął rękę i przesunął palcami po jej policzku.

- Na namiętność, której doświadczysz, jeśli dotrzesz na sam szczyt. Nigdy nie przeżyłabyś czegoś podobnego w swoim zwykłym życiu. Kie dy więc oswoisz się z ryzykiem i znajdziesz w sobie dość odwagi, by dotrzeć do końca, twoja dusza otworzy się jak kielich kwiatu. - Pochylił się jeszcze bardziej. - Przysięgam, że tak będzie. Sam tego doznałem.

Catriona wpatrywała się w niego z zapartym tchem; był tak blisko! Powiódł palcami po jej brodzie. Dziewczyną wstrząsały dreszcze, gdy przyglądała mu się badawczo, usiłując pochwycić jego spojrzenie.

- Chcesz, żebym podjęła to ryzyko?

- Tłumaczę ci tylko, że z ryzykiem wiąże się przeważnie wielka nagroda. - Zanurzył palce w jej włosach i pociągnął za kok okryty siateczką. - Góra bywa dwojaka: obca i ukochana, niedosiężna i dostępna. Wszystko naraz! - Mówił szeptem, wyciągając przy tym szpilki podtrzymujące loki. Catriona na sekundę zamknęła oczy.

Gdyby tego chciała, mogłaby go powstrzymać, poprosić o trochę czasu, dokładniejsze wyjaśnienia. Ale mogła też poddać się przyspieszonemu rytmowi serca i przekonać się, do czego to doprowadzi. Właśnie tak postąpiła poprzednim razem.

- To prawda - wymamrotała. - Zazwyczaj nie podejmuję większego ryzyka. Mój ojciec był bardzo wymagający; wychowywałam się w domu według najsroższych nakazów i

zakazów religijnych. Nigdy nie zakosztowałam całkowitej wolności. Choć muszę przyznać, że zawsze bardzo jej pragnęłam i gdzie tylko mogłam, starałam się uszczknąć malutką cząstkę i przywłaszczyć sobie.

- W twoich pieśniach - domyślił się Evan. - I samotnych spacerach wśród wzgórz.

Przytaknęła. Była mu wdzięczna za zrozumienie.

- Tylko raz znalazłam w sobie dość odwagi i poszłam za głosem serca - wyznała. - To było wtedy, gdy cię spotkałam i... i...

- Pokochałaś mnie, tak jak ja pokochałem ciebie tamtej nocy. - Nadal mówił bardzo cicho, a dotyk jego palców był cudowny, ciepły i pewny, gdy dalej wyciągał po kolei szpilki z jej włosów.

Catriona kiwnęła głową, nie spuszczać go z oczu. Evan ściągnął siateczkę i wraz ze szpilkami wetknął beztrudnie do kieszeni. Potem delikatnie zanurzył palce w gęstwinie miedzianych włosów.

Stał tak blisko, że czuła bijący od niego żar, wdychała ledwie uchwytny ślad dymu z cygara, rozplywającego się w górskim powietrzu. A najcudowniejszy był dotyk jego palców, rozczesujących powoli włosy od czubka głowy aż po ramiona.

Powoli zamknęła oczy i odchyliła głowę. Czuła, że się rozplywa; wiedziała, że jest w tej chwili uwodzona przez własnego męża - i tym razem nie zrobiła nic, by temu przeszkodzić. W całym ciele odczuwała lekkie mrowienie, tu i ówdzie pulsowało coraz silniej. Zbudziła się w niej i rosła nadzieja, że poczuje znowu dotyk jego rąk na całym ciele, że Evan zacznie ją całować, chwyci w ramiona i wreszcie będą się znów kochali.

Pochylił się jeszcze niżej. Teraz czuła na policzku jego oddech z lekkim zapachem whisky.

- Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, narażałaś się na wielkie ryzyko - powiedział.

- A biorąc pod uwagę wszelkie kłopoty, jakie z tego wynikły: rzekomy stan grzechu, w którym się znajdowałaś, oraz pospieszne, wymuszone małżeństwo, trudno się dziwić, że gorąco żałujesz tego szaleństwa.

Palce Evana nadal głąkały jej włosy, pieściły gęstą masę splątanych, cieniutkich jak jedwab loków Catriony. Miała wrażenie, że zaraz oszaleje, jeśli pragnienia nie zostaną zaspokojone.

- Dobrze wiedziałam, na co się narażam. I niczego nie żałuję. Niczego! - szepnęła spoglądając na męża. Całe jej ciało, od stóp do głów budziło się i płonęło. Przymknęła na chwilę oczy. Wiedziała już, że musi wyznać, czego się dopuściła tamtej pierwszej nocy. - To ja chciałam, by doszło między nami do zbliżenia. To wszystko moja wina.

Ręka Evana znieruchomiała.

- Twoja... wina? Skinęła głową.

- Chciałam się dowiedzieć, jak to jest, gdy ludzie się kochają. Pragnęłam zakosztować rozkoszy właśnie z tobą. Jeden, jedyny raz... bo byłam pewna, że w moim życiu nie będzie już podobnej okazji. Kiedy się całowaliśmy i próbowaliśmy ogrzać nawzajem, poczułam bardzo wyraźnie, że pragnę zostać z tobą na zawsze. Nigdy nie miałeś powodu przeproszać mnie za to, co się stało. A już z pewnością nie musiałeś się żenić. - Odwróciła wzrok. - Nie uwiodłeś mnie. Sama się o to prosiłam.

- Ach, tak?... Chcesz powiedzieć, że się mną posłużyłaś?

- Ja... wciągnęłam cię w zasadzkę. Dałeś się przekonać, że to ty zawiniłeś. Tak mi przykro. Przysięgam! - Spojrzała na niego z rozpaczą, jednak przyznanie się do winy trochę jej ulżyło. Biła się z myślami: czy Evan się rozżołości i zamiast nowego początku nastąpi definitywny koniec?

- Po prostu kierowałaś się czystą ciekawością, jak to będzie - mruknął.

Skinęła głową i dodała:

- Jak to będzie z tobą.

Kiedy usłyszała jego cichy śmiech, otworzyła oczy z niedowierzaniem. Evan chwycił ją za ramiona.

- Zrozum, Catriono, oboje potrzebowaliśmy wtedy ciepła i pociechy. Na szczęście, mogliśmy się tym nawzajem obdarzyć. To, co się wówczas wydarzyło, było całkowicie naturalną reakcją ciała. Nie usidliłaś mnie z wyrachowaniem jak ladacznica. Po prostu uległaś zmysłom, bezwiednie i niewinnie. Aleja mogłem do tego nie dopuścić, a jednak, nie wiedząc czemu, dopuściłem.

Nie spuszczała z niego oczu.

- Myślałam... że cię przekonam, żebyś...

- Niegrzeczna dziewczynka! - ofuknął Catrionę czule, unosząc brew. Objął ją w talii i przygarnął do siebie. - Bardzo dobrze się stało, że za mnie wyszłaś.

- Ale naprawdę nie chciałam, żebyś miał wobec mnie jakieś zobowiązania! Cóż by ci przyszło ze szkockiej żony, biednej jak mysz kościelna? Nie mam ani tytułu, ani majątku, ani pozycji towarzyskiej, ani pożytecznych znajomości. Jeśli musisz spłacić długi, powinieneś być wolny, bo a nuż pokaże się na horyzoncie posażna panna!

- Doprawdy? A któż ci powiedział, że tak właśnie wygląda mój ideał żony?

- Jesteś hrabią... więc odpowiednią parą dla ciebie byłaby hrabianka, przyuczana od dzieciństwa do tej roli. Obawiam się, że niebawem pożałujesz pochopnego małżeństwa: zdasz sobie sprawę, jak źle jesteśmy dobrani i jak niewiele ze mnie korzyści. W końcu nie będziesz już mógł na mnie patrzeć i znajdziesz mi siedzibę gdzieś na uboczu. Każde z nas będzie prowadzić osobne życie. Może dojdzie do oficjalnej separacji albo nawet rozwodu... Wcale nie pragnę takiego małżeństwa.

- Ja też. - Mówił teraz ostrym tonem. - Tak właśnie wyglądało małżeństwo moich rodziców. Z pewnością nie życzę sobie takiego związku! Nie pragnę również za żonę światowej damy, ulubienicy śmietanki towarzyskiej, bez względu na to, jak dużo miałyby posagu lub rozległych wpływów.

- Ale jesteś przecież członkiem Izby Lordów!

- Już ci tłumaczyłem, że wolę być zwykłym Evanem Mackenzie niż hrabią Kildonan. A Evan Mackenzie jest w pełni zadowolony z żony, która dorównuje mu inteligencją i siłą, dostrzega jego błędy i wady, ale mimo to nie przestaje go kochać. Wielkodusznej, pełnej miłości, dzięki której może stanie się lepszym człowiekiem, nie hrabią! - podkreślił z naciskiem,

-Ale...

- Catriono - napomniał ją czule. - Przestań wreszcie gadać!

Uniósł jej brodę kciukiem, pochylił się i pocałował Catrionę bez pośpiechu, ale z ogromnym przejęciem. Kryła się w tym pocałunku zapowiedź wszystkich rozkoszy, których już zakosztowała, i wielu, wielu innych.

Utonęła w jego uścisku.

W chwili, gdy ich usta się spotkały, Evan był jak wielki pożar. Pocałunek w zamierzeniu bezwzględny i natarczywy stawał się coraz bardziej czuły i odkrywczy. Ich usta stapiały się ze sobą, pieściły wzajemnie. Catriona z westchnieniem rozchyliła wargi. Słodki pocałunek stał się pieczęcią przebaczenia i odpuszczenia win. Evan o tym właśnie marzył przez całe życie. Inne pocałunki były ledwie zapowiedzią tego, co stało się właśnie teraz. Miał wrażenie, że kochał Catrionę od zawsze, całował ją tysiące razy i znał jak nikt inny. Czuł również, że i Catriona poznała go teraz na wylot.

Nade wszystko świadom był, że ją kocha. To, że znali się od niedawna, nie miało żadnego znaczenia. Nie wprawiało go już w zdumienie, lecz jaśniało w sercu jak blask cudu, że w ogóle był zdolny do miłości, i że wkroczyła w jego życie tak łatwo, choć zaznał dawniej cierpienia i nie potrafił wybaczyć samemu sobie. Tym razem miłość jakby wezbrała w jego wnętrzu i przelewała się przez brzegi - odczuwał to jako szczególne błogosławieństwo,

łagodną pieśczołą ciepłego deszczu, kojące zapewnienie o istnieniu innej, potężnej mocy. To objawienie zmieszało się z palącym pożądaniem.

Wieczorna szczodra dawka whisky rozpałiła mu krew i spowodowała zawrót głowy. Trunek wzmógł uczucia, jakie żywił dla Catriony, osłabił wolę, pokonał opory. Pragnął tej dziewczyny, a ona również była chętna; tym razem nie musiał nagle przerwać wielkiej sceny miłosnej, jak to się zdarzyło podczas nocy poślubnej. Catriona była jego żoną. Wszelkie wyznania i negocjacje co do wspólnej przyszłości musiały poczekać na odpowiedniejszą chwilę. W tym momencie królowała namiętność, a on nie pragnął niczego innego ani przedtem, ani teraz. Ona także. Odgadł to z jej pocałunków, zgłodniałych i czułych. Usłyszał to w jej cichutkich westchnieniach.

Kiedy trzymał Catrionę w ramionach, rozpałoną i namiętną był o włos od szaleństwa. Pieścił ją ustami. Błądził rękami po jej ciele, zdumiewająco cienkiej talii, pełnych piersiach pod jedwabnym stanikiem sukni.

Cichutko jęknęła. Zataczał kręgi wokół jej piersi i gładził ich wypukłość przez materiał; wyczuwał naprężony sutek. Ale nie mógł dotykać jej tak, jak tego pragnął. Jeszcze nie teraz! Jego palce sunęły dalej pod górę. Zaczął rozpinać maleńkie guziczki na staniku z przodu. Ukazała się jasna, nieskazitelnie gładka skóra. Drugą rękę trzymał na piersi Catriony. Przez kilka warstw odzieży wyczuwał szaleńcze bicie serca i gwałtowne oddechy.

Całował ją znowu z takim żarem i pragnieniem, aż jęczała pod naciskiem jego warg i unosiła się całym ciałem ku niemu, domagając się dalszych pieśczoł. W jego objęciach kształtna postać wyginała się wdzięcznie. Catriona zarzuciła mu ręce na szyję. Mimo gwałtownego bicia serca i pulsowania krwi, Evan powstrzymywał swoje zapędy, całował dziewczynę bez pośpiechu, aż wreszcie jej wargi zaczęły się rozchyłać jak kielich kwiatu. Ich języki splotyły się w namiętym tańcu.

Wkrótce rozpiął ostatni guzik i obie części stanika opadły, ukazując jędrne piersi, uwolnione od gorsetu i koszulki. Na ten widok ciało Evana zareagowało natychmiast, stwardniało jak hartowna stal. Pochylił głowę, by ucałować nagą pierś. Ogrzany nieco kropelką whisky jego oddech wślizgnął się między ponętne krągłości. Evan zsunął Catrionie z ramion ciemny, jedwabny szlafrok. Wyciągnęła ręce z rękawów, by zaraz znów zarzucić je mężowi na szyję.

Wyprostował się. Jego ciało po raz kolejny mocno pobudził zapach, dotyk i widok Catriony. Stała przed nim w gorsecie i spódnicy. Evan przypomniał sobie moment, gdy tak samo stała naprzeciw niego, półnaga i drżąca. I właśnie tego dnia się w niej zakochał.

Sunąc obiema dłońmi po obnażonych ramionach, bez słowa obrócił ją tyłem do siebie. Ich palce wspólnie zaczęły się zмагаć ze sznurówkami i wstążeczkami. Wkrótce reszta ubrania, sztuka po sztuce, opadła na podłogę. Evan, opętany żądzą, znów odwrócił dziewczynę ku sobie, nabierając pełne garści jej jedwabistych włosów, które rozsypały się Catrionie po plecach.

Ściągnęła z niego żakiet. Potem przez chwilę zmagala się z guzikami kamizelki. Evan nie bronił dostępu do siebie. W końcu uporała się z koszulą, tak więc ostatecznie został w samym kilcie i pończochach, a Catriona w koszulce i majtkach. Wystarczył jeden krok, by żona znalazła się w jego ramionach, a on całował ją wszędzie. Wszystko to doprowadzało Evana do oblędu.

Gdy Catriona wygięła się znowu w łuk w oczywistym zaproszeniu, ściągnął z niej koszulkę, tak iż stała przed nim prawie naga.

Jej pełne kształty, słodka uległość i niewątpliwe podniecenie odebrały Evanowi rozum. Przesunął rękami po jej piersiach i odnalazł tasiemki majtek. Rozwiązał supełek i one również opadły z bioder na ziemię.

Wtuliła się w jego ramiona, zanurzyła palce w czarnych lśniących włosach. Poczul świeży oddech na swoim policzku i uchu. Przytulił ją z całej siły, a jej piękne ciało poruszało

się w jego objęciach niczym ciało syreny. Nie wiedział już, czy jest w tej chwili uwodzającym czy uwodzonym. Początkowo namawiał Catrionę do zbliżenia. Teraz jednak pojął, że Catriona przypomina potężnego i pięknego ducha gór, a on jest bezsilny pod jej zaklęciem.

Jego opór osłabł pod wpływem whisky. Nie mógł dłużej się hamować. Był niewiarygodnie pobudzony, a jego twarde ciało i bijące na alarm serce zbuntowały się ostatecznie.

Porwał ją nagle w ramiona. Usłyszał śmiech pełen radosnego zdumienia. Zaniósł ją przez wewnętrzne drzwi do swojej sypialni, mrocznej jak jaskinia, z ciemnozielonymi ścianami. Stały tam mahoniowe meble, w świetle księżyca niemal czarne. Złoty płomyk świeczki w huraganowej latarni stojącej na biurku pozwalał dostrzec stertę pościeli.

Evan opadł wraz z Catrioną na wielkie łóżko z baldachimem i wyjątkowo miękkim, grubym materacem.

Nie przepadał dotąd za tym ogromnym meblem, pełnym poduszek, uginającym się miękko pod każdym ciężarem. Dopiero teraz dostrzegł zalety łóżka: pasowało jak ulał do gorących uniesień na chłodnej pościeli z cieniutkiego lnu. Tym bardziej, że kobieta, którą kochał, leżała w jego objęciach.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła do siebie. Ułożył się obok i znów zaczął ją całować. Po chwili opadł na nią, gdy podciągnęła kolano do góry. Ich ciała były idealnie dopasowane - zupełnie jakby zostali stworzeni wyłącznie dla siebie: jedna para długich nóg obok drugiej, ramię przy ramieniu, biodro przy biodrze.

Chłodne palce, których dotyk parzył jak ogień, przesuwają się po jego nagiej piersi, płaskim brzuchu i plisowanym kilcie. Evan czuł gorący dotyk przez wełnianą spódnicę, a gdy Catriona odrzuciła przykrycie i wsunęła rękę pod kilt, by pogłaskać jego udo, zaparło mu dech. Jedna smukła dłoń sunęła w górę po jego nodze, podczas gdy druga mocowała się z klamrą paska, póki nie uwolniła kiltu. Wówczas Evan bez ceremonii zrzucił kilt z łóżka.

Catriona była chętna do dalszych wypraw odkrywczych, ale Evan poczuł, że nie jest w stanie tego znieść. Nie teraz! Jeszcze nie. Odsunął się trochę i skoncentrował na tym, co sprawiało jej przyjemność. Jak miła była mu myśl, że to właśnie on sprawił Catrionie tę rozkosz. Dziewczyna prężyła się ku niemu. Miała takie cudowne ciało w dotyku! Palce Evana zawędrowały na jej brzuch i jeszcze niżej, pomiędzy uda. Catriona pojękiwała i przysuwała się do męża. Rozchyliła wargi w pocałunku i wsunęła w jego usta wilgotny, rozpalony język.

Evan pochylił się, by ucałować nagie piersi: smakował je, zwlekał... a tymczasem palce Catriony zaciskały się na jego plecach i przegarniały gęste włosy. Wyczuwał dreszcze przebiegające po całym jej ciele, słyszał coraz szybszy oddech. Myślał, że za chwilę sam eksploduje.

Objął jej twarz i ucałował żarliwie. Czuł, że pomiędzy nimi wzrasta gorąco, niczym pożar. Przypominał sobie, jak darzyli się nawzajem życiodajnym ciepłem tamtej nocy, gdy się poznali. Poczul znowu ten żar i wiedział już, że nigdy nie przestanie kochać Catriony. Zachowa w pamięci każdą ich pieszczotę, nie zapomni ciepła, którym się z nim dzieliła, ani wielkoduszności, z jaką ocaliła mu życie. I za każdym razem, gdy będą się kochali, poczuje, że jakaś część jego rozdartej duszy powraca, dzięki Catrionie i szczęściu, które razem zbudowali.

Powiedziała mu kiedyś, że w tragicznej chwili można stracić część duszy. I nagle pojął, że trzyma w ręku klucz do zagadki: pokochał Catrionę za te właśnie słowa. W tym tkwił jej urok. Przywróciła go do życia, umocniła w chwili słabości. Nie zrobiła tego sama, w mgnieniu oka. Dała mu odrobinę nadziei, jeden haust powietrza, łyk cudownego lekarstwa. Tyle, żeby oprzytomniał, obudził się, zapragnął znów żyć, poczuł, że ma więcej serca, ducha i umysłu niż dawniej.

Nie pojmował dlaczego tak się stało, ani jak się to stało. Wiedział jedynie, że to wyłącznie zasługa Catriony: kiedy ją widział, dotykał jej, kochał się z nią - czar się spełniał. I

wówczas nie mógł powstrzymać się od pieszczona ukochanej. Cóż za piekielne, a może niebiańskie, błędne koło!

Wiła się w jego ramionach, widać było, że czuje rozkosz. Sprawdzał, czy w najtajniejszym zakątku jej ciała rodzi się cudowny żar. Gdy jej dotknął, podrażnił, poruszyła się, popłakując i prosząc, otwierając się dla niego. Przykrył ją swoim ciałem. Zanurzył się najpierw powoli i ostrożnie, potem głębiej. Drżał, bo przepływa przez niego falami potężna siła, oczyszczająca i uszlachetniająca.

Czuł, że jest innym człowiekiem niż kilka tygodni temu. Był doskonalszy, silniejszy, lepszy - a ona miała we wszystkim swój udział. Działała jak katalizator. Wciągała go na wyżyny, o jakich przedtem nawet nie marzył. Nigdy też nie spodziewał się takiej miłości, a jednak, kiedy się pojawiła w jego życiu, wszystko stawało się łatwe, naturalne, dobre. Wystarczyło uznać istnienie tej dziwnej potęgi, a potem poddać się jej działaniu.

22

Odwracając kolejną stronę księgi rachunkowej, Evan podniósł wreszcie wzrok na Finlaya MacConna. Młody rządcą hrabiego, a zarazem jego szwagier, stał przed biurkiem w zalanym słońcem gabinecie. Kurtka z brązowej wełny, zarzucona na szerokie ramiona, zwisała niczym peleryna. Z zasępionym czołem Finlay miętosił w palcach rondo kapelusza i zerkał niespokojnie na siostrę.

Catriona stała obok wolnego, obitego skórą fotela po drugiej stronie biurka. I brat, i siostra odmówili, gdy Evan zaproponował im zajęcie tego miejsca. Spokojna i nieruchoma, ze splecionymi dłońmi, Catriona wyglądała skromnie - a jednak uwodzicielsko. Czarujące krągłości osłoniła ciemną spódnicą, bardzo stosowną na spacer. Biała bluzka zapięta pod szyję podkreślała delikatność niemal przezroczystej skóry i gorący połysk włosów. Zazwyczaj blade policzki Catriony były ciemnoróżowe, spojrzenie szaroniebieskich oczu spokojne, a lekko uniesiony podbródek świadczył o jej dumie, a nawet zuchwałstwie.

Evan miał wielką ochotę uśmiechnąć się do żony, gdy stanęły mu przed oczami rozkosze ubiegłej nocy, które wspólnie przeżywali, ale oparł się pokusie. Ani siostra, ani brat nie byli dziś w pogodnym nastroju; nie zdołali się nawet odprężyć. Zdumiewało to Evana. Z pewnością robocze spotkanie rządcy z dziedzicem dla omówienia spraw majątkowych nie stanowiło zagrożenia dla żadnego z nich. Finlay był wyjątkowo sprawnym rządcą. Hrabia zastanawiał się jednak, czy napięcie Catriony nie wynika z decyzji, przy której obstawał, a mianowicie sprzedania sporej części rodowej posiadłości. Może rozmawiała z bratem na ten temat?

Kiedy jednak dostrzegł kolejną wymianę spojrzeń między żoną i jej bratem, wyczuł, że oboje coś ukrywają.

Evan sunął koniuszkami palców po następnej stronie, wypełnionej liczbami i nazwiskami dzierżawców. Potem odchylił się i zaczął w zamyśleniu stukać kciukiem o zęby.

- Mamy osiemdziesiąt dwa tysiące akrów - mruknął na zakończenie. - Ile naliczyliście owiec podczas poprzedniego spisu?

Finlay odchrząknął.

- Pięćdziesiąt jeden tysięcy czterysta dwadzieścia siedem sztuk. Proszę spojrzeć. Tyle odnotowałem w rejestrze ostatniej wiosny - odparł. - Może to nie jest całkowicie dokładne wyliczenie, ale bardzo zbliżone do rzeczywistości. Ganiecie owiec po urwistych zboczach to ciężka praca. W każdym razie tyle złapałiśmy i ostrzygliśmy do końca marca, panie hrabio.

- Ogromne zadanie! - skomentował Evan. Odwrócił stronę, by zerknąć na inne zapiski. - A to?... cóż to ma znaczyć? Dwudziestu sześciu ludzi z południa zaangażowano do pomocy przy spędzie owiec, strzyżeniu, a potem wysyłce wełny?

- Tak - odpowiedział Finlay i znów zerknął na siostrę.

- A dzierżawcy?

- Słucham, panie hrabio?...

- Jak wielu dzierżawców zostało do dziś w Kildonan?
- No, cóż... odkąd cała dolina Glen Shee wchodzi w skład pańskich ziem, milordzie...
- Finlay przerwał i zapatrzył się w sufit, jakby w ten sposób zbierał myśli. - Nie wszystkich z nich obarczamy opieką nad owcami... mamy około osiemdziesięciu zagród i powiedzmy... czterystu dziewięćdziesięciu mieszkańców w różnym wieku.
- Czy wliczył pan w to ludzi, którzy w ciągu ostatnich dziesięciu lat zostali wynajęci do doglądania owiec? - Gdy Finlay zawahał się, hrabia powtórzył pytanie. - Ilu ich ostatecznie jest?
- Owszem, włączyłem do tej grupy osiemnastu pracowników najemnych z ich rodzinami. Wszyscy pochodzą z Niziny Szkockiej, z wyjątkiem jednego Anglika.
- Rozumiem. - Evan zaczął sprawdzać wcześniejsze zapisy w wielkiej księdze, zwracając szczególną uwagę na rządki cyfr starannie naniesione przez Finlaya, poprzedniego rządcę, ojca Kennetha Granta, a nawet zapiski dokonane ręką starego hrabiego. Ale tych ostatnich znalazł bardzo niewiele. - Ilu stałych mieszkańców było dawniej w Glen Shee?
- Dawniej... co pan hrabia przez to rozumie? - spytał Finlay.
- No, przed wysiedleniem - uściślił Evan, spoglądając na Catrionę.
- Tysiące! - odparła i zaraz podała konkretne dane. - Mieszkało tu mniej więcej dwa tysiące pięćset osób za czasów twojego pradziadka. Zanim Kildonan stało się hrabiowską siedzibą. I zanim rozpoczęły się masowe wywłaszczenia, by zapewnić więcej wypasów dla owiec. Teraz nie zostało nawet pięćuset górali.
Evan skinął głową w zadumie.
- Coś mi tu nie pasuje.
- Co takiego? - spytała natychmiast Catriona ostrym tonem.
- Biorąc pod uwagę liczbę owiec pasących się na tych niezliczonych akrach... I całą tę harówkę co roku na wiosnę, niezbędną jeśli chce się wejść ze swoją wełną na rynek... W ciągu ostatnich dwóch lat, według tych zapisów, całą tę robotę wykonuje z powodzeniem około trzydziestu osób.
- Tego właśnie życzył sobie twój ojciec - powiedziała Catriona. - Im mniej robotników, zwłaszcza obarczonych rodzinami, tym lepiej. Więcej przestrzeni dla każdej owcy.
Evan przerzucił jeszcze kilka kart. Odnalazł zapiski dotyczące poprzednich sezonów i znów przesunął palcem po kolumnach cyfr.
- Dwa lata przed tą tragedią zatrudnialiśmy znacznie więcej pracowników najemnych tylko na okres strzyży i przygotowań do wywózki wełny. .. a przecież wówczas na terenie posiadłości było znacznie mniej owiec. Zaledwie pięć lat temu stado liczyło trzydzieści pięć tysięcy sztuk.
- Może ojciec pana Granta, poprzedni rządcą, nie bardzo się znał na prowadzeniu ksiąg - podsunęła Catriona.
- Lepiej się nadawał do czego innego - mruknął Finlay.
- Na przykład? - zainteresował się Evan.
- Do wypędzania porządnych ludzi z ich zagród - odpowiedziała Catriona. - W tym to był dobry!
- Tak samo jak mój ojciec. To chciałaś powiedzieć, co?
- Owszem! - Spojrzała na niego wyzywająco. - Dobrze wiesz, że to prawda.
Wiedział, ale nie dał tego po sobie poznać. Dalej przerzucał kartki, póki nie dotarł do czystych stron.
- Trzeba będzie przeprowadzić spis.
- Czego? - spytał Finlay. - Owiec czy dzierżawców?
- Dzierżawców - odparł Evan. - Chcę dokładnie wiedzieć, kto tu mieszka, gdzie i jak liczną ma rodzinę, jaką pracę wykonuje na moich ziemiach i jak jest opłacany.

Evan spostrzegł, że rządcą z trudem przełyka ślinę i znowu zerka na siostrę. Bez względu na to, co ten człowiek zamierza ukryć, zupełnie się do tego nie nadaje. Od razu się czerwieni jak panienka, pomyślał hrabia.

- Nowy spis owiec też by się nam przydał - stwierdził. - Powinniśmy uaktualnić go co miesiąc. Dopisywać i skreślać zgodnie ze stanem faktycznym. W ten sposób na przyszłą wiosną będziemy dokładnie wiedzieli, ilu nam jeszcze trzeba pracowników.

- Tak jest, panie hrabio - odpowiedział Finlay. - Wśród dzierżawców znajdzie się kilku takich, którzy mogliby z powodzeniem zastąpić mnie przy spisie bydła i zbieraniu danych o rodzinach dzierżawców. Spytam ich, czy mogą od razu brać się do roboty. Jest jeszcze coś do omówienia, milordzie?

- Owszem. Jedna sprawa. Stary most u podnóża Góry Wrózek. Jest w bardzo złym stanie. Osobiście zagroziłem wejście na most - tu zerknął na żonę - ale to jakoś nie odstrasza niektórych ryzykantów, mimo niewątpliwego zagrożenia.

- Ten stary most załamał się dawno temu, ale to, co zostało, wydaje się całkiem solidne - odparł Finlay. - Sam często z niego korzystałem. Nigdy bym tam nie wjechał wozem, ale pieszo...

- Nie ma mowy! - przerwał mu Evan. - Osobiście zaprojektuję nowy most i znajdę zespół, który zrealizuje projekt. Ale na to trzeba czasu. Na razie musimy znaleźć kilku krzepkich mężczyzn, którzy odwalą najcięższą robotę. Wyjaśnię, jak to ma być zreperowane i podparte. Możesz mi się wystarać o sporą grupę, która się z tym upora, MacConn?

- Oczywiście, milordzie - odparł Finlay po kolejnej wymianie spojrzeń z siostrą. - Spotkamy się przy moście kiedykolwiek pan hrabia zechce.

- Doskonale! W przyszłym tygodniu. - Evan zmarszczył brwi, spoglądając to na żonę, to na jej brata. Napięcie w nich ciągle rosło. Wyczuwał je nawet ze swojego miejsca za ogromnym biurkiem, gdzie nie tak dawno zasiadał jego ojciec.

Od samego początku Evan ukrywał przed Catriona niektóre sprawy.

Ale aż do tej chwili nie przypuszczał, że jego żona może także mieć przed nim tajemnice. Jej prawo. Jednak myśl, że Catriona również doszła do wniosku, że z jakiegoś kłopotu nie powinna się zwierzać mężowi, wyraźnie zmartwiła Evana. Czy Catriona ukrywa prawdę przed swoim mężem... czy przed swoim wrogiem, hrabią Kildonan?

Ręka w rękę z bratem Catriona podeszła do drzwi, oglądając się przez ramię. Evan pozostał w gabinecie, przeglądając księgi i dokumenty związane z gospodarstwem. Coś jej mówiło, że mąż nie ruszył się z miejsca, by mogła swobodnie porozmawiać z bratem.

Finlay był bliski załamania.

- Czy on wie coś o nowych dzierżawcach? - spytał. - Mówiłaś mu?

- Nie - zaprzeczyła. - Nie powiedziałam ani słówka, jak obiecałam. Dziękuję, Baird - zwróciła się do majordomusa. - Sama odprowadzę pana MacConna do wyjścia. - Kiedy lokaj skłonił się i wycofał do jadalni, odezwała się szeptem do Finlaya. Odnosiłaś nazwiska nowych dzierżawców w księgach gospodarskich? Wpisałeś, jakie prace wykonywali i ile zarobili od wiosny?

Finlay potrząsnął głową.

- Mam to wszystko zapisane, ale gdzie indziej. Nie przypuszczałem, że hrabia połapie się w tym od razu. Przysięgam ci, Catriono: byłem pewny, że w ogóle się tu nie zjawi i zwali całą robotę na mnie i swoją siostrę. A ona nie zwracała uwagi na takie szczegóły, jak i gdzie kto żyje i ilu mamy pracowników - szeptał z przejęciem, gdy stali zupełnie sami przy drzwiach frontowych. - Ale teraz twój mąż dostrzegł niezgodność między ilością wełny otrzymanej z jego owiec a liczbą osób zatrudnionych przy spędzie i strzyży. Z pewnością coś podejrzewa! Pozostała już tylko jedna kwestia: jakie wnioski i konsekwencje z tego wyciągnie.

Odwróciła wzrok, czując niepokój w sercu. Przypomniała sobie o Grancie, który

również odkrył, że Finlay po cichu sprowadzał z powrotem wypędzonych mieszkańców doliny i zatrudniał ich jako pasterzy. A co gorsza, Kenneth Grant mógł oddać Finlaya w ręce policji.

- Evan to dobry człowiek, Finlayu - przekonywała go szeptem. - Nie jest taki jak jego ojciec albo... albo inni mężczyźni. Myślę, że możemy wyjaśnić mu, co robimy.

- Jest jeszcze jedna rodzina, która chce wrócić do Glen Shee. Podczas pobytu w Inverness odnalazłem kilkoro MacLeodów. Mają co prawda pracę na wybrzeżu, przy sieciach, ale ta robota im nie idzie. Przywykli do innych zajęć. Gnieźdzą się w okropnej ruderze i przymierają głodem. Przywiozę ich tu jutro.

- W niedzielę?

- Tylko w tym dniu można to załatwić. Na razie są pod opieką pani MacAuley w oberży. Ale ona może ich przetrzymać najwyżej dzień lub dwa, bo spodziewa się w każdej chwili turystów. Kiedy MacLeodowie zostaną przewiezieni na dawne miejsce, musimy trochę odczekać, nim zajmiemy się następnymi.

Catriona skinęła głową.

- To naprawdę konieczne. Ale gdzie się osiedlą MacLeodowie?

- W starej chacie owczarzy na zboczu Beinn Sitcheach.

- Co takiego?! Tam, gdzie Evan i ja...? Przecież to ruina! - szepnęła. - Omal nie zamarliśmy w niej na śmierć. Rodzina z dziećmi z pewnością nie przetrzyma tam zimy!

- Kilku innych drobnych dzierżawców wybrało się do chaty z własnej woli. W ciągu kilku dni naprawili dach i połatali dziurawe ściany. Przy-taszczyli też trochę mebli, żywności i zapas torfu - wyjaśnił Finlay. - Dom teraz nadaje się w sam raz dla ich rodziny. Zresztą, innej możliwości nie było. Na wiosnę sami wybudują sobie nową chałupę, trochę wyżej na wzgórzach. A na razie to musi im wystarczyć.

Catriona znów skinęła głową.

- Evan i ktoś jeszcze z gości chce jutro iść na nabożeństwo do kościoła naszego taty. Bądź ostrożny, Finlayu!

- Dobrze, nie martw się. - Pochylił się i pocałował ją szybko w policzek.

- Finlay! - rozległ się głos Evana.

Zaskoczona Catriona aż podskoczyła. Nie mogła uwierzyć, że mąż tak bezszelestnie zdołał do nich podejść.

- Słucham, panie hrabio.

- Nasi przyjaciele zamierzają za kilka dni wdrapać się na szczyt Beinn Shee. Bardzo cię chwalono jako przewodnika. Zechciałbyś poprowadzić naszą grupę?

- Oczywiście, milordzie - odparł Finlay. - W zależności od pogody i obranego szlaku, może to być łatwa wspinaczka albo bardzo trudna. Czy przybysze mają doświadczenie w chodzeniu po górach lub we wspinaczce?

- Niektórzy tak. Wyznaję ze wstydem, że sam nigdy nie zdołałem dotrzeć na szczyt Beinn Shee. Ale gdybym się tam nie wybrał i to najtrudniejszym szlakiem, nie poznałbym pewnie twojej siostry. - Uśmiechnął się.

- Jestem pewien, że spotkalibyście się tak czy inaczej - odparł Finlay. - Ale pewnie nie przeżylibyście wspólnie niebezpiecznej przygody i byłbyś, milordzie, nadal kawalerem. - Finlay uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Racja! A zatem mam dług wdzięczności wobec tej góry, że dała mi porządnego łupnia w odpowiednim czasie - powiedział Evan z dziwnym błyskiem w orzechowozielonych oczach. - Wiesz, że nawet namówiliśmy twoją siostrę, by przyłączyła się do naszej grupy?

- Podczas wyprawy? Wątpię, żeby zdołała wdrapać się na tę górę. - Spojrzał na siostrę.

- Właśnie że pójdę! - powiedziała Catriona i uniosła wyżej głowę, gdy brat spojrział na nią ze zdumieniem. Wiedziała, że Finlay wspomina tragicznie zmarłego Donalda. Nie miał

jednak pojęcia o żądaniu Flory, by Catriona przyniosła z tamtych niedosiężnych wyżyn zaczarowany klejnot.

- Byłoby wspaniale, gdybyś przyszedł do nas w poniedziałek na śniadanie - odezwał się znów Evan. Omówimy wszystko dokładnie i wyruszymy za dzień lub dwa.

- Zapowiedz swoim przyjaciołom, milordzie, żeby dobrze się wyspali przed wyprawą. Jeśli będą gotowi, możemy wyruszać od razu, w poniedziałek. Oczywiście, o ile pogoda dopisze - zastrzegł się Finlay. - Co prawda, z tutejszą aurą nigdy nic nie wiadomo. Jest nieprzewidywalna, i tyle. Po co robić plany na następny dzień, jeśli dzisiejszy jest w sam raz?

- Święte słowa - przytaknął Evan, spoglądając na Catrionę. - Dobra rada, warto ją zapamiętać.

- Zjawię się trochę wcześniej - obiecał Finlay. - Choć obawiam się, że spis owiec i mieszkańców nie będzie jeszcze gotowy. - Posłał hrabiemu wymuszony uśmiech.

- Nie spiesz się z tym, Finlay! - odparł Evan. - Nikt cię nie pogania. Wobec tego, miłego dnia i do zobaczenia! Może jutro w kościele? - Evan odwrócił się i ruszył przez hol do swojego gabinetu.

Finlay zwrócił się do siostry.

- A więc i ty wybierasz się na Beinn Shee? Skinęła głową.

- Po prostu muszę. Wyjaśnię ci potem.

- No cóż... w takim razie wolę mieć cię na oku. To cholerna góra do wspinaczki. Byłoby lepiej, gdyby ci niedzielnii zdobywcy szczytów wybrali sobie inny stok. - Przez chwilę przyglądał się siostrze uważnie. - Jesteś szczęśliwa, Catriono? - spytał nieoczekiwanie, bardzo miękko.

Zawahała się, potem przytaknęła.

- O wiele bardziej, niż przypuszczałam. Wszystko potoczyło się tak szybko, ale mam wrażenie, że zmierza ku dobremu.

Zmarszczył brwi, ale kiwnął głową.

- Oby! Jeśli Kildonan cię skrzywdzi, już ja się postaram, żeby drogo za to zapłacił. Będziesz jutro na nabożeństwie?

- Powinam... Ale ojciec i ciotka Judith byli tacy źli na to... co zaszło między mną i Kildonanem. Żadne z nich nie zwróciło się do mnie, nie napisało ani słówka, odkąd się wyniosłam z domu.

- Ojciec ciągle się o ciebie niepokoi, ale duma mu nie pozwala przybyć tu wyłącznie po to, żeby się dowiedzieć, jak się miewasz. Bardzo się ucieszy, jeśli przyjdiesz do kościoła. Może z mężem?... Ale nie spodziewaj się, że okaże radość. I pamiętaj, nie spóźnij się na pierwsze czy tanie z Biblii. Ciotka Judith nie da nam spokoju, jeśli nie zjawisz się punktualnie.

Catriona skinęła głową.

- Na pewno przyjdę... nie: przyjdziemy oboje!

23

Nieustający deszcz stukał w okna biblioteki, wzbogacając swoją kojącą monotonią nucone przez Catrionę melodie. Robiła właśnie transkrypcje kolejnych pieśni. Siedząc w obitym skórą fotelu z wysokim oparciem, spoglądała od czasu do czasu w wysokie okna. Poprzez strugi ulewy widziała rozległy trawnik, potem las... a najdalej góry, spowite mgłą, i ogromne, pełne chmur niebo.

Biblioteka mieściła się w tym samym skrzydle co jej pokój, niedaleko korytarza wiodącego do jadalni. Nie była wielka, ale za to przytulna. Przy ścianach stały niezliczone półki pełne książek. Miłą odmianę stanowiły dwa wysokie okna na jednej ze ścian, a na przeciwległej niewielkie drzwi. Zarówno półki, jak i ściany pomalowano na zielono. Była to stonowana, spokojna zieleń. Fotele miały skórzane obicia w kolorze sherry. Na podłodze leżało kilka starych przepięknych kobierców. A dzięki framudze okiennej i ciemnozielonym

aksamitnym draperiom, widok roztaczający się za oknami wydawał się urzekającym pejzażem w luksusowych ramach. Ze wszystkich pomieszczeń zamku Kildonan, włącznie z jej sypialnią, pogodną lecz konwencjonalną, Catriona polubiła najbardziej bibliotekę - a zwłaszcza jej kojącą, swojską atmosferę.

Catriona dostrzegła przez okno gig. Oddalał się z dużą szybkością od zamku. Wiedziała, że powóz unosił sir Aedana MacBride'a oraz lady Jean i sir Harry'ego do Kyle of Lochalsh i niewielkiej przystani nad tym jeziorem. Lady Jean i jej mąż postanowili zabrać się z sir Aedanem, który miał sprawę do załatwienia na wyspie Skye. Przed powrotem do Edynburga chcieli spędzić trochę czasu w ogólnie wychwalanym hotelu modnego kurortu w Broadford.

Gdy tego ranka Catriona życzyła odjeżdżającym gościom szczęśliwej podróży, Jean objęła ją i podziękowała bratowej, że zechciała wejść do ich rodziny. Catriona nie otrząsnęła się jeszcze ze zdumienia, gdy spotkała janowa niespodzianka. Sir Aedan ucałował jej rękę i ponowił zaproszenie na Gwiazdkę do Dundrennan. Catriona aż się do tego paliła, ale uśmiechnęła się tylko w odpowiedzi, Evan zaś obiecał, że poważnie zastanowią się nad wyjazdem.

Wyszła na korytarz. Z holu na dole dobiegał gardłowy śmiech Jemimy. Catriona wiedziała, że nikt nie wtargnie do biblioteki, by wyciągnąć panią domu na przechadzkę. Wymówiła się już zmęczeniem i wspomniła, że musi nadrobić zaległości w pracy nad pieśniami, nim wyruszy na całodzienną wyprawę. Ze względu na zimny deszcz i mgłę Jemima, a z nią wszyscy inni, postanowili wybrać się dwoma krytymi powozami nad malownicze brzegi jeziora Loch Torridon.

Pan Grant zaoferował się na przewodnika - i to był zasadniczy powód wycofania się Catriony z tej wyprawy.

Wkrótce po wyjeździe Finlaya zjawił się pan Grant, by zbadać lady Wetherstone, która skarżyła się na bóle głowy. Zaaplikowana przez miejscowego lekarza dawka laudanum sprawiła, że Wetherstone'owie znów zmienili zdanie na temat szkockiej medycyny. Grant skazał jednak zboląłą damę na pozostanie w łóżku przez dzień czy dwa. Po odwiedzeniu pacjentki przyłączył się do reszty gości w salonie i wdał się w dyskusję z Arthurem Fitzgibbonem na temat możliwości zwiedzania okolicy nawet w taką pluchę.

Catriona przywitała się chłodno z Kennethem Grantem, zabrała nuty i przeniosła się do biblioteki. Przedtem uprosiła panią Baird, by nikt jej nie przeszkadzał w pracy. Co prawda, nie mogła wiecznie ignorować Granta, ale wolała go nie widzieć, zwłaszcza po nocy spędzonej w ramionach Evana. Nie chciała, by coś zniszczyło lub zbrukało to wspomnienie.

Rozległo się stukanie do drzwi. Na progu pojawił się Evan. Na jego widok serce Catriony roztrzepotało się jak młodej panience.

- Wybacz, Catriono - powiedział cicho. - Wiem, że nie zyczysz sobie, by ktoś ci przeszkadzał. Ale zajmę tylko minutkę.

- Wejdz, proszę! - Wyprostowała się pospiesznie i kilka arkuszy papieru sfrunęło na podłogę. Nawet tego nie zauważyła. - O co chodzi? - W nagłym przypiływie skruchy pomyślała, że mąż chce z nią porozmawiać w sprawie Finlaya.

Evan przyklęknął i zebrał z podłogi rozsypane papiery. Podał je Catrionie.

- Pastor Wilkie powiedział, że wszyscy chcą wziąć udział w porannym nabożeństwie w Glenachan. Wygląda na to, że pójdziemy w komplecie.

- O!... Nawet i ty? - Coś ją nagle zakłuło w sercu i uświadomiła sobie, jak bardzo się stęskniła za ojcem. - Mimo przykrego incydentu, który doprowadził do pospiesznego małżeństwa? - Mój ojciec odmawia modlitwy i czyta fragmenty Biblii wcześniej rano, przed nabożeństwem. Zamierzam wziąć udział w tej godzinie skupienia.

- Wobec tego będzie nas dwoje. Powiem reszcie, że spotkamy się w kościele.

- Dziękuję! - Uśmiechnęła się, wdzięczna za względy okazywane przez męża jej

rodzinie. Poczwała też ulgę, że Evan nie wrócił do tematu Finlaya i dzierżawców.

- Odtwarzasz te pieśni, które spaliliśmy... - zauważył, spoglądając na kartki.

Dostrzegła błysk w jego oczach Evana. Przeszedł ją nagły dreszcz.

- Prawie się już z nimi uporałam. Zapisuję również kilka następnych, których nauczyła mnie Morag MacLeod w zeszłym tygodniu.

- Ile już zebrałaś i opracowałaś?

- Włącznie z tymi sto trzydzieści cztery, wszystkie w dwóch wersjach: po gaelicku i angielsku, i z zapisem nutowym. Dodaję również interesujące uwagi i anegdotki, jeśli dowiedziałam się czegoś więcej o tej czy innej pieśni.

Evan wstał, ona również.

- To naprawdę godne podziwu zadanie, którego podjęłaś się z własnej woli. Jestem z ciebie bardzo dumny. A więc twoje dzieło dobiega końca?

- Zbiór starych pieśni gaelickich nigdy nie może być kompletny. Przypuszczam, że zachowały się ich tysiące, zarówno w naszych górach, jak i na wyspach. Nikt nie wie na pewno, jak daleko dotarły. Gdyby ktoś chciał ocalić wszystkie, musiałby poświęcić na to całe życie. Ja postanowiłam zapoznać się z pieśniami północno-zachodniej części naszych gór. Przez kilka ostatnich lat odwiedziłam każdą zagrodę w naszej dolinie i kilku sąsiednich - powiedziała. - Podróżowałam tak daleko, na ile mi zezwalał ojciec. Spotykałam się ze śpiewakami, którzy, jak powiadano, znają się na starej muzyce.

Objął ją ramieniem w pasie.

- Nic dziwnego, że nie chciałaś nawet myśleć o porzuceniu tych stron.

- Muszę tu zostać, Evanie - odparła. - Ze względu na te pieśni i z innych jeszcze przyczyn... Po prostu nie mogę wyjechać!

- Ale gdy zbierzesz już pieśni, możesz je opracowywać i udoskonalać gdzie indziej. W Edynburgu są wydawcy, którzy bez wątpienia bardzo by się zainteresowali twoim zbiorem.

Odsunęła się nieco.

- Nadal myślisz o wyjeździe? Przyciągnął ją do siebie.

- Zeszłej nocy ustaliliśmy, że nie będziemy poruszać przez pewien czas tego tematu - mruknął. - Przynajmniej do chwili, gdy nasi goście wyjadą. Wtedy swobodnie omówimy problem.

- Tak. - Catriona zmarszczyła czoło. - Umówiliśmy się. Tylko że ja stąd nie wyjadę. I nie mam najmniejszego zamiaru publikować tych pieśni.

-Nie? Szkockie ballady są teraz w modzie.

- Upiększa sieje i dosładza dla czytelnika - odparowała. - Nie pozwolę okaleczyć tych pieśni! Niezafałszowane stanowią część naszej celtyckiej kultury, duszy. Moja matka nauczyła mnie pierwszych pieśni, potem sama zaczęłam je kolekcjonować. Zrozumiałam, że kiedy tylu ludzi opuściło naszą dolinę, mogę i powinnam ocalić przynajmniej muzykę, którą tak kochałam. I to czym prędzej, nim ostatnie ślady przeszłości nie znikną ze Szkockich Gór.

- Oto kolejny dowód, jak kochasz rodzinne strony i cenisz tradycję.

Nie powiedział nic więcej, ale z wyrazu jego twarzy poznała, że jest pełen zrozumienia i respektu. Obejmując ją nadal, zawrócił i podprowadził Catrionę do przeciwległej ściany, gdzie kominek z gzymsem i wiszący nad nim duży portret przerywały monotonię biblioteki zastawionej od góry do dołu półkami.

- Ten obraz namalowano kilka lat przed śmiercią mojego ojca - powie dział.

Olejny portret przedstawiał poprzedniego hrabiego - w połowie naturalnej wielkości. Nigdy nie widziała ojca Evana, póki żył, ani nie chciała poznać. Teraz jednak obudziła się w niej ciekawość. Jaki właściwie był George Evan Mackenzie?...

Odchyliła nieco głowę i przyjrzała się dokładnie obrazowi. Mimo siwych włosów, byczego karku i znacznie szerszej talii był bardzo podobny do syna. Równie piękne i szlachetne rysy, te same lśniące zielonozłote oczy... Ale głęboka zmarszczka na czole i lekko

wykrzywione w dół usta świadczyły o goryczy i bezwzględności tego samotnego, zapiekłego w gniewie człowieka. Catriona wiedziała, że żona opuściła go na wiele lat przed powstaniem portretu. Zabrała oboje dzieci, Evana i Jean, i przeniosła się na Nizinę Szkocką.

- Dlaczego twoja matka go opuściła, Evanie? - spytała cicho Catriona. - Ze wszystkich pytań, które chętnie by zadała, właśnie to, nie wiadomo czemu, najbardziej ją dręczyło.

Evan westchnął.

- Matka ma niesłuchanie silną wolę, on był taki sam. Kochała Szkockie Góry równie głęboko, jak ty - powiedział. - I do tej pory bierze udział we wszelkich akcjach dobroczynnych na rzecz szkockich górali. Myślę, że od razu dogadałybyście się ze sobą. - Lekko uściśnął ramię żony. - Gdy byłem małym chłopcem, otwarcie protestowała przeciw decyzji ojca, który postanowił rozszerzyć swoje ziemie i zamienić je częściowo w pokazową hodowlę owiec, a po części w tereny myśliwskie. Chciał w ten sposób zdobyć fortunę. Matka nie mogła również znieść postawy ojca wobec dzierżawców: traktował ich wrogo i pogardliwie. Nie zdołała go jednak przekonać ani powstrzymać. Był zawsze srogim panem, nieraz srogim ojcem, ale nikt nie nazwałby go srogim mężem. Kochał ją po swojemu. Myślę, że po naszym wyjeździe stał się jeszcze gorszy. Może chciał jej zrobić na złość? Najgorsze czystki przeprowadził jednak wiele lat później. Studiowałem wtedy na uniwersytecie. Ojciec mógłby stać się lepszy, gdyby nie jego duma. Nie potrafił przyznać się do błędu.

Catriona położyła głowę na ramieniu męża.

- Ale jego wady nie przeszły na syna. Może dlatego, że nie wychowywał cię po swojemu.

- Dzięki za komplement - burknął. - Mam nadzieję, że nie odziedziczyłem po nim skłonności do okrucieństwa. Chętnie jednak odziedziczyłbym jego błyskotliwą inteligencję i absolutną determinację. Ale to matka i jej rodzina ukształtowały mój charakter.

Catriona westchnęła i objęła Evana w pasie. Przypomniała się jej ostatnia noc, spędzona w ramionach męża, pełna namiętności i czułości. Dziewczynę przeszył rozkoszny dreszcz, gdy zacisnęły się wokół niej potężne ramiona. Czuła się taka bezpieczna, potrzebna... Po prostu kochana, chociaż Evan nigdy wprost nie wyznał jej miłości. I nie wyobrażała sobie, że mogłaby -jak jego matka - po prostu odejść od męża, zabierając w dodatku dwoje dzieci.

Wiedziała jednak, że Evan nadal ma przed nią sekrety. Nie bardzo wierzyła, że dowie się kiedykolwiek, z jakiego powodu chciał rozparcelować i rozprzedać posiadłość. Spoglądając na portret jego srogiego ojca, poczuła lęk, że pewnego dnia jakiś konflikt zniszczy również ich małżeństwo. A jeśli Evan poprosi, by z nim wyjechała? Evan przechylił głowę na bok.

- Catriono, chciałem cię o coś spytać.

- Tak?... - Czekala z bijącym sercem i ze strachem. Czyżby ich myśli biegly tym samym torem?...

- Przed laty, kiedy ojciec wygnał z doliny ostatnią, największą grupę ludzi - mówił tak cicho, że brzmiało to jak groźny pomruk - byłem przy tym.

- Wiem - odparła również cicho. - Widziałam cię z nim.

- Nie zaskarbiło mi to życzliwości ani twojej, ani pozostałych mieszkańców. I nic dziwnego. Kiedy jednak opuszczałem tego samego dnia Glen Shee, czułem tylko gniew. Żebyś wiedziała, jakie spory toczyłem z ojcem! Myślałem, że moja noga nigdy tu już nie postanie... A gdybym wrócił, nie mógłbym nikomu w dolinie spojrzeć prosto w oczy.

Popatrzyła na męża. Ogarnęło ją nagłe współczucie dla niego. Ile musiał wycierpieć jako syn i spadkobierca tego aroganckiego egoisty! Czekala na dalsze zwierzenia.

- Byłem pewny, że to, co robi ojciec, jest złe. Zniszczył Glen Shee i unieszczęśliwił kilkuset ludzi. Ale przejdę do tego, o czym powinnaś wiedzieć. - Położył ręce na jej ramionach. - Gdy odjeżdżałem tamtego dnia, usłyszałem śpiew jakiejś kobiety. Stała na zboczu, jej włosy błyszcząły jak miedź... - Musnął dłonią niesforne miedzianozłote loki żony,

okryte siatką. - I pieśń, którą śpiewała, zapadła mi głęboko w serce. Podzielałem jej ból, choć ona nie mogła o tym wiedzieć...

- Teraz już wie - powiedziała miękko Catriona.

- Tak też myślałem! - odparł. - Czułem, że to byłaś ty. A w dniu, gdy spadłem ze zbocza, usłyszałem ten sam głos. Podniosłem się, ale we mgle nic nie rozpoznawałem; a to, że uderzyłem się w głowę, też nie poprawiło sytuacji. Ale szedłem za twoim głosem, przedzierałem się przez gęste opary, i tak dotarłem do pasterskiego traktu. Gdyby nie to, pewnie pośliznąłbym się i spadł ze znacznie groźniejszej wysokości.

- Słyszałeś, jak śpiewam? Wracalam ze spotkania z Morag - powiedziała cicho z podziwem. - Ćwiczyłam pieśń, której mnie właśnie nauczyła. Nie miałam pojęcia, że jej brzmienie pomogło ci dotrzeć do mnie.

- Twoja pieśń mnie ocaliła, kochanie.

Przytulił ją jeszcze mocniej, a ona oparła głowę na szerokim, silnym ramieniu. Wdychała zapach i upajała się bliskością męża.

- Och, Evanie... - szepnęła. - Naprawdę nie wiedziałam... - Jak dużo muszę się jeszcze o nim dowiedzieć, pomyślała z zadumą.

Zrobił krok do tyłu i spojrzał na Catrionę.

- Widzisz więc, że nie tylko raz ocaliłaś mi życie - powiedział. - Po zwól, żebym się teraz odwdzieczył. Co mógłbym dla ciebie uczynić?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Chcesz mi pomóc?...

- Występki mojego ojca spowodowały wiele bólu i nieszczęścia w tej dolinie, Catriono. Dobrze to wiem. Zdaję sobie również sprawę, że ucierpieli nie tylko ludzie, ale i kultura. Robisz, co możesz, by uratować dziedzictwo. Może w tym ci jakoś pomogę?

Przez długą chwilę wpatrywała się w niego, z początku z niedowierzaniem i zdziwieniem. Ale jego szczerość była autentyczna. Catriona poczuła, że rośnie w niej ufność i wdzięczność.

Nie mogła jednak opowiedzieć Evanowi o Finlayu i dawnych dzierżawcach. Jeszcze nie teraz! Zaczęła jednak mieć nadzieję, że kiedyś, niebawem, wyjawি mu wszystko, a on ją zrozumie. Przypomniała sobie pogroźki Kennetha Granta i postanowiła, że wstrzyma się jeszcze ze zwierzeniami, przynajmniej do czasu następnej rozmowy z Grantem. Postara się go skłonić, żeby nie wtrącał się w nie swoje sprawy.

Potem przyszło jej na myśl, w czym Evan mógłby okazać się pomocny. Nie zamierzała opowiadać mężowi o Florze i jej czarodziejskich pieśniach. Ale wyjaśniła mu, skąd się wzięła jej uporczywa chęć uczenia się na pamięć starych pieśni. Evan słuchał z wyraźnym zainteresowaniem.

- Czarodziejskie pieśni zachowały się podobno tylko w Glen Shee - opowiadała, a Evan kiwał głową ze zrozumieniem. - Znam ich do tej pory zaledwie kilka. Wiem jednak, że jest w nich coś magicznego, jedyne w swoim rodzaju. Jeśli opuścę Kildonan i Glen Shee, Evanie, nigdy się ich nie nauczę. Czy potem znajdzie się ktoś, kto by kontynuował moje dzieło? Flora nie przekaze ich byle komu, kto się po nie zgłosi. Obawiam się, że prędzej zabierze je ze sobą do grobu. Pieśni po prostu znikną. Ona jest bardzo stara i uparta.

- A ciebie zamierza uczyć?

- Owszem, jeśli wypełnię powierzone przez nią zadanie. - Opowiedziała o kryształach wróżek, który miała przynieść. Była przygotowana, że Evan uzna to wszystko za nonsens.

Pochylił głowę i słuchał uważnie.

- A ty jesteś gotowa poszukać dla niej tego kamienia?

Przytaknęła.

- Owszem, jeśli dzięki temu uzyskam dostęp do bezcennych pieśni. Ale nie wiem nawet, czy to jest w ogóle wykonalne.

Roześmiał się sucho i potrząsnął głową ze zdumienia.

- A ja myślałem, że unikasz wszelkiego ryzyka!

- Uczę się stawiać mu czoło - powiedziała. - Za twoim przykładem.

- Ja też uczę się od ciebie mnóstwa rzeczy, kochanie! - zapewnił szeptem i znów zacisnął ręce na jej ramionach. Pochylił się ku żonie i całował przez chwilę.

- Poszedłbym sam na tę górę i przyniósł kamień, ale musisz zrobić to osobiście - odezwał się po chwili. - Tylko ty wiesz, co masz jej wręczyć. Mogę jednak zadbać, byś dotarła tam bezpiecznie i pomóc ci w poszukiwaniach. Nie będziemy co prawda sami. Sądząc z entuzjastycznych projektów, które ciągle obijają mi się o uszy od dwóch dni, na szczycie góry będzie okropny tłok! Co ty na to, Catriono Bhrn?

Z szerokim uśmiechem Catriona rzuciła się Evanowi w objęcia. Pocałował ją raz, drugi... za każdym razem mocniej, gorącej. Deszcz stukał wciąż o szyby.

Nagle Evan cofnął się nieco, chwycił dziewczynę za biodra tak, by przywarły do jego bioder, i zaczął się kołysać. Catriona nie tylko zorientowała się od razu, o co mu chodzi, ale sama tego zapragnęła - i to niezwłocznie! Serce w niej tłukło się na samą myśl o intymnym zbliżeniu.

- Widzę, kochanie, że brakowało ci czułości - wymruczał, pochylając się, by potrzeć swoim nosem o jej nos.

- Tak - wyszeptała, a jej ciało zaczęło pulsować, boleśnie stęsknione za pieszczotami Evana.

- To dobrze. - Odciągnął ją od kominka i nieco przytłaczającego portretu. Nie puszczając ręki żony, ruszył do niewielkiej, pełnej książek alkowy, w której stał tylko obity skórą fotel. Wciągnął ją do tego niewielkiego pomieszczenia i dotknął wargami jej warg. Pospieszny, niemal bolesny pocałunek przeszył Catrionę niczym błyskawica.

Z trudem chwytając dech, wygięła się do tyłu w jego uścisku. Gdy Evan walczył ze zbuntowanymi guziczkami przy jej bluzce, Catriona próbowała ściągnąć z niego żakiet. Zaczęła śmiać się po cichu, gdyż nowe uczucie pienilo się w jej krwi niczym szampan. Było to połączenie radości i swobody, namiętności i zachwytu. Nie mogąc uporać się z jego ubraniem, podobnie jak on z jej guzikami, ucałowała i przytuliła Evana, który widocznie zaraził się od niej śmiechem.

- Lepiej się pospieszmy! - mruknęła, zatrzymując go równocześnie kolejnym szybkim i zgłodniałym pocałunkiem.

- Tak - odparł krótko. Schylił się jeszcze niżej, by dotknąć ustami piersi i ściągnął niżej gorset. Gdy musnął gorącym językiem sutek, Catriona jęknęła i wyprężyła się w łuk. - Tym razem, Catriono Bhrn, sądzę, że pośpiech będzie pożądanym - szeptał, a jego oddech pieścił delikatną skórę.

Ucałował pospiesznie jej wargi. Pewnie krzyknęłaby z rozkoszy, gdyby nie zamknął jej ust kilkoma jeszcze żarliwszymi pocałunkami. Mocna dłoń wtargnęła pod spódnicę, spychając na bok halki i docierając wreszcie do bardzo wygodnego rozcięcia w pantalonach. Catriona jęknęła. Pieszczota zręcznej i twardej dłoni była nieprawdopodobnie podniecająca. Serce waliło dziewczynie jak szalone. Wiła się w jego ramionach, przyjmując i oddając pocałunki. Marzyła, by jak najszybciej uwolnić się od reszty ubrania, znów poczuć żar jego ciała.

Evan zagłębił się w fotelu i pociągnął ją przodem na kolana. Spódnica i halki falowały niczym wzburzone morze, przelewały się przez poręcz fotela. Zwinnie rozpięta mu spodnie, a gdy pieszczotliwie ujęła w dłoń jego rozpaloną, twardą męskość, Evan jęknął głucho i pospiesznie zmienił pozycję. Po chwili pokierował Catriona, by wprowadziła go do swojego wnętrza. Zanurzył się tak głęboko, że każde pchnięcie trafiało do najgłębszej i najtajniejszej kryjówki jej ciała. Gdy upajali się niema rozkoszą w alkowie, mogli się nawet nie obawiać skandalu, bo skromna, ciemna spódnica zasłaniała wszystkie widoki nie przeznaczone dla

świadków.

To, co się działo w ciele Catriony, było tak dynamiczne, płomienne i nowe, że nie była w stanie myśleć - kołysała się tylko instynktownie. Oboje porwał odwieczny rytm, a Catriona czuła, że wypełnia ją wewnętrzne światło.

To nie może być grzeszne, mówiła sobie. Jest takie naturalne, cudowne... Jej rozproszone myśli splatały się uparcie w refren, który miał na zawsze pozostać w sercu: to jest słuszne, właściwe, stworzone dla nas!

24

Zawsze wydawało się Evanowi - od czasów, gdy jako mały chłopczyk, uwieszony matczynej ręki, zmierzał do kościoła - że w niedzielny poranek słońce wyjątkowo łagodnie świeci, powietrze jest bardziej rześkie, pogoda nigdy nie robi głupich kawałów, a ptaki ćwierkają wyjątkowo melodyjnie.

Ale całkiem inny nastrój panował w Glenachan: atmosfera była ciężka, niemal burzliwa, światło mętne i przyćmione, a w okolicy nie mieszkaly żadne ptaki lub nauczyły się, że ich trele w niedzielny poranek są absolutnie zakazane.

W trakcie podanego w południe obiadu Evan siedział na plebanii obok swojej żony. Gdziekolwiek spojrzął, wszędzie pełne napięcia twarze członków jej rodziny: u szczytu stołu ojciec Catriony, z lwią grzywą, barczysty. Jego oblicze wyrażało gniew i zdumienie. Dalej skwaszona i milcząca ciotka. Nawet brat zachowywał się całkiem odmiennie niż zwykle: wydawał się przygaszony i sądząc ze zmarszczki na czole, miał niezbyt wesołe myśli. Catriona była cicha i prześliczna. Teraz zawsze wydaje mi się piękna, ilekroć na nią spojrzę, pomyślał Evan.

Posilali się w milczeniu. Jedzenie okazało się niewyszukane, ale pożywne: pieczeń wołowa na zimno, jarzyny i pajdy chleba grubo posmarowane masłem. Wszystko zostało przygotowane w sobotę, zgodnie ze ściśle przestrzeganą w domu pastora zasadą święcenia dnia świętego. Evan zdumiał się, gdy Judith Rennie i Catriona wstały od stołu i powróciły z kuchni ze smakowitym deserem: ciastka z jabłkiem i budyń śliwkowy, a po nich mocna, dobra kawa. Evan przypuszczał, że przy stole proboszcza nie tolerowano żadnych słodczy ani niczego, co sprawiałoby rozkosz podniebieniu.

Obiad nastąpił po długim ranku, spędzonym na modlitwie i czytaniu ustępów ze Starego i Nowego Testamentu, zwanych tu po prostu Księgą. Po przybyciu do Glenachan Evan i Catriona zasiedli wraz z innymi przy stole w jadalni, a pastor przez godzinę odczytywał wybrane fragmenty z Biblii. Następnie wszyscy przeszli do pobliskiego kościoła, gdzie zebrała się niewielka grupka górali, parafian wielebnego MacConna, oraz goście z zamku Kildonan. Wielebny Tomasz MacConn wygłosił kazanie oparte na przypowieści o dobrym Samarytaninie - najpierw po gaelicku dla miejscowych, potem po angielsku dla gości.

Zaskakujący temat, biorąc pod uwagę, że córka pastora MacConna została niedawno odrzucona przez najbliższą rodzinę za ocalenie życia nieznanemu mężczyźnie, myślał Evan. A może wybór tematu nie był przypadkowy i wielebny MacConn w ten sposób chciał przeprosić za wyrządzoną krzywdę?, rozważał dalej Evan. Doznał ulgi już na samym początku wizyty na probostwie, gdy ujrzał, jak ciepło Catriona została przyjęta przez rodzinę. Oczywiście na tyle ciepło, na ile zdolny był do tego szorstki MacConn wraz z siostrą z wiecznie zaciśniętymi ustami. Samego Evana traktowano z chłodną uprzejmością. Wielebni John Wilkie i Tomasz MacConn, wdali się w dysputę dotyczącą przygotowywania kazań. Pozostali goście mogli pokrzepić się po bardzo długim nabożeństwie: ugoszczono ich na plebanii ciastkami i lemoniadą. Opuścili probostwo, nim wybiło południe. Do wczesnego obiadu zasiadła tylko rodzina.

W końcu posiłek dobiegł końca i Evan miał nadzieję, że wreszcie będą mogli wraz z Catriona opuścić plebanię. Jednak proboszcz rozpoczął kolejną rundę odczytów z Biblii. Evan cierpliwie słuchał niekończących się fragmentów, gdyż wyjście w tym momencie byłoby

rażącą niegrzecznością. Nie mógł więc przyłączyć się do swoich gości, których, prawdę mówiąc, miał również obowiązek zabawiać, a przynajmniej im towarzyszyć.

Ostatecznie jednak, gdy zdał sobie sprawę z tego, jak długo pan Gillie cierpliwie czeka na nich na koźle gigu, Evan uprzejmie przeprosił za wcześniejsze wyjście, tłumacząc się powinnościami gospodarza. Spodziewał się, że Catriona chwyci szal i czepek, zadowolona z pretekstu do opuszczenia probostwa. Ale siedziała jak przymurowana, ze skromnie splecionymi rękoma na podółku i nieco wymuszonym uśmiechem. Wyglądała tak, jakby nie miała najmniejszego zamiaru opuścić Glenachan po raz drugi.

Serce Evana przeszył nagły ból. Może istotnie jego żona postanowi zostać w ojcowskim domu, kiedy rodzina przyjęła ją znów na swoje łono?... Może wpływ krewnych był tak potężny, że położył się cieniem na ich wspólnym życiu?... Może sama Catriona doszła do wniosku, że zawarte na prędcie małżeństwo było w gruncie rzeczy bezsensowne? Z jej twarzy nic nie mógł wyczytać, czy miała spuszczone. Evan nie umiał odgadnąć nastroju ani stanu ducha żony.

- Wpadnij po mnie po południu i zabierz z powrotem do Kildonan, dobrze? - zaproponowała. - Po podwieczorku... o ile masz ochotę.

- Oczywiście! - wymamrotał.

Poczuł niesłychaną ulgę. Przed chwilą myśl o dalszym życiu bez Catriony poraziła go jak potężny cios. Cały dzień niezwykle wyraziście zdawał sobie sprawę z palącej namiętności, którą w nim rozbudziła, oraz niezwyklego znaczenia, jakie miała dla niego nieznana dotąd miłość. Uświadomił sobie w całej pełni, jak bardzo pragnął samej obecności Catriony w każdej godzinie życia, przy rozstrzygnięciu choćby najbardziej przyziemnego problemu.

- Jestem pewna, że chcesz poświęcić swoim gościom jak najwięcej uwagi - mówiła dalej Catriona. - Pogoda taka piękna! Założę się, że panna Jemima zaplanowała już wyprawę powozem do jakiegoś bardzo malowniczego zakątka!

- Wyprawę powozem - powtórzyła pogardliwym tonem Judith Reilly. - W niedzielę?

- A tak - odparła Catriona, posyłając ciotce nieugięte spojrzenie. - W niedzielę.

Wysunęła podbródek z wyrazem łagodnego uporu, dobrze już znanym Evanowi. Zauważył również, że Catriona nie zamierza krytykować zasad ojca ani okazywać mu braku szacunku, wychodząc wraz z mężem.

Z ukrywanym rozczarowaniem Evan pocałował żonę w rękę; krępował się pocałować ją choćby w policzek na oczach nachmurzonego ojca i spoglądającej wilkiem ciotki. Uprzejmie powiedział im „do zobaczenia” i opuścił plebanię.

Ledwie gig odjechał spod domu wielebnego i skręcił w polną drogę, biegnącą przez wrzosowisko, Catriona odwróciła się od okna bawialni i spojrzała na brata.

- Kiedy? - spytała.

- Niebawem - odparł. - Musimy dać hrabiemu Kildonanowi trochę czasu na dotarcie do celu; to przecież najodleglejszy zakątek naszej doliny. Zapakujemy trochę jedzenia dla MacLeodów, zaprzęgniemy do wózka kuca i pojedziemy po nich do oberży pani MacAuley. Z pewnością dobrze ich nakarmiła, przecież to także jej krewniacy, ale powinni mieć jakieś zapasy! Potem zawieziemy ich do chaty owczarzy. Czekam tylko na jeszcze jedną osobę, która obiecała nam pomóc.

Catriona skinęła głową. Przypuszczała, że będzie to ktoś z MacLeodów. Może Morag albo jej mąż? A może syn pani MacAuley. Wyjrzała znowu przez okno. Gig zniknął z pola widzenia. Przez chwilę walczyła ze sprzecznymi uczuciami. Wiedziała, że nikt nie miałby jej za złe, gdyby odjechała z mężem. Mogłaby spędzić miłe niedzielne popołudnie w towarzystwie Evana, choć ojciec i ciotka nie byliby zadowoleni, że pragnęła wyruszyć na wędrowkę dla samej przyjemności przebywania z mężem w tak piękny dzień. Catrionie podobna wyprawa wcale się nie wydawała grzechem.

Ale przecież niedziel w towarzystwie Evana z pewnością jej nie zabraknie. Gorąco chciała w to wierzyć. Miała też nadzieję, że w końcu znajdą jakieś rozwiązanie problemu sprzedaży posiadłości Kildonan i związanego z tym rozpadu ich małżeństwa.

Dzisiaj jednak miała uczestniczyć w znacznie ważniejszym zadaniu. Wiedziała, że brat może sam przewieźć rodzinę MacLeodów do chaty owczarzy i pomóc im zadomowić się, ale pragnęła wspierać go swoją obecnością.

Poza tym, była teraz hrabiną Kildonan i chciała wyraźnie okazać nowo przybyłym, że w Glen Shee nie są uciekinierami, którzy wrócili bezprawnie w te strony, ale gorąco oczekiwanymi przyjaciółmi.

Do bawialni wszedł ojciec, opierając się na lasce. Catriona zerknęła niespokojnie na brata. Ciekawe, co by tata powiedział, gdyby odkrył, jak zamierzają spędzić niedzielne popołudnie?, zastanawiała się przez chwilę.

- Jesteście już gotowi? - spytał Finlaya Tomasz MacConn. - Gotowi...?

Catriona spoglądała to na jednego, to na drugiego.

- Przewieźć nowych lokatorów do chaty owczarzy - odpowiedział ojciec. - Obiecałem Finlayowi, że mu pomogę.

- Ależ, tatusiu! Przecież to niedziela! - wypaliła, bardziej zdumiona niż zaniepokojona jego decyzją.

Odwrócił się do córki i obdarzył ją jednym ze swoich ogromnie rzadkich uśmiechów. Pamiętała, że dawniej, gdy była jeszcze małą dziewczynką, ojciec często się uśmiechał. Ale dopiero w tej chwili zorientowała się, jak bardzo jej brakło ojcowskiego uśmiechu.

- Wiem, że to dzień naszego Pana, córko. A to, do czego przyłożymy rękę, to Jego dzieło. - Otworzył drzwi i skinął na dwójkę swoich dzieci by szły za nim.

- Lady Kildonan znalazła ciebie właśnie tu, przy tym trakcie? Fascynujące! - rzekła Jemima. Szła obok Evana pasterskim traktem, który ciągnął się poza szczyty gór w jedną stronę, w drugą zaś schodził do doliny Glen Shee. - Jaka szkoda, że Jeanie i Harry opuścili już Kildonan! Z pewnością siostra chciałaby zobaczyć dokładnie, gdzie się błąkał, hrabio. Mówiła, że to wszystko było nad wyraz romantyczne!

- Rzeczywiście - odparł kąśliwie Evan. - Leżałem nieprzytomny, z zakrwawioną głową. A biedna Catriona musiała wlec mnie jak ciężki i nieporęczny pakunek po zdradliwych, oblodzonych stokach. Wyjątkowo romantyczne. Zdumiewające, że nie wypaliła mi, kiedy odzyskałem wreszcie przytomność, miażdżącego kazania na temat wspinaczki podczas mgły i śniegu z deszczem, słowo daję!

- Twoja hrabina okazała się niezwykle dzielna - wtrąciła Emily Murray. - Nie sądzę, żebym zdobyła się na coś podobnego... Gdzie dokładnie przewróciłeś się, kuzynie? - spytała, rozglądając się dokoła.

Evan przystanął, potem odwrócił się.

- Tutaj - odpowiedział po minucie. Wskazał palcem wzwyż i na lewo. - Na tym skalistym stoku.

Wielebny Wilkie, idący z żoną tuż za Evanem i jego kuzynkami, odwrócił się, by spojrzeć we wskazanym kierunku i osłonił dłonią oczy przed słońcem.

- Mówi pan o tym czarnym i zdecydowanie antypatycznym zboczku tam daleko, u góry? To musiało być paskudne, twarde lądowanie, milordzie! Aż dziw, że je przeżyłeś! Jeśli wspiąłeś się po tej stronie i dotarłeś aż tak daleko, jesteś albo wyjątkowo dobrym alpinistą... albo już wcześniej upadłeś na głowę, hrabio! - Pastor uśmiechał się, pokpiwając dobrodusznie.

Evan parsknął śmiechem, potem wzruszył ramionami.

- Rozpocząłem tamten dzień, wierząc święcie w to pierwsze, ale pod wieczór skłaniałem się raczej do drugiej opinii.

- Dopóki nie spotkałeś na swojej drodze anioła stróża - dodała Jemima. - Od tej pory

uważasz się pewnie za wyjątkowego szczęściarza.

- Istotnie - mruknął, uśmiechając się do siebie.

- Ale chyba są również łatwiejsze podejścia na szczyt Beinn Shee? - Jemima zmierzyła wzrokiem urwiste zbocze.

- Owszem, jednak od pewnej wysokości wszystkie stają się bardzo trudne, o ile pamiętam - odparł Evan.

- Nasz Szkocki Klub Alpinistów postanowił jednogłośnie zdobyć szczyt Beinn Alligin i Beinn Shee podczas zapoznawania się z Torrironami - powiedziała Jemima. - Musimy więc znaleźć szlak, który zadowoli wszelakie gusta. Żadne z nas nie zdecyduje się z pewnością na wspinaczkę po tej czarnej pionowej ścianie!

- Z wyjątkiem Kildonana i pana Fitzgibbona - uściśliła Emily. - I być może pana Granta. Wydaje się, że lubi trudniejsze podejścia.

Pastor, zatopiony w cichej rozmowie z żoną, odwrócił się do nich.

- Milordzie, oboje z żoną zastanawiamy się, gdzie stoi chata owczarzy.

- Całkiem niedaleko, po tamtej stronie grani - wyjaśnił Evan, wskazując palcem. - Trochę w bok od traktu i niżej na stoku, koło strumienia.

- Mam nadzieję, że ją zobaczymy. Chciałbym wykorzystać każdy barwny szczegół w mojej książce o Torrironach. - Wilkie uśmiechnął się, wziął żonę pod rękę i podeszli spacerowym krokiem do grani.

- O, wreszcie są: Wetherstone, pan Grant i pan Fitzgibbon - oznajmiła Jemima i odwróciła się, gdy trzej panowie sforsowali kolejne wzgórze. - Przez całe popołudnie zostawali w tyle. Trzeba im zapowiedzieć, że podczas trudniejszych wypraw nie wolno tego robić. Musimy wszyscy trzymać się razem. Pomyślcie choćby o tym, co się zdarzyło, kiedy pan Fitzgibbon i kuzyn Evan zgubili się we mgle!

- Nie miałabym nic przeciwko gubieniu się we mgle, gdybym w ten sposób mogła spotkać jakiegoś interesującego dżentelmena! - oświadczyła Emily i obdarzyła Evana tak uroczym, przekornym uśmiechem, że musiał się roześmiać.

- Hop, hop, Kildonan! - zawołał Arthur, zbliżając się w towarzystwie Granta i Wetherstone'a. - Planujecie trasę na jutro?

- A jakże, Fitz! Myślę, że tobie wyznaczymy podejście po czarnej ścianie, żebyś mógł zapoznać się dokładnie z ukochanym gnejsem - wycedził Evan. - A reszta przejedzie się na kucach po pasterskim trakcie. Nasi pomocnicy przydźwigają kosze i urządzimy sobie piknik na szczycie.

- Zgoda, o ile nie będzie śniegu z deszczem. - Arthur uśmiechnął się szeroko.

- Święte słowa: niełatwo było sobie poradzić na lodowatej powłoce - przytaknął Evan.

- Ja ci obmyślę trasę, Arthurze, jeśli naprawdę chcesz się wdrapać na szczyt - obiecał Kenneth Grant, nie tylko poważnym, ale wręcz posępnym tonem. - Znam wyższe partie tych niebezpiecznych stoków. Gdzieniedzie skały są obruszone, a grań taka ostra, że niemal nie do pokonania przez mężczyznę... nie mówiąc już o damach w spódnicach. - Zerknął w stronę pań.

- Pan MacConn zgodził się być naszym przewodnikiem, jeżeli zdecydujemy się na wspinaczkę - powiedział Evan. - Jeśli pan ma ochotę, proszę przyłączyć się do nas. Potrafimy ocenić pańskie doświadczenie.

- Nie wątpię - odparł Grant. Arthur sięgnął do kieszeni.

- Spójrz. Znalazłem kilka wyjątkowo ładnych kamyków z Cairngorm, kiedy tu wróciliśmy. - Wyciągnął garść połyskliwych kryształów z zadymionego kwarcu.

Jemima i Emily aż wykrzyknęły, zdumione pięknem okazów.

- Kildonan! - Na szczycie zbocza ukazali się państwo Wilkie i wymachując rękami, zmierzali ku pozostałym członkom wyprawy. - Mówił nam pan, hrabio, że to opuszczona, waląca się rudera - odezwał się pastor. - Jest pan tego pewny?

- Jak najbardziej. Brakowało połowy dachu - potwierdził Evan. - To zaraz za tym wzgórzem.

- Ależ tam stoi uroczy mały domek - odezwała się Anna Wilkie. -I ktoś w nim mieszka. Widzieliśmy dym unoszący się nad strzechą, a obok domku wózek zaprzężony w kuca. Bardzo malownicza scenka! Zrobię szkic do twojej książki o wspinacze w Torridonach, mój drogi - obiecała mężowi.

- Uroczy domek?

Evan był wyraźnie zaskoczony. Ruszył w stronę chaty owczarzy, a za nim podążali inni. Gdy znalazł się na szczycie, zamarł ze zdumienia.

To była z pewnością ta sama chata, w której omal nie zamarzli z Catrioną w pamiętną mroźną noc, podczas nieoczekiwanej śnieżnej zawieruchy. Ta sama chata, której wtedy brakło połowy dachu, a w ścianach były dziury na przestrzał, więc wpadały do wnętrza lodowate podmuchy północnej wichury. Ta sama - a jednak zmieniła się w porządną i przytulną siedzibę jakiejś góralskiej rodziny.

Dach naprawiono: na starej strzesze położono nowe łąty. Podwórze pozamiatano. Koło drzwi, świeżo pokrytych warstwą czerwonej farby, ułożono porządną zapas torfu. Dziury w kamiennych ścianach wypełniono tak niedawno, że zaprawa murarska nie zdążyła ściemnieć. Wydobywający się z otworu w dachu dym krętą smużką zmierzał leniwie ku niebu. Obok domu rzeczywiście stała jednokonka.

Evan przypomniał sobie, że Finlay przebąkiwał o naprawieniu starej chaty, ale zdziwił się, co skłoniło rządcę do tak błyskawicznej reperacji. Zaciekało go również, kto teraz tam mieszka.

Drzwi otworzyły się i ktoś wyszedł z wnętrza chaty. Evan ujrzał miedzianowłosą głowę i dobrze mu znaną, uroczą postać żony. Catriona odwróciła się, by powiedzieć coś do osoby wychodzącej za nią. Był to Finlay, a zaraz po nim ukazał się Tomasz MacConn.

Evan zdumiony, że cała trójka wybrała się na wyprawę w niedzielę, skrzyżował ręce na piersi i ze szczytu wzgórza obserwował, co będzie dalej. Rzeński wiatr omotał mu płaszcz wokół ciała, targał włosy i przewiewał go na wskroś. Pogoda w sam raz na spacer szybkim krokiem, pomyślał. Ale nie na wystawanie na szczycie wzgórza, gdzie hula zimny wichur.

Z chaty wyszedł jeszcze jeden mężczyzna, a za nim kobieta z niemowlęciem na ręku. Dwoje większych dzieci kryło się lękliwie za plecami matki. Evan zauważył, że wszyscy nieznajomi byli nędznie ubrani, a dzieciaki nie miały bucików; wyglądały jednak na zdrowe, żwawe skrzaty. Catriona uścisnęła rękę kobiety i schyliła się, by pogłaskać dzieci po główkach. Powiedziała coś do nich, po czym odsunęła się na bok.

Trójka MacConnów wróciła do wózka zaprzęzonego w kuca, a pięcioosobowa rodzina weszła do naprawionej, przytulnej chaty zamknęła za sobą drzwi.

- Co się tam dzieje, do licha?! - mruknął pod nosem Evan.

- Wybacz, Kildonan. - Grant podszedł do niego i przez chwilę obserwował scenę rozgrywającą się na dole. - Zamierzałem ci o tym opowiedzieć. Czekałam tylko, aż zdobędę niepodważalny dowód. Otóż i on!

- Jaki znów dowód? - warknął Evan.

- Od pewnego czasu podejrzewałem, że twój rządcą na własną rękę sprowadza tu nowych dzierżawców, bez zgody i wiedzy właściciela. I to jakich! Tych, którzy zostali stąd wygnani bez prawa powrotu. Oto najnowsza grupa takich „repatriantów”.

Evan zmrużył oczy. Spostrzegł, że Catriona i obaj towarzyszący jej mężczyźni wsiadają na wóz. Na szczyt dotarli Arthur, państwo Wilkie i obie panny Murray.

Nagle Catriona zatrzymała się, spojrzała w kierunku wzgórza i zobaczyła grupę obserwatorów. Powiedziała coś do ojca i brata, i ruszyła w stronę Evana. Fałdy jej ciemnej sukni powiewały na wietrze. Obaj MacConnowie poszli w jej ślady, tylko nieco wolniej.

Evan pospieszył ze szczytu na spotkanie żony. Dzięki długim nogom z łatwością

wyprzedził pozostałych i spotkał się z Catriona u podnóża długiego, trawiastego zbocza, skąd wiodła prosta droga na pasterski trakt.

Zatrzymał się i czekał, aż żona sama zrobi kilka ostatnich kroków.

- Co to wszystko znaczy? - spytał po cichu. - Wiem co nieco od Gran- ta. Teraz chcę usłyszeć twoją wersję.

Spoglądała na męża przez chwilę, potem wyminęła go, spiesząc tam, gdzie czekał Grant i reszta uczestników wyprawy. Uniosła wojowniczo brodę.

- Zapewniliśmy dach nad głową i daliśmy pracę tutajszym góralom, którzy przed wielu laty musieli opuścić Glen Shee.

- Nie „my”! - zaprotestował Finlay, podchodząc do gromadki. - Tylko ja ponoszę za to odpowiedzialność!

- Ja też - oświadczył Tomasz MacConn.

Cała trójka MacConnów wpatrywała się w Evana. Wszyscy byli wyprostowani, krzepcy i mieli wyzywające miny.

- Ile rodzin tu sprowadziliście? Od jak dawna to trwa? - spytał cicho Evan.

- Sprowadziłem do doliny osiemnaście rodzin - odparł Finlay. - W ciągu dwóch lat. Wszyscy zostali wypędzeni przez twojego ojca, milordzie. To była wyłącznie moja decyzja. Uznałem, że jako rządca mam prawo i powinienem to uczynić.

- Pomagałam mu - upierała się Catriona.

- Cicho bądź! - ofuknął ją brat. - Szukałem ich wszędzie i niektórych odnalazłem. Ci żyli w rynsztokach Glasgow. Nie mieli żadnej pracy. Zbierali wodorosty i kawałki drewna, które morze wyrzuciło na brzeg. Albo szukali po śmietnikach szmat, żeby dostać za nie kilka nędznych groszy. Sprowadziłem ich tu, pomogłem naprawić dawno porzucone domy lub odbudować spalone. I zapewniłem im pracę.

- Przy owcach - domyślił się Evan. - Spędzanie stad. Strzyża. Spis zwierząt.

Finlay potwierdził skinieniem głowy.

- I naprawianie domów dla innych - dorzucił i wskazał chatę owczarzy.

- Wielu z nich znało się na tkactwie. Nawet wyroby z wełny kilku własnych owiec przynoszą jakiś dochód rodzinie - wtrąciła Catriona.

- Domyślałam się, że mowa o tych robótkach na drutach, które stały się takie modne w dolinie - powiedział Evan sucho i pośpiesznie.

Catriona przytaknęła. Zauważył, że najnowsi przybysze wyszli z chaty całą rodziną i niepewnie skierowali się w ich stronę.

Evan nie miał pojęcia, co powiedzieć, co zrobić. Wiedział, że dochód z majątku zależał od garstki ludzi, którzy doskonale umieli sobie radzić z kilkoma tysiącami owiec... z pewną pomocą robotników najemnych, zatrudnionych wiosną na kilka miesięcy. Wiedział także, iż jego ojciec wypędzał z domów i ojczystych stron ludzi, by zapewnić lepsze warunki zwierzętom hodowlanym. Jego decyzje były starannie przemyślane, zgodne z logicznymi zasadami ekonomii: im w posiadłości mniej ludzi, a więcej owiec, tym większy zysk. Im więcej stąd odejdzie rdzennych mieszkańców, tym lepiej. Przez całe wieki szkoccy górale mieli w swoich rękach pokaźne kawały ziemi. A jak je wykorzystywali? Zależało im przede wszystkim na wykarmieniu rodziny. Mieli więc ogródek warzywny i pastwisko dla nielicznych owiec i krów. Parali się również tkactwem czy innym rzemiosłem. Ot, papranina! Tymczasem w umiejętnie prowadzonym wielkim gospodarstwie dochód przynosiły nie tylko owce. Można było również dobrze zarobić, wynajmując za ciężkie pieniądze część posiadłości na tereny łowieckie albo wypoczynkowe.

Evan zmrużonymi oczyma, w milczeniu, wpatrywał się w MacConnów. Nowi przybysze całą rodziną podeszli do nich bliżej. Czuł, że za jego plecami rośnie tłumek jego gości. Wszyscy oczekiwali, że przemówi, powie coś o przełomowym znaczeniu: zażąda rekompensaty za nadużycie jego zaufania, każe podporządkować się słusznemu wyrokowi,

zagrozi Finlayowi więzieniem za lekceważenie rozkazów właściciela majątku i działanie wbrew jego interesom.

Catriona wpatrywała się w męża z jeszcze większym natężeniem niż inni. Stała bez ruchu, jej włosy płuły na szarym tle chmurnego nieba, spódnica trzepotała na wietrze. Twarz miała pobladła, ale cała postawa świadczyła o sile i determinacji. Evanowi wydawało się, że stoi przed nim starożytna bohaterka, celtycka władczyni, gotowa bronić swojego ludu za wszelką cenę.

Szanował jej miłość do ziomków, mieszkańców tej doliny oraz do ich kulturowego dziedzictwa. Nosila te uczucia głęboko w sercu i gotowa była ich bronić, i służyć im z największym oddaniem - jak rodzona matka lub bogini ziemi. Evan kochał ją również za wrażliwość na cudzą niedolę - i siłę zrodzoną z potęgi gór.

Potrafił także docenić odwagę i pomysłowość, bez których ani Finlay ani Catriona nie wypełniliby swojej misji.

- Widzisz, Kildonan? Jest dokładnie tak, jak podejrzewałem - odezwał się z triumfem Grant, który podszedł od tyłu do hrabiego i stanął tuż za nim. - Ta wołająca o pomstę do nieba niesubordynacja rządcy z pewnością odbije się na zyskach z majątku. Tego człowieka należałoby aresztować! W sumie to przestępca. A proboszcz stanął po jego stronie i nie uszanował świętej niedzieli! Gdyby zawiadomić o tym władze kościelne, straciłby parafię! Aż przykro o tym mówić - monologował Grant. - A pani hrabina? - dorzucił. - Czy także uwikłała się w tę niesmaczną aferę?

- Cicho bądź, Grant! - burknął Evan. Nawet się nie odwrócił do Kennetha, choć z największą przyjemnością dałby mu po gębie.

- Co, u diabła?! Bardzo się cieszę, że zrezygnowałem z kupna tej ziemi, Kildonan - stwierdził Wetherstone. - Nie ścierpiałbym takiego buntownika we własnej posiadłości! Panie Grant, niech pan jeszcze raz przemyśli swoją ofertę, tak jak ja!

- To nic wielkiego. Poradziłbym sobie z tym problemem raz dwa - odparł gładko Grant. - Kazałbym ich znowu wyrzucić. I zatrudniłbym, rzecz jasna, nowego rządcę. A obecny dostałby z miejsca wymówienie. Może nawet znalazłby się za kratkami.

Evan miał już tego dość. Gwałtownie wbił koniec swojej laski głęboko w ziemię i spojrzał na Finlaya.

- Dopisałeś tych nowych dzierżawców do listy zatrudnionych przy starym moście? - spytał surowym tonem. - Wyraźnie ci to poleciłem.

- Co...? Przy naprawie mostu?... - wymamrotał zdezorientowany rządcą.

- Właśnie. Chcę, żeby pracował przy tym zgrany zespół. Liczę, że dobierzesz odpowiednich ludzi spośród wszystkich nowych dzierżawców, których ostatnio sprowadziłeś do Glen Shee. Nie zapominaj, że sam cię upoważniłem do podejmowania decyzji w tej sprawie.

- Sam upoważniłem?! - Grant nieomal wypluł z siebie te słowa.

- Ależ oczywiście! Czyżbyś naprawdę sądził, Grant, że mój rządcą podjął decyzję tej wagi na własną rękę?

- Oczywiście, że tak sądziłem - warknął Grant. - I sądzę nadal. Evan błyskawicznie natarł na niego.

- Mój ojciec, poprzedni hrabia wypędził z tej doliny setki ludzi przed dziesięcioma czy dwunastoma laty - rzucił gniewnym tonem. - Na ich miejsce sprowadził owce. Zwierzęta czują się znakomicie na naszych wzgórzach. - Zrobił wymowny gest ręką. - Ale wielu wygnańców nie czuło się dobrze w nowych warunkach. Najwyższy zatem czas, by wrócili do domu. Mamy tyle tych przeklętych owiec, że przyda nam się trochę rąk do pomocy. Zgadzasz się ze mną, hrabino? - spytał ostrym tonem, zerkając w stronę żony.

- Całkowicie - odparła stanowczo. Spojrzała na Granta i wydeła pogardliwie nozdrza.

- Zgadzam się pod każdym względem z moim mężem.

- Do diaska! Co to wszystko ma znaczyć, Kildonan?! - zdumiał się Wetherstone.

- On kłamie, by osłonić swoją żonę i jej rodzinę - wyjaśnił Grant. -A ci szkoccy górale, o których mowa, zostali odesłani, gdyż nie było z nich żadnego pożytku.

- Mój ojciec najwyraźniej pomylił się w ocenie sytuacji, ł to grubo! -stwierdził Evan. -
- Szkoccy górale odznaczają się siłą woli i determinacją - poinformował Wetherstone'a. - A w dodatku są pracowici i inteligentni. Kiedy się do czegoś naprawdę przyłożą, potrafią niemal wszystko wykonać lepiej, szybciej i zręczniejsz niż pracownicy sprowadzani tu z południa. A, właśnie! Będzie mi potrzebny jeszcze jeden dobrze zgrany zespół, Finlay! - Evan zwracał się teraz wyłącznie do szwagra. - Zewnętrzne ściany zamku trzeba jak najszybciej pokryć podbarwionym tynkiem. Prezentują się niezbyt efektownie. To robota na dobrych kilka miesięcy... Może zabierzemy się do niej zaraz po wiosennej strzyży?

- Tak jest, panie hrabio - powiedział z zapałem Finlay. - Czy ma pan dla mnie inne polecenia?

- Jest jeszcze jedna sprawa - odparł Evan.

- Słucham, milordzie.

- Doskonale sobie radziłeś pod moją nieobecność. Pod każdym względem - dodał Evan i zwrócił się do nowo przybyłych. - Witajcie - rzekł uroczystym tonem i skinął lekko głową. - Witajcie znów w Kildonan i Glen Shee.

- To... to pan William MacLeod, jego żona Helen i ich dzieci - włączyła się Catriona, przemagając swoje nieprawdopodobne zdumienie. -Przybyli właśnie z Inverness... żeby pracować w twoim majątku. To hrabia Kildonan - wyjaśniła MacLeodom. - Wasz pracodawca.

MacLeodowie ukłonili się, William pospiesznie ściągnął kapelusz.

- Dzięki, milordzie. Dzięki za... za pomoc.

- Podziękujcie lepiej panu rządcy i wielebnemu proboszczowi - odparł Evan. - No i pani hrabinie, rzecz jasna! - Wyszarpnął wbitą w ziemię łaskę i już miał odejść, ale się zatrzymał. - Jesteście może krewnymi pani Morag MacLeod... i Flory MacLeod, która mieszka na wzgórzach?

- A jakże, milordzie! - odparł William. - Matka Flora to moja prababka!

Evan uśmiechnął się.

- Na pewno się ucieszy na wasz widok - stwierdził i spojrzął przelotnie na żonę. - Moja droga, zamierzałem wstąpić po ciebie na plebanię, ale skoro się już spotkaliśmy, może wrócisz razem z nami pieszo pasterskim traktem? Wybraliśmy się na spacer wśród wzgórz.

- Chętnie - odparła. - Odwróciła się, by uściskać brata. Potem ucałowała ojca w policzki i szepnęła mu coś, co sprawiło, że ten wysoki, potężny mężczyzna musiał walczyć ze łzami. Poprawiła spódnicę i podbiegła do męża.

Evan odwrócił się i ruszył nagle, nie czekając na żonę. W jego myślach i uczuciach nadal panował zamęt. Bez trudu odgadł, jakie pobudki skłoniły Finlaya do takiego działania, próbował więc oszczędzić szwagrowi kłopotów, zwłaszcza ze strony pana Granta. Uświadomił sobie jednak z niepokojem, że sekretne działania Catriony potwierdzają niezbicie, iż jego żona nigdy nie opuści Glen Shee.

Po prostu nie będzie w stanie stąd wyjechać, usprawiedliwił w duchu Catrionę, idąc przed nią i nie odzywając się ani słowem. Nie wyżyłaby z dala od rodzinnych stron. Wiedział przecież, że kochała tę dolinę i jej mieszkańców nade wszystko. Bardziej niż... kogokolwiek. I ta świadomość była dla niego bardzo bolesna.

- Evanie!

Zrównała się z nim bez trudu i przez chwilę szli zgodnym krokiem. Reszta towarzystwa, łącznie z panem Grantem, wyprzedziła ich znacznie i wyraźnie wołała zachować dystans. Obawiali się zapewne reakcji kipiącego z gniewu Evana.

- Evanie, zaczekaj!

Odwrócił się i zatrzymał bez słowa.

- Dzięki! - sapnęła. - Wszystko ci wyjaśnię, daję słowo! Ale powiedz, co ciebie do tego skłoniło?...

- Lojalność - burknął. - Ja też jestem ze Szkockich Gór... choć może ci się to wydawać nieprawdopodobne.

Znów się odwrócił i ruszył jeszcze szybszym krokiem, pozostawiając żonę samą na środku drogi.

25

Dzień był nijaki, srebrzystoszary, dość chłodny. Catriona drżała, ilekroć powiał zimny wiatr. Szła pomiędzy Evanem i Finlayem. Ich trójka wysforowała się do przodu. Mieli kilka kroków przewagi nad resztą towarzystwa: Arthurem Fitzgibbonem, pastorem i jego żoną, pannami Murray, Wetherstone'ami i Kennethem Grantem. Na zaprzężonych w kuce wózkach dotarli do podnóża górskiego masywu, który zdawał się strażnikiem dostępu do doliny; jego zbocza i szczyty były spowite mgłą. Tu właśnie Catriona, a za nią reszta uczestników wyprawy, wysiadła z wozu i ruszyła pieszo przez rozciągające się nieco wyżej wrzosowiska do celu wyprawy - Beinn Alligin.

Catriona owinęła się szczelniej kraciastym szalem. Cieszyła się, że włożyła najcieplejsze, choć nieefektywne ubranie: spódnicę i żakiet z grubej brązowej wełny, kilka flanelowych halek, solidne buciki sięgające kostek i tartan. Zdawała sobie sprawę, że tak skromny strój nie przystoi hrabinie. Poza tym prezentował się fatalnie w porównaniu z toaletami innych pań - znów wystroiliły się na górską wyprawę jak na niedzielne nabożeństwo. Za to przydziewek Catriony nadawał się w sam raz zarówno na zwykłą, jak i na ambitniejszą górską wspinaczkę.

Panowie włożyli wygodne tweedowe ubrania, meloniki i buty na grubej podeszwie. Dwóch czy trzech, z Evanem włącznie, zabrało płócienne plecaki. Wszyscy bez wyjątku, damy i dżentelmeni, zaopatrzyli się w solidne laski. Catriona wiedziała, że Evan, Finlay i Arthur mieli w plecakach zwoje mocnej linki, które - podobnie jak haki czy toporki - mogły się przydać na stromych zboczach, zwłaszcza gdyby okazały się oblodzone albo śliskie od deszczu.

- O tej porze roku trudno o dobre warunki do wspinaczki - zauważył idący w centrum grupy Finlay, zerkając na zachmurzone niebo. - Najlepsze miesiące to maj i czerwiec. Wczesną wiosną zdarzają się powodzie, w środku lata meszki nie dają żyć, a jesienią i zimą aura jest nieprzewidywalna. Jeśli jednak wszystkim państwu zależy na tej wspinaczce, nie radzę odkładać na następny dzień. Pogoda może znacznie się pogorszyć; kto wie, czy nie spadnie śnieg.

- W zimie widoki są najbardziej malownicze - wtrącił podążający za nimi Arthur. - Na przykład Alpy po prostu toną w śniegu i jakoś to nie zraża amatorów wspinaczki. Wręcz odwrotnie.

- Ale w naszych górach ośnieżone i oblodzone zbocza bywają zdradliwe, jak przekonał się na własnej skórze hrabia Kildonan - odparł Finlay. - Proszę się rozejrzeć dokoła: niektóre szczyty Torridonów mają porządną śniegową czapę, i to przez okrągły rok. Choć tam, dokąd się dziś wybieramy, chyba nie ujrzycie państwo dużo śniegu.

Przed nimi, na tle jasnoszarego nieba wznosiła się ciemna, potężna góra. Szerokie granie, fałdy skalne, guzowate występy i sterczyny zdobiły wyższe partie. Najwyższym punktem tej nieco barokowej w kształcie masy skalnej był szczyt Beinn Shee, stożkowaty i spadzisty. W dodatku został przecięty czy rozrąbany pośrodku w jakiejś nieprawdopodobnie odległej przeszłości. W ten sposób utworzyła się głęboka rozpadlina, którą osłaniały dwa pionowe klify, sterczące ze skalnego usypiska, przemieszanego z grudami torfu.

Falista linia grani biegnącej od szczytu do szczytu, pobielonego śniegiem i naszpikowanego mnóstwem białego kwarcu, wiła się ze zdumiewającą dla takiego masywu

płynnością i gracją na całej długości górskiego olbrzyma. Kiedy grupa entuzjastów wspinaczki zaczęła piąć się po trawiastym zboczu, usianym gęsto skalnymi okruchami, Catriona zatrzymała się, by spojrzeć na ogromną rozpadlinę, najbardziej rzucający się w oczy rys górskiego profilu.

Tu właśnie zginął najstarszy brat Catriony, gdy była jeszcze młodziutką dziewczynką. Evan także tutaj spadł podczas nieudanej wspinaczki po pionowej ścianie; na szczęście ześlizgnął się po ośnieżonym zboczu znacznie niżej, docierając prawie do pasterskiego traktu, gdzie go ostatecznie znalazła. A teraz sama zobowiązała się wspiąć na to złowieszcze czarne urwisko po kryształ wrózek, który -jak uparcie twierdziła stara Flora -można było znaleźć wyłącznie na Beinn Shee.

Czy mi rozum odjęło, że się na to zgodziłam?!, pytała samą siebie Catriona. Czuła się jak wiejska dziewczyna z baśni, wysłana na poszukiwanie magicznego talizmanu w towarzystwie pięknego królewicza, w którym się zakochała. Tylko że królewicz rozczarował się swoją ukochaną i był na nią wściekły... Kto wie, może nie zechce pozostać z nią na zawsze? Miałby do tego prawo, bo go okłamała, chcąc pomóc innym.

I nagle Catriona uświadomiła sobie, że misja, którą uważała dawniej za główny cel swojego życia, nie ma dla niej tak wielkiego znaczenia, jak sądziła. W gruncie rzeczy pragnęła tylko kochać swojego królewicza i być przez niego kochaną. A dary wrózek bez wewnętrznego przekonania w ich siłę osoby obdarowanej tracą wiele blasku i mocy.

Przez cały ranek Evan był chłodny i trzymał się na dystans. Mówił cicho i obojętnie, a jeśli nawet dotknął jej talii czy łokcia, to z czystej uprzejmości, by wesprzeć żonę na trudniejszym odcinku drogi. Catriona nie potrzebowała pomocy, ale bliskość męża napełniała ją radością, więc nie protestowała. Przez cały czas głowiła się, o czym Evan teraz myśli i jaką podjął decyzję. Ubiegłej nocy nie przyszedł do jej pokoju, choć czekała na niego, łudząc się, że zdoła mu wytłumaczyć, czemu musieli z Finlayem przywieźć wypędzonych dzierżawców do Glen Shee bez wiedzy i zgody lairda.

Finlay odwrócił się do tych, którzy szli z tyłu. Państwo Wilkie, Wetherstone'owie, panny Murray oraz Arthur Fitzgibbon i Kenneth Grant podeszli bliżej.

Catriona odwróciła się również, próbując uniknąć spojrzeń Granta. Nie miała mu nic do powiedzenia i pragnęła, żeby nigdy więcej się do niej nie odzywał. Nie okazywała jednak tego po sobie, by nie psuć nastroju tym, którzy nie uświadamiali sobie napięć istniejących w ich gronie.

- Tą drogą dojdziemy do górnej części zbocza Beinn Alligin. Wysoki szczyt, jakby pęknięty pośrodku, to Beinn Shee - wyjaśniał Finlay, wskazując wymieniane punkty orientacyjne. - Wśród tych wzgórz biegnie droga na sam szczyt; można tędy również dotrzeć do pasterskiego szlaku i prze dostać się na drugą stronę głównej przełęczy.

Pastor Wilkie wyjął z kieszeni oprawny w skórę notatnik, coś w nim zapisał i opatrzył tekst szkicem.

- Czy można dotrzeć tym szlakiem i na przeciwną stronę góry?

- Owszem - odparł Finlay. - Beinn Alligin ma kształt półksiężyca o długości dobrych kilku kilometrów. My jednak musimy dojść tylko do połowy, czyli do pierwszej grupy wierzchołków. Najpierw podwójny, zwany Rogi Alligin, potem Beinn Shee, który nas najbardziej interesuje, a wreszcie Sgurr Mhór, czyli Wielki Szczyt. Potem zawrócimy.

- Doszliśmy do wniosku z panem MacConnem, że najlepiej będzie skrócić koło Sgurr Mhór i wrócić wzdłuż grani - dodał Evan. - Zejście po przeciwnej stronie góry prowadzi do uszkodzonego mostu, po którym lepiej nie chodzić. Uzgodniliśmy więc, że wozy i kuce będą czekać na nas w tym samym miejscu, gdzie je zostawiliśmy.

- Mam szczerą nadzieję, że uda się nam wdrapać na Beinn Shee. To byłby prawdziwy wyczyn! - powiedziała Jemima, a Emily potwierdziła słowa siostry skinieniem głowy.

- Możemy dotrzeć na sam szczyt albo obejść go dokoła - wyjaśnił Finlay. - Ostrzegam

jednak przed schodzeniem do rozpadliny, którą nazywamy Eag Dubh, Mroczna Rozpadlina. - Przynajmniej wy, drogie panie, nie próbujcie takich sztuczek! - dodał z uśmiechem, choć siostra spojrzała na niego spođe łba.

- Wspinaczka na Beinn Shee również nie jest bezpieczna, panno Murray -odezwał się Grant, wysuwając się do przodu. - Choć rozmaici uparci śmiałkowie nieraz próbowali zdobyć ten szczyt. - Zerknął przy tym na Evana.

- Kildonan i ja mieliśmy całkiem niezłe szanse - oświadczył z wyzywającą miną Fitzgibbon. - Zdobylibyśmy szczyt, gdyby pogoda nam dopisała.

- Zaczęliśmy wspinaczkę z panem Fitzgibbonem od samego podnóża Beinn Shee i parliśmy w górę- przytaknął Evan. - To było bardzo trudne podejście. A co do zejścia, to nikomu takiego nie życzę!

Catriona zerknęła na męża, ale nic nie powiedziała. Evan nawet na nią nie spojrzał.

- Nasza dzisiejsza trasa jest również ambitnym wyzwaniem - stwierdził Finlay. - To nie popołudniowy spacer po wzgórzach: wejść na sam wierzch w porze lunchu, a zejść na podwieczorek. Pogoda także trochę niepewna - dodał, spoglądając w niebo. - Może spaść deszcz. Jeśli się rozpada na dobre, wracamy bez względu na to, jak daleko zajdziemy.

Ruszyli znowu pod górę. Po zboczu usianym kamieniami, porośłym wrzosem i kolcolistem dotarli do rwącego strumienia; woda pieniała się, pędząc po kamieniach. Finlay przygotował mocną linę pomocniczą, którą trzymał na jednym brzegu Arthur, a na drugim Grant. Catriona i Evan przeszli pierwsi przez rzekę, by następnie pomagać innym w przeskakiwaniu z kamienia na kamień.

Gdy wszyscy inni znaleźli się już na drugim brzegu, przysłała kolej na lady Wetherstone. Starsza dama zaparła się jak koń wzbraniający się przed wzięciem przeszkody. Jej mąż i Evan próbowali ją namówić na wszelkie sposoby. Bez skutku. Gdy zmoczyła obrąbek sukni, nieodwołalnie postanowiła zawrócić. Lord Wetherstone dołączył do żony, choć był wyraźnie rozczarowany, że ominie go dalsza przygoda.

- Co to za dzikie miejsce! Ani porządnego mostu, ani dróg jak się pa trzy! A na szczyt trzeba wchodzić pieszo! - skarżyła się głośno mężowi lady Wetherstone po pożegnaniu z resztą grupy. - Kiedy zdobywaliśmy szczyty w Alpach... co najmniej dwa razy wyższe niż te szkockie górki, nie musieliśmy się tak fatygować! Pamiętasz, mój drogi? W Chamonix posadzili nas na osiołki... prowadziły je za uzdę prześliczne dzieciątka!... i tak dojechaliśmy prawie do celu! I nikt nas nie zmuszał do przejścia przez rzekę!

Catriona zauważyła chmurne spojrzenie męża. Przypuszczała, że ich myśli biegly jednym torem: całe szczęście, że Wetherstone'owie zrezygnowali z zakupu posiadłości! Kto jak kto, ale lady Wetherstone była ślepa na uroki Szkockich Gór.

Nieco wyżej ogromne sosny strzelały w górę z kamienistego zbocza. Cienkie strużki wody spływały po stoku. Na zboczach było coraz więcej piargów. Tu i ówdzie pojawiały się kępy mchu albo trawy. Uparte wrzosey trzymały się mocno skalnego podłoża. Gdzieniedzie pasły się owce, niekiedy można się było natknąć na stadko dzikich kóz, utrzymujących równowagę na najbardziej urwistym zboczu. Nie obawiały się ludzi, lecz na ich widok ruszały ze spokojem w inną stronę. Wędrowcy widzieli również przelatujące orły, niekiedy poniżej miejsca, do którego dotarli. Catriona odprowadzała wzrokiem ptaki, podziwiając ich lśniące skrzydła, ogony i pióra rozpostarte jak palce pianisty.

Szła tuż za Evanem i Finlayem, za nią zaś wspinały się panny Murray w towarzystwie pastora i jego żony. Arthur i Grant stanowili straż tylną. Szli wolniej niż reszta, gdyż Arthur co chwila zatrzymywał się, by podziwiać nieznanne gatunki skał, zbierać najciekawsze okazy lub notować coś w niewielkim dzienniku.

Obejrzała się do tyłu i spostrzegła, że Grant na nią patrzy. Jego spojrzenie było przenikliwe i niepokojące. Prawie się nie odzywał do niej i do Evana, gdy przybył tego ranka do Kildonan; został zaproszony na wspólną wspinaczkę kilka dni temu. Jak dotąd, Catrionie

udawało się unikać medyka. Miała zamiar postępować tak również w przyszłości. Nikt oprócz niej nie wiedział o pogroźkach Granta, którym niezłomna postawa Evana położyła kres raz na zawsze. Z ulgą uświadomiła sobie, że już nigdy nie będzie musiała opowiadać o tym mężowi ani mieć do czynienia z panem Grantem.

Pochwyciła jednak raz czy drugi jego zimne spojrzenie. Zmroziło ją, jakby zanurzyła się w lodowatej wodzie. Nawet teraz, pnąc się po zboczu, wyczuwała za sobą milczącą obecność wroga niczym mroczny cień.

Nie mogła zwierzyć się ze swoich obaw Evanowi, który nie miał pojęcia o pogroźkach pod adresem szwagra ani o tym, że Grant brutalnie molestował jego żonę. To odrażające wspomnienie sprawiło, że Catriona przysunęła się bliżej do męża. Zderzyli się ramionami. Bez słowa Evan wziął ją pod łokieć. Mimo że ich konflikt nie został rozwiązany, Catriona poczuła się pewniej: miała kogoś, kto ją ochraniał i pocieszał. Podziękowała mężowi lekkim uśmiechem.

Wspinała się powoli, lecz wytrwale. Często przystawała, podobnie jak inni, by podziwiać wspaniałe widoki: łańcuch gór od wschodu, jezioro Loch Torridon od zachodu. Kiedy zaś na mgnienie oka rozsiewała się zasłona mgły nad morzem, można było przez sekundę podziwiać błękitne wyspy - Hebrydy. Zwiewne mgły snuły się też na lądzie, ale na deszcz na szczęście się nie zносиło.

W końcu dotarli do nieregularnej, jakby pokrytej guzami grani, ciągnącej się od szczytu do szczytu niczym powyginany grzbiet olbrzymiego legendarnego potwora; resztę jego ciała stanowiły urwiste zbocza. W ciągu trzech godzin znaleźli się tysiąc pięćset metrów nad poziomem morza. -To mogło naprawdę przyprawić o zawrót głowy! Oglądana z tej wysokości ziemia wydawała się malutka, zamglona i śliczna pod rozległym sklepieniem nieba.

Arthur zgarnął kilka kamieni i rzucił je w dół. Obserwował, jak obijają się o krawędź urwiska i spadają z niezwykłą szybkością. Jemima ze śmiechem też zrzuciła odłamek skały.

- Lepiej nie spoglądać w dół! - ostrzegł ją Grant. - Może się zakręcić w głowie. Szkoda by było, gdyby taka ładna dziewczyna poszła śladem tych kamieni!

Odwrócił się, spojrzał na Catrionę i wykrzywił usta w nieprzyjemnym uśmiechu. Serce w niej zatrzepotało i przez jedną, przerażającą chwilę zastanawiała się, czy Grant byłby zdolny do popełnienia zbrodni? Nie zapomniała jego pogroźek. Dobrze pamiętała straszną chwilę, kiedy omal jej nie zrzucił ze starego, mostu. Nadal jednak nie pojmowała, skąd u niego tyle gniewu i goryczy, i czemu chciał koniecznie kogoś skrzywdzić.

Zignorowała jego spojrzenie, odwróciła się i ogarnęła ją ogromna wdzięczność do Evana: poczuła na plecach dotyk jego ręki. Nie cofnęła dłoni przez cały czas, gdy szli gęsiego po grani. Finlay znów wyjął linę z plecaka. Jednym końcem opasał się, drugim owiązał starannie w tali Jemimę i Emily, chcąc nieco uspokoić wystraszone siostry. Obu pannom z początku uderzyła do głowy radość wspinaczki, ale ucichły i spochmurniały, kiedy okazało się, że wyprawa wymaga więcej wysiłku, niż przewidywały. Wielebny Wilkie również wy dobył linę i jednym końcem owiązał w pasie żonę, a drugim siebie.

Kiedy Evan zaproponował to samo Catrionie, potrzęsnęła głową i ruszyła przodem. Cieszyła się jednak, czując od czasu do czasu dobrze jej znany, mocny uścisk na swoim ramieniu. Całe życie spędziła w górach, więc nie odczuwała lęku wysokości ani nie obawiała się urwistych zboczy. Jednak mimo to silne podmuchy zimnego wiatru budziły w niej niepokój, zwłaszcza gdy była na nie wystawiona na wysokiej grani.

Pojawiły się zwiewne obłoki i otoczyły wianuszkami jeden z wierzchołków, znajdujący się poniżej grani, po której właśnie szli. Finlay skłonił wszystkich do krótkiego odpoczynku na stosunkowo płaskim odcinku pomiędzy dwoma gruzłowatymi szczytami. Wspólnie napili się lemoniady i zjedli trochę owsianych placków i sera, które mieli w plecakach. Anna Wilkie i panny Murray wykonały kilka szkiców, które ukryły potem w

głębokich kieszeniach spódnic. Pastor zapisywał jakieś obserwacje w notatniku. Kenneth Grant i Arthur porozmawiali chwilę z Evanem, a następnie oddalili się kilka kroków i przysiedli, by nacieszyć się niezrównanym widokiem.

Powietrze było tu czyste, nieco rozrzedzone i zimne. Uśmiechając się do własnych myśli, Catriona usiadła na spadzistym skalnym występie. Z nogami schowanymi pod spódnicę spoglądała z podziwem na zdumiewająco piękną i rozległą panoramę.

Kiedy Evan usiadł obok niej, popatrzyła na niego bez słowa. Oparł ręce na kolanach i spędzili kilka minut w przyjaznym milczeniu.

Potem odezwali się równocześnie. Pomocna dłoń Evana i nowa więź zadzierzgnięta podczas wspinaczki sprawiły, że dzieląca ich przepaść zaczęła się po trosze zmniejszać. Catriona chciała wszystko wyjaśnić mężowi i przeprosić go, ale wkrótce przyłączyli się do nich państwo Wilkie, Finlay i panny Murray. Na koniec zbliżył się również Kenneth Grant ze srebrną piersiówką w ręku. zaproponował Catrionie, żeby się napiła z flaszki. W odpowiedzi potrząsnęła tylko głową.

- To nie lemoniada, tylko coś bardziej krzepiącego - wyjaśnił. - My ślę, że wszystkim przydałby się choć łycalek. Wietrzyśko tnie jak nożem!

Catriona natychmiast poznała po nowym, ostrym tonie głosu, że Grant już zdążył skosztować napitku.

- Z pewnością nie potrzebujemy żadnej podniety tego rodzaju, by obejść Beinn Alligin po grani i dotrzeć do celu.

- Oczywiście, oczywiście - przytaknął Grant. Był niemal trzeźwy, tylko bardziej wylewny i uśmiechał się częściej niż zwykle. - Jak zapewne wiesz, hrabino, wśród górolazów jest taki zwyczaj: zdobycie szczytu trzeba uczcić przynajmniej łykiem trunku. Zwykle oblewają to koniakiem, ale jesteśmy przecież w Szkocji, więc postarałem się o flaszkę whisky na tę okazję. - Podniósł piersiówkę do ust i pociągnął łyk.

- Nie dotarliśmy jeszcze do szczytu, więc radzę odłożyć to na potem, jeśli chcesz zachować jasność myśli, Grant - powiedział Evan, obrzucając go nieprzyjaznym spojrzeniem. - I doradzałbym tradycyjny łyk, nie całą flaszkę.

- Już mamy szczyt pod nosem - odparował Grant. Uniósł flaszkę, jakby pozdrawiał znajdujący się na wprost, rozszczepiony wierzchołek. -Zaraz się wdrapiemy po skalnych sterczynach i dotrzemy do wielkiej Mroczonej Rozpadliny, przez którą wróżki wchodzi do wnętrza ziemi. Jak można uczcić taką okazję jednym marnym łykiem? - Szerokim gestem wskazał miejsce, w którym się zebrałi: dziwna kombinacja czarnych gnejsowych półek i stopni skalnych, przypominająca nieco kształtem trzy z grubsza obrobione pinakle. - Wejście stąd na szczyt z pominięciem Eag Dubh, czyli Mroczonej Rozpadliny, to łatwizna - perorował dalej Grant. -Możemy tam dotrzeć od tyłu. Wystarczy wspiąć się na tę wysoką grań i zrobić kilka kroków w dobrą stronę. Ale żeby naprawdę zdobyć szczyt Beinn Shee, trzeba dotrzeć do tej przeklętej Mroczonej Rozpadliny, a to się jeszcze nikomu nie udało. Ani tobie, milordzie, ani bratu ślicznej hrabiny i pana rządcy. - Kiwnął głową. - Lady Kildonan! - zwrócił się do Catriony. - Może nas pani uraczy opowieścią o Mroczonej Rozpadlinie?

Podniosła wzrok. Dostrzegła wyraz twarzy Finlaya, zastygłej w grymasie gniewu. Była jak ogłuszona. Zupełnie nie pojmowała, czemu Grant ją namawia do opowieści o tragicznej śmierci jej brata i ciężkich obrażeniach ojca. Ale na szczęście знаła także legendę o rozpadlinie. Skinęła głową. Opowie im tę historię... i odwróci uwagę Granta od Finlaya.

- W rzeczywistości nazwa jest nieco dłuższa: Eag Dubh na h-Eigheachd - wyjaśniła. - Mroczone Rozpadlina Płaczu. Od wielu pokoleń tutejsi mieszkańcy, zwłaszcza pasterze, stronią od tej góry. Legenda głosi, że niekiedy z wnętrza tej wielkiej dziury dobiega płacz lub zawodzenie. Być może jest to głos wróżek uwięzionych w skale. Nie są to jednak wróżki przyjazne ludziom, tylko mroczone istoty, które czają się w ukryciu albo uwięzły w głębinach ziemi. W każdym razie to złośliwe stwory - ciągnęła dalej. - Niektórzy mówią także, iż te jęki

to głos samej góry, która domaga się ofiar. Powiadają, że nie ucichnie, póki... ktoś nie zginie w pobliżu.

Słuchacze przez chwilę wpatrywali się w Catrionę. Pastor Wilkie zaczął znów coś bazgrać w notatniku. Jego żona zrobiła się bardzo blada.

- Och! -jęknęła Jemima. - Czemu nie usłyszałam wcześniej tej historii? Nie upierałabym się tak przy wyprawie po Szkockich Górach!

Siedząca obok niej Emily energicznie kiwnęła głową.

- To tylko wiatr wyje w skalnej rozpadlinie, nic więcej - uspokajał kuzynki Evan.

- Oczywiście! Nie można wierzyć w takie bzdury - zawtórował Grant. - Ale to doprawdy interesująca opowieść.

- Pani hrabino - odezwał się Arthur, zbliżając się do grupki towarzyszy. Obszedł właśnie jedną ze skalnych sterczyn. - Pytała mnie pani niedawno, czy na tej górze mogą być kryształki.

- Istotnie. - Catriona odwróciła się do geologa, zadowolona ze zmiany tematu.

Profesor wyciągnął rękę i otworzył zaciśniętą dłoń.

- Proszę zobaczyć, co znalazłem! Coś bardzo cennego. Cała rodzinka kryształów, i to bardzo ładnych. -Na jego dłoni kilka przezrzystych kryształów o wielu ściankach i krawędziach migotało w świetle.

- Och! - wykrzyknęła z zachwytem Catriona, zrywając się na równe nogi. - Gdzie pan je znalazł? Proszę mi pokazać!

Fitzgibbon odwrócił się i skinął na Catrionę, by poszła za nim. Inni zerwali się także. Arthur doprowadził ich do skalnego występu, przypominającego parapet. U podstawy wybrzuszenia wskazał skupisko drobnych, doskonałych w kształcie kryształów. Iskrzące się klejnociki wysypywały się z każdej niemal szczeliny w czarnej skale.

Z trudem chwytając dech, Catriona przyklękała. Z podziwem przyglądała się kryształom, wodziła po nich palcem. Inne panie zaczęły także wydawać okrzyki zachwytu i klękać, by dokładniej przyjrzeć się pięknym okazom. Catriona wypatrywała wszędzie kryształki wróżek, o którym wspomniała Flora.

Choć w ocienionym skalnym parapetem kącie było dość mroczno, nie dostrzegła niczego, co promieniowałoby własnym światłem. Spojrzała na Evana, który klęczał obok niej.

- Śliczności! - mruknął.

- Owszem - przyznała. - Ale nie tego szukam.

- Mimo to są wyjątkowo ładne - odparł, sięgając po niewielką, iskrzącą się jak klejnot, garstkę kryształów, które bez trudu odłamał i wręczył Catrionie. - Może chciałabyś dać je w prezencie swojej przyjaciółce, pani MacLeod?

Przytaknęła i sama odłamała bez najmniejszego wysiłku podobny klejnocik. Kryształ miał idealne proporcje i lśnił jak grube szkło, więc cieszyła się tym znaleziskiem. Czują jednak, że nie po to wysłała ją tutaj Flora.

Gawędząc wesoło i bawiąc się doskonale, pozostali uczestnicy wyprawy zbierali kryształki na pamiątkę. Górskich świecidełek było tu bez liku! Gdy Catriona znów wstała i rozejrzała się wokół siebie, zauważyła, że wyrastają z wielkiej czarnej skały niczym dzikie kwiaty czy mech.

Pani Wilkie cofnęła się o krok i odwróciła po kilka kryształów, które zbierała dla męża. Nagle krzyknęła i upadła na kolana; znalazła się na pochyłości wypełnionej tłuczniem i chybotliwymi kamieniami, nie dającymi pewnego oparcia.

- O, Boże! -jęknęła, czując, że się osuwa.

Okryte spódnicą nogi Anny dyndały już w powietrzu, ona zaś szukała rozpaczliwie jakiegś podpory.

Evan, pastor Wilkie i Finlay błyskawicznie pospieszyli na ratunek. Evan okazał się najszybszy. Klęknął, wyciągnął rękę jak najdalej, pochwycił zsuwającą się kobietę i

przyciągnął do siebie. Anna, czując znów skalne okruchy pod kolanami, krzyknęła i przyłgnęła do wybawcy. Evan objął pastorową i pomrukiwał kojąco, starając się ją uspokoić do przybycia męża. Pomógł też Annie wstać i odsunął się, by przerażona kobieta od razu znalazła się w najmiłszych ramionach męża.

Z bijącym sercem, bez tchu Catriona pospieszyła do nich. Wilkie prowadził Annę w stosunkowo bezpieczne miejsce za skalnym parapetem. Pastorowa nadal płakała i trzęsła się, a poza tym wyraźnie utykała. Mąż troskliwie posadził ją na skalnym występie.

- Coś sobie zrobiła w kostkę - zwrócił się Wilkie do Granta. - Proszę ją zbadać, doktorze!

- Oczywiście. Niech no spojrzę... - Grant przyklęknął obok Anny i starannie obmacał poszkodowaną nogę. Badał delikatnie, mimo to pacjentka krzywiła się z bólu. Po zakończeniu oględzin odsunął się i przykucnął. - Nie sądzę, żeby to było złamanie. Ale zwicznęła ją sobie pani paskudnie! Musimy teraz zdjąć bucik i obandażować kostkę jak najściślej. Trzeba będzie jakoś zejść do podnóża. Da pani radę, pani Wilkie?

Dzielnie potwierdziła skinieniem głowy, ale jej śliczna twarz jeszcze bardziej pobladła.

Catriona przyklęknęła obok Anny i wzięła ją za rękę.

- Ma pan bandaż? - spytała Granta.

- Tak. Schowałem to i owo do plecaka na wypadek, gdyby ktoś się potłukł czy skaleczył. - Odwrócił się i wyjął lniane bandaże.

Catriona ostrożnie rozsznurowała bucik i uwolniła stopę Anny. Nawet przez wełnianą pończochę mogła dostrzec, że smukły przegub puchnie. Grant wrócił do pacjentki i mocno owinął okrytą pończochą stopę i kostkę. Anna starała się nie okazywać bólu, ale Catriona zorientowała się, jak bardzo pani Wilkie cierpi.

- Teraz na pewno to pani dobrze zrobi. - Grant podsunął jej srebrną flaszkę. - Proszę grzecznie łyknąć i nie grymasić!

Anna wzięła piersiówkę, przełknęła łyk alkoholu, skrzywiła się i pociągnęła z butelki raz jeszcze.

- Sprowadzę żonę na dół - oświadczył Wilkie.

- Przyda się panu ktoś do pomocy - zauważył Evan. - Pójdę z wami.

- Będziecie potrzebowali doświadczonego przewodnika - stwierdził Finlay. - Jest jeszcze inna, łatwiejsza i bezpieczniejsza droga oprócz tej, którą tu przyszliśmy. Pójdę z państwem i ja.

- Ja też. Anna poczuje się lepiej, jeśli będzie miała przy sobie inną kobietę - rzekła Jemima i zwróciła się do stojącej obok siostry - Emily, zejdiesz z nami? Możemy przecież wrócić tu innym razem.

Emily kiwnęła głową. Jej ciemne oczy były jeszcze większe niż zwykle.

- Wspinaczka i widoki są cudowne, ale szczerze mówiąc, nie mam wcale ochoty zawierać znajomości z tą... Mroczną Rozpadliną. - Obejrzała się nerwowo na rozłupany, potężny szczyt. - Chyba mam już dość Beinn Alligin i Beinn Shee. Wracam z tobą. Przydamy się Annie!

Evan spojrzał na Catrionę.

- Nam również starczy na dziś. Zdobędziemy ten szczyt innym razem. Wszystko starannie zaplanujemy.

Catriona zawahała się. Spojrzała na masywny szczyt Beinn Shee. Dotarła już tak daleko w poszukiwaniu rzadkiego kryształu, który Flora poleciła jej znaleźć, że nie miała ochoty zmarnować takiej okazji. Tego jednak z pewnością nie zrozumiałaby większość zebranych. Jedynie Evan wiedział o poszukiwaniu czarodziejskiego kryształu. Tylko jej mąż i brat pojęliby, jak ważną dla niej rzeczą jest wypełnienie polecenia Flory, która w zamian obiecała przekazać swoje pieśni.

- Oczywiście - potwierdziła w końcu. - Anna nas potrzebuje. Wszy scy chodźmy na dół. - Dotykała schowanych w kieszeni przezroczystych kryształów i próbowała wmówić sobie, że Flora MacLeod zadowolony się nimi.

Evan wziął żonę za rękę.

- Czy nie będziecie mieli nam za złe, jeśli lady Kildonan i ja zostaniemy tu nieco dłużej? Odnoszę wrażenie, że ta góra rzuciła czar na moją żonę. Ja również chętnie bym się dowiedział czegoś więcej o Beinn Shee. Podobno to moja góra, więc powinienem się z nią zapoznać, gdy nadarzy się okazja! - dodał i roześmiał się. - Idźcie przodem, a my niebawem do was dołączymy.

- No, tak... To bardzo romantyczne miejsce - zauważył Arthur z szerokim uśmiechem. - Zostańcie tu, gołąbki, na małe sam na sam. Ale nie zasiedźcie się zbyt długo!

- Nie ma obawy! - uspokoił go Evan.

Nadal trzymał Catrionę za rękę, podczas gdy cała reszta zbierała swoje rzeczy i w końcu bardzo ostrożnie ruszyła w drogę powrotną. Grant i Wilkie szli po obu stronach Anny. Podtrzymywali ją i pomagali, jak się tylko dało. Młoda kobieta zebrała wszystkie siły i kuśtykała z determinacją.

Catrionie żal ścisnął serce, gdy patrzyła na Annę. Wiedziała, że pastoraż bardzo boli noga, a ma jeszcze do przebycia długą drogę, nim dotrą do miejsca, gdzie można będzie ją nieść.

Potem zwróciła się do Evana.

- Dziękuję, kochany! Uśmiechnął się i skinął głową.

- No to do roboty! - powiedział, rozglądając się dokoła. - Jak myślisz, gdzie schowały się przed nami te czarodziejskie kryształy? I jak to draństwo właściwie wygląda?

Catriona wybuchnęła śmiechem.

- Kto tu w końcu studiował geologię? Boja nie!

Evan zaśmiał się, chwycił żonę za rękę i pociągnął za sobą.

- Patrz uważnie pod nogi, hrabino! Wybieramy się na zwiedzanie Beinn Shee. Miejmy nadzieję, że krwiożercza góra nie ma dziś apetytu na ofiarę!

26

Po wyminięciu ostatniej z kamiennych sterczyn, które wystawały z cielska góry, Evan zaczął wspinać się po naturalnie wyrzeźbionych schodach; był to szereg skalnych półek o zbliżonej wielkości, rozmieszczonych wokół pinakla w kształcie komina. W tym miejscu pojawiała się znów grań, to biegnąc dalej po równym, to wznosząc się nagle i opadając gwałtownie. Teren przypominał zębata grzbiet smoka. W wyniku nagłego obniżenia powstawało *beallach* - pęknięcie lub wgłębienie w grani. Po takim nagłym spadku kształt góry znów ulegał zmianie: strzelała wżwyż, by na samym wierzchu przybrać formę stożka.

Evan przez chwilę przyglądał się uważnie przejściu, po czym zwrócił się do Catriony:

- Może tu być bardzo ślisko - uprzedził. - Idź wyłącznie po moich śladach. Znajdę dla ciebie stabilne podpórki.

Skinęła głową, podeszła i stanęła za mężem. Spódnica i kraciasty szal powiewały na wietrze. Silniejszy podmuch zerwał dziewczynie czepek z głowy; dyndał na czarnych wstążkach, związanych pod brodą. Kiedy Catriona rozwiązała kokardę, aby zacisnąć mocniej węzeł, czepek wyrwał się z rąk na swobodę. Polatywał teraz w zasięgu wzroku: to wznosił się, to opadał.

Evan poprowadził żonę po zębatej grani do miejsca, gdzie powstało *beallach*, a potem w dół. Zatrzymali się tam, by nabrać tchu. Evan spojrzął w górę. Chmury stały się większe, ciemniejsze i cięższe.

- Będzie deszcz - zakomunikował krótko. Evan czuł, że każdy po dmuch zimnego, ostrego wiatru popycha go ku przepaści. - Lepiej się pospieszmy.

Szedł pierwszy, z rozwagą wybierał drogę, ostrożnie stawiał stopy to z jednej, to z

drugiej strony grani, bo była bardzo wąska, miejscami przypominała ostrze brzytwy. Za każdym razem, gdy oglądał się przez ramię, Catriona rezolutnie postępowała za nim.

Poczuł, że wzbiera w nim duma i miłość, gorąca i dodająca siłę, gdy śledził pełne wdzięku i energii ruchy żony. Podziwiał jej odwagę, którą uważała najwidoczniej za coś naturalnego, podobnie jak opanowanie. Przystanął, by uśmiechnąć się do Catriony.

- Może i nie lubisz ryzykować, najdroższa, ale jak przyjdzie co do czego, radzisz sobie doskonale - powiedział z uznaniem. - Trzeba zmienić ci imię. Będę cię nazywał Catriona Dana - dodał. - Mężna Catriona.

Roześmiała się.

- Znasz gaelicki znacznie lepiej, niż myślałam!

- Tylko parę słów - odparował. - Ale przydatnych!

Ruszył przodem, Catriona deptała mu po piętach, a wiatr pastwił się nad obojgiem. Teraz musieli skręcić pod ostrym kątem i wejść na nieprawdopodobnie stromy trakt, który przecinał grań, ciągnąc się od pinakli po sam szczyt. Evan był pewien, że znaczna część członków klubu odmówiłaby udziału w tak karkołomnej wędrówce. Całe szczęście, że wycofali się wcześniej!, pomyślał.

Wdrapywali się niezwykle stromym podejściem na Beinn Shee, którego zaokrąglony stok - dziwaczne połączenie różnego rodzaju skał - porośnięty był mchem, a w niektórych kotlinkach pokryty resztkami śniegu. Evan zwolnił nieco, by zaczerpnąć tchu. Góra pulsowała olbrzymią, prastarą siłą, mroczną i przytłaczającą. Trzymając się kurczowo jednej ze skalnych poręczy, Evan czuł się pyłkiem, wystawionym na wszelkie zło i całkowicie bezbronnym. Jego świat znajdował się gdzieś daleko, w bezdennej otchłani.

Ale Catriona była blisko, tuż za nim. Poczuł nagły przyptyw energii: musi ją osłaniać i pomóc w wypełnieniu zadania. Podjął znów wspinaczkę i wreszcie poczuł ulgę - dosięgnął szczytu. Pokonywał już większe, wyższe, wspanialsze góry, ale nigdy dotąd nie włożył w to wszystkich sił, nie dążył do celu tak zawzięcie.

Czując lekki zawrót głowy, przystanął na wierzchołku, by odetchnąć. Oparł się pokusie spojrzenia w dół. Zamiast tego popatrzył w dal. Omiótł wzrokiem lustrzaną powierzchnię podłużnego jeziora. Spojrzał jeszcze dalej, w stronę morza i wysp, osnutych zwiewną mgłą. Zdawało się, że odpływają.

Kropla deszczu kapnęła mu na rękę. I jeszcze jedna. Chmury płynęły tak nisko, że powietrze wydawało się wilgotne i łagodne, jakby wysysał parę wodną ze skłębionych oparów.

Spojrzał w dół i wyciągnął rękę do Catriony, by pomóc jej w pokonaniu ostatniego odcinka drogi. Siadła wreszcie obok niego, ciężko dysząc.

Oślawiony szczyt okazał się zwykłym stożkiem o ścianach spadzistych, ale nie tak znów trudnych do pokonania. Jednakże skutkiem pęknięcia pośrodku powstały dwa niebezpieczne klify, stojące naprzeciw siebie. Jeden był nieco wyższy, a oba złączone u podstawy. Sterczały z wielkiej, chylącej się ku upadkowi góry kamiennego tłucznia przemieszanego z bryłami torfu. Trafiały się również skalne odłamki o ostrych krawędziach. Na powierzchni widniało kilka śnieżnych łątek. Skarpa za rozpadliną, a właściwie tylne zbocze wzgórza, stanowiła początek drugiego możliwego zejścia ze szczytu. Obie drogi łączyły się przy końcu grani.

Siedząc na samym czubku stożka, Evan musiał wychylić się mocno, by zajrzeć do wnętrza wielkiej rozpadliny. Catriona zrobiła to samo i jęknęła z wrażenia.

- *Ach Dhijal* Nigdy nie widziałam tego z tak bliska. Eag Dubh... Cóż za stosowna nazwa! Mroczna Rozpadlina.

- Wygląda bardzo podejrzanie - mruknął Evan.

Wewnętrzna ściana rozpadliny stanowiła dziwaczne połączenie szorstkiego czarnego gnejsu, pobrużdżonego, a w niektórych miejscach wręcz kolczastego, i czarnych skał śliskich

od wilgoci, porośniętych mchem i gdzieniegdzie ośnieżonych. Na głębokości kilkuset metrów oba klify opadały pionowo w dół, tworząc masywny, choć prymitywny komin. Podmuchy wiatru wpadały tu ze świstem przez wielki otwór na samej górze o szerokości około piętnastu metrów. Znajdująca się u podnóża klifów ośnieżona kupa kamieni chyliła się wyraźnie ku upadkowi i wszystko wskazywało na to, że runie; wówczas po górskim zboczach głązy poszuso-wałyby na dno doliny.

- Boże święty! -jęknęła Catriona. - I ty próbowałeś wspiąć się na to urwisko?!

- Tak. Skończony dureń ze mnie - przyznał Evan. - Udało mi się dotrzeć nawet dosyć wysoko po pionowej ścianie, zanim z niej spadłem. Zwaliłem się na najniższy stok i pojechałem po nim dalej, zostawiając mnóstwo śladów na śniegu. Ostatecznie wylądowałem na skalnej półce i sam nie wiem, jak przeszedłem na przeciwną stronę zbocza i dotarłem do pasterskiego traktu.

Catriona ciężko westchnęła.

- Tu zginął mój brat - wymamrotała.

- Wiem - odparł. - Dokładnie tutaj?

- Tak. Znalezione go trochę niżej na stoku. Spadł tak samo jak ty, próbując wspiąć się do Mrocznej Rozpadliny na Beinn Shee. Finlay z moim ojcem i paroma innymi ratownikami dotarli do niego po kilku dniach. Można było uratować Donalda, gdyby go ktoś wcześniej odnalazł. Nie miał tyle szczęścia, ile ty - dodała szeptem.

Ujął jej rękę w rękawiczce i podniósł do ust.

- Jestem wyjątkowym szczęściarzem - powiedział cicho i ucałował palce żony. Potem spojrzał jej prosto w twarz. Wicher przemknął między nimi, oplatał Catrionie nogi fałdami spódnicy. Był to podmuch wystar czająco silny, by zepchnąć ich na brzeg urwiska.

Tyle chciał powiedzieć Catrionie... Wyznać jej teraz, zaraz... ale nie mieli na to czasu. I miejsce nie było odpowiednie. Pragnął aż do bólu powiedzieć żonie, że ją kocha. I że spadając z tych klifów, naprawdę wpadł po uszy, raz na zawsze! Nieważne, jak dawno się to zdarzyło ani gdzie, miał absolutną pewność, że ją kocha, a ich małżeństwo nie może się rozpaść. Płonął z miłości do Catriony, pragnął dzielić z nią wszystko, zwierzać się ze swoich kłopotów i radości, pomyłek i osiągnięć. Wyznawać obawy i nadzieje.

Później będą na to mieli dość czasu, wierzył w to święcie. W tej chwili jednak powinien jej pomóc w poszukiwaniach. Potem wrócić do domu i w błogim spokoju zacząć wszystko od nowa. A teraz, nie mając czasu na wyjaśnienia, chciał bez słów wyznaczyć swoje uczucia najlepiej, jak umie.

Pochylił się nad Catrioną, pocałował ją i przyciągnął do siebie. Dotarli razem na szczyt góry... a może na szczyt szczęścia?... Ich wspólnego szczęścia, które będzie trwało wiecznie. Teraz już wiedział, że nie może sprzedać Kildonan. Jego własne serce nigdy by na to nie pozwoliło. Znajdzie jakiś sposób na spłacenie długów ojca i tych, którymi sam się obciążył. Przez dwa lata pokrywał wydatki trzech rodzin, które najbardziej ucierpiały w powodu zawalenia się mostu. Jego mostu.

Nikt o tej pomocy nie wiedział. Nie zwierzył się nikomu z wyjątkiem jednego ze swoich doradców prawnych. Wysyłał regularnie czeki dla trzech wdów i ich dzieci. Miał szczerzy zamiar założyć konta powiernicze. Do niedawna sądził, że je ufunduje po sprzedaży części ziemi odziedziczonej po ojcu.

I nagle ta tragedia, tak dotąd żywa w jego pamięci, wydała mu się bardzo odległa, jakby wydarzyła się komuś innemu.

Teraz, siedząc na wierzchołku tej niezwykłej, zaczarowanej góry, spoglądając z wyżyn na swoją posiadłość, która nieoczekiwanie stała się dla niego centrum świata, Evan poczuł, że krwawiące dotąd rany serca i duszy zaczęły się zasklepiać.

Miłość do Catriony spowodowała, że zaszła w Evanie cudowna zmiana - jakby słoneczne światło rozproszyło ciemności i odkryło utajone w nim życie i piękno.

Uśmiechnął się i znów pocałował żonę. Objęła go mocno. Poczuł, że mu przebacza i w cudowny sposób oczyszcza. Odsunął się nieco.

- Weźmy się do szukania tej twojej błyskotki, hrabino - zaproponował. - A potem wracajmy czym prędzej na niziny. Natychmiast zabiorę cię do domu, by w spokoju kontynuować to, co przed chwilą zaczęliśmy.

Roześmiała się, ale była równie bliska płaczu. Pocałowała go raz jeszcze i nieco odprężona zaczęła się rozglądać dokoła.

- Flora powiedziała, że „róźdzki wrózek” można znaleźć tylko na Be-inn Shee. Nigdzie indziej! Ale nie dostrzegłam żadnych kryształowych skupisk, gdy szliśmy pod górę.

- Ja też nie. Ale tak sobie myślę... - Pochylił się nad otchłanią, dotykając piersią ziemi i mocno zaciskając ręce na krawędzi rozpadliny. Usiłował zobaczyć coś prócz warstwy mokrego śniegu i nierównej powierzchni czarnej skały. - Te ściany to wymarzona wylęgarnia kryształów! Pełno w nich szczelin i szpar starych jak świat. Kryształowe ziarna jakoś do nich docierają i rosną w takim schowku. Nikt dotąd nie zbadał, jak to się dzieje.

Catriona położyła się obok męża na brzuchu i przesunęła wyciągniętą ręką po powierzchni skały tak daleko, jak tylko mogła sięgnąć.

- Evanie! Tu naprawdę są kryształy! Czuję je pod palcami, ale nie mogę zobaczyć ani wziąć do ręki. Może tobie się uda?

Sięgnął ramieniem w dół, najdalej jak zdołał, i również wymacał skupiska kryształów w skalnych zagłębieniach i pęknięciach. Jego palce dotykały gładkich, filigranowych ścianek „czarodziejskich róźdzek”, które wyrastały tu jak grzyby po deszczu.

- Sporo ich! Uwiły sobie gniazdka chyba na całej powierzchni tych klifów. To przecież gnejs...

- „Czarna osadowa skała, przeważnie z dodatkiem białego kwarcu w formie krystalicznej” - wyrecytowała Catriona jak papuga, co rozśmieszyło Evana.

- Chwileczkę! - zawołał. - Mógłbym chyba zejść tam bez większego trudu.

Usiadł, zdjął plecak i zaczął w nim grzebać. Wyciągnął zwój mocnej linki i żelazną kotwiczkę.

Na oczach zdumionej i gwałtownie protestującej Catriony starannie obwiązał się w pasie linką, a do jej drugiego końca przymocował podwójnym węzłem zębatą metalową kotwiczkę, po czym wbił ją mocno w jedną z górnych szczelin, najbliżej krawędzi. Wziął jeszcze toporek do kruszenia lodu i wetknął go z tyłu za pasek ukryty pod tweedową kurtkę.

Klęknął na obu kolanach, obrócił się i zwiesił nogi poza krawędź tak, by dotykały wewnętrznej ściany klifu. Wicher błyskawicznie go zaatakował, szarpał za włosy i usiłował zderzyć kurtkę. Catriona wczepiła się w jego ramiona.

- Nie rób tego! - protestowała. - Co mi tam kryształ? Nie, Evanie! Co będzie, jeśli spadniesz?! Nie chcę żyć bez ciebie! Nie rób mi tego!!!

A jeśli rzeczywiście spadnie?... Evan uświadomił sobie w tym momencie, że przez ostatnie dwa lata właściwie szukał śmierci. A teraz miał wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie, jak we śnie. Spojrzał w głąb czarnego komina, który już raz omal go nie pochłonął. Wyobraził sobie, jak spada coraz niżej i niżej, ku nieuchronnej śmierci.

Spadać w objęcia śmierci... w ramiona miłości... W obu przypadkach trzeba zerwać więzy narzucone przez świat - i tak czy inaczej zaznać błogosławionej wolności. Inni ludzie również tak spadali - z mostu jego konstrukcji. Powodem katastrofy była wadliwość dostarczonych materiałów. Udowodniła to bezspornie specjalna komisja. Nikt nie mógł i nie chciał winić go o to, że nity były ze skały, a belki stropowe wadliwe.

On jednak przypisywał całą winę sobie. Był przecież świadkiem tragedii i nie zdążył zejść do wody na czas. Zawahał się podczas pierwszego nurkowania. Zmarnował bezcenną chwilę, by spojrzeć na niezwykłą wysokość mostu. Zawsze go trochę niepokoiła. I to wystarczyło, by tamtego dnia przystanął i zamyślił się, zamiast bez zwłoki skoczyć do rzeki,

tak odległej z perspektywy mostu. I o czym wówczas myślał? Ano o tym, czy sam również zginie, wpadając w nurt. A przecież dobrze wiedział, że przez jego wahanie ktoś może stracić życie!

Spojrzał teraz na Catrionę, uśmiechnął się i potrząsnął głową. Kiedyś w przyszłości opowie jej o moście i swoim podłym strachu. Opowie jej o wszystkich, którzy zatonęli. Dla niej wskrzesi na chwilę trzech zabitych przyjaciół. Może nawet wyjaśni jej, czemu zmuszał się do wspinaczki na wyżyny i do nurkowania w głębinie. Z nadziei, wiecznie żywej, że tą pokutą zasłuży na rozgrzeszenie.

A tymczasem, szukając odpuszczenia grzechów, usiłując pozbyć się brzemienia winy poprzez akty bezprzykładnej odwagi, znalazł coś, co zdumiało go nad podziw - miłość.

Musiał teraz zdobyć dla Catriony przynajmniej tę błahostkę. Ucałował żonę i zsunął się w głąb rozpadliny.

Poczuł lekkie szarpnięcie. Przekonał się, że kotwiczka i linka sprawdziły się - mocno go trzymają. Przez chwilę dyndał swobodnie na rozhuśtanej linie. Gdy się uspokoiła, obrócił się do ściany i oparł o nią nogami w podkutych butach.

Nie odczuwał strachu: linka dobrze go ubezpieczała.

Spojrzał w górę. Catriona pochylała się nad krawędzią. Była tak piękna, blada, zatrwożona o niego... Pomachał do niej i zabrał się do roboty. Gotów był przeczesać całą rozpadlinę, byle zdobyć dla niej upragniony kryształ.

Odchylił głowę do tyłu i rozejrzał się. Wszędzie pełno kryształów. Błyszczały i migotały w mroku pomiędzy dwiema ścianami skalnymi. Jaśniały jak brylanty na tle czarnych skał. Wystarczy wyciągnąć rękę i będzie miał ich tyle, ile zechce!

Wyjął zza pasa toporek. Stuknął lekko w ścianę, pojawiały się następne kryształy: tu i tam, z boku, nad głową... Nieomal same wskakiwały mu do ręki, migotliwe i prześliczne, najczęściej w niewielkich skupiskach. Jedne jaśniały i skrzyły się, inne -jedwabiste w dotyku - były przezroczyste jak szkło. Niektóre leciutko zabarwione fioletem jak ametysty, to brązowawe jak topazy i z lekka przydymione.

Wepchnął kolejną garść do kieszeni i uzbierał jeszcze trochę. Nadal jednak nie dostrzegał tych, na których Catrionie najbardziej zależało: kryształów fosforyzujących, jaśniejących wewnętrznym światłem. Odepchnął się nogami od ściany, żeby mieć szersze pole widzenia. Huśtając się leciutko w tył i w przód, spojrzał w prawo... i dostrzegł coś, czego do tej pory nie zauważył.

Promieniejąc jak gwiazda, kryształowa „róźdzka” wabiła go świetlistym mruganiem z ciemnej szczeliny tuż za zasięgiem jego prawej ręki. Spojrzał w górę. Catriona go obserwowała. Pomachał do niej i ujrzał, jak wyciąga rękę.

Potem obrócił się w prawo. Znalazł odpowiednią podpórkę: kamienny występ na nierównej ścianie klifu, i wyciągnął ramię najdalej, jak mógł. Mając podporę pod nogami, nie musiał się obawiać, że straci równowagę. Sięgnął po zdobycz.

Promieniowała tuż za zasięgiem jego ręki. Musiał nie tylko wyciągnąć ramię jak najdalej, ale przesunąć się wzdłuż ściany. Czuł się pewnie. Lina z kotwiczką gwarantowała mu bezpieczny powrót na klif. Sięgnął więc najdalej, jak mógł, zacisnął palce na kryształach i odłamał go bez trudu. Spadł mu na dłoń lekko i cicho jak kwiat. Po sekundzie Evan otworzył zaciśniętą pięść.

Połykliwy i śliczny, jaśniał mu w palcach najdoskonalszy twór przyrody, jaki kiedykolwiek widział. Lśniący z natury, przezroczysty jak szkło kryształ miał w swoim wnętrzu drugi, mniejszy kryształek - różowy, w kształcie serca. Ta kropelka barwy zamknięta w przezroczystym kryształach, świeciła różanym blaskiem. Toż to duszki! Tak nazywano potocznie te fosforyzujące kryształy, przypomniał sobie Evan. Wiedział, że takie znalezisko było sensacją naukową w skali światowej. A ten unikat tkwił tu na maleńkiej skalnej półce w czeluściach czarodziejskiej góry i nie mógł się doczekać odkrywców.

Beinn Alligin, jeśli dobrze pamiętał, znaczyło Góra Klejnotów. Teraz już wiedział, skąd się wzięła nazwa. Wróżki miały tu doprawdy pełne ręce roboty!

Roześmiał się cicho i podniósł kryształ do słabego światła, które docierało z góry do wnętrza rozpadliny. Chciał przyjrzeć się różowemu maleństwu, zatopionemu we wnętrzu większego kryształu. Cudowne! Uśmiechnięty, gotów śpiewać i tańczyć z zachwytu, wetknął kryształ do kieszeni i spojrzął w górę.

Catriona nadal wychylała się poza krawędź rozpadliny i wpatrywała się w niego. Ale nie była już sama.

Obok stał mężczyzna, opierając stopę na plecach leżącej hrabiny.

- Gra skończona, Kildonan! - oznajmił z triumfem Kenneth Grant. - Już po tobie!

27

Catriona czuła na plecach bezlitosny nacisk nogi w ciężkim bucie. Grant wypierał z niej dech. Próbowwała się wywinąć, odczołgać, ale napierał na nią całym ciężarem i pochylił się znów nad rozpadliną, by raz jeszcze huknąć na Evana.

- Właź na górę, Kildonan! - ponaglił go tonem pogróżki. Głos miał niski, złowieszczy.

Zerknęła w dół. Evan dyndał na końcu splątanej liny. Serce Catriony ścisnęło się z przerażenia. Wiedziała, że Grant nie musi się trudzić. Wystarczy jednym kopnięciem zerwać wczepioną w ścianę żelazną kotwiczkę, a Evan runie w przepaść na pewną śmierć.

Ale skąd ta nienawiść?, zdumiewała się. Dlaczego Grantowi sprawia tyle satysfakcji wyrządzanie krzywdy właśnie nam?

Znów próbowała wymknąć się spod dławiącego ciężaru, ale dostała tylko kopniaka w żebra. Zaczęła się szamotać. Zdołała podnieść się na kolana, ale grunt był śliski, a jedna noga zaplątała się w fałdach spódnicy. Grant schwycił ją za ramię.

- Czego ty właściwie chcesz?! - krzyknęła, wrywając się rozpaczliwie.

- Tylko tego, co mi się słuszenie należy - odparł. - Pora upomnieć się o swoje.

- A cóż to takiego?

Ledwie mogła oddychać; Grant brutalnie na nią napierał, wiatr także ją atakował, w piersi kołatało strwożone serce, a płucom brakło powietrza.

Zerknęła spieszenie w dół. Evan uparcie piął się pod górę. Nie odezwał się ani słowem. Nie tracił czasu na krzyki czy sprzeczki. Po prostu konsekwentnie, nieustraszenie wspinał się coraz wyżej.

- Niech to wszyscy diabli! - wymamrotał Grant. - Trzeba było przeciąć linkę i gotowe! A potem ty poszybowałabyś w nieskończoność. Para kochanków padła ofiarą krwiożerczej Mrocznej Rozpadliny!... Biedactwa, tak byli sobą zajęci, że nie zauważyli krawędzi.

- Co ci z tego przyjdzie? - wysapała. - Masz o wszystko pretensję od chwili, gdy wróciłam do Glenachan z Evanem. Coś cię rozwścieczyło, a ja nadal nie pojmuję, o co chodzi. Wszystko jeszcze się pogorszyło, kiedy pobraliśmy się z Evanem. Z pewnością aż tak nie pragnąłeś ożenić się ze mną! Ani nie znenawidziłeś Finlaya tak bardzo, by go zdradzić i wydać w ręce policji. Nigdy w to nie uwierzę! O co ci chodzi?!

- Naprawdę nie wiesz? Nie możesz się domyślić? - ryknął i znów ją pochwycił, gdy próbowała się wymknąć. - Ślepa jesteś?! Spójrz tylko na mnie!

Odwróciła się i przyjrzała mu uważnie, z trudem chwytając powietrze. I nagle to, czego dotąd nie dostrzegała, stało się dla niej przerażająco jasne.

Poznała ciemne oczy, brunatne włosy i klasyczne rysy klanu Mackenziech z Kildonan. Był wysoki i szczupły, miał głęboki, aksamitny głos. Spostrzegła nagle, że był wierną kopią ojca Evana i niemal sobowtórem jego cholerycznego dziadka. Wystarczyło przyjrzeć się portretom. A jego sposób mówienia - jakże podobny do stylu Evana! Obaj rzadko podnosili głos i mówili bardzo wyraźnie. Jeden z portretowanych przodków zawsze przypominał jej... nie wiedzieć kogo. A Kenneth Grant od samego początku wyglądał jak... Znów nie wiedziała kto.

- Więc jesteś... jesteś... - wykrztusiła.

- Synem Kildonana - warknął. - Przyrodnim bratem twojego kochanego mężusia. Starszym bratem. - Teraz i on miał kłopoty z oddychaniem. Pod koniec każdego zdania szarpał ją boleśnie za ramię, jakby chciał podkreślić wagę swoich rewelacji.

- Ty?... Ależ... Evan nie ma o tym pojęcia! - wysapała.

Znów zerknęła do rozpadliny. Evan był już znacznie bliżej. Dostrzegła na jego twarzy lodowaty gniew. Zrozumiała, że słyszał każde słowo Granta i orientuje się już w sytuacji. Albo przynajmniej domyśla się prawdy.

Grant przykląkł obok Catriony. Brutalnie ścisnął jej ramię i wychylił się poza krawędź rozpadliny. Wyciągnął rękę do kotwiczki, dzięki której Evan czuł się stosunkowo bezpiecznie na linie.

- Nie! - Catriona zaatakowała w przypiływie desperacji. Chwyliła napastnika za ramię, starając się przeszkodzić mu w odczepieniu kotwiczki.

Błyskawicznie odepchnął dziewczynę i znów wychylił się poza krawędź. Wystarczająco daleko, by spojrzeć z góry na Evana.

- Jedno szarpnięcie, a twoje żalosne zabezpieczenie diabli wezmą! -zawołał.

- Zostaw moją żonę w spokoju! - warknął Evan, ignorując groźbę Granta. Znów się podciągnął wyżej, choć powoli i z wyraźnym trudem przekładał ręce. Palcami stóp wymacał stabilne podpory.

Catriona cofnęła się gwałtownie. Miała nadzieję, że tym sposobem odciągnie Granta znad krawędzi, a zarazem od liny. Ale przeciwnik był od niej wyższy i silniejszy, toteż oboje pozostali na poprzednim miejscu, stanowczo zbyt blisko krawędzi. Raz jeszcze Grant opuścił długie ramię do wnętrza rozpadliny, próbując po omacku zniszczyć zabezpieczenie Evana.

Gdy palce Granta znalazły się tuż przy żelaznej kotwiczce, Catriona szarpnęła go za ramię i zaczęła okładać pięściami, by zmusić zdrajcę do cofnięcia wyciągniętej ręki. Próbował odepchnąć dziewczynę, lecz okazała się zawziętym i nieubłaganym przeciwnikiem. Nadal wrywała się i waliła, gdzie popadło.

Wiedziała, że nie pozwoli Grantowi zabić Evana! Prędzej sama zepchnie wroga do rozpadliny, gdyby tylko w ten sposób mogła ocalić męża.

- Dość tego! - wydyszała resztką tchu. - Przestań! Co cię opętało?!

- Myślałem, że Evan Mackenzie nigdy nie wróci do zamku Kildonan -burknął Grant, odpierając ataki Catriony. - Zamierzałem odkupić część majątku, a resztę wyprocesować. Wynajęłbym adwokatów, którzy udowodniliby moje prawa do tej posiadłości. Ale kiedy sam się tu zjawił, a w dodatku spotkał ciebie i pojął za żonę... Zrozumiałem, że może tu zostać i upomnieć się o wszystko. Zagarnąć kobietę, ziemię, dziedzictwo - to, co powinno być moje!

- Twoje? Jakim prawem? - wrzasnęła Catriona, nadal usiłując wyrwać się napastnikowi.

Był od niej silniejszy, równie zajadły i gotów iść do celu po trupach. Ale ona z wielką determinacją walczyła o życie męża. I przysięgła sobie, że w tej walce nigdy się nie podda.

Atakując przeciwnika, ciągnąc go za ramię, Catriona również wychyliła się poza krawędź i próbowała uwolnić się od jego żelaznych palców. Z głębi rozpadliny wzbil się zimny powiew: czuła go na twarzy i we włosach. Dostała zawrotu głowy, ale nie cofnęła się. Jej ciało zwarło się w walce z ciałem wroga, jej wyciągnięta ręka znalazła się tuż obok jego ręki.

- Jakim prawem? A takim, że ja byłem tu zawsze, a on nie! - odparł Grant. Wyraźnie brakło mu tchu. Ale jego bezlitosny chwyt przypominał żelazne kajdany na nadgarstku. - To ja miałem czas dla starzejącego się hrabiego. Polowałem z nim, chodziliśmy razem na ryby. Dyskutowałem z nim o polityce i hodowli owiec. A ty, Kildonan? - zawołał w głąb rozpadliny.

- Niech cię szlag! - odkrzyknął Evan, nie przerywając wspinaczki. -Zostaw ją w

spokoju!

- Popijałem z nim whisky, opiekowałem się nim w chorobie, do późna w noc wysłuchiwałem jego opowieści. We dwóch graliśmy w karty, gdy czuł się samotny. A ty coś dla niego zrobił, Kildonan?

Evan nie odpowiedział, ale Catriona czuła, że mąż jest coraz bliżej. Słyszała chrzęst kamieni pod jego butami, jego zdyszany oddech. Z siłą rozpaczy szarpnęła Granta za ramię.

Mimo ogromnego wysiłku nic nie wskórała. Przeciwnik wydawał się nieczuły na wszelkie ataki. Catriona obawiała się, że skoro tylko Evan zbliży się do szczytu, Grant zepchnie go z powrotem w rozpadlinę albo strąci kotwiczkę. Dziewczyna znów przystąpiła do natarcia. Chwytała Granta za ramiona, za pas, usiłując odciągnąć go jak najdalej od krawędzi. Miała nadzieję, że w ten sposób zapewni Evanowi dość czasu na wydostanie się z przepaści.

- Uspokajałem starego Kildonana, żeby nie zrobił krzywdy swojej żonie i dzieciom, romansując przed laty z moją matką- kontynuował Grant odwracając się, gdy Catriona znów go szarpnęła. Próbował ją odepchnąć, burcząc coś pod nosem.

- Z twoją matką? Kim ona jest? - wykrztusiła Catriona, której nagle przyszło do głowy, że być może zna tę kobietę.

- Już nie żyje. Była naiwną młodą dziewczyną ze Szkockich Gór. Zmarła, wydając mnie na świat - wyjaśnił szorstko. Udało mu się pochwyć Catrionę, która poczuła taki ból w ramieniu, że na moment przestała myśleć o Evanie i krawędzi klifu. - Zostałem adoptowany przez rządcę i jego żonę. Wiedzieli, czym jestem synem. Wychowali mnie w Kilmallie. Hrabia nie żałował im pieniędzy, żeby siedzieli cicho i nie rozpowiadali o moim pochodzeniu.

- Ale ostatecznie te pieniądze i Kilmallie dostały się tobie! - wykrztusiła Catriona. - Jesteś ceniony i poważany w całej dolinie jako doktor! To powinno ci wystarczyć.

- Prawda, że Kilmallie rozkwitło dzięki pieniądзом hrabiego. Ale to dla mnie za mało. Czemu miałbym przez całe życie być prowincjonalnym konowalem i właścicielem skromnego mająteczku, kiedy powinienem być hrabią? Chodź no tutaj! - warknął, przyciągając ją do siebie i obejmując mocno ramieniem, by nie mogła walczyć. Zerknął w głąb rozpadliny. - Byłem jedynym synem, z którego hrabia miał pociechę. I tylko na mnie mógł liczyć! - wrzasnął tak, by dotarło to do Evana.

- Nie masz żadnych dowodów na potwierdzenie swoich pretensji - odparł szorstko Evan, podciągając się jeszcze wyżej. - W pomyślonych głowach często lęgną się takie fantazje.

- Mam dowody - oznajmił Grant. - Listy hrabiego, w których pisał mi, jak bardzo kochał moją matkę. Czy wiesz, czemu twoja matka opuściła go i wywiozła ciebie z Kildonan? Bo kochał inną kobietę. I miał już dziedzica, którego mu urodziła.

- Niemożliwe! - odparł Evan. - Musiałbym o tym wiedzieć.

- Spytaj swoją matkę, czemu go opuściła - poradził Grant. - A prawda! Nie będziesz już miał okazji. Wkrótce rozstaniesz się z tym światem. - Podniósł się, przyklęknął i zmusił Catrionę, by uklęknęła obok niego. - Przykro mi, że przypłacisz życiem ten triumf sprawiedliwości, ale to ja powinienem być hrabią Kildonan. Słyszałem, że wcale ci nie zależy na tej posiadłości. Wolałbyś wrócić na nizinę, co? Ale teraz sprawiłeś sobie śliczną żonkę. Dziewczynę, którą chciałem poślubić. „Przydatną brzydulę” z Glenachan - prawil, przyciskając Catrionę do siebie.

- O, już z pewnością nie jest brzydula. To piękna kobieta, a ja kocha łem ją dłużej niż każdą inną- mamrotał, spoglądając na Catrionę. - Ale teraz będę musiał zabić i ciebie, najdroższa. Zginiesz razem ze swoim hrabią, bo znasz prawdę. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak mnie to smuci!

Wyglądał na strapionego i Catriona pojęła, że on naprawdę nad tym boleje.

- Proszę cię, Kenneth, wysłuchaj mnie... - zaczęła błagalnym tonem.

- Wspaniale! - przerwał jej Grant. - Hrabia zaraz się do nas przyłączy!

- powiedział z wyraźną satysfakcją i zająrzył do rozpadliny.

- Puść ją! - warknął Evan.

Catriona przez króciutką chwilę widziała czubek głowy męża. Była zdziwiona, że Grant pozwolił Evanowi wejść na górę... I nagle poczuła, jak krew ścina się w jej żyłach na myśl, że brat postanowił z zimną krwią zabić brata.

- *Ach Dhia* - jęknęła. - Evanie, nie podchodź tu! - Pchnęła Granta w nadziei, że straci on równowagę i nie zdoła zaatakować natychmiast, gdy tylko Evan wyłoni się z rozpadliny.

Ale Grant przyciągnął ją do siebie i trzymał tak mocno, że nie mogła się nawet wyrwać.

- Ożeniłbym się z tą dziewczyną, Kildonan! - zawołał. - Ja również uczyniłbym ją hrabiną. Ale chcąc zyskać po twojej śmierci prawo do majątku i tytułu muszę powołać się na łączące nas pokrewieństwo. A brat, jak wiesz, nie może ożenić się z wdową po bracie². Szkoda! - powiedział, przyciskając Catrionę jeszcze mocniej. - Bardzo mi przykro, że oboje musicie umrzeć.

Tulił Catrionę do siebie, całował ją, rozgniatł ustami jej usta. Wiatr atakował ich, popychał, uderzał... Na skraju urwiska dziewczyna czuła się bardzo niepewnie; miała wrażenie, że zaraz runie w otchłań.

Instynktownie odepchnęła Granta. Upadł. Zdążył jednak objąć ją w pasie i pociągnąć za sobą. Oboje wylądowali na czworakach, zatrważająco blisko rozpadliny.

Nieoczekiwanie Catriona przysunęła się jeszcze bliżej przepaści i zacisnęła rękę na krawędzi. Ciężar spódnicy i halek stanowił przeciwwagę i zapewniał jej większą stabilność niż Grantowi męskie ubranie. Skutkiem gwałtownych ruchów Catriony, z którą był szczipiony, Grant omal nie runął razem z nią w otchłań. Wydał trwożny pomruk i puścił hrabinę, ale zaraz znów się podczołgał i uczeplił się swojej ofiary.

Wyciągnęła rękę, jak mogła najdalej, i próbowała dosięgnąć Evana. Jeśli im obojgu była pisana śmierć, chciała przedtem raz jeszcze dotknąć męża.

- Evanie... -jęknęła - O, Boże!...

- Kochanie! - odpowiedział i nagle jego głowa znalazła się powyżej głowy Catriony, a jego ręka błędziła po kamienistej, ubitej ziemi szukając pomocnej dłoni.

Grant puścił Catrionę, odepchnął ją tak brutalnie, że zjechała po niewielkiej pochyłości do tyłu. Gdy tylko udało się jej wyprostować, ujrzała, jak Grant atakuje Evana, który dopiero co wydostał się z rozpadliny.

W nagłym przypiływie energii Evan rzucił się na przeciwnika, obalając go swoim ciężarem. Obaj upadli na ziemię, potoczyli się ku krawędzi i uchwycili się jej z całej siły.

Bez namysłu Catriona skoczyła ku nim, ale kopniak Granta odrzucił ją do tyłu. Usiłowała złapać Evana za kurtkę, ale i to jej się nie udało. Poczowała, że mąż ją odpycha. Najwyraźniej chciał, by nie włączała się do bijatyki. Zsunęła się znów po pochyłości, podniosła się, przyklękła i podczołgała ku walczącym. Bili się jednak tak zawzięcie, okładali pięściami, walili gdzie popadło i szarpali nawzajem, że nie mogła podejść do nich bliżej. Szamotali się w odległości kilku metrów od niej i najwyżej pół metra od krawędzi urwiska.

Catriona wrzasnęła i próbowała schwycić Granta za nogę, ale tylko oberwała kolejnego bolesnego kopniaka w ramię. Złapała go więc za ubranie i próbowała odciągnąć od Evana. Wiatr nagle przybrał na sile i chłostał wszystkich zawzięcie, co mężczyźni dodatkowo zagrzewało do walki.

Stękając i ciężko dysząc, wrogowie zwarci w morderczym uścisku przetaczali się to w tę, to w tamtą stronę. Obaj zaciskali ręce na gardle przeciwnika, ich twarze zastygły w okropnym grymasie. Grant wśliznął się pod Evana i usiłował go zepchnąć do przepaści.

² W prawodawstwie angielskim istniał zakaz poślubienia brata albo siostry zmarłego współmałżonka. Takie małżeństwo nie tylko było nielegalne, ale uważane za rodzaj kazirodztwa. Zakaz ten obowiązywał jeszcze w pierwszej połowie XX wieku, (przyp. red.).

Nagły podmuch wiatru zaatakował ich z jeszcze większą siłą. Gdy Evan usiłował odtoczyć się w bezpieczniejsze miejsce, Grant kopnął go w nogę tak, że połowa ciała hrabiego zawisła w próżni.

Evan zdołał schwycić przeciwnika. W mgnieniu oka obaj walczący znaleźli się za krawędzią. Wpadli w rozwartą paszczę otchłani i zniknęli. Wszystkie ich ruchy cechował upiorny wdzięk. Balet akrobatyczny z koszmarnego snu.

Catriona wrzasnęła ochryple. Gardło miała wyschnięte i zaciśnięte. Serce jej zamarło - a może wpadło do przepaści jak dwaj walczący?... Podpełzła do krawędzi, rozszlochana. Nie miała odwagi spojrzeć w dół. Dopiero gdy usłyszała krzyk, zajrzała do rozpadliny.

Zabezpieczenia nie zawiodły. Evan dyndał na końcu liny, dokładnie tam, gdzie zawisł przedtem. Kenneth Grant wczepił się kurczowo w kurtkę wroga; jego nogi młóciły powietrze. Trzymając się jedną ręką naprężonej do ostateczności liny, Evan drugą usiłował schwycić Granta. Chciał podtrzymać człowieka, który próbował go zabić i nadal pragnął śmierci obojga.

- Druga lina i kotwiczka! Szybko! - wrzasnęła Evan do żony.

Catriona cofnęła się i ześlizgnęła po pochyłości. Schwyciła plecak. W szaleńczym pośpiechu wyciągnęła linkę razem z kotwiczką, która była już przezornie do niej przymocowana. Catrionie trzęsły się ręce, gdy czołgała się z powrotem na skraj przepaści.

Evan nadal wisiał na lince. Kurtkę miał ściągniętą do połowy przez Granta, który wykonywał nieskoordynowane ruchy. Gdyby Grant uchwycił się ręki Evana, ten mógłby go łatwiej podciągnąć.

Pojękując i popłakując, Catriona mocno wychyliła się poza krawędź i wbiła drugą kotwiczkę obok pierwszej. Sprawdziła, czy zacisk dobrze trzyma. Kotwiczka wczepiła się od razu. Nic dziwnego: na skalnej ścianie znajdowało się mnóstwo niewidocznych, ale stabilnych podpórek.

- Zrzuć linę! - krzyknął Evan.

Dziewczyna rozwinęła ją i opuściła w głąb rozpadliny. Potem mogła już tylko patrzeć, jak Evan kołysze się na podwójnie obciążonej linie i przysuwa do ściany. Na koniec schwycił Kennetha za ramię, próbując go ubezpieczyć, nim pochwyci drugą linkę.

Kenneth rzucił się natychmiast ku niej, puszczając kurtkę Evana. Równocześnie wymierzył swojemu zbawcy tęgiego kopniaka. Siła tego ciosu obróciła się jednak przeciw niemu: całe ciało przebiegł skurcz, a uchwyt rąk zaciśniętych na nowej linie rozluźnił się. W niesamowitej ciszy Grant runął, a raczej poszybował w przepaść, z rozpostartymi jak skrzydła ramionami?

Catriona odwróciła wzrok i zakryła twarz rękoma.

- Teraz już rozumiem - odezwał się Evan po bardzo długim milczeniu.

Stali z Catriona ramię przy ramieniu w pobliżu starego Mostu Wrózek, na szczycie wzgórza, skąd rozciągał się widok na całą dolinę.

Zamek jaśniał jak klejnot u podnóża ciemnych gór. Nad polami unosiły się mgły, zarówno w Kildonan, jak i w Glen Shee. Pejzaż był piękny niczym senne marzenie.

Catriona westchnęła. Nadal nie mogła dojść do siebie po przeżytych szoku. W głębi serca czuła bolesny smutek z powodu śmierci człowieka, którego uważała niegdyś za przyjaciela. Zostawili go u wylotu Mrocznej Rozpadliny, okrytego płaszczem. Evan obiecał, że wróci tam z Finlayem i kilkoma innymi ludźmi, by zanieść Granta do Glen Shee i pochować, jak należy.

Oboje z Evanem zeszli z góry w milczeniu. Obeszli Beinn Shee od tyłu, przebyli grań do jej drugiego końca, gdzie stykała się ze szlakiem wiodącym po zboczu do Mostu Wrózek.

Jesteśmy już prawie w domu!, pomyślała Catriona. Trzeba tylko przejść przez most! Spojrzała na Evana z niepokojem i poszukała jego ręki. Poczowała krzepiący uścisk dłoni.

- Co rozumiesz? - spytała cicho.

- To, co ty i Finlay wiedzieliście od dawna. Dlaczego musieliście tak postąpić. - Spoglądał na nią z powagą. Wiatr rozwiewał jego gęste, ciemne włosy. Na policzku Evana ciemniał duży siniec, a piękne oczy, głębokie i pełne iskier, były teraz bezdennie smutne.

Tak bardzo go kochała. Miłość wypełniała japo brzegi. Była tak ogromna, że Catriona nie potrafiła jej wyrazić. Przepływała przez nią jak rwący strumień, z bolesną niemal gwałtownością, jakby Catriona musiała pogłębić i zwiększyć swoje wnętrze, by pomieścić w sobie tyle potężnego uczucia. Musnęła palcami świeże sińce Evana. Potem dotknęła dawnego obrażenia, pod włosami - śladu po uderzeniu w głowę, po którym stracił przytomność na krótko przed ich pierwszym spotkaniem.

- O czym ty mówisz? - spytała.

- Po prostu przepraszam - odparł cicho.

Serce w niej zatrzepotało, jakby nagle wyrosły mu skrzydła. Uśmiechnęła się i potrzęsła głową.

- To ja powinnam cię przeprosić, Evanie. Należało powiedzieć ci o dzierzawcach. Niepotrzebnie to zataiłam. Powinnam wiedzieć, że nie będziesz zły.

- O to? Pewnie że nie! - Wydawał się zdezorientowany, ale zaraz oczy mu rozbłysły i uśmiechnął się. Objął ją gorąco i serdecznie. - Nie byłem wcale zły z powodu dzierzawców. Mogłem się tego domyślić. Wiem, jak bardzo kochasz tę dolinę... jak oboje z Finlayem ją kochacie. - Spojrzał w dół, na rozciągającą się pod nimi Glen Shee - szmaragdową, srebrzystą i złotą. Mgła i siąpiący deszcz nieco łągodziły żywe barwy. - Rozumiem, bo i mnie chwyciła za serce.

- Wiem - szepnęła miękko. - Teraz już wiem. Ale co cię w takim razie rozgniewało?

- Byłem zły, bo nie miałas do mnie zaufania. Myślałaś, że jestem... taki sam, jak mój ojciec. Że znowu wyrzucę tych biedaków.

- Ale nie jesteś do niego podobny. Ani trochę! - powiedziała cicho. -Przedtem wydawało mi się inaczej... ale teraz zmieniałam zdanie.

Evan wpatrywał się w żonę. Jego złotozielone oczy były piękne, a spojrzenie miał jasne i przenikliwe. Catriona poczuła ogromną ulgę i radość, że mogą sobie oboje tak szczerze, bezwarunkowo wszystko wybaczyć. Uśmiechnęła się bez słowa i oparła głowę na ramienia męża. Pochylił się ku niej.

- Catriono Bhrn - szepnął. - Catriono Dana... Kocham cię. Wstrzymała dech. Unosząc nieco głowę, spojrzała na niego zdumiona

i zaskoczona, że słyszy z jego ust słowa tak doskonale wyrażające uczucie, które ją przenikało jak dobroczynne ciepło słońca, bez względu na zimny wiatr czy burzowe chmury. Serce jej rozkwitło jak róża od tej niespodziewanej radości, łzy stanęły w oczach. Z leciutkim uśmiechem odchyliła głowę.

Evan delikatnie pocałował ją w usta. Wiatr szalał wokół nich, rozwiewał im włosy, trzepotał kraciastym szalem Catriony. Stali bez ruchu, pełni sił i spokoju, a przede wszystkim miłości, bo tylko ona miała znaczenie w ich życiu.

- Ja też cię Kocham - szepnęła Catriona i nadstawiła się do kolejnego pocałunku. Był tak przepojony miłością, że serce w niej stopniało.

- Do licha! - mruknął Evan, szukając czegoś w kieszeni rozdartej, złach-manionej kurtki, - Byłbym zapomniał! - Wydobył wreszcie mały przedmiot i podsunął żonie na otwartej dłoni. - Czy nie tego przypadkiem szukałaś?

Mrugał do niej prześliczny naturalny kryształ: zaczarowane różowe serduszko, zamknięte przed wiekami we wnętrzu miniaturowej lśniącej różdżki.

- Och!... - westchnęła z zachwytem. Uniosła klejnocik do światła. - Jaki piękny! Dziękuję, Evanie, dziękuję, dziękuję! - Zarzuciła mu ramiona na szyję i wtuliła twarz w jego poszarpaną kurtkę.

Przygarnął Catrionę do siebie.

- Teraz masz co zanieść matce Florze; z pewnością nauczy cię wszystkiego, co sama umie.

Skinęła głową.

- Ale... ale jeśli chcesz stąd wyjechać... - Urwała i znów spojrzała na męża. - Wyjadę z tobą.

Cofnął się o krok i spojrzał na Catrionę.

- Gotowa jesteś to zrobić? Przytaknęła, a łzy napłynęły jej do oczu.

- Wyjadę z tobą. Kocham naszą dolinę, serce mi do niej przyrosło, ale... ale teraz w moim sercu jesteś ty. Jak w tym pięknym kryształ: jedno we wnętrzu drugiego, nie da się ich rozłączyć... Nie mogę żyć bez ciebie. - Uniosła kryształową różdżkę z różanym serduszkim w środku.

- Jeśli musisz mieszkać w Edynburgu...

- W Edynburgu? - rzucił lekkim tonem. - Od czasu do czasu rzeczywiście muszę jeździć do Edynburga, ale nie codziennie. Myślę, że będę mógł spędzać w Kildonan i Glen Shee większość czasu.

- Naprawdę? Podniosła ku niemu oczy.

- Naprawdę, moja hrabino - zapewnił i pocałował ją w czubek głowy.

- Razem z tobą i stadkiem naszych malców... ilu zechcesz, albo iloma raczy nas obdarzyć opatrnością. I ze wszystkimi naszymi dzierzawcami, ilu tylko zdołasz sprowadzić do Glen Shee - dodał, tuląc ją do siebie.

Śmiejąc się i płacząc równocześnie, Catriona schroniła się w bezpiecznym kręgu jego ramion.

- Chodźmy do domu - powiedział wreszcie, biorąc ją za rękę.

- Musielibyśmy przejść po starym moście - przypomniała.

- Może się nie załamie - wstąpił na własnoręcznie umocnioną konstrukcję i pociągnął za sobą żonę. Gdy weszli już na przeszło, spytał od niechcienia: - Możesz mi przypomnieć to zaklęcie?

Catriona roześmiała się, on także i tak dotarli do dziury w moście. Szepcząc słowa zaklęcia, Catriona słyszała, jak mąż je powtarza, a potem jednym krokiem pokonuje wyrwę.

Evan odwrócił się, przeniósł Catrionę na drugą stronę, postawił na ziemi i znowu chwycił w objęcia.

- Od dziś wierzę w czary - oznajmił, nachylając się, by ucałować żonę.

Epilog

A więc to jest twój mąż! - stwierdziła Flora. Wzięła się pod boki i zerknęła na Evana, odchylając głowę, by lepiej go obejrzeć w całości. Stojąc w drzwiach, skutecznie blokowała wejście do swojego domku, chociaż Evan i Catriona mokli w mżawce i marzli na zimnym wietrze.

- Proszę, mówmy po angielsku - powiedziała Catriona. Flora skinęła głową, nadal wpatrując się w Evana.

- Wysoki. W sam raz dla ciebie, dziewucho.

Evan z trudem powstrzymał się od śmiechu. Staruszka wyglądała jak postać z baśni. Zmarszczek jej nie brakowało, a jednak podobna była do dziecka. Spodobało mu się jej bezpośrednie zachowanie i bystre, otwarte spojrzenie. Skłonił się jej, uśmiechnął dyskretnie i czekał w milczeniu, co będzie dalej.

Catriona uśmiechnęła się również i ostentacyjnie wsparła na ramieniu męża.

- Ja też uważam, że świetnie do siebie pasujemy - odparła i zwróciła się do męża: - Kochany, to jest Flora MacLeod.

- Miło mi poznać panią MacLeod, o której tyle słyszałem - powiedział Evan, wyciągając rękę. - Nazywam się Mackenzie.

- Phi! - burknęła Flora. Z wyraźną niechęcią wyciągnęła drobną, zniekształconą

artretyzmem dłoń i pozwoliła, by Evan ją uściśnął. Skłonił się przy tym lekko. - Wszyscy wiedzą, że stoisz znacznie wyżej niż pierwszy lepszy Mackenzie, ale nie będziemy się nad tym rozwodzić - wymamrotała.

W ogóle nie musimy do tego wracać - zapewnił ją Evan. - Niech mnie pani uważa, za kogo chce: nowego dziedzica albo męża tej pięknej dziewczyny. - Nakrył dłonią palce Catriony, spoczywające nadal na jego rękawie. - Ale najbardziej by mnie ucieszyło, gdyby ujrzała pani we mnie jeszcze jednego Szkota włóczykija, uszczęśliwionego powrotem do Glen Shee. Flora przechyliła głowę.

- Kto sprowadził tu z powrotem mojego wnuka Williama, jego żonę Helen i ich dzieciaki? Czy przypadkiem nie ty, panie Mackenzie?

- Nie ja, łaskawa pani - odparł Evan. - Podziękowania należą się Finlawowi MacConnowi, jego ojcu i siostrze.

- Ale mogli tu zostać, bo ty się na to zgodziłaś. Miałaś prawo przegnać ich jak bezdomne kundle.

- Nie zrobiłem tego i nigdy nie zrobię - oświadczył Evan. - Coś mi się zdaje, że sprowadzimy tu jeszcze więcej MacLeodów, kiedy zdołamy ich odnaleźć.

Flora kiwnęła tylko głową, ale Evan dostrzegł, jak drży jej dolna warga.

- Coś takiego! - wymamrotała. - No, no!...

- Możemy wejść, matko Floro? - spytała cicho Catriona.

- No cóż... Chyba tak. - Odsunęła się na bok. - Uwaga na głowy! Aleście wyrosli oboje! - wymamrotała. - Mój mąż wiecznie walił głową o nadproże, ale w środku wszystko wyrzyczał tak, że i jemu było tu wygodnie. Siadajcie.

Kiedy weszli do ciemnego wnętrza małego domku, Evan mile się zdziwił. Izba była przestronna i czysta, choć od czasu do czasu podejrzenie zalatywało koźlem. Evan przysunął Florze, potem Catrionie niewielkie drewniane krzesła i sam usadowił się na ławie koło ognia.

- Coście mi przynieśli? - Flora pochyliła się nad koszem, który Catriona uparła się zabrać ze sobą. - Oby nie skarpety! Mam ich dość. Ale szal to by się przydał.

- Otóż i on! - Catriona wyjęła z kosza mięciutki, ciemnoniebieski szal robiony na drutach.

Flora przyjęła dar z pomrukiem zadowolenia i niezwłocznie owinęła nim szyję tak, że końce opadały jej na podołek. Oparła ręce na kolanach. - Co jeszcze?

- Trochę owoców - Catriona podała kobiecie torbę jabłek.

- E tam! - burknęła Flora. - Jabłka już mam, nie gorsze od tych! Morag i Helen mi przyniosły. - Znów zerknęła ciekawie do koszyka.

Catriona spojrzała na męża z uśmiechem. Cieszyła się swoim sekretem. Poznał to po jej niebieskich, roziskrzonych oczach. Był pewien, że w ich głębi kryją się co najmniej dwa sekrety, choć o tym drugim jeszcze mu nie wspomniała. Może sama nie wiedziała?... On domyślił się prawdy dzięki częstym żywym rumieńcom, iskierekom wesołości i ustokrotnionej witalności żony. Uśmiechnął się w duchu do swoich myśli.

- No, cóż... Jest jeszcze pewien drobiazg, który ci przyniosłam, matko Floro - powiedziała Catriona i z uśmiechem podała jej małe zawiniątko.

Spoglądając na Catrionę w milczeniu, Flora ostrożnie rozłożyła lnianą szmatkę. I oto, na kremowym tle rozbłysnął maleńki czarodziejski kryształ, z zatopionym w nim różowym serduszkiem. Mikroskopijne tęcze, barwne i świetliste, migotały na gładkich ściankach.

- Ach! - westchnęła zachwycona Flora. - Znalazłaś różdżkę!

- Znalazłam - przytaknęła Catriona.

Złożyła ręce na podołku i przyglądała się z uśmiechem staruszce obracającej w palcach kryształ, który skrzył się w blasku ognia.

Po chwili Flora opuściła rękę, ale nadal ścisłała w niej czarodziejski kamyk.

- Weszłaś na szczyt Beinn Sitcheach ze względu na mnie i moje czarodziejskie pieśni?

- Na szczyt weszłam, ale to Evan znalazł kryształ - odpowiedziała Catriona. - Ryzykował życie, by wyłuskać go ze ściany.

Flora spojrzała na hrabiego.

- Słyszałam już o tym, co się tam zdarzyło - mruknęła. - Morag opowiedziała mi o śmierci doktora. No cóż... To bardzo smutne. Nie umiał leczyć tak dobrze jak ja, ale wszyscy go znali w naszej dolinie. Będzie nam go brak. Czułam, że ma nie wszystko po kolei. Trzeba było mnie spytać.

- Bardzo żałuję, że tego nie zrobiłem, matko Floro. Jesteś mądra i niezwykła. Nic dziwnego: wiedząca powinna być taka!

- Pewnie! - przytaknęła Flora. - A teraz pewnie chcesz, żebym cię nauczyła swoich pieśni?

- Bardzo tego pragnę i mam nadzieję, że mnie nauczysz - powiedziała Catriona.

- Chyba to zrobię - odparła Flora. - Ale musimy szybko brać się do roboty. Za kilka miesięcy nie będzie ci tak spieszno do mnie pod górę.

Catriona zdziwiła się.

- Z pewnością zawsze będzie mi spieszno do ciebie, matko Floro. Cze mu miałoby się to zmienić?

- Spytaj jego - odparła Flora, zerkając na Evana. - On dobrze wie! Catriona zwróciła się do męża.

- Naprawdę wiesz?

- No, cóż... Chyba tak. Kryjesz w sobie pewną tajemnicę, moja miła! Zaśmiała się cicho i wesołe iskierki zatańczyły w jej oczach.

- A cóż to za tajemnica, mój panie? Wziął ją za rękę i delikatnie ucałował palce.

- Matko Floro - powiedział, ciągle patrząc na Catrionę. - Chciałbym cię o coś prosić, jeśli wolno.

- Prosić zawsze wolno, panie Mackenzie! - odparła Flora. Widać było, że jest w świetnym humorze, bo uśmiechała się promiennie. - Ciekawa jestem, czego ci się zachciewa!

- Chciałbym, żebyś i mnie nauczyła jednej pieśni - wyjaśnił. - Kołysanki.

Catriona wydała stłumiony okrzyk. Kiedy uśmiechnęła się do Evana, ujrział łyzy błyszczące w jej oczach.

- A, kołysanki - powtórzyła Flora, kiwając głową. - Na co ci kołysanka?

Evan pocałował żonę delikatnie i bez pośpiechu. Potem zwrócił się znów do Flory:

- Żebym ją śpiewał mojemu synkowi.

Catriona omal się nie rozplakała, ale opanowała się i uśmiechnęła do męża przez łyzy.

- A co, jeśli synek okaże się córeczką?

- Będę śpiewał córeczce - szepnął Evan i znów pochylił się ku żonie. Tym razem przytknął czoło do jej czoła, położył rękę na plecach i poczuł, jak wspaniale bije cudowne serce ukochanej. Ogarnęła go bezbrzeżna wdzięczność za to, że istniała, była z nim, wniosła miłość w jego życie, nosiła pod sercem ich dziecko. - A kiedy nasza córeczka trochę podrośnie, sama zacznie śpiewać piosenki braciszkom i siostrzyczkom, a później, dużo później, własnym maleństwom.

Catriona dłużej nie wytrzymała: rzuciła się mężowi na szyję, a on przytulił ją do siebie i uśmiechnął się w duchu. Zerknął na matkę Florę. Zobaczył, że staruszka ociera łyzy.

- No, gołąbki! - odezwała się po chwili władczym tonem. - Dość tego gruchania. Zabieramy się do roboty! Słuchajcie uważnie.

Zacząła śpiewać. Jej głos nie wydawał się już ochryply ani zmęczony. Była w nim dobroczynna, kojąca moc.

Evan nadal trzymał Catrionę w ramionach. Słuchał z zamkniętymi oczyma. Czuł, jak przenika go spokój płynący z pradawnej pieśni, a głęboka miłość leczy dawne rany. Po chwili i Catriona zaczęła cichuteńko śpiewać, a Evan wtórował jej, nucąc bez słów wdzięczną,

chwytającą za serce melodię.

Od autorki

Anglicy z epoki wiktoriańskiej uwielbiali turystykę i wspinaczkę wysokogórską. Z zapalem wdrapywali się na górskie zbocza Wysp Brytyjskich i kontynentu europejskiego, dysponując dość prymitywnym sprzętem, mnóstwem entuzjazmu i ogromnym umiłowaniem przygody.-A w dodatku wprost ubóstwiali pisać o swoich wyprawach.

Zapoznając się z tematem, który zamierzałam poruszyć w tej powieści i związanymi z nim realiami, rozczytywałam się z prawdziwą przyjemnością w wiktoriańskich relacjach z wypraw wysokogórskich. Autorami ich byli nie tylko mężczyźni, ale i kobiety. Podróżnicy opisywali z najdrobniejszymi szczegółami swoje przeżycia i poetycko wyrażali uznanie dla piękna krajobrazów, które oglądali. Na dziewiętnastowiecznych fotografiach widzimy wiktoriańskich turystów, brnących przez pola lodowe albo alpejskie łąki na wysokości kilku tysięcy metrów nad poziomem morza. Całe towarzystwo dokonywało tych wyczynów w strojach odpowiednich w sam raz na niedzielne nabożeństwo. Nie zapominali jednak o solidnej lasce, zwoju mocnej linki (przeważnie z włókien manilskiego banana), niekiedy również o plecaku, zawsze natomiast pamiętali o zabraniu kosza piknikowego.

Najbardziej interesowały mnie relacje Szkotów. Natknęłam się przy tym na taki rarytas jak osobiste zapiski królowej Wiktorii, dokonane podczas pobytu w Górach Szkockich. Monarchini przeżyła niejedną przygodę na zboczach i szczytach najwyższych gór w Szkocji: a to udany piknik, a to wspaniałe widoki, a to znów coś do kolekcji kryształów górskich, zanim wybiła godzina powrotu.

Prócz umiłowania przygód w górach, dżentelmeni i damy epoki wiktoriańskiej pasjonowali się folklorem. Przede wszystkim w Szkocji zbieranie i ocalanie od zapomnienia gaelickich pieśni oraz legend traktowane było poważnie i przyniosło realne korzyści. Wywodząca się z celtyckich korzeni kultura gaelicka zanikała, a przynajmniej była zagrożona, między innymi z powodu szerzej omówionych w powieści wywłaszczeń i emigracji rodzimej ludności, a także tendencji do współczesnych przeróbek i „ulepszeń” wielowiekowej spuścizny. Do najbardziej znanych zbieraczy pieśni i opowieści należeli Alexander Carmichael i John Campbell. Jednak znacznie mniej znana kolekcjonerka, panna Frances Tolmie, stała się dla mnie prawdziwym natchnieniem i pierwowzorem głównej bohaterki powieści, Catriony MacConn. Wytrwałość, z jaką Fanny Tolmie gromadziła gaelickie pieśni i ratowała od zapomnienia melodie, a także powierzchowność tej wysokiej, silnie zbudowanej, rudowłosej pra-pra-prawnuczki Celtów, pasowały jak ulał do bohaterki, która żyła już od pewnego czasu w mojej wyobraźni. Kiedy wydarzy się coś takiego, jak wyjątkowa zgodność świata wyobraźni ze światem realnym, autor wie, że kroczy właściwą drogą.

Tak zwane kamyki z Cairngorm istnieją w rzeczywistości. Przydymiony kwarc, połyskliwy, o brunatnym zabarwieniu, niezwykle przejrzysty, jest prawdziwym skarbem Szkocji i tamtejszą atrakcją turystyczną. Kryształowe „duszki”, zawierające odrobinę substancji fosforyzującej, również istnieją naprawdę: zostały odnalezione w odległych zakątkach Gór Szkockich.

Nie są fikcją także kryształy wróżek. Gdy piszę te słowa, na moim biurku leży na aksamitnej poduszeczce takie właśnie чудо: bawi się światłem, migocze i puszcza do mnie oczko.

Mam nadzieję, że spodobają się Wam, Drodzy Czytelnicy, moja szkockie powieści z epoki wiktoriańskiej, wśród których jest również *Całując hrabinę*.

Wszystkiego dobrego - i miłej lektury!